

no. 3395
III 173.983
TEODOR PARNICKI

KONIEC «ZGODY NARODÓW»

II

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1955

KONIEC
« ZGODY NARODÓW »

BIBLIOTEKA „KULTURY”

Tom XII

★ ★

IMPRIME EN FRANCE

*Tous droits de traduction et d'adaptation réservés
pour tous les pays.*

Copyright by „Kultura”, 1955.

TEODOR PARNICKI

KONIEC

« ZGODY NARODÓW »

Powieść z roku 179 przed Nar. Chr.

II

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1955



Vol. 339

II 173.983

1957 D 740 / 34 B

CZĘŚĆ PIERWSZA

Orestes, syn Orestesa, nie od wczesnej bynajmniej młodości zamierzał poświęcić się sztuce rzeźbiarskiej. Skłonności w tym kierunku miał zawsze, zdolności — jak mu mówiono — także, ale jego młodzieńczym upodobaniem i miłości własnej stokroć bardziej dogadzało raczej narzucać innym rzeźbiarzy, a i budowniczych także, wedle własnego wyboru, królom lub wolnym miastom, niż zdobywać poklask, pieniądze czy dumą tchnące upojenie poprzez twórczość własną. Początkowo nawet w ogóle — mówił Leptynes — nie było wcale takie pewne, iżby z ojca jego miał koniecznie wyrósć właśnie wielki rzeźbiarz; budownictwo go pociągało w tym samym stopniu, a przez jakiś czas — w wyniku trzyletniego pobytu w Aleksandrii koło Egiptu — najbardziej chyba mechanika, do której zapal bezinteresowny a szczery łączył z jakąś dziwną podejrzliwością w stosunku do tego, co zwykł był nazywać szkodliwością społeczną nazbyt praktycznych zdobyczy w tej tak umiłowanej przez siebie dziedzinie. Leptynes osobiście mniemał, że ten, czym synem być się mianował, jeśli i poświęcił się ostatecznie całkowicie rzeźbie, nie mechanicznie — to jedynie właśnie iżby nie przykładać rąk do potęgowania owego dostrzeganego przez siebie niebezpieczeństwa, którego istoty jednak nigdy dobrze synowi nie wytłumaczył. Najprawdopodobniej dlatego ponieważ sądził, iż syn jest za mały jeszcze, by takie rzeczy rozumieć. W istocie był mały w okresie namiętności Orestesa do mechaniki; odkąd zaś namiętność ta w wyniku świadomej, zimnej decyzji ustąpiła miejsca wyteżo-

nej pracy rzeźbiarskiej, nigdy nikt już nie miał usłyszeć z ust Orestesa ani jednego słowa na temat mechaniki, a więc i dorastający syn także. Na czym więc owa nęcąca chłopięcą wyobraźnię zagadka społecznej szkodliwości mechaniki polegała — nie miał Leptynes dowiedzieć się nigdy.

To samo zresztą dotyczyło i wielu innych jeszcze nęcących wyobraźnię Leptynesa, jako dziecka, zagadek, na jakie ojciec często napomykał półsłówkami, ale których nigdy nie wyjaśniał aż do zadawalającego końca. Na przykład sprawa rzekomo oszłamiająco dostojnego a zarazem występnie wręcz hańbiącego pochodzenia Orestesa, a więc też i jego syna. Do sprawy tej tak znakomity później rzeźbiarz, a wówczas jeszcze tylko pośrednik w dostarczaniu rzeźbiarzy władcom i władzom, powracał w rozmowach z synkiem często i chętnie — najchętniej w bolesnym okresie pierwszej ciężkiej choroby swej żony a matki Leptynesa; raz kiedyś w owym właśnie czasie zapędził się aż do rzucania obelg, wręcz przekleństw na Rzymian — widząc zaś zdumione, wręcz wystraszone oczy chłopca, zaśmiał się i zawołał: „Zabrali ci królestwo dziedziczne, łajdacy, ale słuchaj: gdy wyrośniesz, podnieś przeciw Rzymianom tam wszystkich niewolników przynajmniej — ci za tobą, właśnie za tobą, chętnie pójdą, a gdy rok na ich czele przetrzymasz, to zobaczysz, że i najmoźniejsi do ciebie, właśnie do ciebie, równie chętnie się przyłączą”. Nieubłaganie jednak odmawiał wszelkich wyjaśnień na temat, gdzie miało być owo „tam” i dlaczego „właśnie” za Leptynesem chętnie mieliby najpierw niewolnicy pójść, a po roku i najmoźniejsi także. Odmawiał zawsze, wyobraźnia jednak chłopca zarówno jak i docieklivość poznawcza często a zazwyczaj i gorączkowo — samorzutnie już wokół tej zagadki krążyły; najbardziej gorączkowo wówczas, gdy Leptynes na własne oczy zobaczył — własnymi uszama usłyszał — tych, którzy wedle tej zagadki mieli go jakoś ogromnie skrzywdzić: Rzymian.

Ojciec zapewne bawił się z nim tylko: żartował albo i kpił trochę, kpiarz był bowiem z niego wielki i to nawet w stosunku do najmoźniejszych. Więc prawdopodobnie po latach — gdy spoważniał i o tyle się zmienił, że z dobrotliwego kpiarza zamienił się w bezlitosnego szydercę — nie pamiętał już wcale o tych dość niezwykłych zabawach słownych z synem; w każdym razie zdziwił się niezmier-

nie, a nawet nasrożył, gdy pewnego dnia — w Suzie już, nie w Sardach — pierworodny wpadł do jego pracowni ogromnie podniecony, wołając poprzez porywisty oddech: „Wiem, dlaczego się nazywam Leptynes, i wiem, jakie królestwo zabrali mi Rzymianie”.

Zawsze go samego — wyjaśnił zaraz słuchaczom — zajmowało bardzo, a i dziwiło, czemu nosi imię inne, niż dziad, a przy tym takie, jakiego nikt także nie nosił wśród licznych członków osiadłej w Leodykei Syryjskiej, rodziny jego stryja. Ale oto właśnie — tłumaczył w podnieceniu ojcu — przeczytał Historie Italskie Tymajosa i dowiedział się z nich, że ojciec żony pierwszego a tak znakomitego i szczęśliwego przez liczne dziesięciolecia, króla Syrakuz, Hierona, nazywał się właśnie Leptynes! „Powiedzże mi teraz” — jał błagać ojca wręcz ze łkaniem — „czy dobrze zgadłem? Oto żona Hierona zdradziła go z niewolnikiem, król to wykrył, ale oddany jej bardzo, ani jej nie ukarał surowo, ani płodu zdrady nie zniszczył, tego tylko zażądał — szyderczo niewątpliwie — by bękart nosił — jak wśród Greków przystoi — imię po dziadku, ale ...macierzystym... Bękart — ów drugi Leptynes — rósł w ukryciu, miał swoich z kolei synów, którzy już normalnie zwyczajem greckim nosili imiona. Jeden zwał się Orestes, może tak też się zwał ów niewolnik, jego dziad, kochanek królowej? Stary król, a po nim i Gilon, syn jego prawy, używali go jako zaufanego wysłannika tu i tam w różne strony świata, w końcu na Rodos z szcudrym wspomnieniem dla wyspy po trzęsieniu ziemi, i tam też właśnie poznał on moją babcię, wygnankę z Peloponezu, ożenił się z nią — zrodził ciebie — a przedtem chyba i innego jeszcze syna, ale gdy Rzymianie Syrakuzy zdobyli, Rodyjczycy zaś z Rzymianami się przyjaźnili — dziadek z rodziną przeniósł się pod opiekę Antiocha Seleukidy do Laodykei i tam innego mego stryja zrodził. Więc moje królestwo, przez Rzymian zagarnięte, to właśnie Syrakuzy — nieprawdaż?”

Orestes słuchał bardzo uważnie — uśmiechając się i chmurząc czoło na przemian. Gdy syn skończył, ucałował go w czoło i rzekł: „Jesteś bardzo mądry, tak mądry, że się boję o ciebie. A trochę i o siebie też. Każę ci: zapomnij o tym, coś mi teraz nabajdurzył. Jak nie zapomnisz, gorzko będziesz płakał — tak jak nigdy dotąd. I jesz-

cze jedno ci powiem: w historykach się rozczytujesz, ale sam historykiem nie będziesz. Już raczej poetą. Czego ci, zresztą, nie życzę”.

— Czy ten bezczelny młokos zna moją tajemnicę i teraz kpi sobie ze mnie? — wstrząsnął się na całym ciele Heliodor: — Hańba po ojcu, imię syna po dziadku macierzystym... Ale skąd mógłby wiedzieć? Tylko od Dionei, lecz przecież ona nie wie — nie może wiedzieć...

Gdy tak mamrotał do siebie, Leptynes przechodził z kolei do innej zagadki z życia Orestesa: jego ciągłego wędrowania z miejsca na miejsce i to jeszcze na długo zanim pojawiła się przyczyna dość powszechnie znana i wcale przekonywująca: jego oddanie rodowi królewskiemu Seleukidów, które sprawiało, że stamtąd, skąd pod naporem Rzymu wycofywała się tego rodu władza, oddalał się też i Orestes.

— Jeśli jednak słuszny był mój domysł — znów zamamrotał do siebie Heliodor — że to syn Greczynki i szpiega masageckiego, mającego jakieś z Orestesem porachunki, to wówczas, co teraz młokos powiedział, bardzo wzmacnia prawdopodobieństwo tego domysłu: mową o oddaniu Orestesa dla sprawy Seleukidów, bardzo się oziębia — co najmniej się oziębia! — życzliwość Eutydemidów dla nadwornego rzeźbiarza...

Zaraz jednak sobie przypomniał, że Orestes już Eutydemidom nie służy — jest daleko — obojętny już na ciepło czy chłód ich uczuć dla siebie. Ale czy Leptynes o tym wie?

Nagle spostrzegł utkwione w sobie spojrzenie Mankurasa: znów to samo wezwanie nieme a błagalne omalże, co uprzednio. Było dlań jasne: Ind spostrzegł w świetle latarni, że wargi Heliodora poruszają się — zrozumiał, że to oznacza rozluźnienie napięcia uwagi, z jaką trzeba było słuchać Leptynesa, więc alarmował. W samej rzeczy, czegoś już był nie dosłyszał: domniemany syn Orestesa dzielił się swym domysłem, że wczesne wędrowki jego ojca pozornie tylko były spowodowane ambicją dostarczania królom i miastom słynnych artystów, że raczej ambicja ta była sztucznym uzasadnieniem konieczności, wywołanej zmianami, o których chwilę temu była mowa, i właśnie tego — co to były za zmiany, czego zmiany i gdzie — Heliodor nie dosłyszał.

— Została mi przecież pamiątka po niej w postaci książki, z którą więcej świata przemierzyłem, niż nawet mój ojciec, niestety jednak wywiad królewski na pokładzie tego oto okrętu uznał za stosowne tej bezcennej pamiątki mnie pozbawić.

Heliodor wciąż nie wiedział, po kim to mogła być pamiątka, ale za to wiedział nareszcie coś, czego uświadomienie sobie tak go ogromnie ucieszyło, iż za taką zdobycz pamięci — czuł — z radością zapłaciłby niedosłyszeniem choćby i połowy z opowieści Leptynesa. Oto poprzedniej doby jeden głos w nim stwierdzał, że nieszczęśliwi godniejsi są miłości od szczęśliwych, a drugi pytał: „Dlaczego?”... Nie mógł sobie wówczas uświadomić, skąd pierwszy głos czerpał dowody czy przynajmniej przykłady na rzecz swej tezy, teraz już to wiedział. Oto w samej rzeczy odebrał Leptynesowi książkę: Historie Filarcha i z niej to wyczytał o królownie spartańskiej Chilonidzie, co na-przód męża opuściła by towarzyszyć na wygnaniu ojcu, a potem gdy los się odmienił, poszła za wygnanym z kolei mężem...

— I w jednej z takich wędrówek Orestes — to Mankurasa na odmianę rozebrzmiał głos — poznał i poślubił kobietę, o której twierdzisz, że była twoją matką?

— Nie zupełnie tak to było — drżącym lekko głosem odpowiedział Leptynes. — Ojciec mój był już od kilku lat bezwyjezdnie w Sardach osiadły, gdy raz na rynku spotkał, a spotkawszy, zaraz pokochał, siostrę setnika, a może i tysiącznika osadników, niedawno w pobliże Sardów z Babilonii przerzuconych. Miłość to tak była wielka, iż natychmiast zapragnął się z nią ożenić, ale że było na to potrzebne osobne pozwolenie królewskie...

— Dlaczego? — głos Mankurasa brzmiał ostro, jak nigdy dotąd.

— Dlatego — zawołała dźwięcznie ku przygnębieniu bezgranicznemu Heliodora Dioneja — ponieważ dziewczętom z osad wojskowych wolno wedle prawa wychodzić za osadników tylko. W każdym innym wypadku niezbędne jest właśnie osobne pozwolenie królewskie.

— Nie inaczej — głos Leptynesa tchnął wdzięcznością, tkliwością, radością, wzruszeniem. — Król Antiochos, zresztą, który bardzo był wówczas dla mego ojca łaskaw, a jeszcze więcej potem, w roku, gdy miałem przyjść na



świat, natychmiast z gońcem pierwszego stopnia wysłał pozwolenie, ba, powinszowania i dar ślubny... Rodzice osiedlili się w Sardach i...

— Cóż on tak się rozpędził? Tchu mu zabraknie — dziwił się myślnie Heliodor.

I zaraz posępnie poprawił siebie:

— Ba, pierwaj już mu zabrakło. Nie dziw! Gdy ona się wtrąciła...

— ...nie licząc jednej jego podróży, mieszkaliśmy tam stale aż do przyjscia Rzymian. — Głos Leptynesa z kolei zdawał się przypominać zawodnika na wyścigach, pewnego już, że do mety jako zwycięzca niewątpliwie dojeżdża. — Jakem już był rzekł, widziałem ich z bliska, słyszałem... Jakoże w naszym to domu właśnie Dzeuksys i Antypater, wysłańcy króla Antiocha po klęsce, spotkali się...

— Z Rzymianami? — w podnieceniu zapytał Teofil.

— Nie, z królem Pergamu. Ale potem jakoże pilno im było, zaofiarowałem się wszystkich trzech zaprowadzić najdogodniejszą a najkrótszą ścieżką na Akropol — nie tą, na której Bolis Kreteńczyk zdradził był Achajosa, tylko inną...

— Ja go zaraz chyba zabiję! — z trudem hamował się, by się nie zerwać z krzesła, Heliodor.

— ...i wówczas słyszałem, co Publios Skipion mówił do Dzeuksysa...

— Ile miałeś wówczas lat? — jeszcze ostrzej, wręcz wrogo, brzmiał głos Inda.

— Sześć i pół.

— I matka ciebie samego wypuszczała z domu?

— Przy takiej sposobności, którażby nie puściła? — zarechotał Teofil.

— Nie bała się, że barbarzyńcy z dzikiego Zachodu porwą jej jedynaka i pierworodnego — tego, którego, jakęś pierwaj tu opowiadał, z trudem zachowała przy życiu? — coraz ostrzejszym tonem napierał Mankuras.

— Przeciwnie — szczerze zupełnie zdumiewał się Lep-tynes. — Matka mnie upewniała, że Rzymianie są dobrzy i żadnej krzywdy mi nie zrobią...

— A ojciec?

— Ojciec, to prawda, był bardzo przeciwny, ale że Dzeuksys go prosił...

— Dzeuksys czy król Pergamu?

— Obaj.

— Toś czemu rzekł tylko: Dzeuksys?

— Bo królowi Pergamu — uśmiechnął się w świetle wieńca lamp Leptynes — ojciec mógłby odmówić, mimo że...

— Prawdaż to — wtrącił Menander — że oni... Rzymianie gołą sobie nie tylko górne wargi i brody, jak my, ale i głowy do skóry?

— Jak rzezańcy — znów rechotał Teofil, — kapłani tej... tej...

— Co mu tak wesoło? — zdziwił się Heliodor. I zaraz znów usłyszał głos Dionei, tym razem gniewem i odrazą tchnący:

— Tej, tej — Teofilu? Zapominasz, o kim mówisz. O Niepokalanej.

— A tak... o Anaicie. — Teofil już się nie śmiał, ale głos jego pozornie tylko brzmiał lekceważąco, naprawdę zaś zaczepnie.

— Dla nas: Artemidzie Łowczyni — powiedział Menander.

— Dostojni słuchacze! — zawołał Leptynes. — Jeśli tak mi będziecie przerywali, za dwie doby od teraz nie ukończę swej opowieści.

Jemu — nie wiedzieć czemu — też było wesoło, Heliodor dziwił się coraz bardziej.

Leptynes zaś ciągnął:

— Nie wszyscy Rzymianie gołą głowy do skóry, ale Publios Skipion, pogromca Hanibala i Antiocha — tak...

A zaraz potem dodał:

— Małe wyjaśnienie. Formalnie wodzem Rzymian w wojnie, w której rozgromiony został król Antiochos, był brat Publiosa, Lukios, ale faktycznie...

— Zdumiewająco jesteś dokładny — przerwał mu Man-kuras, wciąż ostro, ale wyraźnie mniej już wrogo niż uprzednio — pamięć zaś twoją podziwiam nie od dzisiaj. Pozwól więc — mimo uwagi, którąś chwilę temu zrobił — i mnie też odciągnąć cię na chwilę od właściwej opowieści. Gdyś zaprowadził krótszą drogą króla Pergamu i wysłanników króla Antiocha na Akropol, powiadasz, żeś nie tylko widział, ale i słyszał Publiosa Skipiona. Coś słyszał?

— Odpowiedź jego na przemowę Dzeuksysa.

— A co mówił Dzeuksys?

Leptynes wyraźnie się zmieszał. Jąkając się, powiedział, że dobrze owej przemowy nie pamięta, tyle przecież lat upłynęło... Jedno zdanie, to owszem: że w interesie właściwie samych Rzymian jest okazać wspaniałomyślność pokonanym, bo skoro Los zwierzył im władanie światem... Aha, i jeszcze pytał, co oni, pokonani, mają zrobić, by nie tylko pokój, ale i przyjaźń Rzymian osiągnąć...

— Strasznie jednak podły z nas, Greków, naród — warknął Teofil — tacyśmy buńczuczni, gdy pełni nadziei, a płaszczymy się, ledwie...

— Nie wszędzie! — przerwał mu Menander. — To tylko panowanie Seleukidów tak upadła...

— Dziękuję w imieniu dynastii — Teofil znów już rechotał — która choć z Seleukidami spokrewniona, nie ma za wielu powodów, by ich kochać... Oczywiście, dzięki te składam jako daleki dynastii krewniak i dziwi mię, przyznam się...

— Może powinienem był ściślej się wyrazić — najwyraźniej z rozmysłem pośpiesznie mu przerwał znowu Menander: — Grecy upadają się pod rządami królów obcej krwi...

— Któż w nas samych — równie wyraźnie nie zamierzał umilknąć Teofil — odróżni krew makedońską od greckiej?... Skoro Eutydemidzi spokrewnieni są z Seleukidami, niewątpliwie Makedończykami...

— W samej rzeczy, mężowie dostojni — zawołał Man-kuras — podsądny miał słuszność. Jeśli wszyscy tu będą przerywać jego opowieść, nigdy do końca nie dobrnie.

— Ty sam ją przerywasz — powiedziała, udając, że nie jest rozdrażniona, Dioneja.

— To jest moje prawo. I z prawa tego będę korzystał tak, jak to uznam za stosowne. Ale tylko ja. Więc, młodzieńcze, rzekłeś, żeś bardzo mało — przy tak świetnej pamięci! — spamiętał z przemowy Dzeuksysa do Rzymian. A z odpowiedzi na nią Skipiona?

— Całą.

— Rozumiałeś ją?

Blask wieńca lamp ujawnił triumfujący i wzgardliwy zarazem uśmiech na ustach Leptynesa. A triumfem też i wzgardą brzmiał jego głos, gdy zaczął wyjaśniać, że barbarzyńcy — czy to Zachodu, czy Południa — choćby naj-

wyżej wzniosł ich kaprys Losu, gdy z Grekami mówią choćby jako Greków pogromcy, greckiej tylko zazwyczaj używają mowy.

Teraz Heliodor już doznawał przypływu fali wesołości. Jeśli ten młodzik jest naprawdę synem Orestesa, to zaiste synem nieodrodnym: skłonność do bezlitosnego szyderstwa ma w krwi.

— I cóż więc Publios Skipion Dzeuksysowi odpowiedział? — beznamiętnie zapytał Mankuras.

— Że zwycięstwo — zawołał Leptynes żywo, a z jakimś przy tym wzruszeniem, zwolna przechodzącym w coś jak gdyby uniesienie — nigdy nie czyni Rzymian bardziej surowymi, niż byli przedtem.

— I to wszystko?

— Potem powiedział, że król Antiochos może mieć pokój na warunkach tych samych, na jakich mógł go uzyskać przed bitwą, w której został rozgromiony. Po czym przystąpił do wymieniać tych warunków.

— Pamiętasz je?

— Pamiętam.

— Słuchamy.

— Że Antiochos musi całkowicie wycofać się z Europy, w Azji zaś poza łańcuch górski Tauru. Że Rzymianom musi wypłacić piętnaście tysięcy talentów eubejskich tytułem odszkodowań wojennych; z tego pięćset natychmiast, dwa i pół tysiąca po zatwierdzeniu umowy pokojowej przez lud rzymski, a resztę w dwunastu ratach po tysiąc talentów rocznie. Że królowi Pergamu wypłaci czterysta talentów, które jest mu winien, i pozostałość zboża, co się należała jeszcze jego poprzednikowi i ojcu, królowi Atalosowi. Że musi wydać Rzymianom Hanibala Kartagińczyka, Taosa Aitola, Filona Chalkidyńczyka. Że dla zabezpieczenia...

— Wydał Hanibala? — zapytał z silnie bijącym sercem Heliodor.

Leptynes znów się zmieszał. Wybelkotał, że nie wie... nie pamięta...

— Prosiłem nie przerywać — skarcił swego niby zwierzchnika Mankuras, a zwracając się znów do Leptynesa oświadczył, że ten może dalej owych warunków pokojowych nie wymieniać, natomiast niech się przyzna, czy naprawdę na własne uszy je słyszał, czy też gdzieś, w ja-

kiejś książce, wszystko to wyczytał, a swych słuchaczy teraz zwodzi mówiąc, że słyszał.

— Słyszałem.

— I po tylu, tylu latach tak dokładnie pamiętasz?

— Pamiętam.

— Jesteś tego pewien?

— Jak tego, że teraz nie-Grek do mnie przemawia.

— Nie zapomniałeś wymienić nikogo z tych, którzy mieli zostać Rzymianom wydani?

— Nie.

— Wymieniłeś Chalkidyjczyka...

— Tak — Filona.

— Ale był jeszcze drugi z nim wymieniony: Eubulides. Leptynes poderwał się na miejscu.

— Tak, tak! — zawołał. — Właśnie Eubulides... I jeszcze jeden Akarnanijczyk... Mnazos... Mnazylos...

— Mnazylochos. A i Aitola jednego tylko wymieniłeś, w ugodzie jednak pokojowej ponadto mowa była i o innych jeszcze...

Leptynes potrząsnął przecząco głową.

— Nie byli ci inni wymienieni, to prawda — ciągnął Ind — ale bardzo wyraźnie określili...

— Nie pamiętam — westchnął Leptynes.

— A to pamiętasz, com ci rzekł zanimś zaczął swą opowieść? Że wówczas był jeszcze dla ciebie czas łaski, ale potem już daremnie byś o nią błagał? Młodzieńcze, kimkolwiek jesteś, raz jeszcze — wbrew uprzedniemu ostrzeżeniu — okażę ci łaskawość nadzwyczajną dynastii, której sługa niegodny ciebie tu sądzi. Wyznaj prawdę: kim jesteś. Wyznaj zaraz, a wciąż jeszcze będziesz mógł prosić o łaskę.

— Jam Leptynes, syn Orestesa rzeźbiarza...

— I wszystko coś dotąd opowiedział, jest prawdą?

— Wszystko.

— I to żeś słyszał, jak Skipion odpowiadał Dzeuksowski?

— Rzekłeś.

— Lecz tyś, o młodzieńcze, rzekł, że Antiochos wypłacić miał Rzymianom piętnaście tysięcy talentów eubejskich, ale umowa pokojowa, której treść dobrze znam, mówi o dziesięciu tylko — nie nazywa ich eubejskimi, tylko najlepszym srebrem atyckim i wymienia najniższą

wagę każdego talentu. Poza tym mówi o dziewięćdziesięciu tysiącach miar zboża. Również i Eumenesowi królowi Pergamu inne przyznaje odszkodowanie, niż to, któreś opisał, jako własne zasłyszane przez ciebie słowa Skypiona, bo nie czterysta talentów, ale trzysta pięćdziesiąt, z dokładnym wymienieniem wysokości rat rocznych, o której nic nie wiesz. O zbożu zaś dla Pergamu, owszem, i jest mowa, ale też zupełnie inaczej: że wartość jego wypłacona będzie pieniędzmi, których wysokość — ile wynosiła? Nie wiesz? Może też powiesz, że nie pamiętasz?

— Nie pamięta! — krzyknęła Dioneja. — Nie może pamiętać! Wówczas był dzieckiem...

— Nie kłamałem — załkał Leptynes.

— Nie kłamałeś? — grzmiał tuż nad jego głową Mankuras.

— Odeślijcie mnie do ojca... Jeśli mnie nie wierzycie, niech on wam powie... Za co wy się tak nade mną zęcacie?... Jestem takż dobry Grek, jak ci tutaj... Stokroć lepszy, tysiącokroć, niż najgorliwszy choćby, najzaciętszy w służbie Greków... sprzedawczyk, zdrajca swego narodu... barbarzyńca...

— Należy skazać go na chłostę za znieważanie urzędnika królewskiego — niby ostro, a bez przekonania, odezwał się Teofil.

— Jeśli grozi mu kara nieporównanie surowsza — wtrącił Menander — nie widzę powodu, dlaczego by się miało go ponadto...

— Nic mu na razie nie grozi — uśmiechnął się Mankuras — a coraz bardziej wątpię, czy w ogóle zagrozi... Jeśli o mnie osobiście chodzi, jestem prawie przekonany, że to syn Orestesa... Rzecz jasna, cały czas dotąd mówił prawdę...

Położył rękę na głowie Leptynesa.

— Daruj mi — rzekł łagodnie — ale służąc Królowi Wielkiemu i wielkiej sprawie współzycia bratniego Greków i Indów, często nie mogę sobie pozwolić na to, by być tak miłym dla wszystkiego, co żyje, jakbym pragnął.

— Cóż to znaczy? — znów odezwał się Teofil, tym razem naprawdę ostro.

— A to, że młodzieniec ten, o ile go pamięć nie myliła, a myślę, że bardzo mało co myliła, mówił cały czas najszczerzą prawdę. Zawodziła go owszem, pamięć,

w drobiazgach: jedno czy dwa imiona z tych, kogo Antiochos miał Rzymianom wydać. Ale przeważnie też zaraz, upomniany, przypominał sobie lub do zapomnienia z prostotą się przyznawał. Powiedziałem mu oto jednak — słyszeliście wszyscy — że bardzo istotne warunki owej umowy pokojowej inaczej wyglądały, niż on je zacytował — i to prawda. Otóż gdyby się wycofał, gdyby się zaczął ze mną zgadzać, niby sobie przypominać — tu byłby jego koniec. Ale mówił płacząc: „Nie kłamałem”. Jakoże nie kłamał. To bowiem, com ja cytował, a co tak odmiennie brzmiało, należy do tekstu umowy ostatecznej, znacznie późniejszej, nie przez Skipiona Dzeuksysowi zaofiarowanej, ale zatwierdzonej przez władze na miejscu w Rzymie, przez lud, jak oni to tam nazywają. To była najsurowsza próba, jakiej poddałem wiarygodność podsądnego — oświadczam: z próby tej wyszedł zwycięsko. Powtarzam: jestem prawie przekonany, że skoro mówi o sobie: „Jestem synem Orestesa rzeźbiarza”, jest nim.

W ciszy, która na tarasie po tych słowach zapadła, bez trudu dało się pochwycić uchem głośne westchnienie ulgi. Wydała je Dioneja, Heliodor w to nie wątpił.

— Jak to dobrze, że jednak wciąż jeszcze tylko: prawie — powiedział tonem, któremu starał się nadać trochę karcącej powagi ale trochę też i wesołości, w stylu tej, jaką ujawniał był przedtem Teofil — bo oto jakaś nam jeszcze nadzieja pozostaje, że przecież się dowiemy, jakim to sposobem synowi Orestesa udało się to, co przed nim — o ile się nie mylę — jedynemu tylko Heraklesowi, zwanemu też gdzieniegdzie Adonidem: mianowicie zmartwychwstać.

— Wcale mu się nie udało — odparł Leptynes pogodnie — bo nigdy dotąd nie umarł.

— Ale my wiemy...

— Dokładnie tak, jak ja wiem, że umowa pokojowa z Antiochem przyznała Rzymianom talenty eubejskie, a nie atyckie srebro. Byłem w gromadzie chłopców, porwanych w drodze z Argos do Isedonu przez koczowników — potem porwanych odbili Frynowie osiadli i przekazali większość spośród nich pod opiekę greckiego oddziału wojskowego. Oddział ów, odbici chłopcy, kilkunastu kupców, kilkanaście też kobiet, między nimi żona dowódcy oddziału, wreszcie jacyś przygodni podróżni, przeważnie Frynowie — wszyscy razem wyruszyli w drogę powrotną do Argos.

Ale jak wiecie, nigdy do Argos nie dotarli — wpadli w zasadzkę koczowników, mszczących się niedawnej utraty łupu, i zginęli wszyscy — mężczyźni przeważnie walcząc — kobiety głównie po zgwałceniu, choć niektóre również jeszcze przedtem — przy boku walczących.

— A odbici chłopcy?

— Tych los był najgorszy. Koczownicy, póki walka jeszcze trwała, starali się ich oszczędzać, ale jak się po walce okazało, w tym jedynie celu, by im szczególnie wymyślną zgotować śmierć — niby za karę, iż poprzednio dali się odbić, a tym samym stali się przyczyną śmierci wielu jeźdźców stepowych.

— Czy wszyscy chłopcy zginęli?

— Podobno wszyscy.

— Właśnie: podobno. I wszyscy wtedy?

— Podobno wtedy.

— Znowuż: podobno — Heliodor teraz rechotał zupełnie już tak, jak uprzednio Teofil. — Ale skoro właśnie tylko podobno, czy nie mogło się zdarzyć, że jednak nie wszyscy wtedy właśnie zginęli, lecz jeden z nich znacznie później — po roku dopiero niewoli wśród koczowników lub po pół roku czy też po dwu latach — tak czy owak nie wcześniej, aż z niego wydobyto — najpierw na przemian łaskawością i straszaniem, potem biciem, wreszcie okrutnymi torturami — wszystko co sam wiedział o swoich przodkach i rodzicach — o krainach, które z rodzicami przemierzał — to, co widział kiedykolwiek i co słyszał, ba, także wszystko, czego się był uczył, a to w tym celu, by ostatecznie wszystko już bez reszty zeń wydobywszy, zabić go, a nam tu podesłać innego chłopca, swojego szpiega, ale podającego się za tamtego właśnie?

— Niemożliwe — ze zdumiewającym spokojem odparł Leptynes — po pierwsze dlatego, iż byłoby to zastąpienie chłopca ciemnookiego, ciemnowłosego, smagłego, przez różowoliciego, płowowłosego i błękitnookiego, bo tamci koczownicy wszyscy bez wyjątku są właśnie tacy, co łatwo by mogła potwierdzić, gdyby tu się znajdowała, wnuczka dowódcy twierdzy tarmickiej, a córka owego dowódcy oddziału, co odbił był chłopców, a potem — mało co przed nimi — zginął, przy jego zaś boku żona.

Heliodor był ogromnie ciekaw, czy najniższy z czterech strażników się odezwie; wiedział też, że Dioneja zwróciła

głowę ku miejscu, gdzie stali strażnicy. Nie odezwała się, co Heliodora zastanowiło silnie, jako dowód takiej z jej strony ostrożności, jakiej nie oczekiwał. Ostatecznie mało kto na tarasie nie wiedział, kim jest niski strażnik — jeśli wiedział o tym król Margiany. Ktokolwiek jednak to był, Teodora bardziej się bała ujawnić przed nim swą tożsamość, niż narazić się Dionei, która w trosce swej — z miłości płynącej, jak sobie wyobrażała — o Leptynesa niedwuznacznie spojrzeniem sprzed chwili dopominała się o pomoc przyjaciółki, ba, więcej niż przyjaciółki, bo członkini trzyosobowego sprzysiężenia z królową Agatokleją na czele. A czy nawet nie powinna była obawiać się czegoś więcej, niż tylko urazy, choćby najsilniejszej — tego na przykład, że urazy tej się mszcząc, zaszkodzić by mogła Dioneja sprzysiężeniu samemu?!...

— Po drugie — ciągnął Leptynes z tym samym doskonałym spokojem, co uprzednio — gdyby nawet znalazł się wśród owych koczowników chłopiec, mogący wyglądem ujść za Greka, na przykład mieszaniec, zrodzony z Greczynki, ongiś uprowadzonej — jakby mógł on oczekiwać, że go rozpozna jako swego syna Orestes? Wreszcie — po trzecie — czy z was, o mężowie dostojni, tacy marni, żałośni wręcz są — mimo wszystkich pozorów — sędziowie, żeście nie władni ustalić, czy gdy ktoś mówił „Prowadziłem tego a tego taką a taką ścieżką szczególnie dogodną a przy tym najkrótszą” — naprawdę po tej ścieżce stapał, czy też tylko o niej coś od kogoś zastraszonego słyszał?

— Czy ta ścieżka skręca na lewo na tyłach teatru?

— Nie — na lewo skręca na tyłach domu, gdzie się zgromadzają co siedem dni Żydzi. Może kiedyś, zresztą, i był to teatr. Ale czyś był w Sardach, o panie? Jeśli tak, to chyba dawno, nie później niż w roku sto siódmym...

Heliodor spostrzegł utkwione w sobie wszystkie spojrzenia, najwymowniejsze: Mankurasa — karcące, Dionei — pytające z podnieceniem. Równocześnie myślał: Żydzi — gdzieś już tę nazwę słyszałem. Jakieś stowarzyszenie, ale jakie? zawodowe? czy raczej religijne, jak ich tyle jest w Azji Mniejszej? A może to nazwa jakiegoś plemienia? Wzrok pytający a podniecony Dionei coraz bardziej go zbijał z tropu, z wszystkich, zresztą, tropów: toż samo — Mankurasa, nie tylko już karcący, ale zaalarmowany. Aż

się zdziwił: czemuż to Indowi też oto tak zależy na ukrywaniu jego, Heliodora, tajemnicy? I czego Ind właściwie się boi? Ależ jasne — czego: by ktoś nie podjął pytania Leptynesa, czy on, Heliodor, był w Sardach, nade wszystko, by nie podjęła go właśnie Dioneja. A gdyby? Odpowie, że nie był — to jest równie jasne. Ale dlaczego właściwie? Czemu by nie powiedzieć: „Byłem”? Czemu, czemu? Bo Leptynes zaraz gotów zacząć mówić o innej ścieżce swego dzieciństwa: tej na której Bolis zdradził Achajosa. Ba, może zacząć mówić już, już... nawet nie czekając na podjęcie przez kogoś pytania...

Nagle uprzytomnił sobie, że oto nazwał w myślach — pierwszy raz właściwie, bo pierwszy raz tak, jak gdyby to zupełnie było oczywiste — bezczelnego młokosa Leptynesem.

— A jeśli on się naprawdę na tamtej ścieżce bawił? Więcej: jeśli słyszał i o synie Bolisa, rękodajnym Antiocha?

Czuł, że ogarnia go panika. Więc podniósł się i zawołał:

— Po co mię ściągasz gwałtem na owo swe „po trzecie”, kiedy mnie stokroć bardziej interesuje „po drugie”? Czyżbyś zgadł, że interesuje? I właśnie dlatego ściągasz? Sprytnyś! Alem ja sprytniejszy. Słuchaj uważnie! W imieniu Króla Wielkiego obiecuję ci truciznę, zamiast pala, jeżeli przyznasz się, żeś doskonale wiedział, zanimś granicę przekroczył, iż możesz najbezkarniej zupełnie domagać się skonfrontowania z Orestesem, bo ten jest tak daleko stąd...

— Gdzie jest? — krzyknął Leptynes.

— W Pergamie, w służbie króla Eumenesa — beznamiętnie powiedział Mankuras, na odmianę unikając już wyraźnie spojrzeń Heliodora.

— Nie wierzę.

— W głosie Leptynesa brzmiały zarazem upór nadziei i szybko wzbierająca rozpacz. W głosie zaś Mankurasa współczucie, wręcz smutek, ale też i nie dające się już powstrzymać — a raczej rozmyślnie nie hamowane dłużej — rozdrażnienie, gdy mówił:

— A jednak to jest prawda.

Leptynes ukrył twarz w dłoniach. Heliodor znów się dziwił: jeśli to teraz nie jest komedią, jeśli ten tutaj napraw-

dę nic dotąd nie wiedział o odejściu Orestesa na Zachód, czemu na Zachód Dioneja się wybierała? Tak się prosiła? Oczywiście, można by założyć, że wiedziała — najpewniej od królowny Agatoklei — o wyjściu rzeźbiarza ze służby Eutydemidom, Leptynes zaś, o ile nim był naprawdę mógł jeszcze o tym nie wiedzieć, ale czemu ona go co do tego nie oświeciła — w noc rozpoczęcia wojny z mężem lub w czasie trwania rzekomej ucieczki — na wyspie? Wyjaśnienie mogło być tylko jedno, a to krzepiące: Dioneja też — mimo wszystko, co mówiła mężowi — nie miała jeszcze swego niby ukochanego za Leptynesa; gdyby miała — byłaby mu o odejściu ojca powiedziała.

Leptynes oderwał dłonie od twarzy, obwiódł kolejno wszystkich obecnych na tarasie posępnym bezbrzeżnie, a przecież też i drwiącym spojrzeniem:

— Więc przecież z wami nie wytrzymał!

I zaraz dodał w zamyśleniu, prawie w podziwieniu już:

— I pomyśleć tylko, że Eumenes Attalida najdokładniej to przewidział.

A na to Mankuras:

— Czy wówczas, gdy w waszym domu spotkał się z Dzeuksysem i Antypatrem?

— Nie, zanim jeszcze ci się zjawili. Sam bowiem zjawiał się niespodzianie zupełnie.

Leptynes znów wyraźnie się ożywił: — Był to właściwie wielki dla ojca zaszczyt, i w domu u nas — uśmiechnął się — powstał wręcz popłoch... Ostatecznie był to król, a przy tym sprzymierzeniec zaufany i naprawdę szczerze im oddany, zwycięskich Rzymian. Więcej: byli tacy w Sardach, co powiadali, że gdyby nie Eumenes ze swą konnicą, nie wiadomo wcale jakby się ów mglisty, dżdżysty dzień w pobliżu Magnezji zakończył... Oczywiście, powiada się powszechnie o Rzymianach: niezwyciężeni, ale to trochę za proste byłoby — zawsze w kółko to samo... W dniu gdym się w Sardach rodził — tam, daleko, w Tesalii, na Polu Psich Głów — to owszem: zasługa była samych Rzymian... Ale gdy z Antiochem się starli...

— Jakże ojciec twój przyjął Eumenesa? — przerwał Mankuras.

— Tak jak się godzi przyjąć króla. Szczególnie takiego króla...

— ...który właśnie dopiero odniósł był świetne zwy-

cięstwo nad tym, komu ojciec twój służył — zarechotał znów, owszem, kpiąco, ale przecież i dobrodusznie, Teofil.

— ...który od progu prawie — ciągnął Leptynes, zupełnie ni rechotem ni wtrętem samym niez pomieszany — jął ojca zapewniać, iż tkwi w nim materiał na jednego z największych rzeźbiarzy, jakich świat kiedykolwiek znał...

— Pochlebca — znów ujawnił skłonność do zarechotania Teofil.

— Co nie jest przytykiem, gdy się stosuje do zwycięzcy tuż po świeżym rozgromie pracodawcy rzeźbiarza, któremu się schlebia — uzupełnił Menander.

— Ależ mój ojciec — zawołał Leptynes — jakem wam już mówił, wcale się jeszcze wtedy za rzeźbiarza nie miał. Owszem, to i owo — a zawsze od niechcenia — tu i tam wyrzeźbił, i jakiś z tych drobiazgów trafić musiał do rąk Eumenesa, ale naprawdę to właśnie wówczas największą przejawiał namiętność do mechaniki. Więc się i pochlebstwem nazbyt nie przejął. Ani obietnicami ogromnie nęcącymi na wypadek, gdyby przeszedł w służbę Eumenesa. Jeszcze sobie nawet zażartował: „Gdybyś mię, królu szczęśliwy, czymś innym chciał kusić do tego, bym się przemienił w drugiego takiego, jak Bolis Kreteńczyk, za mych lat chłopięcych głośny, jeszcze bym się może zastanowił: na przykład gdybyś mi kazał sporządzić ci sieć rur w ścianach pałacu do przemawiania na odległość, tak jak w Aleksandrii koło Egiptu czy w Tyrze bogowie — przerażając — przemawiają. Ale rzeźba? Może mam gołe łby Skipionów w marmurze utrwać, odpowiednio też boskości tym nie znającym co uśmiech, twarzom przydzielając? A jeśli nawet i co innego miałbym rzeźbić, to daruj, królu i gościu — wy, Attalidzi, jesteście najmądrzejszą spośród wszystkich dynastji, po grecku mówiących, ale profile wasze za mało są greckie”. Król zaś, zamiast się obrazić, uśmiechnął się i rzekł: „A może profil to cena mądrości właśnie, a i czegoś większego jeszcze...” Na to mój ojciec: „Może to i prawda, ale filozofem nie jestem, więc nie władnym cenić mądrości ponad piękny profil”. Z kolei zaś znów Eumenes: „Ani filozofem ani mechanikiem, tylko rzeźbiarzem — to prawda. To twój synek? Chłopcze miły, nie chciałżebyś być rękodajnym królewskim”. Dopieroż mój ojciec w śmiech: „Królu, przedrzeźniasz pokonanego, co za brak wspaniałomyślności! Bo toż to najdokładniej

to samo, czym — między wieloma innymi nagrodami — odplacił się był mój pan, Antiochos...

— Dość tego! — krzyknął, zrywając się, nie, ryknął Heliodor. — Mankurasie, wzywam cię, nie daj się temu bezczelnemu agentowi wrogiego wywiadu zbijać z tropu... Łajdaku, nędzniku! — zagrzmiął, zwracając się do Leptynesa. — Jeśli, jakieś rzekł, wszystkich chłopców, uprzednio odbitych, pomordowali najokrutniej niebieskoocy koczownicy, jak się to dzieje, że ty tu do nas, żywy a przy tym jak twierdzisz, wcale nie zmartwychwstały, tyle mówisz?

— Dzieje się to po prostu. Nie byłem wśród chłopców, co ruszyli w drogę powrotną do Argos. Zostałem wśród Frynów, w oazie, którą oni zowią...

— Dlaczegoś został? — teraz już znów Mankuras pytał, a znów z wyraźnie napiętą czujnością.

— By z najbliższą karawaną wyruszyć do Isedonu.

— Po co?

— By wykonać dane ojcu przyrzeczenie: być pierwszym Grekiem, co by dotarł do królestwa Tsin. Ale postrzegam — tu zwrócił się w stronę Teofila — że tak czy owak nie byłbym pierwszy. — W głosie jego zupełnie szczerzy brzmiał zawód.

Mankuras (wciąż natarczywie): Co masz na myśli, mówiąc: tak czy owak?

Leptynes: Co mam na myśli? Ależ to, żem przecież do królestwa Tsin czy dalszych królestw nie był się dostał, ale gdyby nawet...

Mankuras: Jeśliś tam nigdy nie był, skąd znałeś tyle szczegółów o zmaganiach między — jakieś to mówił — Liu Ci a Siang Ju?...

Leptynes: W niewoli u Hunów się dowiedziałem. Od Lu Wana, a więcej jeszcze od... od niej...

Mankuras: Od kogo?

Leptynes: Od... od kobiety...

Mankuras: ...której byłeś kochankiem?

Leptynes: Nie.

Mankuras: Nie chciałeś być?

Leptynes: Chciałem.

Mankuras: A ona?

Leptynes: Też chciała.

Mankuras: Kłamiesz.

Leptynes: Nie.

Mankuras: Kłamiesz. Jeśli obojeście chcieli...

Leptynes: Ale ona była żoną Króla Wielkiego Hunów.

Mankuras (szyderczo): Stchórzyłeś?

Leptynes (obrażony): Nie, Ona tak czy owak nie byłaby mi się oddała wśród Hunów. Nie byłaby zdradziła męża. Dopiero jeśli bym z nią uciekł...

Mankuras: Dokąd?

Leptynes: Tam, skąd do Hunów przybyła.

Mankuras: Czyli do Tsin?

Leptynes: Do stolicy wielkiego, potężnego zjednoczenia licznych królestw, wśród których Tsin od dawna już nie jest wcale najważniejsze...

Teofil: Jak się ta stolica nazywa?

Leptynes: Czhang An...

Teofil: Kłamiesz.

Leptynes: Pewnie chcesz rzec: Lo Jang, ale Kao Tsu przeniósł swą stolicę za radą...

Teofil: Chciałem rzec: Peng Czeng...

Leptynes: Przestał być przedtem jeszcze stolicą.

Mankuras: Jakkolwiek ta stolica się nazywała, miałeś do niej dostęp otwarty, a mimo to, jak powiadasz, nigdy tam nie był?

Leptynes: Rzekłeś.

Mankuras: Mimo przyrzeczenia, danego ojcu? Młodzieńcze, teraz i ja cię zaczynam posądzać, że kłamiesz, kręcisz...

Leptynes: Nie kręcę, nie kłamię. Pamiętacie? Byłem rzekł: Człowiek może sam swój los odmienić. Losem moim było pójść za tą kobietą, spełnić przyrzeczenie, ojcu dane — okryć się zapewne wielką wśród Greków chwałą, a jednak rzekłem losowi: nie.

Mankuras: Dlaczego?

Leptynes (szukając oczyma oczu Dionei): Bom nie chciał zostać rzezańcem. Bom nie chciał kobiety, którą kochałem, mieć raz — tylko jeden raz — w życiu.

Menander: Nie kochałeś jej.

Heliodor (zbliżając usta, prawie szczerlnie, do ucha Teofila): Jeśli chcesz nadal w tajemnicy zachować, żeś rzezańcem, zdejm z palca pierścień Króla Wielkiego i wręcz go Mankurasowi. Podwójnie wygrasz, bo puszczę też w niepamięć — biorąc pod uwagę okoliczności w samej

rzeczy łagodzące — twe krzywoprzysięstwo i kłamne zeznania sprzed dwudziestu lat.

Teofil (z doskonałym spokojem): A mówiłem jej: Tajniak nad Tajniakami udaje tylko, że zgłupiał. (Zdjął pierścień, wyciągnął go na dłoni w stronę Inda).

Leptynes: Potwornie już jestem zmęczony.

Mankuras (wkładając pierścień na palec): Zwalniam cię już na dzisiaj. Dalszy ciąg twojej opowieści — jutro.

Leptynes (potrząsając zawzięcie głową): Nie. Obiecałeś, że nim noc minie, wszystko nareszcie się skończy — dotrzymaj obietnicy!

Mankuras: Dokąd tak ci się śpieszy? Orestesa przecież nigdzie nie znajdziesz w granicach władztwa Eutydemidów.

Leptynes: Pójdę za nim.

Mankuras: To się jeszcze zobaczy. (Do wszystkich): Ogłaszam przerwę aż do następnej zmiany straży nocnych.

Heliodor: Czy jestem wolny?

Mankuras: Nie całkowicie. Na przykład nie wolno ci tej nocy opuścić okrętu.

Heliodor: Ależ to właśnie jest — w myśl przepisów — moje prawo.

Mankuras: Wiem i dlatego nie skłonnyam rzec: jesteś całkowicie wolny. Musisz być aż do rana tutaj.

Heliodor: Muszę zejść na ląd.

Mankuras: A ja muszę mieć ciebie tutaj. Wiem, żeś już nie bardzo ciekaw, *Leptynes* to naprawdę czy nie. Ale ja — przeciwnie — jestem bardziej ciekaw, niż kiedykolwiek. Muszę jednak się oddalić. Obejmiesz więc na nowo kierowanie śledztwem — aż do chwili, gdy wrócę.

Heliodor: Przeniosę więc je na nowo tam, gdzie się uprzednio odbywało.

Mankuras: W taką upalną noc? Udusisz się w czterech ścianach, a przynajmniej tak się napocisz, że nie będziesz w stanie skupić należycie uwagi. Chcę zaś, byś ją skupił.

Heliodor: To rozkaz?

Mankuras: Poparty całym blaskiem pierścienia Króla Wielkiego. (Po chwili): Niech młodzik wróci tam, skądęs był go odwiódł. Do rozmowy między jego ojcem domnianym a królem *Eumenesem* w Sardach. (*Szeptem*): Nie bój się, na twego ojca żadnych już nie będzie napomknąć.

(Głośniej): Zapowiedz, że aż do samego końca opowieści nikomu ani słowem nie wolno jej przerwać, nikomu, poza tym, kto okaże pierścień Króla Wielkiego, a więc i tobie samemu też nie wolno. Ani słowem.

— Ale przecież pierścień na twoim połyskuje palcu.

— Rzekłem: temu wolno będzie opowieść przerwać, kto okaże pierścień. A i jeszcze Teofilowi też, ale dopiero gdy mowa będzie o królestwie Tsin.

— Wiesz, kim jest Teofil?

— Domyśliłem się, gdy mi oddał pierścień. Nie przece- niłem, postrzegam, twej umiejętności skupiania uwagi i wyciąganie bezwłocznego bezbłędnych wniosków z tego, co ci skupienie to dało. Bądźże więc i nadal sobą praw- dziwym. Tajniaku nad Tajniakami!

Gdy Mankuras oddalił się, Heliodor zaczął szukać oczy- ma Dionei. Zdziwił się, zaniepokoił — nigdzie jej na tarasie nie było. Niepokój to jednak nie był nazbyt silny, skoro tuż pod okiem miał Heliodor Leptynesa, a przy tym stwierdzał, że Teodora i domniemana Agatokleja nie- zmiennie tkwią, jako strażnicy, na uprzednio zajmowa- nych miejscach. Teofil opowiadał coś szeptem Menandro- wi; Heliodora ogarnęła nagle wesołość na myśl, że oto może tak, jak i on sam, rzezaniec z dawna upatrył so- bie niedoszęłego męża Dionei na powiernika. Co prawda — spóźnił się z poufnym zwierzeniem; on zaś sam, Helio- dor, stanowczo się nie spóźni... I nagle sobie uprzytomnił, że już się był spóźnił: jak on Teofila, tak jego tajemnicę znał Mankuras.

— Jego ojciec miał słuszność — powiedział, zbliżając się doń, Spitamenes, który mógł przecież być też i króle- wiczem Agatoklesem — chłopak urodził się, by zostać poetą.

— Wierzysz więc mu, o panie, że jest synem Orestesa?

— W to wierzę.

Oto „w to” było tak znacząco zaakcentowane, że Helio- dor nie mógł nie zapytać:

— A w co nie wierzysz?

— W to, aby był — jak to raz tu krzyknął tej nocy — tak dobrym Grekiem, jak my inni tutaj... Może jest lep- szym Grekiem niż my, ale na pewno nie takim...

— Więc jesteś, o panie, skoro tak mówisz, Agatokle- sem królewiczem, nie zaś bratem przyrodnim tegoż?

— Stary, stary! Świetną masz nauczkę za to, żeś nigdy nie był ciekaw tego, jak wygląda najmłodszy z Eutydemidów... A był czas, żem ja ciebie, przeciwnie, ogromnie był ciekaw: wciąż się ojcu naprzykrzałem: niech przyśle Heliodora do Kapisy... Ojciec zaś na to: dla Heliodora wszystko, co za Parapamisem, to Indie, a Indyj nie znosi: boi się ich i nienawidzi zarazem... Prawdąż to?

— Tak było.

— Ale przestało być, odkąd poznałeś Mankurasa, nieprawdąż? Nie dziwię się. Sam go wprost uwielbiam, choć to i straszdyło. Ale że przy tym straszdyło to uratowało mi życie...

— Gdzie? Kiedy?

— A ostatnio, na jednej z przełęczы Parapamisu właśnie. Spadła lawina, i gdyby nie on, biedna Teodora została by dziewczyną wdową...

— Panie, oszaleję! Nie jesteś przecież Spitamenesem, narzeczonym Teodory, jesteś Agatoklesem z prawego łoża...

— Za wcześnie, stary, na to aby szaleć. Jeszcześ ani przez żonę nie zdradzony, ani nawet przez lęki — trochę, co prawda, obłądne, to przyznam — które się objawiają, ilekroć syn Orestesa mówi o Bolisie Kreteńczyku... Nie upadnij, błagam! Słuchaj mnie uważnie: Agatokles z prawego łoża czy Spitamenes bękart, tak czy owak normalnym biegiem rzeczy powinien przeżyć wszystkich Eutydemidów swego pokolenia, bom, siostry nie licząc, najmłodszy. Co prawda, normalny bieg rzeczy wyraźnie nie-normalnie się przyśpiesza, jak to się stało przed kilkoma dniami w Baktrze. Ale — jak postrzegasz — ktokolwiek go przyśpiesza, pilnuje normalnego też porządku: zaczął od Eutydemosa, nie ode mnie ni Demetriosa ni Pantalona. Więc na mnie kolej jeszcze nie prędko. Masz więc dość na to czasu, by nabrać odwagi...

— Do czego, o panie?

— Ależ do tego, by nim i na mnie też przyjdzie kolej, opowiedzieć mi z wszystkimi szczegółami, jak to twój rodzic przechytrzył Achajosa. Stryj Antymachos powiada, że to najzabawniejsza a zarazem najbardziej dech zapierająca przygoda przez wszystkie czasy, odkąd nasi pradziadowie wyleźli na świat z kurnika, zwanego Grecją. Co prawda, podejrzewam, że stryjaszek wszystkiego nie

dopowiada, że przygoda ta jego osobiście nie tylko porywa i bawi, ale i przeraża. Może jako przecucie własnego losu, bo ja wiem? Achajosa, potem gdy go sprawnie twój rodzic spętanego Antiochowi pod nogi rzucił, w osłą skórę zaszyto i ukrzyżowano, nieprawdaż? Myślę, że tego właśnie dla siebie tak bardzo boi się mój stryj, bo też szczególnie w jego wypadku zaiste jest o czym ze zgrozą myśleć: bóg-człowiek-osioł, trójjedyny, na krzyżu rozpięty — jest od czego dreszczów zgrozy doznawać, o tym myśląc, przyznasz? A ja go kiedyś, stary, jeszcze właśnie i ukrzyżuję — zobaczymy wówczas, co jego cała boskość naprawdę jest warta... O czym, oczywiście, nikomu nie mów, nawet żonie, jakoże — o ile się domyślam — nie zależy ci na tym, by i ją też miały porwać i ubawić dzieje przygody Bolisa Kreteńczyka — nieprawdaż?... Ale jeśli ci nie zależy, czemuż i jej też pozwalasz się domyślać przez te swe dzikie, właśnie obłudne lęki, rzucając się bezlitośnie, a i śmiesznie też przy tym, na Leptynesa z rykiem, ilekroć — biedaczyna — Bolisa wspomni... Opanuj się, stary. Wiem, że ci trudno — właśnie przy niej się opanowywać, bo ją tak kochasz. Ale ja Teodorę niemniej Kocham, nigdy przecież niczym nie dam jej poznać, ni się domyśleć nawet, kim naprawdę jestem...

— O panie, kimże jesteś? — wybełkotał Heliodor.

— Sobą.

Odezwały się sygnały na zmianę straży nocnych. Leptynes, który przedtem się przechadzał nerwowym krokiem wzdłuż balustrady wokół całego tarasu, usiadł znów wpośród wieńca lamp i zapytał:

— Mam mówić dalej o tym, jak się wymknąłem swemu losowi, co mię na rzezańca przeznaczył?

— Nie — syknął Heliodor przez zaciśnięte zęby. — O tym, jak król Eumenes nęcił twego rzekomego ojca także i godnością swego rękodajnego dla rzekomego ciebie...

— Dla mnie — tego samego, którego macie tu przed sobą. Ojciec jednak na tę pokusę równie mało okazał się podatny, jak na wszystkie inne. Powiedział że nie chce być po kres dni swych pod chmurą.

— Pod... ?... — zaczął Heliodor i urwał, przypominawszy sobie, że przecież i jemu samemu też żadnym nie wolno przerywać opowieści pytaniem.

— Dziwisz się? Król Eumenes też się zdziwił. A i ja, mały, również. Siedmioletni niespełna. Król Pergamu, oczywiście, poniżej godności swej uważał prosić o wyjaśnienia, ale ja, ośmielony jego bezpośrednim do mnie zwróceniem się uprzednio, wezwałem ojca, w imieniu nas obu, królewskim i własnym: „Może byś wytłumaczył nam, co to za chmura?” Obaj się zaśmiali, ojcowski jednak śmiech był jakiś nieszczerzy, wprost wymuszony, najwidoczniej ze względu na osobę gościa. Owszem, wezwania mego usłuchał, ale zrobił to w sposób — może umyślnie, by mnie za zuchwałe odezwanie się ukarać? — który jeśli królowi Pergamu co i dał, to mnie samemu nic. Oto bowiem mówił o jakiejś kobiecie bliskiej sobie w jakimś sensie, dla mnie niezrozumiałym; o podróży tej kobiety do Delf, by dziękować Apolinowi za uratowanie się jej płodu w czasie rodyjskiego trzęsienia ziemi; o tym że płód ów, naonczas chłopiec, blisko już siedmioletni, w podróży tej jej towarzyszył; że jednak nigdy do Delf nie dotarli, bo poza murami Aten, w całej Grecji panował straszliwy bezład, najpierw wojną spowodowany, potem zaś powojenny, a obok bezładu bezprawie; że utknęli w Naupakcie, w którego pobliżu właśnie wtedy radzili o pokoju między sobą z jednej strony Filip, król Makedonii, i jego liczni, a niezaradni w boju sprzymierzeńcy, różne miasta greckie czy związki miast, — z drugiej Związek Aitolcki; i że właśnie w czasie tych narad jakoś znowuż niezrozumiale dla mnie związany z tą kobietą, Agajlajos Ajtolczyk w porywającej mowie wezwał wszystkie szczepy greckie, greckie związki miast i miasta, a nade wszystko tak potężnie w Grecji naonczas usadowionego króla Makedonii, by poniechali wreszcie wszyscy niekończących się nigdy zwad między sobą, najlepiej na zawsze, a jeśli to nieosiągalne, to na teraz przynajmniej, gdy na zachodzie tak potworne rozmiary przybiera walka między dwiema potęgami barbarzyńskimi — Rzymem a Kartaginą — jakoże bez względu na to czy Rzymianie pokonają Kartagińczyków...

Mimo, że doskonale pamiętał zlecenie Mankurasa, by nawet sam Leptynesowi jednym słowem choćby tylko nie przerywał opowieści, Heliodor podniósł się i gdy tamten urwał, by nabrać tchu, nie dał mu już przyjść do słowa, aż sam z siebie — a to głosem, pełnym wzruszenia, podnieconym wyrzucił:

— ...czy Kartagińczycy Rzymian — nieprawdopodobne jest to, by zwycięzca nadal skłonny był się zadowalać władaniem nad Sycylią i Italią. Pójdzie naprzód, zamiarami swymi sięgając znacznie dalej, niż moglibyśmy sobie tego życzyć. Więc wzywam was wszystkich, nade wszystko zaś ciebie królu, byście byli na baczności w obliczu niebezpieczeństw chwili wielkiego przełomu...

— Ja bym tak nie potrafił — ze szczerem i zdumieniem i uznaniem, wręcz podziwem, powiedział Leptynes.

— Boś tam wtedy nie był. Jeszcze w ogóle ciebie na świecie nie było.

— A tyś był?

— O mojej matce to i o mnie ojciec twój do króla Eumenesa wówczas mówił.

— Otoś mnie i uznał za syna Orestesa — triumfująco zawołał Leptynes.

Heliodor zmieszał się. Dopiero teraz sobie uświadomił, jak daleko — a przy tym jak wielorako — był się zapędził. Oczywiście, sam sobie tylko winien: czemu w swych — świadomych zupełnie — rozmyślaniach z poprzedniego dnia nad swą piętą Achillesową pozwolił był swej myśli pchnąć pamięć na trop nadciągania na niebie czegoś, co ni skrzydeł nie miało, ni rąk, ni nóg, ni twarzy, przecież grozę Grekom niosło, nadciągając? Jak mógł sobie sam wówczas — w czasie tych rozmyślań — nie przypomnieć, że to, oczywiście, o chmurze mówił do króla Filipa Agajlajos, ściskając go, małego Heliodora, raz po raz boleśnie za rękę swą ręką lewą, a prawą wymachując równocześnie? Gdyby był to sobie sam wówczas przypomniął, nie byłby teraz tak daleko, tak nieodwracalnie a tak lekko-myślnie, beznadziejnie wręcz, się zapędził!

Uczuł, że mimo nagłego chłodu przedrannego, poci się stokroć obficie, niż przez całą mijającą — bardzo ciepłą raczej — noc. Zaiste Tyche — ta, którą dalecy Rzymianie zowią „Fortuna” — dla nich też tylko i jest niezmiennie łaskawa; z wszystkimi innymi na ślepo zabawia się sobie złośliwie i okrutnie. Oto chwilę temu był w jej łaskach, dała mu zwycięstwo wspaniałe nad Teofilem; teraz zaś znów go poniżyła, głębiej jeszcze w nieszczęście spychając, niż tkwił w nim przed zwycięstwem. Ale że i ten młokos, kimkolwiek jest, to stanowczo nie Rzymianinem, więc i jego chwila szczęścia długo nie potrwa; Tyche kop-

nięciem na ślepo i jego też prędko bardzo zepchnie ze szczytu radości w otchłań rozpaczny.

— Menandrze — powiedział, ocierając czoło — nim się stąd rozejdziemy, chciałbym z tobą zamienić kilka słów.

A do podsądnego:

— Rzekłeś. Mam cię za tego, za kogo się podajesz.

I opadł bezwładnie na krzesło. Nim jednak Leptynes, który na odmianę ze swego krzesła gwałtownie się zerwał, zdążył słowo z siebie wydobyć — z ciemności, która coraz bardziej taras ogarniała w miarę jak dopalały się lampy, padło ostro z ust Agatoklesa czy Spitamenesa:

— Ale ja — jeszcze nie.

Heliodor jednakże, uznawszy się raz za przegranego, nie zamierzał wystawiać siebie w tej swej klęsce na dodatkowe a przy tym upokarzające, ośmieszające wręcz, ciosy. Równie ostro odpowiedział, że tylko okaziciel pierścienia Króla Wielkiego miałby prawo sprzeciwić się jego orzeczeniu.

— Właśnie mam go na palcu — odpowiedział ten sam głos.

W samej rzeczy w świetle kilku niewygasłych jeszcze lamp posypały się na ciemność przedranną błyski, których iskrzenie się niezrównane, budzące podziw Greków od kilku lat, a Indów od wieków podobno, żadnej nie pozostawiało wątpliwości. Heliodor znów przestawał rozumieć Mankurasa. Jasne było, że oddalając się, musiał przekazać pierścień najmłodszemu z Eutydemidów, który nawet jako Agatokles, nie miałby inaczej prawa sprzeciwu w stosunku do orzeczeń Towarzysza Królewskiego, nie przysługiwało bowiem synom Króla Wielkiego, o ile sami — tak jak dwaj najstarsi bracia Agatoklesa — królami nie byli. Czyli, że Mankurasowi zależało na tym właśnie, by Agatoklesa — czy też Spitamenesa — w takie prawo sprzeciwu wyposażyc. Ale dlaczego? Po co? Czy nie rzekł był już kilka godzin temu, że ma podsądnego za syna Orestesa? Dodał wprawdzie „prawie”, ale to „prawie” było tak mdłe, że gdyby nie Heliodor, mogłoby właściwie nie istnieć. Pozostawało więc już tylko jedno wytłumaczenie, rozumieniu Heliodora dostępne: oto Mankuras przecenił siebie, nieostrożnie dał się swemu towarzyszowi podróży poprzez Parapamisus zwieść — temu, któremu uratował

życie! Z czego się trochę Heliodor nawet cieszył; Tyche — pomyślał ze smętnym szyderstwem — jest tu tej nocy bardzo mało na kogo łaskawa. A jeśli i jest, to na wyjątkowo też krótką chwilę — na krótszą jeszcze dla Leptynesa, niż dla Heliodora.

— Przed dostojnością pierścienia — rzekł — muszę ustąpić. Zgodziliśmy się tu jednak, że od sprzeciwu w stosunku do mego czy zastępcy mego orzeczenia przysługiwać będzie mnie — czy też znowuż memu zastępcy — prawo odwołania się do samego Króla Wielkiego.

— Ależ ja — rzekł ten, który siebie nazywał najmłodszym Eutydemidą, a którego Heliodorowi — szczególnie teraz — milej było nazywać w myślach Agatoklesem, niż Spitamenesem — żadnego sprzeciwu w stosunku do żadnego orzeczenia nie zgłaszam... Nie mogę zgłaszać, bo nie mogło być, wprost nie ma orzeczenia. Twoje, Heliodorze, stwierdzenie, że masz podsądnego za syna Orestesa, nie jest, nie może być sądowym, urzędowym orzeczeniem. To twój pogląd osobisty, czy przejściowy, czy trwały już, twoja to też sprawa; orzeczenie natomiast, co by było dla wszystkich władz królestwa, a choćby nawet tylko dla dowództwa tego okrętu, wiążące, miało nastąpić dopiero potem jak Mankuras wysłuchałby — a my z nim — opowieści podsądnego o całym jego życiu. Mankuras musiał się oddalić — przekazał prowadzenie śledztwa tobie, ale równocześnie też — wraz z pierścieniem Króla Wielkiego — i mnie; zalecenie, jakie otrzymałem od niego, brzmiało wyraźnie: mam wysłuchać całości opowiadania podsądnego o jego życiu. Dotąd wysłuchałem początku tylko, nie licząc przelotnych wyskoków naprzód w czasy znacznie późniejsze. Nie wiem więc na przykład, jak się podsądny — z ojcem rzekomo, któregośmy wszyscy poznali — dostał z Sardów do Baktry, a z Baktry do Argos i dalej na wschód. Nie wiem o wielu innych jeszcze momentach w jego życiu, które wydają mi się niezbędne do wytworzenia się dokładnego obrazu całości.

— Dawnobyście — jał sarkacć Leptynes — dokładny obraz całości mieli, gdybyście sami nie przeszkadzali mi pytaniami i wtrętami.

— Słusznieś rzekł — przytaknął mu Agatokles — nikt więc też już nie będzie ci więcej żadnymi wtrętami przeszkadzał. Natomiast co do pytań, jabym miał jedno. I to

naprawdę jedno jedyne tylko, chyba, że udzielisz odpowiedzi tak wykrętnej lub tak mglistej, że sam ściągniesz na siebie dalsze — i to może wcale liczne — ze strony mojej lub w ogóle słuchaczy, pytania.

— Wykrętna moja odpowiedź nie będzie, przysięgam na... na... na wszystkich bogów greckich. Postaram się też jak najusilniej, ażeby nie była mglista.

— Rzekłeś. Teraz zaś zechciej uważnie — ale to bardzo uważnie — wsłuchać się i wmyśleć w moje pytanie. Otoś w opowieści o swym życiu dotarł dotąd do odrzucenia przez twego ojca nęcących namów Eumenesa, króla Pergamu, by wstąpił jako rzeźbiarz, w jego służbę. Domyślałam się, że niedługo potem opuściliście Sardy i udaliście się dalej na wschód — tam, gdzie i nadal miało trwać — inaczej niż w Sardach — panowanie Antiocha Seleukidy. Czyli że należałoby rozumieć, że odkąd tam się był na stałe — po różnych wędrówkach młodości — osiedlił i ożenił, ojciec twój aż do przejścia Sardów spod władzy Seleukidów pod rządy Attalidów przebywał tam bezwyjezdnie. Użyłeś jednak uprzednio — opowiadając o owym bezwyjezdnym okresie życia twego ojca — takiego omówienia: „nie licząc jednej jego podróży”. Otóż chcę, byś mi powiedział: czy wiesz, kiedy dokładnie i dokąd ojciec twój podróż tę odbył? Jeśli wiesz, podziel się ze mną tą swą wiedzą; jeśli nie, powiedz: nie. Zastanów się dobrze, zanim mi odpowiesz; kłamstwo byłoby, ostrzegam, wielkim dla ciebie nieszczęściem. Domyślałam się na podstawie tego, coś dotąd mówił, żeś mógł być w czasie tej podróży bardzo mały, może wręcz niemowlęciem; ale skoro ją wspomniał, musiała ci utkwąć w pamięci, zapewne z opowiadań ojca i to utkwąć — mam powody, by tak mniemać — bardzo głęboko i silnie. Oczywiście, mogę się mylić, dlatego ci doradziłam: nim odpowiesz, namyśl się dobrze.

— On musi z góry już znać skądinąd odpowiedź na to pytanie — szepnął Teofil niby do ucha Heliodorowi, ale tak, że Leptynes mógłby — właśnie mógł, nie musiał — go dosłyszeć.

— Nie potrzebuję się namyślać — głos Leptynesa brzmiał tak wyraziście a spokojnie jak chyba nigdy przedtem: — Była to podróż na zlecenie króla Antiocha, do miasta, zwanego Jerozolimą, mająca na celu przeciągnię-

cie tajne kapłanów-książąt tego miasta, wówczas podległych Ptolemajosowi, władcy Egiptu, na stronę Antiocha, a to zawczasu jeszcze nim wybuchła wojna, która — jak może wiecie — wszystkie kraje, łącznie zowiące się Syria Pustynna, oderwała od Egiptu a poddała władztwu Seleukidów. Czas zaś tej podróży to rok, gdy matka moja była mną już ciężarna, czyli prawie dokładne dwudziestolecie poprzedniej o tęż Syrię Pustynną wojny, która — jak też może wiecie — na odmianę zakończyła się była haniebną a wręcz nieoczekiwaną klęską Antiocha w bitwie pod Rafią.

O bitwie pod Rafią Heliodor wiedział — nawet dobrze; było to jedno z najlepiej utrwalonych wspomnień jego dzieciństwa: wszyscy wszędzie wówczas w świecie greckim śmiali się niepowstrzymanie z niespodzianki, jaką gnuśny, rozpieszczony, zniewieściały król Egiptu zgotował przede wszystkim potężnemu najeźdźcy, a przy tym i światu. Podwójna to była niespodzianka: bo Ptolemajos wypełnił swą falangę tubylcami egipskimi, czego by żaden nigdy nie zrobił nigdzie władca makedoński czy grecki — z podboju władca; po drugie, powszechnie za tchórza i niedołęgę uważany, osobiście poprowadził falangę do pierwszego natarcia, taki wzbudzając w wojskach swych zapal, jakiego nie władni chyba byli pod Troją wykrzesać z Achajów ni Agamemnon, ni Ajaks, ni sam nawet Achilles.

Ale za to o tej drugiej wojnie, w której Antiochos przecież odplacił się Egiptowi za hańbę Rafii — Heliodor nic nigdy nie słyszał. Ani o mieście, zowiącym się Jerozolimą, choć podobnych miast, gdzie to kapłani rządzą, królów lennicy, znał w Azji Zachodniej sporo, czy to z imienia, czy nawet z przejazdów przez nie. A jeśli kiedy i słyszał co — to zapomniał. Zupełnie zapomniał.

— Ogromnie jestem zadowolony z twojej odpowiedzi — rzekł Agatokles. — Wróćmy teraz do twojej opowieści. Ale że oto już dnieje nad Terą — proponuję, byśmy dokończenie twojej opowieści na następny przełożyli wieczór. Cały zaś dzień będziesz mógł spokojnie, beztrudnie wypoczywać. Będziesz też mógł swobodnie poruszać się po całym pokładzie komnat królewskich, z tym tarasem włącznie; zapraszam cię ponadto do swojego stołu. Nie zżymaj się tak — bo przecież — pomyśl tylko! Powinieneś się ra-

czej cieszyć, że tyle dostajesz czasu do namysłu, co masz z sobą zrobić, jeśli nas naprawdę ostatecznie przekonasz, żeś synem Orestesa. Ojciec twój — jeżeli to istotnie twój ojciec — znajduje się bardzo daleko stąd; musisz więc poważnie zastanowić się nad tym, co masz z sobą zrobić, na siebie samego zdany.

— Pójdę za nim — odparł Leptynes z tą samą stanowczością, co uprzednio Mankurasowi. Ale też tymi samymi — najdosłowniej — słowami, co uprzednio Mankuras, odpowiedział mu Agatokles:

— To się jeszcze pokaże.

Leptynes potrząsnął głową wręcz z zawziętością:

— Nie zostanę wśród was — zawołał — choćbym żadnych innych nie miał po temu przyczyn, to samo już by wystarczyło, bym odszedł, żeście tak mię tu męczyci. A i nadal jeszcze męczycie. Końca nie ma temu niby śledztwu! Obiecaliście na tę noc, teraz powiadacie: koniec następnej dopiero nocy. Ale i tej następnej — jestem pewien — znów mi będziecie wciąż i wciąż przerywali... I jeszcze coś rzeknę: daruj, królewiczu, ale pókim podsądny, nie godzi mi się przyjmować zaproszenia do twego stołu.

— Więc pošlę ci wszystko z mego stołu tam, dokąd zechcesz — żywo odparł Agatokles, ciepło, prawie przyjaźnie do Leptynesa się uśmiechając. — A przy tym masz moje słowo — słowo Eutydemidy — że nikt ci więcej żadnym wtrętem, żadnym — najkrótszym choćby nawet — pytaniem opowieści nie przerwie. Słyszysz? Nikt. Więc nawet i okaziciel pierścienia Króla Wielkiego. Chyba że sam zechcesz, aby ci przerwano.

— Na pewno nie zechcę!

— To już twoja tylko sprawa. Jeśli o mnie zaś chodzi czy kogokolwiek bądź na tym tu oto okręcie — powtarzam: masz słowo Eutydemidy, że ci nikt nie przerwie, o ile do przerywania ci przez ciebie samego wezwany nie zostanie. Zadowolonyś?

— Niezmiernie.

II

Słowo Eutydemidy zostało zasadniczo dotrzymane. Nikt następnej nocy — ktokolwiek uznawał powagę pierścienia Króla Wielkiego — nie przerwał Leptynesowi, o ile sam na to się nie zgodził, przez cały czas trwania jego opowieści, nawet Mankuras, który na nowo objął stanowisko sędziego. Sam podsądny, zresztą, w miarę jak się przekonywał, że opowieść jego naprawdę może toczyć się bez żadnych przeszkód ze strony słuchaczy, stawał się coraz swobodniejszy w swym opowiadaniu; nie formułował, jak poprzedniej nocy, szczególnie u jej schyłku, zdań tak, jak gdyby za pomocą każdego poprzedniego zabezpieczał przed podchwytliwym pytaniem każde następne.

Ta swoboda wypowiedzi przynosiła z sobą także i większą jasność; z każdym swym zdaniem coraz bardziej się wyzbywając czujności przed zaskoczeniem, Leptynes równocześnie zdawał się coraz mniej myśleć, opowiadając czy „oni mnie rozumieją właśnie tak, jak chcę, by rozumieli” a więcej o tym, by stworzyć z poszczególnych, przeważnie oderwanych jeden od drugiego, epizodów, szczególnie dobrze przez siebie zapamiętanych czy też szczególnie silnie odczutych, zwartą całość, dla której określenia Heliodorowi szczególnie trafne wydało się porównanie z zaporą nawodną, taką jaką oglądał z wysokości tarasu: poszczególne epizody, bogatą nabrzmiałe treścią myślową czy uczuciową, to były okręty, wpoprzek całej rzeki a równoległe do brzegów ustawione; z tarasu przy pierwszym rzucie oka widziało się ich wysokie tyły tylko, tkwiące na

wodzie niczym olbrzymie tarcze, ręką nieomylną najpotężniejszego z bogów zrzucone jedna po drugiej z nieba tak, by wszystkie w doskonale jednakowej znalazły się od siebie odległości. W miarę jednak wpatrywania się wszystkie te takiego czy innego kształtu rzekome płaszczyny olbrzymie zdradzały oku prawdę o swej sferyczności, ciągnącej za sobą jeśli i nie oko już, to domysł patrzącego daleko w głąb ku drugiemu — na dziobie — końcowi okrętu — w jednym wypadku; aż do ciemności, poza którą pamięć czy szczerłość Leptynesa nie sięgały — w drugim. Okręty na rzece połączone były między sobą przenośnymi mostami, opancerzonymi na wysokość człowieka; w pierwszej chwili oku wydawać się mogło, że oba przepłatające się ze sobą elementy zasadnicze zapory nawodnej to tylko wyższe i niższe, ale jednakowo tarczowate, odcinki tej samej linii nieprzerwanej, łączącej z sobą brzegi, gdy zaś ujawniła się pozorność tarczowatości, jednakowo też zapewne i głębokie. Znowuż jednak gdy w wyniku uważniejszego wpatrzenia się odpadała nieodwołalnie możliwość słuszności domysłu o sferyczności także i niższych odcinków, stawać się musiało jasne, że most przenośny, jeśli by się tylko rzuciło zeń opancerzenie, choć niekiedy i dłuższy niż przekrój poprzeczny okrętu albo i dwu a i trzech nawet, własnej szerokości posiada nie więcej niż jej potrzeba na swobodną a wolną od niebezpieczeństw łączność między okrętami. Toż samo dokładnie dostrzegał Heliodor w opowiadaniu Leptynesa: od momentu do momentu, obfitą treścią wypełnionych, nie rzadko przerzucało się ono za pomocą zwięzłych a suchych opisów, ogarniających sobą często całe lata, treści zaś tyle tylko, ile jej trzeba, by się nie narazić ponownie na zarzut, że to czy tamto w opowieści swej przemilczał. I znowuż mogło treści tej być tyle tylko, a nie więcej — bo opowiadającego zawodziła pamięć, tak jak wąskość mostów przenośnych łatwo można było wytłumaczyć ograniczoną ilością budulca; równie jednak dobrze mógł naczelnny budowniczy zapory mieć swoje powody, by mosty nie były o stopę choćby szersze, niż je był zbudował: na przykład bał się o ich wytrzymałość lub materiału, czy też wysiłku rąk budujących do innych potrzebował celów; tak samo mógł zawodnością pamięci tłumaczyć Leptynes każdy pośpieszny a nazbyt już zwięzły opis takiego czy inne-

go okresu w swym życiu, choćby w rzeczywistości i pamiętał go równie dobrze, a może niekiedy i lepiej, niż wydarzenia, nad którymi się rozwodził szczegółowo. Oczywiście, jednym z zadań wszelkiej służby bezpieczeństwa jest stwierdzić — o ile się da, bezbłędnie, a co najmniej aż do stopnia największego możliwie prawdopodobieństwa — czy naprawdę zawodzi tu pamięć, nie zaś szczerść opowiadającego; zadania tego najzupełniej świadom, Heliodor ogromnie się cieszył, że przejął je na siebie ponownie Mankuras; sam bowiem zbyt był bądź podniecony, bądź znużony wrażeniami minionego dnia, by wykrzesać z siebie jako reakcję na to, co i jak Leptynes mówił, cokolwiek bądź innego, niż bierny myślowo, a uczuciowo oscylujący między wrogością a obojętnością, podziw dla wysokiej umiejętności, niekiedy wprost mistrzostwa, jakie opowieść ujawniała ilekroć przerzucała wąskie mosty między oddalonymi od siebie w czasie epizodami, nabrzmiałymi bogactwem szczegółów. „Może on w samej rzeczy jest synem — i to nieodrodnym — Orestesa?” — raz po raz przelatywało Heliodorowi przez myśl, wracając tym natarczywiej, im trudniej mu było — właśnie w następstwie wrażeń, w ciągu dnia doznanych — przeprowadzać dokładne porównania między gatunkiem harmonii poszczególnych elementów w rzeźbach domniemanego ojca, a w opowieści rzekomego syna. Szczególnie na początku tej opowieści czy raczej no nowo podjętego dalszego jej ciągu z nocy poprzedniej. Bo też nazbyt bliskie jeszcze w czasie było i groźne odosobnienie się króla Margiany, i wyznanie, a raczej wyzwanie królowny Agatoklei — nade wszystko zaś samobójstwo podwójne dziwne — ba dziwaczne! — Teodory i Teofila.

Za sprawcę wszystkich tych trzech niezwykłych a przy tym — każde inaczej — wstrząsających wydarzeń uchodził w mniemaniu wszystkich świadków i wtajemniczonych on sam, Heliodor, jakkolwiek i nie bez sporu między nimi, czy godzi się go uznać raczej za sprawcę pośredniego tylko, czy też — odwrotnie — właśnie bezpośredniego, ale bynajmniej nie wyłącznego ani nawet najważniejszego, coś na kształt kreski, która z tak czy owak już napisanej litery czyni alfę, a nie lambdę. Heliodor sam jednak roli swej — bez względu na to czy poczytywałoby mu się ją za winę czy zasługę — w przebiegu wszystkich tych

trzech wydarzeń nie był skłonny przeceniać; jakoże — tłumaczył, gdy było już po wszystkim, Dionei — kogokolwiek by czy cokolwiek chciało się nazwać ręką, co literę pisze, jeśli on sam ma być kreską, nadającą literze tej ostateczny kształt, a wraz z kształtem i sens, dźwiękowy czy myślowy, niezbędne przede wszystkim do napisania były atrament i pióro; otóż wedle niego, rolę atramentu w dwu z trzech wypadków odegrał Mankuras, a w trzecim najmłodszy Eutydemida albo odwrotnie; pióra zaś — we wszystkich trzech Leptynes.

Leptynesa — rzecz jasna — doglądał ze szczególną czujnością, od chwili gdy o świcie kolejny okaziciel pierścienia Króla Wielkiego wezwał zebranych na tarasie, by się rozeszli, z tym że ciąg dalszy opowieści nastąpi wieczorem. Szczególna ta czujność wydała się Heliodorowi tym bardziej konieczna, im więcej sposobności do spotkania się sam na sam z Dioneją zyskiwał Leptynes wskutek wyraźnych objawów łaskawości ze strony najmłodszego Eutydemidy. Oczywiście, ani na chwilę Heliodor nie przypuszczał, iżby żona jego mogła oddać się komukolwiek — nawet jemu samemu — na tarasie w ciągu dnia, ale wyraził jednak uprzytamniał sobie możliwość pojawienia się jej na przykład z daniami i winami ze stołu królewicza, których samo ustawianie przed Leptynesem wymagałoby nie mniej wcale czasu, niż szepnięcie: „Kocham cię, więc ci mówię, że jestem naprawdę tym a tym”, i to choćby nawet wyznanie takie zawierać miało więcej szczegółów, niż tylko ujawnienie rzeczywistego imienia i przynależności plemiennej. Więc jakkolwiek bardzo Heliodora ciągnęło na brzeg, odmówił sobie i zejścia z okrętu, a nawet choćby tylko z pokładu komnat królewskich, i rozejrzenia się dokładniejszego za królem Antymachem, o miejscu pobytu którego od chwili dopłynięcia „Zgody Narodów” do Tery różni różnie mówili. Więcej jeszcze: zdławił nawet w sobie ciekawość ogromną, co to mianowicie za potwór broni dostępu do jego sypialni przez górny otwór, dokładnie jak smok — dostępu do złotego runa niegdyś w Kolchidzie. Próbował wprawdzie z tarasu wytężonym wzrokiem, odpowiednio ku górze a ukośnie kierowanym, ogarnąć to miejsce na poziomie najwyższego piętra prawej wieży przybramnej, w jakim jedynie się mógł, ba, musiał otwór znajdować, poza stwierdzeniem jednak,

że w samej rzeczy wszyscy na tamtym piętrze miejsce to z daleka omijają, niczego nie mógł zobaczyć, co by przypominało smoka, tygrysa czy choćby uzbrojoną w okuty kij małpę.

Powzięte jednak postanowienie, że z tarasu się nie oddali, chyba że razem z Dioneją, która wciąż nie wracała, było tym trudniejsze do wykonania, iż po olśniewająco wspaniałym świcie — jednym z tych jakie tylko w sercu Azji stają się dostępne oku Greka — spadać zaczęła na rzekę mgła, która najpierw osnuła daleki lewy brzeg, potem prawy wraz z wałem i dachami Tery, zaporę zaś nawodną przeistoczyła w coś jak gdyby ta ściana skalista w Medii, pokryta dziwaczными napisami, wykutymi z rozkazu pierwszego Dariosa Achemenidy — którą w swej wczesnej młodości podziwiał jako rękodajny króla Antiocha, gdy ten niezadługo po klęsce pod Rafią, ale też i po szczęśliwym zmiażdżeniu Achajosa, wybrał się był w swą kilkuletnią a głośną na cały świat grecki, wyprawę śladami Aleksandra. Oczywiście, uświadomienie sobie tego podobieństwa, przez mgłę spowodowanego, pociągnęło za sobą cały łańcuch wspomnień i refleksyj, które jeszcze bardziej tylko utrudniały trwanie przy decyzji, by z tarasu nie schodzić. Ale trwał, choć i coraz bardziej przekonany, że to jest nonsens, bo albo Leptynes to syn Orestesa, a w takim razie nie ma niczego Dionei do zwierzania, albo to samozwaniec, starający się uporać z ciężarem strasznej czy haniebnej tajemnicy — w takim jednak razie na dobrą sprawę powinienby Heliodor doń się zbliżyć i uściskać jak brata, szczególnie że przecież — jak się otminionej nocy okazało — coś kiedyś łączyło jego matkę i znacznie młodszego od niej Orestesa. Nie wyobrażał sobie wprawdzie, co by to mógł być za związek — miłosny na pewno nie był; Leptynes zaś równie na pewno nie wiedział nic więcej niż on sam; gdyby zaś nawet i wiedział, zapytać go było nie sposób, bezczelny bowiem młokos nadzwyczaj sprytnie zastrzegł sobie u najmłodszego Eutydemidy, że pojęcie spokoju całkowitego, w jakim wolno mu spędzić przerwę całodzienną w jego opowieści, objąć ma sobą także i zakaz zadawania mu przez czas trwania przerwy jakichkolwiek pytań, przeszłości jego dotyczących. „Zamęczyliby mnie w ciągu dnia tak” — wywodził — „że wieczorem dwu zdań nie byłbym w stanie

sklecić". Z wywodem tym i z wnioskiem z niego Agatokles zgodził się całkowicie. Nawet on sam — zapewniał — nie będzie w ciągu dnia mówił z Leptynesem o niczym, co by dotyczyło jego przeszłości. A było dla Heliodora jasne, że Agatokles bardzo by pragnął z Leptynesem w ciągu dnia mówić; najlepszy dowód — zaproszenie go do własnego stołu ze skutkiem, który normalnie powinienby Leptynesa — szczególnie w jego sytuacji podsądnego — unicestwić, choćby nawet nikt już w to nie wątpił, że jest synem Orestesa; w tej jednak podróży „Zgody Narodów” — stwierdzał Heliodor z coraz rosnącym przygnębieniem — nic się nie dzieje tak, jakby się normalnie dzieć powinno.

Z przygnębieniem tym przecież próbował walczyć. Więc na przykład mówił sobie, że postanowienie nieoddawania się z tarasu, a i spadnięcie mgły też, ma również i swe dobre strony. Po pierwsze opóźnia poczynienie przestępstw nieuniknionych już zwierzeń przed Menandrem, chroniąc go równocześnie przed pytaniami z czyjejkolwiek strony o jego dzieciństwo, z którego jeden epizod tak nieopatrznie ujawnił przed licznym wcale gronem minionej nocy. Po drugie, gdyby mgła nie była spadła, należałoby czujność jeszcze bardziej wysilić, a to skupiając ją na rękach podsądnego; Heliodor bowiem wcale nie wyłączał możliwości, iż nieobecna Dioneja zdołałaby skądś z brzegu — najpewniej z wyspy odrzucanych niemowląt — porozumieć się z Leptynesem z pomocą im dwojgu tylko znanych, uprzednio umówionych sygnałów. Wystarczyłoby przecież zdjęcie z głowy dziwnego kapelusza słomkowego, uwieńczonego kulką o kształcie i barwie wiśni, by Dioneja stwierdziła, że zwierzenie zostało poczynione, o ile uprzednio na wyspie w czasie rzekomej Leptynesa ucieczki powiedziała doń w pewnej chwili: „Teraz możesz mi jeszcze nie mówić, ale jeśli chcesz mnie mieć, pamiętaj: zanim jeszcze opowieść twoja, przez Mankurasa wymagana, dobiegnie końca, musisz — gdy zobaczysz z tarasu, że znów tu jestem boso — obnażyć głowę raz, jeśliś samozwańcem bez zamiarów występnych; dwa, jeśliś przemytnikiem; trzy, jeśliś szpiegiem”.

— Podziwiam twoją przenikliwość, o Tajniaku nad Tajniakami — zawołała Dioneja, gdy było już po wszyst-

kim. — W samej rzeczy, doradziłam mu, by takiego — dokładnie takiego — sposobu zwierzenia mi się użył, w wypadku gdyby był wykonalny, wszelkie zaś inne nieodwoalnie już — nie. W ramach tego nadzwyczajnego twego domysłu oczywiście nieistotna zupełnie staje się pomyłka, wynikająca z mojego przebywania wówczas na okręcie, a nie wyspie. Co jednak całkowicie przechodzi moje — a chyba i w ogóle ludzkie — rozumienie to szczegól owego domysłu, dotyczący sposobu wyznaczenia przeze mnie chwili, nieodwoalnie ostatniej, gdy zwierzenie jego musi być poczynione: mianowicie że w chwili tej będę bosa...

— Oczywiście — odpowiedział, tuląc ją do siebie mąż — ani nawet podejrzewałem wtedy istotnego znaczenia tego szczegółu. Dopiero późniejsza znacznie niż sam domysł i niż spadnięcie mgły, rozmowa Agatoklesa i Teofila z Leptynesem w mojej, Mankurasa i — niewidzialnej — Antymacha obecności, otworzyła mi, częściowo chociażby, oczy na owo istotne znaczenie. Ale domysł mój przecież miał na czym się oprzeć: oto ilekroć jesteś lub masz być sam na sam z Leptynesem, chodzisz boso nawet i po tym, co nie jest dziełem rąk ludzkich! Sama niezwykłość tego — jeśli o ciebie chodzi — ułatwiła mi dopatrzenie się właśnie w tym jakiegoś wyjątkowej doniosłości symbolu w waszych między sobą stosunkach. Dalszy zaś tok rozumowania był już zupełnie prosty: w chwili w dziejach tych stosunków między wami najważniejszej, więc w chwili — ostatniej dopuszczalnej — jego zwierzenia sygnałem z twej strony musi być właśnie ów doniosły symbol! Tym w danej chwili donioślejszy, że byłabyś bosa, będąc z dala od niego!

— Ale, o mój nieporównany! — mówiła już z domieszką wielkiego zdziwienia w wielkim podziwieniu — wspominałeś oto o jakiejś rozmowie z nim w ciągu dnia, o której żadnego aż do teraz nie miałam pojęcia. Więc jednak zabójca Teodory nie dotrzymał słowa Eutydemidy?

— Nieumyślny zabójca, chcesz rzec? — skarcił ją i zaraz rozpogadzając się, wyjaśnił: — Nie, nie złamał go, tylko je obszedł.

— Jak?

— Wciągając Leptynesa w rozmowę nie o jego przeszłości bynajmniej, tylko o przyszłości.

— Zapewne doradzając mu, ponownie, by nie wyruszał w ślady ojca?

— Raczej żądając ujawnienia przyczyn, dla których nie chciał wśród nas pozostać. Ach, dziecinko! to właśnie było otworzenie się kałamarza, niezbędne by została postawiona kreska, odróżniająca alfę od lambdy.

— Ale nawet i otworzony kałamarz nie przyciągnie do siebie pióra, o ile nie zanurzy go w atramencie czyjaś ręka.

— Czyja, w danym wypadku? Boga? Którego? Czy tego może, który tak sobie zakpił z Leptynesa?

— Nam zaś z tobą — z niego kpiąc — zesłał istny źródło pociech? Jakiś czas tak właśnie myślałem, ale dziś już nie myślę. Dziś raczej skłonna jestem upatrywać w przemianie litery za pomocą kreski posunięcie ręki nie tyle bożej, ile twórcy bogów.

— Mówisz o Orestesie? Ale ostatecznie z tego, co teraz o całej tej sprawie wiemy, wynikałoby, że los Leptynesa wyznaczony został nie tyle przez ojca, ile przez matkę, ta zaś się miała za boże tylko narzędzie.

— Ale Orestes mógł jej nie ulec.

— Czy mógł? Gdyby mógł, to by nie uległ.

— Mniemasz więc może poważnie, że złączył nas znów ze sobą ów szyderczy bóg? Po co? Żeby kiedyś, gdy na to z kolei przyjdzie mu chęć, zakpić sobie z naszego Diona tak jak przedtem z Leptynesa?

— Może po to raczej, by zobaczyć, czyśmy zdolni przyjąć jego wyzwanie, tak jak przyjęliśmy je ze strony Agatoklei? Ostatecznie — przyznam ci się — uważam, że jest bardziej rycerskim przeciwnikiem niż ona; występuje bez maski. Wprost o sobie powiedział: „Jam jest ten, który tworzy dobro i zło”.

— O tym, żeby tak wprost powiedział, nigdy nigdzie nie czytałam.

— Bo oto — okazuje się — wbrew temu, co dawniej myślałem — nie za dużo, ale za mało sprowadzałaś sobie książek z Zachodu, gdyś starała się zrozumieć najdokładniej każde słowo w liście swego pra-pra-dziada do wnuczki. A szkoda! Zaoszczędzilibyśmy sobie wielu zgryzot i lęków i niebezpieczeństw; biednemu Leptynesowi zaś — upokorzenia.

— Już go żałujesz? Ty, któryś tak się nad nim pastwił? Któryś go omalże nie zamordował? Ja nie żałuję!

— Leptynesa?

— Niczego.

— Ani tego nawet, moja niby wszystkowiedząca, że nie od ciebie, tylko od Teofila dowiedziałem się o rycerskości boskiego szydery?

— Czy Teofil siebie także miał za ofiarę tegoż szydery?

— O, nie, nazbyt był Grekiem, by tak, jak myślisz, mogło się było stać. Bogów, wszystkich, miał za wytwory ludzkiej myśli tylko i mniemał, że w domniemyanych wyzrzeczeniach ich o sobie utrwalają się tylko właściwości zespołu ich czcicieli. Ale przed śmiercią dobrowolną chciał jeszcze użyć sobie kosztem istot ludzkich nie tylko normalnych, ale spośród normalnych najwyższej wyniesionych, więc wszczął spór religijny z najmłodszym Eutydemidą, wiedząc ponadto, że i Antymachos, choć niewidzialny, będzie go słuchał. Chwilę zaś wybrał po temu najstosowniejszą: gdy Leptynes już się załamywał pod naciskiem zwycięskim religijnego argumentu w ustach Agatoklesa — argumentu na rzecz Baktirii, jako tego rzekomo miejsca pod planetami, gdzie greckość ma takie dane, by rozkwitnąć do stopnia najwyższej doskonałości, jakich nigdzie indziej na świecie nie znajdzie.

Była to prawda, Heliodor jednak nie powiedział żonie w owej rozmowie, prowadzonej gdy dawno już było po Wielkiej Przygodzie, że aby załamać wówczas — w dniu mgły na rzece i nad Terą — stanowczość Leptynesa, trzeba było czegoś znacznie więcej jeszcze, niż tylko argumentacji Agatoklesa, bo także — w pierwszym rzędzie — nieoczekiwanej dla podsądnego wiadomości o ubóstwieniu się Antymacha. Zresztą, sama może wiadomość — jakkolwiek potężnie nim wstrząsnęła — i nie byłaby jednak władna uporu jego nadłamać tak długo póki Agatokles nie ujawnił najistotniejszych — jak twierdził — przyczyn osiągnięcia przez mistrzostwo Orestesa najwyższego swego szczytu właśnie w monecie z napisem „Antymacha boga”.

Czy były to naprawdę przyczyny najistotniejsze, tego Heliodor nie wiedział ani wówczas, ani w długie lata potem. Wiedzy tej, zresztą, nigdy nie miał za jakoś szczególnie dla siebie pożądaną, bo ostatecznie Orestes z chwilą gdy raz i to na zawsze, odszedł, przestał być przedmiotem

zawodowego zainteresowania ze strony Heliodora, na załamaniu się zaś uporu Leptynesa stopień rzeczywistej istotności owych przyczyn wielkiego wpływu tak czy owak mieć nie mógł; Orestes w dniu mgły znajdował się na pokładzie „Zgody Narodów” tylko jako przełożona na słowa myśl Agatoklesa i jako reakcja Leptynesa na tę myśl; że reakcją tą było załamanie się, jakiego Agatokles pragnął, dowodziło, iż był to właśnie taki nieomylnie Orestes, jakiego Agatokles w owej chwili w owym miejscu dla jakiegoś konkretnego swego celu w stosunku do Leptynesa potrzebował; czy zaś bezbłędny w ten sposób był równocześnie sobą prawdziwym, był to problem w kategoriach ważności doprowadzenia uporu Leptynesa do załamania się równie mało ważny, jak to czy kopiec, przy którym Aleksander, przeprawiwszy się do Azji, składał ofiary cieniowi Achileasa, w samej rzeczy Achileasa był mogiłą. Wystarczało — myślał Heliodor — że za mogiłę Achileasa miał go Aleksander, by stworzyć jeszcze jeden bodziec, wiodący do oczywistego faktu rządów greckich w sercu Azji w półtora stulecia później; dokładnie tak samo wystarczało wrażenie, jakie namalowany słownie przez Agatoklesa obraz przyczyn odejścia Orestesa wywierał na Leptynesie, by przyznać przyczynom właśnie z tego obrazu miano istotniejszych nieporównanie, niż z jakiegokolwiek bądź innego, choćby było tych innych — a w samej rzeczy było — więcej znacznie niż okrętów w osnutej mgłą zaprze nawodnej.

Zresztą, nawet i niezależnie zupełnie od wrażenia, jakie na Leptynesie wywarł, był to obraz, którego namalowanie wiele chwały przyniosło bądź wiedzy, bądź przenikliwości, bądź wyobraźni najmłodszego Eutydemidy. Orestes bowiem z tego obrazu tłumaczył siebie, jako twórcę boskości Antymacha, w sposób nie tylko bardziej rozumiały, ale i bardziej licujący z jego wielkością jako artyści i to greckiego artysty, niż jakiegokolwiek bądź inne wytłumaczenie, czy to mające za punkt wyjścia służalczość względem dynastii, w konkretnym wypadku względem Antymacha, czy też lekkomyślność albo i wręcz bezmyślność w stosunku do całej powagi i wielostronności zespołu następców, jakie musiał za sobą pociągnąć nie mający precedensów, akt samo-ubóstwienia się i to jeszcze w kraju, gdzie nawet pośmiertne ubóstwienie władców

swych przez zdobywców budziło w tubylcach bądź zgorzenie, bądź obniżające powagę dynastii, a i Greków w ogóle — graniczące ze zniewagami, kpiny. Otóż Orestes — wywodził Agatokles — świadomie zdązał do wywołania i zgorzenia i kpin ze strony tubylców, ale samo to — dodawał — właśnie na lekkomyślność mogłoby zakrawać czy nawet bezmyślność, gdyby nie przyświecały mu cele nieporównanie większe: dać wyraz zanikającej zwolna w sercu Azji pod rządami Eutydemidów świadomości Greków, iż oni to — tylko oni, wbrew wszystkiemu — są tu nadal narodem panów; ale bardziej jeszcze: rzucić wyzwanie tubylczemu — irańskiemu, a ostatnio indyjskiemu także — pojmowaniu boskości, jako czegoś, co istnieje samo z siebie, a nie z łaski ludzkiej twórczej myśli i wyobraźni. Oczywiście — ciągnął Agatokles — z tych swych najistotniejszych pobudek, sprawiających, że właśnie w monecie, poświęconej objawieniu boskości Antymacha, sztuka jego najwyższego dokonała wlotu, Orestes mógł nawet przed Antymachem samym się nie zwierzyć; owszem, mógł wręcz Antymacha okłamywać co do istotnych przyczyn uniesienia twórczego, jakie go ogarnęło przy pracy nad tą właśnie miniaturową płaskorzeźbą: mógł udawać rzetelność, staranność, sprawność rzemieślnika, wykonującego nęcące zamówienie, albo też służalczość dworaka — lub też kaprys — właśnie lekkomyślny czy wręcz bezmyślny — neodpowiedzialnego ni politycznie ni teologicznie artysty, pragnącego przed światem i przed sobą popisać się bezgranicznością znajdujących się w jego posiadaniu środków wypowiedzenia się w rzeźbie, władnych uporać się zwycięsko z każdym — choćby najbardziej ryzykownym — tematem. Co samego Antymacha skłoniło — zaznaczył Agatokles — do objawienia się jako bóg, to dla jego tu wywodu drugorzędne ma znaczenie, albo i w ogóle żadnego; wystarcza, że coś go skłoniło, i temu czemuś — bez względu na to, czym naprawdę w założeniu swym było — Orestes nadał charakter zuchwałego wyzwania, o jakim pierwiej była mowa — własnego niby tylko wyzwania, ale przez potęgę jego sztuki podniesionego do rozmiarów protestu greckiej myśli i greckiego odczuwania przeciw braniu świata bogów bardziej poważnie, niż to w greckiej tkwi krwi.

— Przeczę — powiedział Leptynes, obejrzawszy mone-

te, którą w czasie swego wywodu był mu Agatokles podał — ja to dzieło ojca, w rzeczywistości chyba największe z wszystkiego, co stworzył, rozumiem zupełnie inaczej. Może w samej rzeczy ojciec na własny użytek myślał i odczuwał dokładnie tak, jak to przed chwilą zostało naszkicowane; dowodem choćby to, że odszedł: wolał wrócić w cień rzymskiej chmury raczej, niż zostać dłużej wśród takich Greków, którzy nie chcą czy nie umieją obronić własnej postawy względem świata bogów przed naporem otoczenia, biorącego świat ten bardziej poważnie, niż to w greckiej tkwi krwi. Ale jeśli tak było, ta moneta jest wyrazem właśnie bądź służalczości, bądź rzetelności i sprawności rzemieślnika, wykonującego bez zarzutu zamówienie. Spójrzcie na ten tu na monecie uśmiech — takiego drugiego w samej rzeczy, o ile wiem, nie stworzyła nigdy rzeźba grecka. Ale z kogo lub z czego Antymachos tak się tu kpiąco uśmiecha?

— Z bogów, branych poważnie, z tych, komu rzuca własnowolnym zrównaniem się z nimi — czy też czcicielom ich — zuchwałe wyzwanie.

— A ja myślę, że kpi z siebie, z własnej niby boskości. Więcej: kpiną tą uspokaja właśnie tubylców, przez siebie, czy przez resztę dynastii rządzonych. Mówi im: „Nie gorszcie się tym, że swych przodków do godności boskiej podnosimy lub nawet za życia jeszcze niekiedy Grekom nie odmawiamy ubóstwiania nas. Jest to przydatne politycznie, więc to robimy; ale jak małe to naprawdę posiada znaczenie, macie oto dowód: nazywam tu siebie bogiem, mimo że żyję i własnowolnie to robię, wcale przez nikogo nie proszony. Cóż zaś ze mnie za bóg? Boskość to co najmniej potęga nadludzka, a jam władcą małego wcale królestwa, przy tym jeszcze podlegam starszemu swemu bratu... Bo żebyż to Demetrios, Król Wielki, taką monetę wybił — jeszcze bym mógł się zgodzić z dopiero co usłyszonym wywodem. Ale król Margiany? Nie, mężowie najdostojniejsi, wedle mnie było tak: albo ojciec mój zupełnie inaczej rozumował, niż to zostało przed chwilą tu wywiedzione — wówczas odejście jego można rozumieć jako ucieczkę; albo też odejście to jest ceną, jaką wymienił przyjmując zamówienie. W pierwszym wypadku sprawa mogła wyglądać tak: Orestes nie pochwalał samoubóstwienia się Antymacha i owszem, nadał królowi Margiany

na monecie wyraz kpiny z siebie samego, ale kpina ta wcale nie wchodziła w granice zamówienia — była karą, która z kolei na karę królewską zasługiwała, stąd konieczność ucieczki. W drugim zaś wypadku: ojciec mój tę kpinę króla z własnej boskości — tym razem odwrotnie, stanowiącą część zamówienia i to część bardzo istotną — uznał za akt schlebiania tubylczej postawie względem świata bogów — akt, władcy greckiego niegodny, więc, przyjmując zamówienie, postawił warunek: wykona je tak dobrze, jak nic nigdy dotąd, ale też będzie to jego ostatnia praca w służbie Eutydemidów: drogi jego i ich muszą się rozejść. Albo więc zapłatą za świetne wykonanie będzie to, że król Margiany, ani w ogóle żaden Eutydemida nie zatrzyma go ani przez dzień dłużej — potem jak moneta zostanie wykończona — w granicach swego władztwa, owszem, jeszcze mu ułatwią daleką, kosztowną i niebezpieczną podróż do Pergamu; albo też niech go spróbują zatrzymać! Choćby grozili, że głowę mu utną, palcem więcej nie ruszy, by cokolwiek jeszcze kiedykolwiek dla Eutydemidów zrobić, on zaś, więziony wbrew swej woli w granicach nadkrólestwa, bardzo będzie ciekaw zobaczyć, czy i kogo znajdą poza nim, co by zamówienie to wykonał w sposób rzeczywiście godny takiego tematu, jak „Antymachos Bóg”...

— Bzdura! — powiedział Teofil wzgardliwie, poza tym przecież tonem, w którym ucho Heliodora daremnie doszukiwało się podobieństwa do warczenia czy rechotania. — Sto razy bzdura! Orestes nie był tak głupi, by zdać się miał beztrosko na umowę z jakimkolwiek bądź królem, taką, która by tego króla czy w ogóle dynastię pozbawiać miała na zawsze dalszych jego usług. Młodzieńcze! przecież Antymachos łatwo mógł taką umowę z rzeźbiarzem zawrzeć — monetę z rąk jego odebrać — życzyć mu szczęśliwej drogi, a tuż w ślad za nim wysłać morderców...

— Dziękuję w imieniu stryja — zaśmiał się Agatokles — a i rodzin królewskich w ogóle...

— Wedle mnie — ciągnął Teofil, żadnego nie ujawniając zakłopotania w wyniku uwagi królewicza — związek między odejściem Orestesa a monetą, o której mowa, jest czysto przypadkowy. Może dynastia szuka przymierza z Pergamem albo nawet za pośrednictwem Pergamu,

z Rzymem samym, przeciw obecnie panującemu Seleukowi? Ostatecznie tuż po śmierci Antiocha, o którym tyle tu ostatnio było mowy, rzuciliśmy się, niczym szakale, na Arię, Arachozję, Drangianę i kawałek Gedrozji, osiągając to, że podsadziliśmy się nieco bliżej Rzymian, ale możemy chcieć jeszcze bardziej się przybliżyć, czego skutkiem niezawodnym będzie, iż Rzymianie — zechcemy tego czy nie — o naszym istnieniu dowiedzą się, więc zaraz zaczną nas się bać i strachem tym gnani, przywędrują aż tutaj, by gdzieś między Margiem a Aleksandrią Aryjską rozgromić nas wraz z wszystkimi bratnimi nam ludami: Baktrami, Sogdyjczykami, Indami... Szakalom bowiem podobno apetyt rośnie w miarę jak...

— To już drugi raz, Teofilu — bardzo łagodnie powiedział Agatokles.

— Niestety, zdaje się, że i ostatni — westchnął rzeźnic i przerwawszy sobie w pół zdania, zaczął przekonywać Leptynesa, że jeśli Orestes i w samej rzeczy do Pergamu dotarł — właśnie dotarł, a nie tylko wyruszył — to bądź właśnie jako zaufany wysłannik dynastii, bądź też — w co, zresztą, raczej wątpi — w samej rzeczy przed jakimś niebezpieczeństwem uciekając, niebezpieczeństwo to jednak w żadnym znowuż nie pozostaje związku z monetą, o której mowa. „Już raczej” — dorzucił od niechcenia jak gdyby — „dopatrywałbym się istnienia związku ścisłego między tą ucieczką a nagłym pojawieniem się rzekomego jego syna w granicach władztwa Eutydemidów...”

— To są żarty, oczywiście — znowuż bardzo łagodnie powiedział Agatokles, wpatrując się jednak w Leptynesa z przenikliwością, o której — pomyślał Heliodor — trudno byłoby rzec, że doskonale harmonizuje czy to z tymi słowami, czy z tonem, jakim zostały wypowiedziane.

— Nie, to nie są żarty — odparł Leptynes, błady bardzo. — To jest zemsta.

— Za co, chłopaczku? — prawie słodko zapytał Teofil.

— Za coś, co z moją ma jakiś — nie wiem, co prawda, jaki — związek osobą, wiążąc się równocześnie z przykrą koniecznością ściągnięcia przezeń ze swego palca minionej nocy pierścienia Króla Wielkiego...

— Jesteś bardzo domyślny — z jeszcze większą słodyczą rzekł Teofil. — Nieprawdaż, Heliodorze?

Heliodor milczał, ale podziwiał obydwu. Domyślność czy też raczej przenikliwość Leptynesa, ze spostrzegawczością i szybkością kojarzeń złączona, w samej rzeczy musiała być nadzwyczajna; nie sposób było, aby słyszał szepnięcie Heliodora, które spowodowało ową dla Teofila konieczność ściągnięcia z palca pierścienia, a przecież właśnie tak to i mogło być, jak mówił: Teofil mógł mścić się na nim za to, że Leptynes za otarcie się bliskie z dziwanami królestwa Tsin nie musiał takiej zapłacić ceny, jak za to samo on sam. Równie jednak godne podziwu było i to także, iż Teofil, domyślając się w pełni z kolei, czego mia nowicie domyślał się — choć i częściowo tylko — Leptynes, zamiast próbować spychać go — co byłoby dość łatwe — na fałszywy trop — daje mu do zrozumienia: „Jeśli chcesz, dalej na tej drodze poprowadzić cię może Heliodor” — równocześnie Heliodorowi sygnalizując: „Młodziak jest na właściwym tropie, ale czy ma po nim dalej iść, twoja to już rzecz, nie moja”. Który to sygnał mógł — choć i nie musiał — być ostrzeżeniem: domysł Leptynesa co do zemsty jest zupełnie trafny, ale niech się Heliodor nie da trafnością tą zwieść; narzędziem bowiem zemsty Teofila wcale nie musi być koniecznie wymysł; Orestes mógł w samej rzeczy uciec przed niebezpieczeństwem, jakie się dla niego taίfo w pojawieniu się — prawdopodobnie przez rzeźbiarza oczekiwanym — jego rzekomego syna; Teofil o tym wiedział lub tego się domyślał — z wiedzą tą czy domysłem się zdradził, do tego mogła go właśnie dopiero chęć zemsty popchnąć. Jeśli zaś tak właśnie było, Teofil kroczył tylko po tym samym tropie, na który kilkakrotnie już wstępował sam Heliodor: napomknięcie jego odświeżyło teorię jakichś dawnych porachunków Orestesa ze szpiegiem masageckim, który wiele podróżywał, w podróżykach tych aż do Sardów zawędrował, mając przy sobie syna, najpewniej z uprowadzonej Greczynki urodzonego.

— Czy jest jakiś powód — zapytał Agatokles Leptynesa — dla którego by twój ojciec mógł chcieć uniknąć spotkania z tobą?

— Wydaje mi się — odparł tamten: — że pytanie takie jest złamaniem słowa Eutydemidy.

— Nie będzie jednak, wtrącił Mankuras — jeśli nie ty, lecz ja na nie odpowiem. Ależ to jest zupełnie jasne! —

zawołał, zwracając się do Agatoklesa — Orestesowi nie miło byłoby spotkać się z synem, którego — jak to wszyscy wiemy z dziejów gromadki chłopców, porwanych, odbitych i zamordowanych — posłał był na śmierć. Wszak nazywają go — właśnie za to — Orestesem synobójcą, w przeciwieństwie do baśniowego matkobójcy! Pozostają przecież dwie zagadki do rozwiązania: czy zwrot „synobójca” oskarżeniu tylko o karygodną lekkomyślność się równa, czy też o zbrodniczą nadzieję, jeśli nawet i nie o świadomy zamiar? Po drugie: czy Orestes mógł wiedzieć o tym, że syn jego jednak nie zginął? Jeśli tak, czemu się z nikim tą wiedzą nie dzielił? Przecież puszczenie jej w obieg równałoby się unicestwieniu przezwiska „synobójca”, o którego doczepianiu do swego imienia nie mógł nie wiedzieć, a które nawet dla niego stanowić musiało brzemię nie najprzyjemniejsze do dźwigania! Zrozum — zwrócił się do Leptynesa — ja do ciebie tu teraz o odpowiedzi na te pytania się nie zwracam, bo znowuż byłoby to złamanie słowa Eutydemidy. Wiedz jednak: jestem skłonny mniemać, że ty odpowiedzi takich mógłbyś udzielić, więc cię ostrzegam: obiecano ci, że opowieści twej wieczorem żadnym się nie przerwie pytaniem, tym nie mniej przygotuj się: właśnie w tej opowieści spodziewam się znaleźć odpowiedź na każde z pytań, które dopiero co sformułowalem. Co prawda, pewną możliwość z góry już wyłączam: by odejście Orestesa mogło zostać spowodowane lękiem przed powrotem syna, o ile syn jego w samej rzeczy ocalał; kimkolwiek jest podsądny, jedno o nim mogę już teraz z całą rzec pewnością: nie byłby zdolny do wywarcia zemsty na rodzonym ojcu, choćby ten w samej rzeczy największą nawet wyrządził mu krzywdę, na najstraszliwsze wystawił niebezpieczeństwo.

— Ale jeśliś synem Orestesa — powiedział Agatokles — szczerze ci się zdumiewam. Iść za takim ojcem na koniec świata! Wiesz? Dopiero ta właśnie twoja gotowość czyni mi ciebie podejrzanym... Bo oto mogę przecież myśleć: ten młodzik ma jakieś tajne cele, które każą mu rozpaczliwie szukać sposobów wymknięcia się naszej kontroli, choćby nawet najprzyjaźniejszej, a czy nie jest świetnym takim sposobem właśnie pozorowanie głosu krwi, nawołującej, by szedł w ślady ojca?

— Jeśliś mówił o głosie krwi — odrzekł Leptynes —

a nie pamiętam, bym tak właśnie kiedy się wyraził — to i wtedy jeszcze źle byłem przez was rozumiany. Macie na myśli głos krwi w sensie największej bliskości rodzinnej, ja zaś — plemiennej. Iść za ojcem w moim rozumieniu nigdy to tu nie znaczyło: iść, ażeby koniecznie być z nim, gdziekolwiek by poszedł. Zapewniam was: gdyby skierował się był do Indyj, nie byłbym w jego ślady poszedł. Toż samo — do Arachozji ni Drangiany. Ale odszedł na Zachód, właśnie bo i jego głos krwi tam pociągnął — nieomylny głos; ciągnie tam i mnie. Wciąż tu wokół siebie słyszę: „Nie jesteś Grekiem jak inni”. Jestem, ale prawdą jest, że dla wielkich celów, jakie sobie — właśnie jako Grek — wytknąłem, może o tyle jestem Grekiem za mało, żem za wiele, z łaski czy raczej nielaski ojca, wędrował z dala od świata greckiego, za długom przebywał wśród barbarzyńców. Oddalenie to, właśnie im dłużej trwało, tym większy nakłada na mnie obowiązek obmycia swej duszy ze skaz, w wędrowce nabytych, w źródłach najczystszych najrdzenniejszej greckości. Ojciec — powiadacie — jest w Pergamie; może jemu Pergam wystarczy, by poczuć, że na nowo naprawdę greckością oddycha. Czy wystarczy także i mnie? Nie wiem. Chyba nie, bo... bo... bo też i cele, jakie sobie, jako Grek, stawiam może są bardziej odpowiedzialne, bardziej doniosłe — dla losów plemienia doniosłe, dla was samych tutaj nawet, ba, może przede wszystkim dla was! — niż najbardziej odpowiedzialna nawet wielka sztuka... Więc i skazy na mej duszy i duszy tej dążności mogą sprawić, że co dla ojca mego będzie dość, mnie nie wystarczy. Już teraz czuję, że nie wystarczy! Chcę do Aten, do Koryntu, do Sykionu, do Sparty, do Teb, do Argos... prawdziwego Argos, nie tego, któreście na pośmiewisko wielkiemu imieniowi, zbudowali wśród Frynów, a które tak jest podobne...

— ...do prawdziwego — wdarł mu się między słowa Teofil — jak ty w tym cudacznym stroju do efeba, rozkoszującego się swą nagością na piasku gimnazjonu...

— Możemy poznać te wielkie... te doniosłe, tak odpowiedzialne cele? — zapytał znów łagodnie, ale już i nie ukrywając lekkiej drwiny, Agatokles. — Bo rozumiesz? szczególnie iżeś rzekł — i to z takim naciskiem — że przede wszystkim dla naszych tu losów mają być one tak doniosłe, rzecz jasna, że jako członek dynastii, choć i naj-

młodszy i żadnej jeszcze nie piastujący godności, przecież mogę właśnie tą dla nas celów tych doniosłością też szczególnie być zainteresowany...

— Oczywiście, możecie je poznać, nawet musicie. Ale o celach tych będzie mi się godziło mówić tylko do Greków samych i nie wcześniej, aż sam jako Grek, bez żadnych już podejrzeń i zastrzeżeń, będę tu traktowany...

— Czy mam może odejść? — zapytał Mankuras.

— Abo i ja też? — zawtórował mu Agatokles. — Jakże zapewne nie jest ci to wiadome, młodzieńcze, że oto w mojej tu osobie może z tobą, to prawda, rozmawiać — czystej i to nie najpodlejszej krwi Grek, ale nie musi: mam bowiem brata przyrodniego, który jest stokroć bardziej do mnie podobny, niż wszyscy rodzeni, a on z tubylczej rodzi się matki, więc pomyśl dobrze, nim zaczniesz do mnie o swych wielkich celach mówić, godzi się to czy nie, bym był obecny, bo a nuż to nie ja, tylko on, Spitamenes, pół krwi Sogdyjczyk, a pół Eutydemida, wysłucha tego, co tylko Grekom może być zwierzone?

— Więc już się jawnie — zadrwił Leptynes — przyznajemy do mieszania się z tubylcami?

— Więcej, chłopcze! Nie tylko jawnie, ale i prawnie skłonniśmy się już mieszać między sobą — Irańczycy i Grecy. Jeślim Spitamenesem, złóż mi życzenia: poślubię niezadługo Teodorę, córkę owego właśnie bohaterskiego dowódcy oddziału, który odbił ciebie...

— A cóż na to Król Wielki?

— Nie wątpię, że zaszczyci zaślubiny syna z wnuczką jednego z najmilszych sercu dynastii Towarzyszy nie tylko swą obecnością, ale i udziałem w śpiewach weselnych...

— Jeszcze to jedno wyjaśnienie, dlaczego odszedł mój ojciec na Zachód... właśnie ostatnio...

— Przytaknę ci chętnie, tym chętniej, żem bardzo uważnie słuchał wszystkiego, coś opowiadał minionej nocy. Podzielę się tu z tobą pewną myślą: pamiętasz? mówiłeś, że Orestes długo się opierał swemu powołaniu istotnemu, którym była rzeźba, że za młodu wołał być to tym, to owym, byle czymś innym, najchętniej mistrzem zapalonym w mechanice... Otóż czybyś się nie zgodził ze mną, że czując nadchodzącą starość, znów dał się porwać namiętnościom młodości? Że rzekł sobie: nie będę już rzeźbiarzem, tylko czymś innym, może najpewniej znowuż mistrzem

w sztuce mechaniki? Że jednak samym aktem woli rzeźbiarza w sobie zabić nie był władny — postanowił pójść za wzorem tych nie nazbyt pewnych przewagi swej woli nad strachem samobójców, którzy zamiast broń przeciw sobie skierować, odkładają ją w ogóle i idą niby na przechadzkę po drodze, słynącej z rozbojów. Albo zaciągają się jako najemnicy do oddziału, wysyłanego do obrony twierdzy nie do obronienia. Bo, proszę, spójrz raz jeszcze w twarz stryja na tej tu oto monecie. Zgodziłeś się, że to najwyższy szczyt, osiągnięty przez mistrzostwo Orestesa, ale założmy na chwilę, że to nie była ze mną zgoda, tylko twoja własna samodzielna wypowiedź. Otóż jakbyś taką wypowiedź uzasadnił?

Rozmawiali tak z sobą oparci plecami o balustradę tarasu, a że z mgłą nadciągnął i lekki wietrzyk, Agatokles, najwyraźniej rozogniony sporem, zdjął „kauzję” i nadstawiając głowę powiewowi, wolną ręką dotknął włosów tuż nad czołem. Stwierdziwszy, że są mokre, ściągnął z szyi mieniącą się kilkoma barwami szarfę i zaczął ocierać pot. Leptynes, który też mógł poczuć się spocony, poszedł — może też odruchowo zupełnie — za przykładem królewicza, ledwie jednak dotknął palcami brzegu cudacznego kapelusza, Heliodor, który wołał nie zdawać się na „mógł” i „może” żadnego podejrzanego, ostro zawołał:

— Rękę z powrotem.

Leptynes rękę cofnął, ale spojrzął Heliodorowi wprost w oczy z bezgranicznym zdumieniem, które nie uszło uwagi Agatoklesa.

— Dlaczegoż to on nie może zdjąć swego nakrycia głowy? — zapytał Heliodora jeszcze ostrzej. I nie czekając na odpowiedź, zlecił Leptynesowi, by na jego własną odpowiedzialność — odpowiedzialność Eutydemidy, choć i bez królestwa, a i w ogóle tytułu — głowę obnażył, dodając, że chciałby ten słomkowy kapelusz z bliska obejrzeć. Że zaś sam w jednej ręce trzymał szarfę, Leptynes zaś w palcach swej lewej miał monetę, wyszło tak, że dość niezgrabnymi wprowadzicie ruchami, przecież szczęśliwie omijając niebezpieczeństwo wypuszczenia czegokolwiek z rąk, a więc też i konieczności nachylania się, podnoszenia, wymienili z sobą nakrycia głowy. Agatokles oglądał słomkowy kapelusz bardzo uważnie — dotknął palcami, a potem zębami czerwonej kulki — zrobił spostrzeżenie,

że właściwie między obiema odmianami zachodzi duże podobieństwo kształtów, choć „kauzja” w przekroju poprzecznym bardziej przypominałaby odcinek koła, a kapelusz Leptynesa regularny, choć i o przesadnie już długiej podstawie trójkąt, co całości ubioru głowy, jakkolwiek jest — w przeciwieństwie do „kauzji” — stożkiem bez zarzutu, nadaje mniejszą harmonię estetyczną przy większej geometrycznej. Po której to uwadze słomkowy kapelusz sobie nacisnął na głowę, Leptynesowi zaś — aczkolwiek bez żadnego nacisku — poddał myśl, by włożył „kauzję”. — Właściwie jest to — odparł uśmiechając się tamten — złamanie ślubowania, że póki ojca nie odnajdę, nie będę się po grecku nosił. Znajduję przecież wybieg — przy tych słowach uśmiech jego przechodził już w śmiech — że w zasadzie „kauzja” to makedoński strój, więc też obcy...

— Patrzcie! — zwrócił się Agatokles do Heliodora i Teofila — jak mu w tym do twarzy!

— Do twarzy może i w samej rzeczy Leptynesowi w „kauzji” było, Heliodor jednak nie uważał, by twarz ta, tak ocieniona, traciła całkowicie to coś, co zmuszało wszystkich Greków, raz w nią spojrzawszy, zastanawiać się przez krótką choćby chwilę: „Czy to naprawdę jest jeden z nas?” To coś było bardzo nieuchwytnie — szczególnie teraz w cieniu „kauzji”, a jednak oczywiste. Równie jednak oczywiste było, że to coś w żaden sposób nie da się utożsamiać z jakąkolwiek bądź typową właściwością wyglądu „socytyjskiego”: wieloletne doświadczenie Heliodora w rozpoznawaniu wszelkich odmian Masagetów, Saków spoza Rzeki, Chorazmijczyków, nie napotykało w rysach, którym teraz ze szczególną przyglądał się uwagą, na nic zawodowo znajomego i właśnie jako takie, alarmującego. Raczej już — myślał, stwierdzając zarazem całkowitą absurdalność takiej myśli — gdyby ten domniemany syn Orestesa nosił wielką kręconą brodę, mógłby — dzięki czemuś w oprawie a i w wyrazie oczu — ujść za Chaldejczyka, takiego, jakich kilkudziesięciu oglądał przed wielu, wielu laty Heliodor w czasie bytności swej w Seleukii nad Tygrysem. Zresztą — poprawił się myślnie — nawet i nie jest to aż tak absurdalne spostrzeżenie; jeśli matka młokosa w samej rzeczy wywodzi się z osadników wojskowych, dopiero niedawno stosunkowo przerzuconych pod Sardy z Babilonii, wcale to możliwe, że jakąś odro-

binę krwi chaldejskiej mógłby posiadać i najniewątpliwiej prawdziwy syn Orestesa; w Babilonii bowiem sporo było czysto greckich — czy też makedońskich — osad wojskowych od czasów jeśli nawet i nie Aleksandra samego, to na pewno pierwszego Seleuka. Ale cóż jemu, Heliodorowi, dać mogła choćby najbardziej nienaganna słuszność takiego właśnie spostrzeżenia? Nawet nie odrobina nawet, ale i spora wcale domieszka krwi czy to chaldejskiej czy elimaickiej, czy choćby nawet egipskiej nie czyniłaby dziewczyny z rodziny osadniczej mniej prawdopodobnym przedmiotem pożądania czy nawet wielkiej miłości ze strony nawykłego zapewne do ulegania swym kaprysom artysty, szczególnie że jeśli związek taki uzyskał był osobne królewskie zezwolenie, a właśnie ta część opowieści Leptynesa brzmiała dla Heliodora najzupełniej prawdopodobnie, to młokos mógłby tysiąc razy bardziej być podobny do Chaldejczyka, nie zbliżając się przez to ani o krok do pała, należnego masageckiemu czy chorazmijskiemu szpiegowi, samozwańczo podającym się za syna Orestesa! I to takiemu jeszcze zręcznemu szpiegowi, który był w stanie chwilę temu — ni mniej, ni więcej, tylko pod życzliwą, wręcz czułą opieką członka dynastii greckiej z serca Azji — podejść wysokiego greckiego urzędnika bezpieczeństwa, wiernego a długoletniego tejże dynastii sługę, na jego własnych oczach, o dwa kroki od niego odległy, ba, wręcz wbrew wyraźnemu jego nakazowi, dając najspokojniej jego nieobecnej żonie umówiony sygnał, przeistaczający zdradę tej żony z prawdopodobnej w nieuchronną! Męła? A skądże ta pewność, że Dioneja w samej rzeczy musiałaby taki sygnał odebrać wyłącznie na wyspie odrzucanych niemowląt? Czemu nie zagubiona w ruchliwym tłumie na dolnym pokładzie, znów jakoś przebrana? Jeśli mogła kilka razy włożyć na siebie męski strój tocharyjski, z kolei może się przebrać za efeba z Tery, za flectistę z „Oksji”, za Sogdyjczyka, dostarczającego z pobliskiej wsi świeżych jarzyn czy owoców załodze, a najpewniej wprost za marynarza, tym pewniej, że oto prawie wszyscy, tu niedaleko na dole, boso pętają się po właśnie zlewanych wodą i szczotkami szorowanych deskach głównego pokładu...

Nastrój jego — czuł — coraz się pogarszał, bo też w dziejach całej jego tyloletniej służby Eutydemidom nigdy dotąd nie było wypadku, aby z podejrzanym i pod

śledztwo wziętym osobnikiem obchodzono się tak, jak z rzekomym Leptynesem... I to żeby jeszcze się tak z nim obchodził ktoś z niższych urzędników bezpieczeństwa, ktoś z podwładnych, kogo by Heliodor mógł bez trudu i kłopotu skarcić, nakazując mu ostrzejsze względem pod sądne go postępowanie... Ale członek dynastii, choćby nawet i w samej rzeczy tylko bękart Króla Wielkiego, nie zaś Agatokles? Toż to zaiste najrzęczniejszy, najstarianiej — w każdym sensie! — przygotowany szpieg i samozwaniec, spośród wszystkich, z jakimi na przestrzeni trzydziestu blisko lat przydarzyło się kiedyś jemu, Heliodorowi, mieć do czynienia! Istny artysta, wręcz mistrz nad mistrzami w sztuce działania na szkodę greckiego władania, ba, stanu posiadania w sercu Azji! Właściwie takiego to może nawet i szkoda wbijać na pał, właściwie większą znacznie korzyść przyniosłoby się dynastii, przeciągając go wraz z wszystkimi jego zdolnościami, z całym mistrzostwem do służby na rzecz sprawy Greków... Co by nawet i nie powinno było być aż tak absurdalne, nawet nie nazbyt trudne, gdyby prawdą miało się okazać, że rodzi się z uprowadzonej Greczynki...

Oczywiście, z mistrzostwa swego w pełni powinien zdawać sobie sprawę, więc odpowiednio też by się i cenił. O to jednak zbyt martwić się nie potrzeba, Eutydemidów na pewno stać byłoby na opłacenie najwyższych choćby nawet wymagań bez mrugnięcia okiem dokładnie tak, jak stać było Antiocha Seleukidę na powiedzenie „Chętnie”, gdy mu po raz pierwszy Kambilos Kreteńczyk ujawnił, ile żąda jego ziomek, Bolis, wzamian za to, że zamiast pomóc Achajosowi wymknąć się niepostrzeżenie z oblężonej przez Antiocha cytadeli sardyjskiej, dostarczy go — właśnie po wymknięciu się z nim z cytadeli — w ręce wroga...

Heliodor drgnął. Sam też z kolei zdjął szybko nakrycie głowy, by obtrzeć pot z czoła. Co prawda, czuł że jemu to nie wystarczy właściwie że powinienby zaraz, natychmiast dać nurka do zimnej sadzawki... Zaciskając zęby, westchnął boleśnie: „Za późno!” Jakoże czy nie oświadczył minionej nocy, że uznał mistrza nad mistrzami w sztuce szpiegowskiej za syna Orestesa? Po czym natychmiast znów dał się ogarnąć dwom falom: potu i zdumienia. Oto nie rozumiał zupełnie istoty postępowania.

Agatoklesa względem podsądnego! Obchodzi się z nim królewicz łaskawie — aż za łaskawie —omalże po przyjacielsku wymienia z nim oto części ubioru, niczym Hektor i Ajaks pod Troją — wręcz go broni przed Heliodorem, ale przecież gdyby nie on — nie ten sam królewicz, już byłoby minionej nocy po wszystkim, wówczas, gdy Heliodor uznawszy się za przegranego, obwołał rzekomego Leptynesa rzeczywistym!...

Chyba, że on, Heliodor, popełnił teraz zasadniczy błąd myślowy, a to formułując bezgłośnymi słowami: „przecież gdyby nie on — nie ten sam królewicz — już byłoby...” Bo oto może to nie być — ten sam! Może to być inny — sobowtór! Kto, czyj? Nie ważne. Nocą mógł to być Spitamenes, a teraz Agatokles, albo też odwrotnie; tak czy owak byłoby to jedyne rozsądne wytłumaczenie niepokojącej sprzeczności. Czy jednak bez zastrzeżeń wytłumaczenie? Bo jeszcze samo podobieństwo nadzwyczajne rysów — to się zdarza... Ale głos? Żebyż byli bliźniakami, ale przecież z różnych — ba z różnoplemiennych! — zrodzeni są matek... I jak się obaj równocześnie znaleźli na pokładzie „Zgody Narodów”? Wszak jeden z nich przed czterema dniami zszedł był z pokładu, by udać się końmi do Baktry... Oczywiście, mógł — choć to mało prawdopodobne — już stamtąd wrócić; zawrócić — co prawdopodobniejsze — z drogi; względnie w ogóle — najprawdopodobniej — zamierzonej wyprawy poniechać... Ale jeśli tak, gdzie jest drugi? Może być z Antymachem, z Dioneją lub pewniej — jeśli to on Spitamenesem — z Teodorą. A znowuż jako Agatokles, może być z Agatokleją... Oczywiście, nie domyślając się, że jednego brata już zabiła...

Znowu go całego przeszedł dreszcz. Przypomniawszy sobie, jak to minionej nocy Agatokles nagle powiedział, że któkolwiek ich — królewiczów z najmłodszego pokolenia Eutydemidów — chce wygładzić, pilnuje porządku, bo zaczął od najstarszego, więc na niego, najmłodszego, nie prędko jeszcze kolej przyjdzie...

— Nie odpowiedziałeś mi jednak na moje pytanie.

Stanowczo to ten sam — najdokładniej, w najsubtelniejszych odcieniach — ten sam głos, co minionej nocy! Może więc jednak on, Heliodor, się myli? Szczególnie że

nigdy nie widział obu naraz: królewicza i bękartą. To, zresztą, byłoby zrozumiałe: przecież podobno można ich od siebie odróżnić, gdy są razem; odróżniwszy zaś raz — można spamiętać, gdy bardzo się chce, najistotniejsze szczegóły odmienności; tak zaś je zapamiętawszy — nie pomylić: wówczas na przykład, gdy się chce zabić tego, a nie tamtego...

— Co do monety — ucięło Heliodorowi bieg podnieconej i zatrwożonej zarazem, myśli z wielką tym razem trudnością przeistaczające się w słowa, zamyslenie Lepytynesa — wypowiedź, że w samej rzeczy najwyższy to szczyt osiągnięć twórczych Orestesa, uzasadniłbym tak: profil na tej tu oto małej płaskorzeźbie ma w sobie więcej tchnącego życia — żywym życiem a przy tym życiem rozumnym — człowieczeństwem, niż nie jedna rzeczywista twarz. Nie widziałem nigdy na oczy króla Antymacha — znam tylko jego głos — doskonale jednak władnym skojarzyć właśnie tamten żywy głos z tą tu twarzą, w srebrze wyrzeźbioną. Nie mówiąc już nawet o ułożeniu się ust w jedyny w swoim rodzaju, a przecież prawdziwie ludzki uśmiech: Spójrzcie na ten nos, na to ucho, na brew, przede wszystkim na zmarszczki na czole! To jest człowiek. Wiem, że to jest król Antymachos, ale choćby nawet w samej rzeczy podobieństwo miało być nadzwyczajne, nie to jest najważniejsze. Otom minionej nocy inną oglądał monetę: z podobizną twego, o panie, brata, Demetriosa. Zapewne i tam tkwi podobieństwo, może nawet też wielkie, ale tamtej przyglądając się monecie, myślałem: to jest wcale dobrze odtworzona twarz młodego człowieka. W tę zaś wpatrując się, nie zastanawiam się nad stopniem doskonałości odtworzenia; doznaję wrażenia, jak gdybym patrzył w twarz żywą.

— Ponieważ mogę być i Spitamenesem — uśmiechnął się Agatokles — pozwolę sobie w jego imieniu powiedzieć, że takie uzasadnienie nie wystarczyłoby, aby jakkolwiek twór sztuki irańskiej określić mianem najwyższego osiągnięcia. A czy wystarczyłoby — zwrócił się do Mankurasa — gdyby chodziło o twór sztuki indyjskiej?

— Mało znam się na sztuce — odpowiedział Ind — a i w ogóle nazbyt wielkiego znaczenia dla życia myśli rzeźbie się u nas nie przypisuje. Ale jestem pewien, że gdyby twórcę lwów i byków kamiennych, zdobiących od

czasów Króla Wielkiego, Asokasa Maurii, niejedną w Indiach bramę pałacową, spróbowano uczcić takim właśnie wywodem, wielbiciele jego cieszyliby się, że dawno nie żyje — byłby bowiem w rozpacz wpadł, że tak mało jego sztuka jest warta...

— Słyszałeś? — zwrócił się młodzieńcy Eutydemida znów do Leptynesa. — Nie wiem jak dalece szczerze swemu własnemu dawałeś przed chwilą wyraz wrażeniu, jedno jest przecież pewne: pochwała, przez ciebie złożona tej płaskorzeźbie, odtwarza typowo greckie odczuwanie istoty sztuki. Ktoś, znacznie lepiej od ciebie w sprawach rzeźby wykształcony, mówił o tej samej monecie bardzo podobnie, choć i bardziej uczonymi słowy. Teraz więc się zastanów: czy sobie nie przeczysz? Jeśli przebywanie w sercu Azji tak bardzo wypacza greckość, że aby Greka w sobie ratować, należy koniecznie uciekać na Zachód, na przykład do Pergamu, jak mogło tu, w sercu Azji, powstać dzieło sztuki, najdoskonalej greckiemu — i tylko greckiemu — odpowiadające odczuwaniu istoty rzeźby?...

— Dowód to tylko potęgi twórczej — rdzennie greckiej — mego ojca. Potęgi tak wielkiej, że aż dotąd nawet obcy, wrogiej wręcz duch serca Azji nie zdołał jej pomniejszyć, doskonałej jej greckości ni spacyć, ni skazić. Ale właśnie: aż dotąd. Powiadasz: ta moneta to ostatnie dzieło mego ojca. Skąd wiesz? Ostatnie znane światu — na to zgoda. Ale może zaczął nad czymś jeszcze nowszym pracować i... zmieszał się, stropił... może wręcz się przeraził... Spostrzegł, że oto nawet i on już się załamuje, że i jego sztuka traci swą doskonałą greckość, wypacza się, ulega skażeniu... Miał więc do wyboru powolny swój upadek, jako rzeźbiarza, albo ucieczkę. Ponieważ w latach ostatnich — inaczej niż dawniej — rzeźba stała się dla niego sprawą życia najważniejszą, zdobył się, by twórcę w sobie ratować, na to, przed czym wzdragał się w Sardach jedenaście lat temu, gdy własna twórczość — twórczość rzeźbiarza — nieporównanie mniej dla niego znaczyła... Wówczas odrzucił pokusy Eumenesa, bo wyżej stawiał wierność dla dynastii, w której łaskach pozostawał, niż troskę o swą sztukę; teraz myśli inaczej: woli być pod chmurą rzymską, woli ujawnić nawet niewdzięczność względem was, Eutydemidów,

byle ratować przed skażeniem, przed upadkiem czystość greckości swej sztuki...

— Młokos może mieć słuszność — przemknęło Heliodorowi przez myśl — byk i kobiety w naszej sypialni to może być twór późniejszy, niż ta tu moneta, a choć i tamta płaskorzeźba jest wspaniała, olśniewająco wręcz wspaniała, jest niesamowita i właśnie w tej swej niesamowitości zdecydowanie niegrecka...

— Oczywiście — ciągnął Leptynes — można się spierać, czy sztuka jest wartością aż tak wielką, że trosce o nią należy podporządkowywać wszystko inne, nawet troskę o własną dumę i godność... Dla mnie nie jest, dla ojca mego jednak widocznie — tak, co i nie dziw, bo tylko w pełni, wręcz wyłącznie, żyjąc sztuką i dla sztuki, można było coś takiego stworzyć, jak ten twój oto stryj na monecie, o panie. A jeśli tak, musiał rzec sobie: zamiast skazić się, spaść, jako rzeźbiarz, wolę się poniżyć, chwytając skwapliwie, wręcz z wdzięcznością tę samą propozycję tego samego Eumenesa, jaką tak dumnie byłem odrzucił przedtem...

— Bardzo to ładnie! — zawołał Agatokles. — A jeszcze ładniej byłoby, gdybym nie miał tu przy sobie kilku innych monet, też tworów Orestesa. Spójrz! Oto mój dziad z ostatnich dosłownie dni swego życia — wspaniały starzec, przyznasz? Ojciec to przyznał, a może nawet i dziad sam, jeśli był na to dość jeszcze przytomny; rzeźbą tą — właśnie nią! — otworzył sobie Orestes dostęp na dwór w Baktrze, co mu się — jeśli wiesz — ogromnie przydało właśnie wówczas, bo inaczej mogłoby z nim być — znowuż właśnie wówczas — wcale źle... Jeśliś uczciwy, powiedz: gdzie człowieczeństwo, na metalu utrwalone, jest bardziej olśniewające? Na monecie dziada czy stryja?

— Króla Antymacha — przyznaje.

— Rzekłeś. Teraz tu popatrz. Oto mój ojciec — Król Wielki, tuż przed wyprawieniem się do Indyj. Naśladowca Aleksandra, i na monecie też jak Aleksander, głowę ma okrytą symbolem władania nad Azją: czapka z głowy słonia — trąba, kiel — widzisz? Świetna twarz! Nieco za dzika, jak na ojca, jakim go znam — rzekłbym wręcz zbójecka, chamska, ale co tu dużo mówić: twarz zdobywcy! A przy tym — mimo schamienia — jego własna, już ja to wiem najlepiej! Powiedz jednakże znowu,

a znowu uczciwie: od stworzenia tej oto podobizny ojca do zamówienia — nazwijmy to tak — rozgłosu dla własnowolnie objawionej boskości stryja upłynęło blisko pięć lat. Którą podobiznę wolisz?

— Powiem znów najzupelniej szczerze: Demetrios jest wspanialszy.

— Bo też jest. Zostań wśród nas, a zobaczysz obu — porównasz. Ale ja nie o to ciebie pytam. Lew, przez Filotasa wyrzeźbiony, będzie wspanialszy niż kot, co wyszedł spod dłuta Orestesa. Właśnie jako lew z kotem zestawiony. Ale niech obaj wezmą się do rzeźbienia czy kotów czy lwów. Czyj kot będzie wspanialszy jako kot? Czyj lew jako lew? Powiedz więc: czyje — jak tu obu teraz widzisz — wspanialsze jest człowieczeństwo?

— Króla Antymacha — westchnął Leptynes.

— Rzekłeś i rzekłeś. Rzeknij więc jeszcze coś: jeśli duch serca Azji wszelaką w ogóle greckość, a greckość sztuki w szczególności, wypacza, kazi, zanieczyszcza, pomniejsza, jak wytłumaczysz, że dzieło Orestesa stworzone zanim do Baktry zjechał ściśle w kategoriach greckiego odczuwania istoty sztuki jest mniej doskonałe, niż stworzone po kilku latach pobytu w sercu Azji pod rządami, równającymi — karygodnie, jak twierdzisz — tubylców z Grekami; to zaś z kolei nie dorównuje jeszcze późniejszemu, stworzonemu w warunkach już tak niemożliwych, nieprawda? gdy nie tylko nawet Irańczyk, ale Ind nosi na palcu pierścień Króla Wielkiego i wyrokuje w sprawie sądowej przeciw synowi najznakomitszego greckiego rzeźbiarza?

— Mam na to odpowiedź. Owo doskonalenie się to samoobrona.

— Gdy połowę falangi powaliły trujące wyziewy, wąpnię, czy reszta zdolna jest do olśniewającego taktycznie zwycięstwa. Zresztą, gdyby tak było, jak mówisz, czemu brat mój na monecie dwujęzycznej jest lepszym dziełem Filotasa, niż wszystkie jego dotychczasowe lwy przybramne? Bo Filotas, uważasz, nie tylko nie odmówił wyjazdu za ojcem do Indyj, ale, jak twierdzi, tam dopiero dojrzewa w pełni jego wrażliwość na piękno. Więc jakąż to samoobrona? Powiesz może: wypacza się? Ale powiadam ci: lepiej tam rzeźbi.

— Nie lepiej jednak niż mój ojciec...

— Nie. Bo jeden to Orestes, a drugi — mimo wszelkich dojrzezań — to zawsze tylko Filotas. Zresztą, powiem coś więcej: wbrew zachwytom Filotasa, osobiście nie jestem pewien, czy Indie sprzyjają kwitnięciu tego, coś nazwał greckością. Ale sprzyja Baktria — Baktria w szerszym znaczeniu, więc z Sogdiana, Parykeną, Arią, Margianą — prościej mówiąc: Iran na wschód od wielkiej pustyni. A wiesz dlaczego?

— Czy wolno mi rzec: nieciekawym?

— Ostrzegam cię, że chwilami myślę, iż jednak się zgrywasz niekiedy, grając syna Orestesa na ogół wcale dobrze.

— Mam więc, jak zły aktor, próbować szybko naprawić swój błąd? Rzec: słucham?

— Szybko naprawiony błąd często szybko też idzie w niepamięć. Dobrze więc robisz, że chcesz słuchać. Uważaj: Iran dodaje greckości poczucia mocy. Wielostronnie, a więc też i sztuce greckiej. Wielcy są może nasi filozofowie, ale gdy pytamy ich, jaki jest sens istnienia człowieka i jako osoby i jako całego gatunku, czy któryś z nich udziela jakiejś rozsądnej a jasnej odpowiedzi? Powiesz może: stoicy? Ależ stoicy tyle tylko mówią: cokolwiek się dzieje, mężnie to trzeba znosić. Pytam ich: znosić, ale w imię czego? Można dać się zbić albo i zabić, wtedy tylko jednak, gdy się wie, że to na coś — komuś, komukolwiekbydz przynajmniej, jeśli nawet i nie samej ofierze — posłuży. Stoik mi powie, jak ja mam się zachować, ale nie: dlaczego właśnie tak. Ale mądrość Iranu mówi: są dwaj, Pan Mądry i jego wróg — może brat zazdrosny? Nie wiem — Duch Zły. Wszystko, co dobre, od pierwszego pochodzi; śmierć, cierpienie, kłamstwo, głupota, brzydota — od drugiego. Platon też coś podobnego przebąkiwał o przeciwieństwie między duchem, źródłem dobra, i złą materią, ale jego Stwórca Wszereczy nie zawahał się tą materią się posłużyć, by stworzyć mnie i ciebie, bo taki miał kaprys, a wcale się nie troszczył o to, czy chcemy zostać stworzeni, by żyć w świecie wokół nas, a i w tym też, co w nas samych, wygłupiając się, oszukując, zadając cierpienie lub cierpiąc, a w końcu umierając, gdy nie chcemy i to jeszcze potwornie tej śmierci się bojąc. Jak można takiego Stwórcę czcić? Coś dla niego poświęcić? Iść ku jego chwale

na śmierć? Toż to tylko upadlanie i siebie i jego. Jeśli nie mógł materii przerobić ze złej w dobrą, po co w ogóle się brał to tworzenia? Bo nie mógł się oprzeć potrzebie tworzenia — powiadają. Mój miły, wiesz jak twórczość Orestesa czczę, ale jeśliś naprawdę jego synem i gdybyś będąc nim, w samej rzeczy byłbyś zginął tam gdzieś między Isedonem a Argos, jabym zaś dowiedział się, że cię Orestes świadomie na tę śmierć wyprawił, wierząc mił wolałbym nie doczekać się takiej wspaniałości, jak profil stryja tu na monecie, a póty bym ojcu spokoju nie dał, ażby Orestesa wygnał, zesłał albo i głowę by mu ściał, choćby ten nawet się tłumaczył — i to prawdziwie — że twoje istnienie nie pozwala mu rozwinąć w pełni swych zdolności, lub na przykład wywodziłby: że poczucie olbrzymiej straty osobistej dopiero mogłoby dać mu — poprzez żalobę i ból — osiągnięcie najwyższych szczytów. Nawet choć ocalałeś, wcale ci nie każe Orestesa szanować, przeciwnie, wzywam cię: nie idź za nim, zostań z nami. Za nim idąc, przy nim życie pędząc, zmarnujesz się, jak ludzkość, co by się platońskiej na zawsze uczepiła nauki o zagadce stworzenia i bytu. Z nami zostając, będziesz nie tylko wiedział, ale i czuł: życie ma jakiś oczywisty sens. Pan Mądry, dobra tylko pragnąc, stworzył w tobie czy we mnie i wokół nas to tylko, co dobre; po to więc warto żyć, by się poświęcić pielęgowaniu dobra, a wyplenianiu zła, które wypłenić się da, bo wcale nie cała materia jest zła. Irańczycy wielką tę prawdę osnuli grubą mgłą niesamowitego wprost nonsensu, ale czy Tera, której w tej chwili poprzez mgłę nie widzimy, nie jest sobą na swym miejscu? Jeszcze się Irańczykom przysłużymy: z pomocą greckiej jasności myślenia i widzenia i odczuwania i przedstawiania rozpędzimy, niczym wiatry ożywcze, ową mgłę ze steku bzdur. Wówczas wszystko, jasne będąc, będzie i proste: zło i dobro odmiennej są istoty, odmiennego pochodzenia; niszcząc materię złą, nie zniszczymy wcale bytu, tylko go zrobimy tożsamym ze szczęściem, bo jest też i materia dobra. Platon, a podobno i ty za nim, powiadacie: tylko duch, z więzów materii uwolniony, jest pięknem, dobrem, prawdą, innymi słowy: szczęściem. Ale czy duch sam pozwoli ci na upajanie się rzeźbą, muzyką, winem, przeniknięciem się wzajemnym z ukochaną istotą? Na to trzeba ciała,

krwi, podniebienia, ucha, oka! Rozumiesz teraz, co wziął Orestes od pobytu wśród nas, choćby nawet i nie całkiem świadomie? Wrażliwość na zwiększenie się czaru człowieczeństwa poprzez ruch świadomy tegoż człowieczeństwa ku oczywistemu celowi istnienia: zwycięstwu dobra nad złem. Zwycięstwu nie tylko w duchu, ale i w materii. Pan Mądry zapewne nigdy nie bełkotał tych bzdur, jakimi przepelnione są — niby jako własnymi jego wypowiedziami — święte księgi irańskie, ale treść zasadnicza tych wypowiedzi jest słuszna — wdzięczni za nią Iranowi, odpłacimy się mu obleczeniem tej treści w godną jej formę. Dawajmy więc i bierzmy — jedni i drudzy wspólnemu służąc celowi: zwycięstwu woli dobroczynnej Pana Mądrego, szczęście zapewniającej, nad posiewem Ducha Zła.

— Szczęście, czyje? — zapytał Teofil.

— Nasze, wszystkich ludzi.

— Więc też i moje?

— Zależy, o jakim szczęściu mówisz? O szczęściu dążenia czy osiągnięcia? To drugie może stać się udziałem dopiero potomków twych o tysiąc pokoleń od dzisiaj, ale pierwsze, w twojej jest mocy, jeśli zechcesz.

— Ale jeśli nie mam dzieci, jak mogę mieć potomków za tysiąc pokoleń?

— Czemuś nie miał dzieci?

— O to racz, o panie, zapytać Heliadora. Ale jeśli łaska, nie wcześniej, niż o zachodzie słońca.

— Ale, zresztą, czy dążyć miałbyś koniecznie do szczęścia własnych tylko potomków? Czy nie umiałbyś dostrzec sensu własnego istnienia, kładąc podwaliny szczęściu potomków Heliadora na przykład?

— Na których na razie też się nie zanosi. A poza tym, o panie, skąd pewność, że oni w samej rzeczy to szczęście doskonałe — choćby nawet i po tysiącach lat — osiągną?

— Bo dobro musi wyjść zwycięsko z boju wiekiutego ze złem.

— Musi, dlaczego?

— Bo Pan Mądry tego chce.

— Od niedawna dopiero? Jeśli tak — może mu się znów odechcieć.

— Zawsze chciał.

— Zawsze? To czemu pozwolił na zaistnienie zła?

— Jużem tłumaczył: Duch Zły zawinił, że zło powstało.

— I Pan Mądry mu nie przeszkodził?

— Najwidoczniej nie przeszkodził, skoro zło istnieje.

— To bardzo niedobrze. Bo skoro raz mu nie przeszkodził, jaką mogą mieć pewność, że kiedyś nie tylko dalsze zło siał mu przeszkodzi, ale nadto całe, uprzednio posiane, wypleni? Nie nęci mnie taka służba — panu, co twierdzi, że przy nim niezawodnie musi być ostateczne zwycięstwo, ale nie wydaje się być zbyt potężny, skoro chcąc tworzyć tylko dobro, ledwie do tworzenia się zabrał, ujawnił bezradność, dopuszczając, by tuż pod bokiem mu inny tworzył właśnie to, czego sam stworzyć nie chciał... Daruj, Królewiczu, ale jeśli chodzi o nadanie czarowi człowieczeństwa sensu istnienia poprzez ruch ku określonemu a świadomemu celowi, to Mądry Pan, odkrycie względnie wymysł Iranu, mało co więcej nadaje czaru człowieczeństwu tych, którzy pod znak jego się zaciągają, niż mają go — tego czaru — ci, co wzdychają do Stwórcy, takiego, jakiego z Platona znamy: „Tak ci współczujemy, żeś bezradny się okazał wobec oporu złej materii — i sobie współczujemy, żeś nas w niej uwięził. Ale to przecież nie na zawsze: umrzemy i będziemy tak dobrzy, jak ty sam”. Zaiste, lepiej już służyć trzeciemu — takiemu, który przynajmniej nie potrzebuje bezradnością, czy wobec współzawodnika czy tworzywa — tłumaczyć się przed swym stworzeniem. Takiemu bowiem ostatecznie można byłoby zaufać, że gdy czegoś zechce, zrobi to.

— Któż to taki?

I wówczas to właśnie Teofil powiedział:

— Ów, co rzekł był o sobie: „Jam jest ten, który tworzy i dobro i zło”. Prawdopodobnie — jak i tamci dwaj — jest wymysłem, a w najlepszym razie domysłem raczej, niż odkryciem, ale ktokolwiek go odkrył, domyślił się czy wymyślił, jeśli zrobił to z celem pozyskania mu czcicieli, był mądrzejszy i od Platona i od Irańczyków. Jako że jeżeli przestaniemy raz udawać, okaże się jasno, że bogów o ile nie uważamy ich za własny tylko wymysł albo jak Epikurejczycy, za wytwór zderzeń atomowych, taki jak my, tylko od nas przyjemniejszy, czcimy dlatego tylko, by coś u nich wyprosić. Ale prosimy kogoś o coś nie inaczej

niż mając cię choćby nadziei, że to coś dostaniemy. Im zaś nadzieja większa, tym usilniej prosimy, a więc i czcimy tym żarliwiej. Któż zaś większą mi daje nadzieję otrzymania tego, o co proszę: na przykład o niewykrucie się pewnej hańbiącej tajemnicy, która mię dławii zupełnie bez mojej winy, czy może ten, co powiada: „Hańba twoja niezawiniona to nie moje dzieło, tylko mego współzawodnika, ale nie śmieję go czcić, bo wtedy dopiero się staniesz winny; czcząc zaś mnie wiernie, możesz mieć właśnie tyle nadziei — nie więcej — na niewykrucie się swej tajemnicy, ile świat i byt w czasie stworzenia miały na to, że będą od zła wolne”, ja zaś wiem już, co tamta nadzieja była warta? Czy nie raczej ten, co twierdzi: „Hańba twoja, jak i wszystko, moim jest dziełem — czemu cię nią dotknąłem, to nie twoja rzecz. Tak mi się zachciało, a ty czym jesteś przede mną, byś miał sarkać, skoroś taki bezsilny, żeś się przed moją zachcianką, w ciebie uderzającą, nie obronił”? Bo mogę oto przecież wówczas mieć nadzieję, że mu ta właśnie zachcianka minie, i na odmianę pogłaszcze mnie tak jak był uderzył, szczególnie jeśli lubi, by go żarliwie czczono, a ja z taką nadzieją na pewno bym mu żarliwości nie poskąpił.

— W samej rzeczy — przytaknął Mankuras — zapewne pogłaszałby, gdyby mógł.

— Ależ mógłby, skoro może wszystko.

— Lecz właśnie: czy może?

— Zakładamy, że skoro rzekł o sobie: „Jam jest ten, który tworzy wszystko...”

— To samo mogę i ja o sobie rzec — przerwał Mankuras.

— Więc kłamałby?

— Kłamałby! — zawołał Leptynes.

— Niczego nie mogąc stworzyć? — zapytał Agatokles.

— Owszem, zło mogąc — unosił się coraz bardziej Leptynes — ale któżby składał cześć takiemu, co mu za nią złem tylko władny byłby się odplącić? Już lepiej mu złorzeczyć: przynajmniej godność by się zachowało. A że nie chce, by mu złorzeczono, dodaje kłamliwie, że tworzy też i dobro.

— Ja natomiast myślę — podjął Mankuras — że rzec o sobie: „Ja tworzę wszystko”, naprawdę nie mogąc niczego stworzyć, choćby nawet błałostki, wcale jeszcze

nie musi być równoznaczne z kłamstwem. Może być tylko złudzeniem.

— Coś z twoim rozumowaniem — zwrócił się Teofil do Leptynesa — jest tym razem nie w porządku. Bo dzięki tobie zaczynamy się kręcić w kółko: sprowadzasz oto mojego wszechmocnego do tożsamości z owym Duchem Złym, którego istnieniem Irańczycy tłumaczą ograniczoność dzieła Pan Mądrego. Ale w takim razie tym samym przyjąć musisz za oczywiste także i istnienie odrębnego twórcy dobra.

— Jest nim twórca dusz, przez Platona — że użyję twego zwrotu — zmyślony, przeczuty lub wykryty. Nie zgadzam się jednak z Platonem, by ten sam, co z własnej myśli dusze tylko wykrzesywał, tworzył z materii także i wszelkie ciała. Nie, z materii tworzył wszystko ten inny: twój.

— Ależ, człowieku, to nie byłby już wtedy mój! Mój to jest ten, co mówi o sobie: „Tworzę dobro i zło”.

— Rzekłem: kłamał.

— A ja rzekłem: przez ciebie kręcimy się w kółko. Aleś się rozognił jednak — aż dziw! Czy tobie Żydzi wyrządzili kiedy jaką wielką krzywdę?

— Żydzi? — zdumiał się Heliodor. — Coś kiedyś, ba, niedawno! o nich była mowa... Toś ty mówił — zwrócił się do Leptynesa: — Pamiętam już...

— Mówilem. Że ojca mego posłał król Antiochos, by ich na swoją przeciągnąć stronę...

— Ależ nie! Co z twoją pamięcią? Mówiłeś o domie ich zgromadzeń w Sardach... Jednak się mylisz? Płaczesz się w zeznaniach? Przeczysz sobie? Królewiczul...

— W Sardach? — zawołał Agatokles — właśnie! To tam, nieprawdaż, Heliodorze, gdzie Achajosa twój...

— Łaski!

— Ależ stary — poza Leptynesem, wszyscy tu dobrze wiemy... Że zaś, łamiąc dane przeze mnie słowo, rzucasz się teraz znów na niego, niczym tygrys, może by się godziło, by i on w drodze odszkodowania poznał...

— Teofil nie wiel

— Ja? — uśmiechnął się rzezaniec: — Człowieku, gdyś ściągał ze mnie — pamiętasz? — zeznania z przebiegu moich wędrówek, a nie byłeś wówczas — i to też może pamiętasz? — nadto uprzejmy, raz po raz sobie mówiłem:

jeszcze chwila, a zapytam go o ciąg dalszy tak podniecających dziejów pewnego Kreteńczyka...

— Czy pozwolisz, o panie — zwrócił się Mankuras do Agatoklesa — bym na czas krótki oddalił się z Heliodorem?

— Ależ ja... bełkotał Heliodor — wcale nie chcę... ja muszę tu...

Mankuras wziął go pod rękę, stanowczo a łagodnie, przy tym z prostotą, jak gdyby naprawdę Ind równy był Grekowi, która to myśl — mimo całego przygnębienia i roztrzęsienia — natychmiast ośwładnęła uprowadzonym, i to na długo. Na tak długo, że gdy już znaleźli się w półkolistym przedsionku, jeszcze wtedy nie mógł Heliodor zdać sobie dobrze sprawy, czego właściwie od niego Mankuras chce, mimo że słyszał jego głos tuż prawie przy swym uchu już od połowy drogi.

— ...nie wypieraj się, mówiono mi, że to prawda. Sam Menander mówił.

— Co mówił — z trudem nareszcie skupił swoją uwagę Heliodor.

— To właśnie, com ci rzekł. Zresztą, bez tego szczegółu też bym się doskonale obszedł. Heliodorze, raz to się musi skończyć.

— Co?

— Ależ właśnie to udawanie przed samym sobą. Powiedz sobie — właśnie sobie — raz wreszcie prawdę: ty wcale nie cierpisz nad tym, żeś synem Bolisa. Nie twierdzę, żeś nigdy nie cierpiał, tylko: żeś dawno cierpieć nad tym przestał.

— Jak śmiesz?

— Śmiem, bom ci życzliwy. Zresztą, wszystkim wam trojgu, każdemu przecież inaczej.

— Trojgu?

Poprzez uchylone drzwi do półkolistego przedsionka doleciał głos Leptynesa, na wpół gniewnie, na wpół szyderczo, ale też i z niedwuznacznie wielką powagą w samym podejściu do tematu, odpierający jakieś powiedzenie bądź Agatoklesa, bądź Teofila; najwidoczniej po odejściu Inda i Heliodora nikt z dwu pozostałych z podświadym nie zadbał o wyciągnięcie wniosku ze sprzeczności w jego zeznaniach, co się nagle ujawniła Heliodorowi i tak go podnieciła; rozmawiali znowuż o sprawach

religijnych niczym trzech filozofów pod którymś z portyków Pergamu lub Seleukii nad Tygrysem. Co prawda, posługując się do swych wywodów takim materiałem myślowym, który niewątpliwie znacznie wyższym czy głębszym i lepiej ukształtowanym umysłem zawodowych filozofów Zachodu najzupełniej był niedostępny.

— ...musielibyśmy w takim razie uznać istnienie dwu odmian boskości: jednej, stanowiącej uwieńczenie długotrwałego wspinania się wzwyż — skąd? bo przecież nie od człowieka dopiero, lecz od istot nieskończenie prostszych, i drugiej, co sobą była wiekuiście a niezmiennie i zamiast zdolności do doskonalenia się, której nie potrzebuje, bo w ten czy inny sposób jest właśnie wiekuiście doskonała, posiada i w działaniu ujawnia inną: zdolność tworzenia... Więc dobrze, tu oto za tymi niedomkniętymi drzwiami prowadzą w dół — a i w górę też — schody z półkolistego przedsionka; powiedzmy: Mankuras idzie schodami w dół, Heliodor zaś wstępuje ku górze, gdzieś, na którymś stopniu, spotkają się i miną — nieprawdaż? W momencie, gdy się mijają, mówimy, przyglądając się im: oto są na równym poziomie. Cóż więc jest takim poziomem, gdzie spotkają się ze sobą z góry spływający — powiedzmy — na króla Antymacha i przebóstwić go ostatecznie mający promień Światłości Wiekuistej, więc — jeśli dobrze zrozumiał — cząstka istoty własnej Pana Mądrego czy — wedle Teofila — Stworzyciela i Zła i Dobra — oraz ku górze wstępująca tegoż króla Antymacha wola przebóstwienia się?...

— Czy oni oszaleli? — zapytał Inda Heliodor, otrzymawszy — zamiast odpowiedzi na poprzednie swe pytanie — tylko wskazanie ręką ku widzialnym poprzez i drugie też niedomknięte drzwi, szatom Dionei, wyraźnie w wielkim pośpiechu porzuconym w bezładzie na tygryskiej skórze.

— Nie, nie poszaleli. To jest tylko przesłuchanie, Tajniaku nad Tajniakami! Najpoważniejsze z wszystkich, jakim dotąd młodzieniec, twierdzący o sobie, że jest synem Orestesa, został poddany. A może i najgroźniejsze dla niego zarazem.

— Co za bzdura! To ma być przesłuchanie?

— Jak najbardziej. Dwu śledczych i podsądny.

— Wola, dodaj — rzucił w formie uzupełnienia Agatokles — stryjowi memu raczej narzucona...

— To jest mniej istotne. Ostatecznie można każdego biczem czy rozpalonym żelazem zmusić do biegu w górę po schodach, na których szczycie wcale znaleźć się nie chciał. Istotniejsze — powtarzam — jest, gdzie mianowicie w górę wspinający się — czy własnowolnie, czy pod przymusem — spotka się z tym, który zstępuje mu na przeciw?

— Jakkolwiek w samej rzeczy istotne — tym razem to Teofil znów zabrał głos — nie jest przecież tak istotne, jak co innego. Mianowicie: czy boskość wstępująca i zstępująca w samej rzeczy na owym poziomie — i to zawsze, koniecznie zawsze — zleją się w jedność? A nuż się miną, tak jak właśnie Heliodor i Mankuras?... Co stanie się wówczas?

— Dlaczego mniemasz — zwrócił się Heliodor, zatraskując z zewnątrz drzwi od sypialni, do Inda tonem człowieka, który woli mówić o rzeczach nieprzyjemnych, ale poważnych, niż słuchać nieszkodliwych bzdur — że przestałem już cierpieć nad hańbą, co na mnie spłynęła z czynu ojca?

— W wyniku rozumowania, opartego na stwierdzeniu, że mimo iż coraz więcej otrzymujesz dowodów na to, że tajemnica twoja jest tylko twym własnym złudzeniem, zachowujesz się nadal tak, jak gdybyś wciąż wierzył, że nikt wokół ciebie nie wie, czym jesteś synem. Z czego wniosek prosty zupełnie: jest dla ciebie dogodne zachowywać się po dawnemu, co z kolei do nieuchronnie jedyne prowadzi wniosku dalszego: jest ci dobrze ze swym własnym cierpieniem i z lękiem — nie mającymi już w rzeczywistości żadnego oparcia, by powód tego cierpienia nie został wykryty. Cierpienie zaś i lęk, z którymi jest dobrze, są w równym stopniu zaprzeczeniem rzeczywistości, co gorący lód, więc są udawaniem. Oszustwem, jeśli to przed innymi tylko udawanie; złudzeniem zaś, jeśli także i przed samym sobą.

— Ale udaje się coś, cokolwiekbądź, w jakimś celu?

— ...nie koniecznie więc wyższość; wystarczy jako inność — znów już po wielu godzinach przerwy rechotał Teofil — u schyłku rządów założyciela dynastii byłam —

mniejsza o to, jako kto — w Babilonii; tam właśnie stykałem się z Żydami...

Heliodor wyciągnął rękę, by i drugie zatrzasnąć drzwi — łączące przedsionek z tarasem; nadspodziewanie gwałtownym, wręcz brutalnym chwytem Mankuras ścisnął tę rękę w przegubie i unieruchomił ją; drzwi zostały pół otwarte.

— Albo do mnie mówisz, albo tamtych bzdur słuchasz — warknął Heliodor też gwałtownie, wręcz brutalnie.

— Władnym robić to i tamto równocześnie — uśmiechnął się Ind i wypuścił przegub z uścisku.

Ale Heliodor nie był władny, więc dał rozmówcy do wyboru: zamknięcie drzwi lub powrót na taras — samotny Inda powrót, bo on się czuje nazbyt wszystkim zmęczony i chce wypocząć u siebie w sypialni.

— ...Nie mówię: jam lepszy czy tamten Żyd, ale jesteśmy inni. Toż samo ze stosunkiem wzajemnym człowieczeństwa i boskości. Powiadasz, młodziku, że bóstwo nigdy nie odczuwa tęsknoty do nicości. Cóż ty właściwie możesz wiedzieć o odczuwaniach istoty, gatunkowo tak od ciebie odmiennej? Nie więcej niż słoń czy tygrys o twoich własnych, chyba że znów wrócimy na poprzedni szczebel tej rozprawy, stwierdzając zgodnie, że boskość to tylko ludzki wymysł, więc wtedy, oczywiście, do woli wszyscy możemy popisywać się wyścigiem pomysłowości, mówiąc o odczuwaniach istot, rzekomo odmiennych, a naprawdę stanowiących w najlepszym razie nasze najdumniejsze o sobie samych sny. Ale na obecnym szczeblu rozprawy rzecz musi się przedstawiać tak: bóstwo nie może przestać istnieć, choćby nawet najbardziej pragnęło, bo wszak podstawową cechą boskości jest nieśmiertelność. Otóż na tym polega nasza ludzka — znów powtórzę: nie wyższość, tylko inność — posiadamy właściwość, boskości niedostępną, jak z kolei nam, ludziom, niedostępna jest właściwość ptasia: latania.

— Ale Daidalos i Ikar, a bodajże i dwie inne jeszcze pary bliźniaków baśniowych — wtrącił Agatokles — ci latali...

— Na ptasich skrzydłach, czyli przybierając dodatkowo obcą swemu gatunkowi właściwość. W Babilonii też słyszałem, że bogowie — oblekłszy się w kształt ludzki — umierali... Ale właśnie musieli przyjąć na się coś poza-

boskiego, by móc umrzeć... A i to podobno niezadługo po śmierci zmartwychwstawali. Ale niech bóstwo, jako bóstwo, odczuje, że ma dość istnienia — cóż na to poradzi? Musi nadal istnieć. Żaden z nas trzech tu natomiast — nie musi.

— Masz tu potwierdzenie — powiedział Mankuras do Heliodora — na to, com ci chwilę temu rzekł. Teofil nie udawał cierpienia nad swym kalectwem ani lęku, że zostanie wykryte, choć wniosek, że cierpienie jego przekroczyło już najwyższą granicę jego wytrzymałości, jest fałszywy. Też jest złudzeniem tylko. Ale złudzeniem — daruj, o przyjacielu! — na wyższym szczeblu rozwoju zdolności rozeznawania, niż twoje.

— Albo zamkniesz drzwi, albo...

— Więc zamknę, bo masz jednak słuszność: gdy topi się naraz dwu, ratować pierwej trzeba tego, który o własnych siłach krócej niż drugi, zdoła na powierzchni się utrzymać.

— Któż jest ten drugi?

— Winszuję, Heliodorze. Bałem się, że powiesz: „Jesteś w błędzie: ja nie tonę”.

— Ciekawość często wyprzedza wolę dania świadectwa prawdzie.

— Jeszcze zaś częściej wolę spojrzenia prawdzie w oczy. Otoś był rzekł — nadzwyczaj rozsądnie: udaje się coś, cokolwiekbądź, w jakimś celu. Dodam: i to wówczas, gdy nawet przed samym sobą się udaje, czyli że i złudzenie jakiemś celowi — jakkolwiek bezwiednie — nieuchronnie służy. Twój cel jednak nie jest aż tak całkowicie bezwiedny, jak to mnie samemu zrazu — błędnie — się zdawało. Tyś bowiem świadom, że nie chcesz mieć dziecka z Dioneją, nie wiesz zaś tego tylko, dlaczego nie chcesz. Pozwól więc, że ci powiem: niechęcią, niesmakiem a może i wręcz odrazą napawa cię ta sama możliwość, która Dioneję nęci; wzdragasz się przed daniem życia istocie, która by równocześnie mogła być — nade wszystko wyglądem zewnętrznym, ale nie tylko — i Dioneją, i tobą. Bo — uważasz? — ciebie już nie stać byłoby na odesłanie takiego dziecka na wyspę odrzucanych niemowląt; musiałbyś więc znosić je przy sobie może przez długie, długie lata; gdyby więc nawet spełniło się najdroższe a najskrytsze twoje marzenie, by Dioneja — tak

czy owak — nareszcie z twego życia znikła, zawsze może zostać w postaci dziecka przy tobie coś, co jednak stale ci będzie Dioneję przypominało. Nie przerywaj mi, proszę! Tyś się wcale nie chciał z Dioneją żenić, gdy nadziedział wreszcie czas dojścia oblubienicy do lat, gdy prawo na małżeństwo zezwala, czas ten, zresztą, trochę nawet — wiem — przeciągnąłeś. Nie dziwię ci się: mało który oblubieniec zna swą narzeczoną tak dobrze a tak dawno, jak tyś znał swoją. Właściwie, jako swe przybrane dziecko, toś ją nawet lubił, więcej: byłeś z niej, z jej sposobu bycia i myślenia, z jej wykształcenia i przenikliwości nawet dumny, choć i nie zawsze zadowolony. Ale ciebie nie nęciła, jako kobieta, a raczej może tylko przestała cię nęcić, zapewne głównie dlatego, żeś wprost za długo na nią, jako właśnie na kobietę czekał... Spodziewałeś się wciąż jednak, że gdy już wreszcie będziesz ją całkowicie miał, znów cię nęcić zacznie, i ona — domyślam się tego raczej, niż wiem — robiła wszystko, by ci czekanie wynagrodzić, by ci za życie się odwdzięczyć, by stać się dla ciebie czymś więcej, niż tylko dotrzymanym przyrzeczeniem, jakieś był dał kiedyś dynastii, więc światu. Robiła wszystko — powtarzam, choć nie umiem powiedzieć, czy ciebie kocha. Znam się na kobietach źle, i właśnie to ogromnie mi utrudnia prowadzenie sprawy Leptynesa tak, jakbym chciał. Ale co do ciebie dobrze wiem: ty jej, jako kobiety, wcale nie kochasz, choć długo starałeś się w sobie tę miłość wykrzesać. A kochać chcesz bardzo, co też nie dziw, boś nie wyładował był w sposób normalny tej miłości, jaką w przyrodzonym porządku rzeczy okazuje się we właściwym czasie rodzicom. Właśnie: bardziej chcesz kochać, niż być kochanym. Więc też Dioneja może ci — o ile cię kocha, czego, jakem rzekł, pewien nie jestem — aż podwójnie ciążyć: sobą i swoją miłością. Nie wiem jeszcze, dlaczego tak się dzieje, że osobowość twoja o tyle bardziej potrzebuje dawać miłość, niż brać; sama sprawa Bolisa tego nie tłumaczy — ale — ufam — i to także będę wiedział. Jednego przecież jestem pewien: Dionei przedmiotem swej potrzeby dawania miłości zrobić nigdy nie mogłeś, jakkolwiek chciałeś, a teraz także i nie chcesz. Więc pragnąłbyś jej się pozbyć...

— Co za bzdura! Prosiła mię, bym jej pozwolił odejść, odmówiłem...

— Jasne! Chcąc ją zniszczyć, nie możesz, po pierwsze ryzykować, by odszedłszy, wróciła — może w chwili, gdy sposobności do zniszczenia jej będzie mniej niż teraz; po drugie, twoja niezaspokojona potrzeba kochania nie pozwala ci na przyznanie się przed sobą samym, że coś w tobie — właśnie to coś, co pozostaje jeszcze dla mnie niezrozumiałe — czyni dla ciebie z Dionei — najoczywiściej najwłaściwszego przedmiotu miłości — odwrotnie, istotę, ku której owa potrzeba kochania promieniować nie może, na co znowuż sama znajomość jej od dziecka i długie na nią czekanie całkowitym wytłumaczeniem nie są, bo aby kogoś zniszczyć, na to mało jest tego kogoś nie kochać, trzeba jeszcze za coś nienawidzieć, a do nienawiści żadnego nie dała ci powodu...

— Leptynes! — wyrwało się Heliodorowi.

— Któremu tylko jesteś ogromnie wdzięczny za pojawienie się w życiu twoim i Dionei — tak bardzo wdzięczny, że — jak twój okrzyk sprzed chwili dowodzi — hojnie wynagradzasz go przyznaniem mu tego, za co się podaje, tak że gdybyś go nawet i zabił, to tylko jako kochanka niewiernej żony, nie zaś jako ściganego przez siebie z tytułu twych obowiązków zawodowych szpiega...

— Wolę już słuchać tamtych bzdur! — zawołał Heliodor i wybiegł na taras.

.....że naszą formą — to znów Leptynes mówił — zastąpimy bezmiar nonsensu, w który — jakeś sam rzekł — niczym w gęstą mgłę, spowili najbardziej słuszną treść, wzmagającą wspaniałość człowieczeństwa poprzez jasne wskazanie celu dla dążenia, a tym samym sensu istnienia. Ale pomijając już to, że samo wskazanie celu nie jest jeszcze dowodem słuszności, bo wskazać cel to okazać się ogromnie użytecznym, użyteczne jednak a słuszne to wcale nie jest to samo, ale pomijając nawet to — powtarzam — gdzie jest dokładna granica między formą a treścią? Wiem, że Pan Mądry żąda od swych czcicieli czy też szermierzy przewodzonego przez siebie dążenia ku zwycięstwu dobra, by wstępując w związki małżeńskie, zawierali je raczej z krewniaczkami, ba, najlepiej z siostrami, czy żądanie to wchodzi w zakres treści czy bzdurnej formy? My, Grecy, uważamy takie związki za ohydę, więc próbując zohydzić je i w odczuciu Irańczyków, formę tylko będziemy burzyli czy treść samą podcinali? Da-

ruj, królewiczu, ale gdybyś przekonał mnie co do wszystkiego innego, więcej: gdybyś położył mi do stóp wszystkie skarby całej Azji, a sam twój ojciec, Król Wielki, chciał mię wziąć za syna czyli dać mi w tobie brata, jeszcze bym nie został z wami, właśnie dlatego, bo bym się bał, że im wyżej w moc i znaczenie będą rośli pod waszymi rządami tubylcy — tacy oto — tu wskazał na stojącego w drzwiach przedśionka Mankurasa — jak ten, taki nadejdzie kiedyś dzień, gdy ustawy, zgodę narodów pod rządami Eutydemidów umacniające, zażądają ode mnie, bym kładł się do łoża i płodził dzieci z siostrą... Cokolwiek zaś mnie spotka tam na Zachodzie, na pewno nie zagrozi mi ta właśnie ohyda...”

— Kto wie, chłopaczkę, kto wie — znów słodko odezwał się Teofil: — ale najważniejsze, masz siostrę?

— Przyrodnią, bękartą... Ale... ale czy nie jest to już łamaniem słowa Eutydemidy?

— Jest — powiedział od drzwi Mankuras. — Nie będzie nim natomiast inne pytanie: Otoś chwilę temu zaszczycił mię domysłem, że gdy tacy jak ja, tubylcy wzrastać będą w siłę i znaczenie, zagrozić ci kiedyś będzie mógł nakaz kazirodztwa. Na jakiej zasadzie takeś to ujął? Czy nie wiesz, że my Indowie, nie mniej silnie niż Grecy, wzdragamy się przed małżeństwami z krewniaczkami?

— Miałem na myśli w ogóle wszelkiego rodzaju dziwności, przeważnie ohydne, jakimi wznoszenie się tubylców może skazić ducha greckiego, gdy się pielęgnuje zasadę zgody narodów. Zgoda: wy — Indowie nie udajecie się do łoża z siostrami, ale, o wysłanniku dostojny Króla Wielkiego, skoroś tak odczytany w greckiej poezji, pamiętasz, co wyrosło z posiewu Kadmosa? Otoś był łaskaw zaszczycić mnie wprowadzeniem i w waszą indyjską — jakieś mówił „Iliadę”, i zaiste był to lekkomyślny posiew smoczych zębów! Owszem, powiem szczerze, wcale wzruszający był ów wasz Diomedes, wołający tuż przed bitwą na rydwanie bojowym do swego boskiego woźnicy, że może lepiej byłoby, aby on sam zginał, niż żeby zwycięstwo osiągnął za cenę śmierci wojowników bez liku, jak się on naprawdę nazywał? Bo nie godzi się równać go z Tydydą, a już szczególnie jego boskiego woźnicy z Palladą...

— Nazywał się Ardżuna. A jego woźnica — Krysna.

— Jak? — zawołał Teofil. — Ar Dżu Na?

— Ar Dżu Na? — zawtórował Leptynes.

Heliodor się zdumiewał, jak oni to mogą tak wymówić! Ardzuna, tak, to byłoby proste, swojskie dla ucha; nawet od biedy uszłoby i Ardszuna, choć oddając tę wymowę pismem, trzeba byłoby się posłużyć takim dziwactwem, jak litera „san” kształtem do „ro” podobna, a w swej treści dźwiękowej tak od „r” odległa! Trzydzieści blisko lat już próbował do tego „san” i jego brzmienia nawyknąć, nawyknął, ale zawsze raziło jako coś, czego go tam, na Zachodzie nie nauczono, gdy po raz pierwszy w życiu kazano mu wziąć do ręki tabliczkę i rylec.

— A cóż boski woźnica na takie wołanie? — zainteresował się Teofil.

— Przyjął je do wiadomości z niezmierną powagą — uśmiechnął się Mankuras: — i wiele bardzo zadał sobie trudu, by wreszcie bohatera przekonać, że jednak zabijanie wrogów to rzecz godziwa.

— Jasne — Teofil znów już rechotał — że nie mogła to być Pallada, ani w ogóle żadna kobieta. Gdzieżby się jaka kobieta — podległa śmierci, czy nieśmiertelna — wzięła takie wołanie poważnie, a jeszcze by się w długi wdała wywód! Wyśmiałaby, nawymyślała od tchórzy, i już!

— Ja jednak myślę, że to była kobieta — powiedział Leptynes, też uśmiechając się — i to taka, która, gdy o jej własnych, nie o cudzych mężów chodziło, wcale wymownie umiała stawić litość, jako najwyższą z wszystkich cnót...

— A ty skąd o tym wiesz? — zdumiał się Mankuras, a wyraźnie nieradosne było to zdumienie. — Ale błędzisz, poplątałeś dwie różne osoby...

— Nie zwiedzisz mnie — już zupełnie złośliwie uśmiechał się tamten. — Na wozie bojowym Kryszna — i z mężami na skwarze zabijającym także...

— Ale to jest inaczej pisane, inaczej akcentowane, a i inaczej też brzmi. Twoje ucho tego nie pochwyciło. To są dwie zupełnie różne postacie z poematu; kobiecie, zresztą, poemat nadaje raczej imię Draupadi.

— Czy ona — na odmianę znów słodko zaczął wypytywać Teofil — tak się lubowała w zabijającym skwarze.

że ilekroć zamąż wyszła, każdego kolejnego małżonka próbie wrażliwości na porażenie słoneczne poddawała?

— Każdego kolejnego? — triumfująco zawołał, wręcz zagrzemiał już Leptynes. — Ależ miała ich wszystkich naraz i to samych braci rodzonych. Przyznajesz się, że smoczy to był posiew? — zwrócił się do Mankurasa. — Obudziłeś, podnieciłeś moją ciekawość — to na odmianę ja ci przyznam — więc sobie myślałem: co się też dalej po owej wielkiej bitwie mogło z Ardżuną stać, tak jak się myśli zazwyczaj, Iliadę przeczytawszy, a nie znając jeszcze Odysei: co się z tym bohaterem stało potem? A co z tamtym? Szczęśliwy przypadek mi dopomógł: Gdy się zaczęła owa moja — skrzywił się z niesmakiem — ucieczka, gdzieś był — jak myślicie — ukryty, nim mię na wyspę odrzucanych niemowląt skierowano? Oto na samym dole okrętu, wśród wypoczywającej — w łańcuchach wypoczywającej! — zmiany nieco przedtem zwolnionej, wioślarzy... Że zaś nie wszyscy Indowie wysokich dochodzą stanowisk w służbie — bądź co bądź w ich pojęciu najeźdźcy! — greckiego Króla Wielkiego, ale są także i tacy, co Grekom zbrojny stawiają opór i walcząc, bądź giną, bądź do niewoli się dostają. Przydarzyło mi się właśnie wtedy, tam na dole, jeszcze jednego poznać na pokładzie tej samej „Zgody Narodów” Inda z ręką, przez Greków ciężko okutą, nie zaś dostojnie upierścienioną... Ale mimo tej różnicy, i on też doskonale wiedział, kim jest Ardżuna, a nawet nazwał jego braci, z których to nowych dla siebie czterech imion zapamiętałem dwa tylko: Bhima i Nakula, ale czy zapomnianych przeze mnie czy spamiętanych — wszystkich pięciu jednako była żoną owa Draupadi, jak powiada dostojnie upierścieniony, względnie Kryszna, jakem słyszał od ciężko okutego...

— Myślę, Mankurasie — zdumiewająco ostro przerwał Leptynesowi Agatokles — że warto by jednak bezczelnego młokosa poddać chłóście. A może też i zastanowić się nadto: czy w tej właśnie dopiero chwili nie zdradził się jako samozwaniec, a zapewne i szpieg też, choć raczej chyba Sungów agent a nie barbarzyńców północy?

— Cóż to znowu? — bardziej się jeszcze niepokoił, niż dziwił, Heliodor. — Sungowie? Za wiele stanowczo tych zagadek!

Nawet go nie cieszyło, że Agatokles, tak wciąż dotąd niedopuszczalnie wręcz przyjazny Leptynesowi, nie tylko zmienił nastawienie, ale podsądneho określa jego, Heliodora, dobitnym a mało życzliwym zwrotem.

— Wręcz przeciwnie — odparł Mankuras. — Mam go w tej chwili za tego, kim się być mianuje, bardziej niż kiedykolwiekbądź dotąd.

— Bo jesteś bardzo mądry — ani na chwilę nie przestawał uśmiechać się Leptynes. — Może wszyscy wy, Indowie, bardzo jesteście mądrzy. A może i Irańczycy takż. I my, Grecy, też nie za najgłupszych się mamy. Czy wyjdzie jednak na dobre mieszanie tych różnych odmian mądrości, tak do siebie niepodobnych? Daruj, królewiczu, może znów powiesz, że m szpiegiem jakichś tam Sungów, ale czy nie lepiej — skoro, okazuje się, nie możemy już my, Grecy, podbijać obcych krajów tak, by w podbitych panami wyłącznymi zostawać — podbojów dalszych w ogóle zaniechać? A przynajmniej takich podbojów, gdzie nasza grecka mądrość z inną odmianą mądrości się zderza, a zamiast zdławić tę obcą, pozwala jej kwitnąć obok siebie, więcej: na siebie wpływać, jak tego dowodzi cały twój wywód, na rzecz potrzeby zjednoczenia greckiej formy z treścią irańską dla dodania większej wspaniałości sensowi istnienia ludzkiego? Ale oto do irańskiej treści wraz z podbojem Indyj dojdzie jakaś indyjska, i my co? Wszystkie te treści będziemy przejmowali, naszą je formą obdzielając? Biednaż ta forma! Zupełnie tak biedna, jak kobieta grecka, co by od Iranu jedną ohydę przejmując, od Indyj drugą, została żoną — inaczej niż Draupadi a zarazem i tak właśnie jak Draupadi — żoną wszystkich naraz własnych braci, rzeknij, o panie, jakby się takie małżeństwo skończyło? Czy nie wpadłaby biedna Greczynka w szal i sama w sobie jednocząc tyle Danaid, ile ich było, wszystkich swoich mężów...

Pióro postawiło kreskę, czyniącą z możliwej „lambdy” nieodwracalną „alfę”. Heliodor szybko opuścił taras i znalazłszy się w swej sypialni, upewnił się najpierw, czy dobrze zatrzaśnięte są drzwi, jał wołać wielokrotnie:

— Teodoro! Teodoro!

Nie zrażał się długo trwającą bezskutecznością tego swego wołania. Uparcie powtarzał głośno to samo imię. Wreszcie osiągnął, czego chciał: niewidzialny głos kobie-

cy odezwał się, silnie zdradzając — jeśli i nie zatrwożenie — to przynajmniej wzruszenie.

— Teodoro — powiedział — zawarliśmy z sobą umowę. Nadszedł czas właściwy, by została wykonana. Wiem, jak i dlaczego umarł młody Eutydemos. Wiem, co grozi jego braciom, i znowuż dlaczego to im grozi. Muszę zaraz mówić z królewną.

— Przyjdź zaraz na pomost królewski. Strażnikiem u szczytów schodów będę ja. Na wszelki jednak wypadek zapamiętaj sobie hasło: Zgoda narodów trwa.

Miał zawrót głowy, wstępując na pomost. Jeszcze większy, gdy schodził. Nie pozbył się go, rozmawiając w głębi komnat królewskich z Antymachem. Ani nawet kąpiąc się w sadzawce królewskiego gimnazjonu z Agatoklesem. Dopiero — a i to częściowo tylko — słuchając szczegółowego sprawozdania Menandra z przebiegu wspólnego samobójstwa Teodory i Teofila. Całkowicie zaś od tego zwrotu głowy się uwolnił, nie wcześniej niż słuchając wieczorem Leptynesa. Forma opowieści zdecydowanie działała nań kojąco; na treść myślowo nie reagował właściwie wcale, szczególnie na początku, uczuciowo zaś, oscylując między obojętnością a wrogością, z tym jednak, że była to już tylko wrogość zazdrości o oko, co z pierwszego wejrzenia dopatrzyło się w Dionei piękności.

III

Orestes — tak jak zapowiedział był w Sardach królowi Eumenesowi — tuż po zawarciu rozejmu między Rzymianami a wysłannikami króla Antiocha udał się poza łańcuch gór Tauru, mający odtąd stanowić najdalej zachodnią granicę sfery wpływów dynastii Seleukidów. Na wyjeździe zaofiarował samorządowi sardyjskiemu na sprzedaż wykonany przez siebie zdumiewająco szybko tryptyk gipsowy: część lewa wyobrażała opiekuńcze bóstwo Sardów, gdy na klęczkach jedną ręką sięga nieśmiało ku swej koronie, spoczywającej na podnóżku tronu Antiocha, a drugą wyciąga z gestem nadziei ku dwom postaciom, w których nie trudno było rozpoznać — po ogolonej do skóry głowie Rzymianina, zapewne Skipiona, a po wydatnym nosie i brodzie króla Pergamu. W części środkowej tryptyku tron był już pusty, Antiochos odchodził na prawo; odwrócona do niego plecami bogini Sardów trzymała już koronę w swych rękach i ofiarowywała ją Rzymianinowi i Eumenesowi, którzy obaj z nadzwyczaj szlachetnym, wspaniałomyślnym wyrazem twarzy, pomagali jej lewymi rękami podnieść się z klęczek, a prawymi wykonywali gest, mający wyrażać odmowę przyjęcia ofiary z korony. W części prawej ukoronowana bogini obejmowała gestem rozpaczony podnóżek pustego tronu, daremnie próbując się wymknąć uchwytowi rozwartej szeroko wilczej paszczy; na lewo od wilczycy ogolony Rzymianin stał odwrócony plecami, a Eumenes uśmiechając się potulnie, wyciągał rękę, najwidoczniej po ochłapy.

które zechce mu — nasyciwszy się — zostawić wilczyca; Antiochos zaś scenie tej przyglądał się w zadumie i z bardzo lekkim, ledwie dostrzegalnym uśmiechem, o którym Leptynes mówił, że był to niewątpliwie prawzór pomysłu. doskonałość osiągającego dopiero po wielu latach na mocie oznaczonej napisem „Antymacha Króla Boga”. Oczywiście, tryptyk został kupiony, i to po cenie wręcz zawrotnej, po to jedynie, by ulec natychmiastowemu zniszczeniu; nim jednak się dokonało, wśród przerażonych raczej niż zgorszonych członków samorządu sardyjskiego znalazł się ktoś, kto niepostrzeżenie zdążył zrobić pośpiesznie kopie rysunkową, a że ten ktoś sam najwidoczniej wcale dobrym był rysownikiem, kopia ta, wielokrotnie odtwarzana, musiała szeroko i z wielkim powodzeniem krążyć po świecie greckim, jako że niebawem na Orestesa, zamieszkałego najpierw w Antiochii, potem w Laodycei syryjskiej, zaczęły się sypać niezliczone zaproszenia, najdosłowniej zewsząd, gdziekolwiek tylko mówiono po grecku, a zarazem znano już sposoby, umożliwiające robienie rzeczy, Rzymianom niemiłych, tak by Rzymianie nie dostrzegli lub udali, że nie dostrzegają. Między zaproszeniami tymi było jedno od samego króla Eumenesa. Brzmiało: „Gdy koń, którego chcę kupić, zrzuci mię z siebie i to tak nawet, że się potłukę, wcale to nie zmniejsza mego zapędu do kupna”. Nie ono jednakże sprawiło Orestesowi największe zadowolenie, wyraźnie szyderstwem zaprawione — tylko inne... pochodzące z Rzymu samego od Gajosa Lailiosa, o którym wiadano w świecie greckim, że jest jednym z najbliższych przyjaciół właśnie braci Skipionów. Wbrew ostrzeżeniom i lękom swego otoczenia, Orestes w żadnym z tych zaproszeń nie był skłonny dopatrzeć się potrzasku. Rzymianie — mówił — wyraźnie zaczynają ujawniać poczucie humoru, które, jak wiadomo — wywodził — jest zawsze pierwszym objawem słabnięcia barbarzyńskiej tężyzny. Podobno — dodawał — mają już nawet swojego własnego komediopisarza w osobie niejakiego Plautosa. Eumenes zaś naprawdę jego talent rzeźbiarski ceni i to z rzeczywiście wielką znajomością rzeczy; gdyby pojechał do Pergamu, jak najmiłszego doznałby przyjęcia. Odpowiedział jednak odmownie: Eumenesowi, wypominając gramatyka Dafidasa z Telmesu, którego poprzedni król Pergamu ukrzyżował

na szczycie góry Toraks za to, iż mówił o dynastii Attalidów dokładnie to samo, co on, Orestes, o nich myśli; Lailiosa zaś powiadomił, że skoro wola ludu rzymskiego — właśnie owej wilczycy z prawej części tryptyku — do wspaniałomyślnych warunków pokoju, zaofiarowanych w Sardach wysłannikom Antiocha przez Skipiona, dorzuciła zakaz dla okrętów królewskich żeglowania dalej na zachód niż do przylądka Sarpedon, on, Orestes, jakkolwiek by i chciał, nie widzi dla siebie możliwości dostania się do Rzymu, jako że nie będąc ani daniną, ani posłem, ani zakładnikiem, nie podpada pod żadną kategorię wyjątków, przez zakaz powyższy przewidzianych. Do odmowy tej przecież załączył prośbę: oto niech Lailios nie powtarza nazbyt głośno na „Forum Romanum”, że ma jego, Orestesa, talent rzeźbiarski za wręcz olbrzymi; mogłoby się bowiem przydarzyć, iż nieprzyzwyczajony do metafor lud rzymski, słysząc, że przymiotnikiem takim określa się kogoś, co się zowie Orestes, gotów byłby gromadnie pomyśleć, że to się słon tak zowie, i zażądać podciągnięcia Orestesa pod inną jeszcze klauzulę dodatkową do pierwotnej umowy pokojowej, mianowicie opiewającą, że król Antiochos musi wydać wszystkie swe słonie i żadnych nigdy więcej nie posiadać.

Na tarasie wśród słuchaczy zapanowało oszołomienie, a wnet potem bezgraniczna wesołość. Wszyscy byli pod głębokim wrażeniem podwójnego samobójstwa, wszystkim było wstyd, że się śmieją, a jednak nie byli w stanie śmiechu stłumić, nikt, nawet Heliodor. Bo przecież to były stąd słonie — z serca Azji, z Baktrii, wydarte pierwszemu Eutydemosowi, gdy wreszcie po dwuletnim oblężeniu Baktry doszło do ugody między nim a Antiochem. I oto jaką w końcu korzyść miał z nich Seleukida? On, który — dobrze to sobie Heliodor przypominał — gdy wreszcie powiadomiono go, że były jego rękodajny pragnęły nie wracać na Zachód — odpowiedział Demetriosowi, młodzikowi wówczas, niedbale machnąwszy dłonią: „Jeśliście gdzieś jakieś słoniątko ukryli, wszystkich swych rękodajnych wzamian za nie chętnie wam odstąpię!” A przecież jeszcze nadto, gdy od Baktry po zawarciu pokoju odstąpiwszy, do Indyj pociągnął, to też właściwie po słonie tylko: ledwie je od Sofasagenesa dostał, zaraz się z Indyj wycofał! Jedne i drugie — Eutydemosa słonie i Mauriów

— powiódł dumnie na zachód; rozdeptać miały Rzymian na miazgę — zapowiadał — ale naprawdę to pod Magnezją deptały nade wszystko w ucieczce własne jego wojsko... i to najwidoczniej tak skutecznie, że czegokolwiek odeń Rzymianie po rozgromie żądali, na wszystko przystał, więc i na słoni wybicie...

— Nie zostały jednak po dziś dzień wybite — powiedział Mankuras i zaraz dodał:

— Złamałem słowo Eutydemidy. Żałuję.

— Nie zostały wybite? — zdumiał się Leptynes, a w głosie jego zabrzmiało coś jak gdyby zawód. Sam się temu zdziwił, ale nie tylko sam: oto Agatokles uzyskawszy naprzód od niego pozwolenie na złamanie swego słowa, też wytknął mu ton zawodu i zapytał o możliwe źródło myślowe. Leptynes najniedwuznaczniej szczerze, o przy tym mocno zakłopotany, odpowiedział, że sam nie wie, że nie rozumie; źródło jeśli jakieś w ogóle i było, to na pewno nie myślowe, był to bowiem raczej odruch bez żadnej podstawy rozumowej.

— Taki odruch to zazwyczaj przeczucie — powiedziała Agatokleja, tej nocy wcale na odmianę nie ukrywająca już swej tożsamości pod męskim strojem; przeciwnie — żałobna jej „chlamyda” dopiero teraz ujawniała Heliodorowi kobiecość całkowicie dojrzałą kształtów ledwie co pełnoletniej wedle prawa greckiego bratobójczyni.

Nad tym jej powiedzeniem mieli zawzięcie dyskutować ci którym przypadło w udziale nie tylko zapamiętać je sobie, ale i dożyć takiej chwili, gdy miały zajść wypadki, podnoszące owo jej powiedzenie do godności tematu, najniewątpliwiej nadającego się na przedmiot najbardziej zawziętej dyskusji. A nie wszyscy z tych, co je słyszeli, zapamiętali sobie; z tych zaś, którzy zapamiętali, nie wszyscy dożyli. Lecz ci, co zapamiętali i dożyli, choć spierając się zawzięcie, wdzięczni mieli być sobie nawzajem — Agatoklei zaś wszyscy nade wszystko — za możliwość przeniesienia się na chwilę myślą poprzez osiemnaście lat w wieczór, gdy tacy byli — też wszyscy! — odmienni i gdy każdy z nich — poza jednym chyba Menandrem — jeśliby go albo jej zapytano: „Czego pragniesz od przyszłości?” — takiej udzieliliby odpowiedzi, dla jakiej rzeczywistość, ich czekająca, miała mieć tylko bądź szydercze, bądź współczujące, bądź nieufne — tak czy owak jednak

wielkie, bezgraniczne wręcz zdumienie, nieporównanie większe od tego, jakie zgromadzonych na tarasie w drugi wieczór opowieści Leptynesa ogarnęło, gdy ten — przyjrawszy się Agatoklei uważnie w świetle lamp — odrzekł na jej proroczą poniekąd uwagę z westchnieniem:

— Jesteś córką jedyną Króla Wielkiego, nieprawdaż? Już ciebie nie będę miał za żonę.

Po czym podnosząc się i krzyżując ręce na piersiach, zawołał:

— A teraz jednak bądźcie łaskawi dotrzymać słowa, danego mi przez najmłodszego Eutydemidę. Wszystkiego się dowiecie o właściwym czasie.

I na powrót usiadłszy na nowo podjął, jak gdyby nic się nie było stało, opowieść o posuwaniu się Orestesa coraz dalej a dalej na wschód, aż znalazł się — z jedynakiem, ale już bez żony, która po wielu silnych krwotokach umarła w Suzie — w Aleksandrii nad jeziorem przy ujściu rzeki Eurymantos. Znalazł się zaś aż tam właściwie w wyniku rady samego króla Antiocha: oto coraz łaskawszy nań władca zaczął się w pewnej chwili niepokoić, czy jednak granice, w których tryska świeżo narodzone poczucie humoru u Rzymian, nie są wciąż jeszcze nazbyt ciasne na to, by Orestes mógł sobie pozwolić na beztroskie pokazywanie się co dzień w łaźniach publicznych bądź Antiochii, bądź Laodykei; że zaś ostateczna umowa pokojowa z Rzymianami przecież i Antiochowi coś niecoś wygrać — w stosunku do pierwotnej — pozwoliła — mianowicie zastrzeżenie, że takie a takie, wymienione przez Rzymian osoby, król zobowiązuje się wydać im, tylko o tyle, o ile będzie to w jego mocy, łaskawość obojętnego monarchy coraz natarczywiej zalecała ulubieńcowi posuwanie się dalej a dalej właśnie na wschód; przecież za Eufratem, a już szczególnie za Tygrysem — tłumaczył mu listownie, a raz w Suzie i osobiście — nawet i taki olbrzym, jak Hannibal, mógłby się łatwo bez śladu zgubić; jego jednak wołał Seleukida na barki innej przerzucić odpowiedzialności, bo nazbyt już się Rzymianie Hannibala boją, więc też doradził mu umkniecie na dwór bityński do Pruzjasa; Orestesa natomiast chce mieć — choć i daleko od siebie, nieraz nawet przez lata całe — ale pod własną wciąż opieką; niezmierny jest obszar Azji jego władzy podległy, najspokojniej

wpuściłby w swe granice i tysiąc Rzymian, by Orestesa szukali, nigdy by nie znaleźli! Ale niechże się Orestes naprawdę dobrze we wnętrzu Azji zaszyje, nawet Seleukia nad Tygrysem to za mało bezpieczne schronienie dla kogoś, kto Rzymian w jakikolwiek sposób — choćby najlżej — uraził lub zaniepokoił. Namowy to były tak gorące, a tak stanowcze, że Orestes zaczął podejrzewać, iż ostrożnością przesadną króla coś więcej kieruje, niż tylko troska bez granic o ulubieńca, i chyba tak też było: w wyprawie karnej, którą król zgotował przeciw lennikom zbuntowanym, kapłanom boga Bela elimaickiego, zamierzał niewątpliwie posłużyć się pomocą wcale wpływowego odłamu wśród ludności Suzy, gdzie poza tym zbyt wielu, jak na upodobanie królewskie, było czcicieli Bela, otóż więc zrazu bardzo przydatna mogła się dlań okazać właśnie w Suzie Orestesa obecność dzięki dawnemu doświadczeniu w zyskiwaniu królowi zwolenników; z drugiej jednak strony na zachodzie rozgromiony — nie zamierzał bynajmniej Antiochos zrażać bez potrzeby sobie także i wschodnich lenników; po ugięciu kapłanów Bela chętnie by im zrobił podarunek z usunięcia Orestesa, co by ich nazbyt już sobie zraził, pomagając w czasie wyprawy karnej królowi tak, jak król tego po nim oczekiwał..

Mankuras zrobił ruch, jak gdyby chciał opowiadającemu przerwać; na czas jednak najwidoczniej przypomniawszy sobie o słowie Eutydemidy, poza ruch ten o tyle tylko wyszedł, że coś sobie zapisał na tabliczce.

— Niewątpliwie wiecie — ciągnął Leptynes, jak gdyby nie widząc wcale, co robi Mankuras — że właśnie w czasie tej to wyprawy karnej król Antiochos Seleukida — pierwszy chyba, którego Grecy nazwali Królem Wielkim — odszedł spomiędzy żyjących i podniesiony został do godności boga. Ponieważ — jak mię przekonywano tu dzisiaj — bogiem może pośmiertnie zostać ten tylko, kto i za życia miał w sobie boskość utajoną, była owa karna wyprawa walką dwu bogów, z których zwyciężył — rzecz dziwna! — kamienny krwistego. Jeszcze zaś chyba dziwniejsza, że poraził współzawodnika nie wcześniej aż dopiero gdy ten do skarbcza świątynnego zaczął się dobijać: najwidoczniej więc błędzą ci filozofowie, którzy odmawiają słuszności kapłanom, gdy ci twierdzą, że to nie im,

ale bogom samym miłe są wielce złotem wypełnione piwnice świątynne...

Mankuras po zapisaniu jeszcze czegoś włożył tabliczkę do puszeki i podał ją najbliższemu strażnikowi, mówiąc półgłosem: „Złóż to obok książek odebranych podsądnemu. Potem skrzynię zamknij na klucz i przynieś mi go tutaj”.

— Czy nie mam już mówić dalej? — opryskliwie, ale i nieco kpiąco, zapytał Leptynes.

— Ależ jak najbardziej! — zdumiewająco wesołym tonem odparł Mankuras. — Zatrószyłem się tylko o to, by bezpiecznie ukryć swe na piśmie utrwalone, przekonanie najgłębsze, kim ty jesteś. Że jednak najgłębszego nawet przekonania nie sposób uważać za pewność tak długo, póki nie wszystkie jeszcze ma się w ręku dowody, na własny wyłącznie użytek, względnie i na twój też, jeśli będziesz tego ciekaw, zaznaczyłem, w jakiej mianowicie chwili powiedziałem sobie: „Tylko to może być prawdą”. Gdy skończysz opowiadać, będę w stanie powiedzieć sobie: „Tylko to jest prawdą”. Albo też: „Byłem jednak w błędzie”. Więc proszę: mów dalej.

— Seleukos, następca Antiocha, jeszcze jako ojca swego współrządca, memu ojcu też sporo okazywał zawsze życzliwości. Najwidoczniej jednak pragnąc za wszelką cenę zwycięskich kapłanów Bela udobruchać, doradził memu ojcu opuszczenie Suzy, a i w ogóle udanie się jak najdalej od Elimaidy. Że zaś mąż siostry zmarłego króla, Heliokles, wojewoda najbardziej wschodnich Satrapij, naonczas Seleukidom podległych, wznosił właśnie nowy zamek na wyspie jeziora obok Aleksandrii Proftazji, zaprosił ojca, by mu wewnątrz nowej budowli ozdobił. Ojciec śmiał się: „Ozdobię je — powiedział do mnie — tak, że wojewoda zdębieje ze zdumienia!” Pojechaliśmy — pierwsza to a jedyna, jak dotąd, była moja podróż morską. Zapewne, chcecie zapytać nieufnie: czemu morską właśnie? Ależ po Medii wtedy Partowie właśnie zaczęli grasować, a przez Persydę? jaki Grek — najodważniejszy chociażby — zpuścił się między Persów, którzy wciąż — choć rzekomo też Seleukidów lennicy — Aleksandra, a i pierwszego Seleuka chyba też, mają za najpełniejsze wcielenie Arymana, owego Złego Ducha, z którym za tożsamego ja mam to wszechmocne rzekomo bóst-

wo, o jakim wcale sporo się tu mówiło dziś rano... Ale... ale czy tych świateł za mało, czy mgła za blisko podeszła, nie dostrzegam jednak wśród was Teofila...

— Czy tylko Teofila? — zapytała Dioneja.

— Moje słowo! — upomniał ją Agatokles.

— W samej rzeczy — tonem niedbałym powiedział Leptynes, oglądając się wokół — nie widzę też niskiego wzrostem strażnika w sogdyjskim stroju.

— Jednego? — zapytała Agatokleja.

— Już wiem — zawołał Leptynes uśmiechając się — toś ty, o pani, była tym drugim, który też znikł. Postrzegam przecież, że tajemnice zwolna przestają tu być tajemnicami...

— Przestają — potwierdził Mankuras — i właśnie zwolna. Nieuchronnie jednakże. Nim nowy wzejdzie dzień, wszystkie zostaną wytropione.

— Bardzo to będzie godziwe — Leptynes nadal się uśmiechał. — Słońce to najpotężniejszy zdzieracz masek. Ale może jeszcze zanim wzejdzie, dowiem się, co się stało z Teofilem... i z Teodora?

— Chcesz, by słowo Eutydemidy znów zostało złamane? — posępnie zapytał Agatokles.

— Proszę o to.

— Więc powiedz mu — zwrócił się królewicz do Menandra.

— Może raczej ja powiem? — odezwał się Mankuras.

— Przecież pod pewnym warunkiem jedynie. Młodzieńcze, pamiętasz, na czym urwała się dziś w południe nasza rozmowa?

— Oczywiście. Zapytałeś mnie, czy bym w żadnym wypadku nie uznał za pożądane, aby miejsce baśniowej Draupadi zajęła przy Ardżunie baśniowym grecka kobieta. Odpowiedziałem: w żadnym. Na co ty: nawet gdyby ona, zajmąwszy na wozie bojowym miejsce boga Kryszny, czyli też miejsce Pallady obok Diomedesa — odkrzyknąć mogła na lament przedbitewny Ardżuny: „Masz słuszność. Lepiej byś sam zginął, niżbyś innych miał zabijać”? Na to wtrącił Teofil: „Nie ma takiej kobiety, a już szczególnie greckiej, chyba że matka, żona lub córka tych, których by tamten miał zabijać, ale taka by się nie znalazła tuż przed bitwą na wozie bojowym wodza przeciwników”.

— Na to ty: nawet. Ale zaraz zawahałeś się i do Teofila się zwracając, rzekłeś: „Owszem czytałem o takiej greckiej kobiecie, która tak by właśnie może i postąpiła”. Po czym do mnie: „Ale nawet i ona, zmuszona, by pięciu naraz być braciom żoną — pomordowałyby ich na długo przedtem zanim by do takiej rozmowy przedbitewnej doszło”... I wtedy to właśnie...

— ...odwołano królewicza i ciebie z tarasu w głąb komnat królewskich.

— Słusznie. Odeszliśmy. Zostałeś z Teofilem sam na sam. Mówiliście z sobą dalej?

— Jeszcze długo. Najpierw zapytał mnie, jaką to kobietę grecką miałem chwilę przedtem na myśli. Rzekłem, że Chilonidę, królowną i królową Sparty, tę, która ojca wyniosła nad męża, a męża nad ojca — kolejno, w chwili klęski każdego z nich. Zresztą — dodałem — ta sama Sparta i właśnie wtedy miała także i swego Ardżunę — król Agis, też kolejno ojca Chilonidy i jej męża współrządca, wolał sam zginać, niż rozlewać krew współplemieńców, gdy zagroziła Sparcie wojna domowa. Na to Teofil: „Bo nie miał rydwanu bojowego, na którym stałaby przy nim, jako woźnica, jakaś kobieta — boska lub śmiertelna”. Odrzekłem mu, że szkoda wielka, iż to nie Agisa żoną była Chilonis, bo zapewne by nie tylko jego ofierze z siebie przyklasnęła, ale poszłaby za nim w śmierć, jak za ojcem i rzeczywiście swym mężem, Kleombrotem, na wygnanie.

— A cóż na to Teofil? — zapytała Agatokleja.

— Daruj, królowno — uprzejmię, wręcz uniżenie, ale stanowczo sprzeciwił się Mankuras — teraz ja z nim mówię. Wytlumacz mi, proszę — znów już obrócony był całą twarzą do Leptynesa — co by komu to dało, gdyby Chilonis Agisa żoną będąc, poszła za nim w dobrowolną śmierć?

— Dokładnie o to samo zapytał mnie Teofil.

— I coś mu odrzekł?

— Że dałoby to wiele, ogromnie wiele — Agisowi. Nie byłoby mu tak strasznie umierać, gdyby razem umierali.

— Czyli jej równoczesna śmierć byłaby dlań ulgą, kiedy ginął?

— Mało: równoczesna. Wspólna. Byłoby to taką samą dla Agisa ulgą, jak było dla Leonidasa, a potem Kleombrota to, że dzieliła z nimi wygnanie.

— Rzekłeś. Więc teraz słuchaj: gdyby przy tym, kogo my, Indowie, zwiemy Ardżuną, a wy Grecy, Diomedesem, stała Chilonis na rydwanie jako woźnica, i wysłuchawszy jego lamentu przedbitewnego, przyklasnęłaby mu i rzekła: „Zginiemy razem, byle byś nie zabijał” — czy byś się pogodził z taką ohydą, jak małżeństwo z kilkoma braćmi w wypadku Draupadi?

— Nie widzę związku.

— Zaraz ci go wskażę. Załóżmy, że Chilonis Ardżuny samego jest żoną, giną wspólnie, zamiast zabijać — i cóż z tej ofiary? Miejsce Ardżuny zajmie jako wódz Bhima — może zagrzany przykładem brata, i on wołałby sam raczej zginąć, niż zabijać, ale kto jemu przyklaśnie? Kto za nim pójdzie w śmierć?

— Jego własna żona.

— Inna niż Chilonis? Wątpliwe. Ale założmy, że i to się stało. Giną Bhima z żoną — na czele wojska staje Judhishthira. Czy z nim też jego żona pójdzie w śmierć, by nie zabijał? A potem żona Nakuli? I Sahadewy? Czy to możliwe? Czyś nie nazwał sam Chilonidy kobietą wyjątkową zupełnie?

— Skoro się tak swobodnie łamie tu moje słowo — wtrącił Agatokles — pozwólcie, że i ja coś dorzucę. Wedle ciebie, Mankurasie, Chilonis, będąc żoną wszystkich pięciu, z każdym by umarła, czy tak? Ale jeśli tak, to w jaki sposób? Zmartwychwstałaby po każdym takim zgonie, ażeby pięciokrotnie zginęła?

— Może by i zmartwychwstała — wiele dziwów jest na świecie. Ale raczej myślę, że zgromadziłaby ich wszystkich razem i gdy wszyscy byłiby już gotowi na śmierć, dopiero z wszystkimi by zginęła.

— Ale po cóż — zawołał Leptynes — miałaby ich żoną być? Czy nie mogłaby raczej — siostrą?

Heliodor drgnął. Uczuł, że oto zaczyna i myślowo też już reagować na to, czemu się przysłuchuje.

— Siostrą? — uśmiechnął się Mankuras. — Czy ta nie miałaby męża? Gdyby Agis był bratem, a nie mężem Chilonidy, czy ta poszłaby za nim w śmierć. Za nic! Przecież musiała Kleombrotowi towarzyszyć w wygnaniu.

— A jako żona, nie siostra, Ardżuny samego czy też z braćmi — znowu zabrał głos Agatokles — na pewno by się przed wspólną z mężem czy mężami śmiercią nie wzdragała? Są kobiety — wiele kobiet — u których miłość siostrzana silniejsza na zawsze pozostaje od małżeńskiej. Nie, Mankurasie, by twój wywód miał jakiś sens, trzeba pójść o krok dalej od przykładu tej, którą nazywasz Draupadi i ogarnąć wyobraźnię także i irański człon tej ohydy, jak to powiada wymowny nasz — w osobie podsądnego — obrońca nieskażonej greckości. By Chilonis towarzyszyć mogła w śmierć Ardżunie z braćmi, powinna być nie tylko ich wspólną żoną, ale także — koniecznie! — siostrą...

— „Jesteśmy plemieniem o wyjątkowo silnie rozwiniętej skłonności do gromadnego samobójstwa” — przemknęło Heliodorowi przez myśl wspomnienie rozmowy ze starym Teodorem w Tarmicie.

— Ale co będzie — zawołał Menander — jeśli w ostatniej chwili któryś z braci-mężów przelęknie się jednak śmierci, uprzytomni sobie, że lepiej zabijać niż ginąć, i zeskoczywszy z rydwanu zbiorowiska samobójców, pobiegnie szybko ku innemu, którym powozi właśnie dawczyni zwycięstw, bogini wojowników nie samobójców — Pallas Atene, czy też indyjski odpowiednik jej męski?

— Wówczas będzie to — spojrzała mu wprost w oczy Agatokleja — że jeśli Chilonis naprawdę wierzy, iż lepiej ginąć niż zabijać, uda tylko przed braćmi, na wozie samobójców — jakieś to nazwał — zgromadzonymi, że z nimi ginie; w rzeczywistości zaś, im pozwalając zginąć, sama się śmierci wymknie i póty będzie żyła, aż za rękę poprowadzi z sobą w śmierć tego, który się był rozmyślił... Albo też — bo w samej rzeczy trudno sobie wyobrazić, by tak wszystkich dało się jej naraz zgromadzić na jednym rydwanie o jednym czasie — najpierw z Ardżuną się umówi, iż z nim zginie, a nie zginie. Potem z Bhimą — toż samo. I z Sahadewą. I z Nakulą. Aż dopiero Judhishirze naprawdę w śmierć będzie towarzyszyła. Zawsze to pewniejszy sposób: bo jak wszyscy razem na rydwanie będą, łatwo się może przydarzyć, że bezbronni pod ciosami padną ona sama i jeden brat, a pozostali albo uciekną, albo też mieczów dobędą...

— Ale to będzie ogromna krzywda — w podnieceniu

krzyknął Leptynes — dla tamtych, którzy samotnie zginą zanim ona z ostatnim wspólnie padnie...

— Krzywda? Ależ, o mój małżonku niedoszły! Oni nie będą wcale wiedzieć, że ona z ostatnim razem dopiero zginie. Każdy będzie myślał, że z nim. Więc też i nie będzie żadnej krzywdy. Nie wspólna bowiem śmierć z kimkolwiek bądź przynosi ulgę ginącemu, ale świadomość — sama świadomość, choćby złudna tylko, że się nie ginie samotnie...

Heliodor już znał ten wywód. Słyszał go w południe na pomoście.

— A jeśli — zapalał się coraz bardziej Menander — w ten sposób i z tym zamiarem czterech z pięciu na samotną śmierć skazawszy, także i z piątym wcale razem nie zginie? Bo a nuż za wielki okaże się w niej strach śmierci, albo wprost życie wyda się jej miłe?

— Wówczas — odpowiedziała, nie spuszczać z niego oczu Akatokleja — okaże się, że to jednak naprawdę była sama nieśmiertelna Pallas Atene...

— Naprawdę ją kochasz? — szepnął Menandrowi do ucha Heliodor.

— Nawet szaloną — również szeptem odpowiedział tamten.

— Nawet niebezpiecznie szaloną?... Bardzo niebezpiecznie?!

— Albo też — ciągnęła spokojnie Agatokleja — bardziej teraz w Heliodora już wpatrzona, niż w Menandra — poczołga się na klęczkach aż pod tron Leonidasa — bo tak się zwał ojciec Chilonidy, nieprawdaż? — i zawoła z łkaniem: „Ojczy, wszak wygnany zostałeś tylko do Tajgei? Czemuś więc mnie aż tu w serce Azji zaprowadził, gdzie się nauczyła, że nie jest ohydą być żoną dla brata i to dla kilku naraz braci, że nie jest podłością zastanawiać się, czy godzi się wrogów zabijać? Ale skoro taka była twoja wola, czemuś mi nie odmienił też i tego, co u nas w Grecji duszą się zowie, a szczególnie owej części duszy, co jest pamięcią? Bo bym oto wołała nic nie wiedzieć o Danaidach, co mężów wszystkich w jedną noc pomordowały...

— Ciekawym ogromnie — z trudem, a bez wielkiego powodzenia, próbując opanować drżenie głosu, rzekł Agatokles — co by jej na to Leonidas odpowiedział?

— Zapewne tylko: „Straszne są twoje sny, o Chilonido, najukochańsze dziecię z wszystkich, jakie mam”.

— A gdyby — też już nie takim pewnym, jak uprzednio, głosem powiedział Menander — sługa, najwierniejszy z wiernych, szepnąłby Leonidasowi, że to jednak nie są sny...

— Wówczas w oka mgnieniu w niewiernego przemieniłby się sługę. I jako taki, zawisłby na krzyżu.

— A jeśli by jednak bardzo nie chciał dać się ukrzyżować?

— Wówczas — zawołał Leptynes — przyłączyłby się do buntu przeciw Leonidasowi, tak jak Kao Tsu do buntu przeciw dynastii Tsin, gdy groziła mu kara śmierci za to, iż bez jego winy uciekli mu spod doglądu skazańcy, których wiódł, jako drobny urzędniczyna w służbie dynastii, na ciężkie roboty...

— Ale aby do buntu się przyłączyć — zauważył Mankuras — trzeba iżby bunt przedtem już był wybuchł... Za daleko jednak znów odeszliśmy od tego, o co pod sądnego pytałem.

— Czego tyś sam był sprawcą — rzuciła Dioneja.

— Jeszcze jedno złudzenie z tych jakie noc rodzi. Co odrzekł ci Teofil — zwrócił się do Leptynesa — na żal twój, iż to nie Agisa żoną była Chilonis?

— Powiedział coś, co mnie ogromnie zdziwiło: że gdyby przeobstwienie było naprawdę osiągalne, już wiedziałby, gdzie jest ten poziom, na którym człowieczeństwo, ku ubóstwieniu zdążające, spotkałoby się i w jedność zlało z boskością zstępującą... Po czym dodał: ponieważ jednak świat bogów to tylko nasz ludzki wymysł, Agis lepiej byłby zrobił, gdyby nie cofnął się przed rozlewem krwi w wojnie domowej...

— A cóż ty na to?

— Że ci, którzy byliby w wojnie domowej zginęli, a dzięki ofierze Agisa z siebie ocalili, prawdopodobnie nie zgodziliby się z Teofilem.

— A on co?

— On... On... zaczęliśmy się znów spierać o sprawy, na których dwaj tylko rozumiemy się.

— Rozumieliście się. Czy to było coś, co ma związek z królestwem Tsin?

— Właśnie.

— Nie zapomnij o tym sporze z nim dokładnie opowiedzieć, gdy dojdiesz w opisie dziejów swego życia do tego, jakżeś nabył swą wiedzę o królestwie Tsin. Teraz zaś wróć tam, gdzieś był przerwał: udałeś się ze swym ojcem na zaproszenie Helioklesa do Aleksandrii przy ujściu Eurymandu.

— Ale miałem się dowiedzieć, czemu nie ma wśród was Teofila. I Teodory także.

— Dowiesz się we właściwym czasie. A teraz opowiadaj. Nie — czekaj chwilę. Kiedyś — na wstępnym etapie śledztwa — mówiąc o tym swym pobycie w Aleksandrii Proftazji, napomknąłeś na synów wojewody, z którymi nieraz jeździłeś łódką po jeziorze. To byli Helioklesa synowie?

— Właśnie.

— Mów więc o nich, o tym, jak z tobą się obchodzili.

— Zrazu dobrze, potem zwolna coraz gorzej. Byłem zawsze chłopcem nieśmiałym i niezgrabnym, właściwie niedołągą, jak mię zwykle rówieśnicy nazywali. Pływanie, wiosłowanie, biegi, strzelanie z łuków do ptaków lub małych zwierząt, psoty i bójki — nigdy mnie to nie nęciło, a gdy przecież próbowałem — nie wychodziło mi. Z przerażeniem myślałem o tym, że gdy będę podrastał, ojciec zapragnie dla mnie stopnia efeba. Synowie wojewody Helioklesa byli zupełnie inni: starszy Eukratydes olśniewał mię, a zarazem i odpychał, jako Achilles i Agamemnon w jednej osobie — urodzony wódz, nie znosił takich chłopaków, co stronią od gromady, bił też mnie często, ale przyznać mu muszę pewną wspaniałomyślność; to co było we mnie do cenienia, cenił. Inaczej młodszy jego brat, Platon: świetny pływak, poza tym raczej cherlak, a może też na skutek kaprysu rodzicielskiego, co go uraczył niezwykłym a wielkim imieniem, tak czy owak przecież wyraźnie cenił wyżej władze duszy, niż cielesne — i w tych chciał przodować, ale po cichu musiał przyznawać mi wyższość i zazdrościł, więc szkodził mi, poniżał mnie, pastwił się nade mną. W przeciwieństwie jednak do brata starszego liczył się z tym ogromnie, że jego ojciec cenił mojego, udawał więc mojego wielkiego przyjaciela, ja zaś udawanie to brałem za prawdziwą przyjaźń, na czym wielokrotnie źle bardzo wychodziłem. Jedno przecież jemu niewątpliwie zawdzięczam: oto miał

w swym posiadaniu zbiór wszystkich dzieł wielkiego imiennika — naprawdę nudziły go, ale nie przyznawał się do tego; nie lubił też tych książek nikomu pożyczać, że jednak natarczywie go o nie prosiłem, w ramach udawanej przyjaźni nie mógł mi odmówić, ale zdaje się, że i za to właśnie, iż nie odmówił, bardziej niż za cokolwiek-bądź innego, był mi zaciętym wrogiem. Mówił, że taki jak ja — właśnie nieśmiały, niezgrabny — właściwie nie powinien żyć, i zapewne ogromnie by się cieszył, gdybym w wyniku jego słownego pastwienia się nade mną był z rozpaczony któregoś dnia powiesił się albo utopił. Ze złośliwością też mówił, że właśnie dla takich jak ja, błogosławieństwem jest nauka jego wielkiego imiennika o ciele, jako więzieniu duszy, że trudno: w ciałach przebywając, tacy muszą być poniewierani, ale po śmierci przecież i im też dobrze będzie. Wówczas zacięcie mu się odgryzałem — nie wnikałem jeszcze należycie w naukę o nieporównanej wyższości władz duszy nad cielesnymi, ale powtarzam: jemu to, który mnie nienawidził i pastwił się nade mną, zawdzięczam zdobycie wielkiej ostoji dla ducha, tak bardzo przydatnej w późniejszych mych przygodach... Przygody te zapewne były nie do uniknięcia; ojciec wcześniej czy później byłby się mnie pozbył z domu. Zapewne jak ja sam z przerażeniem, tak i on z niesmakiem wyobrażał sobie ów coraz bliższy czas, gdy niezbędne się stanie, bym się ubiegał o efebat. Bo nad moją niezgrabnością i nieśmiałością bardzo zawsze musiał ubolewać, w niego samego ostatecznie godziła — ci, którzy go nie lubili lub zazdrościli mu, radośnie owym mym niedołęstwem posługiwali się, by je przeciw jego miłości własnej i dumie obrócić.

W Aleksandrii Proftazji, zresztą, stosunek jego do mnie był jeszcze zupełnie znośny, niekiedy nawet wręcz czułością tchnący. Opowiadał mi wiele o sobie i o ludziach znakomitych, których był znał, dyskutował ze mną o książkach, jakie czytałem, często i o Platonie, którego nie znosił, i o tragicach ateńskich, których wielbił. Był też na ogół bardzo dla mnie hojny, czegokolwiek zapragnąłem, dostawałem, choć często i przy wtórze kpin nad tym, że takie dziwaczne miewam zachcianki. Był nawet czas, gdy zanosilo się na wielką między nami bliskość; ojciec — podejrzewam — rozkochać chciał w sobie

żonę wojewody, a siostrę zmarłego Antiocha króla; bał się najwidoczniej z tego swego zamierzenia przed kimkolwiek się zwierzać, a czuć musiał nieodpartą zwierzeń potrzebę, więc ze mną coraz częściej o niej mówił — napomknięcia to tylko były, wiele jednak pozwalały się domyślać. A mówił też — najniedwuznaczniej w związku z matką Eukratydesa i Platona — o sobie; to pytał, co ja sądzę o nim, jako o mężczyźnie, to wyciągał mnie na dyskusję, czy samymi talentami można zdobyć miłość kobiety, najdostojniej urodzonej, a przy tym zdobyć bezkarnie — i dla zdobytej i zdobywcy. Mimo wszystko więc był to chyba najszcześniejszy okres mego życia, szczególnie że u schyłku jego zmienił się zupełnie do mnie stosunek rówieśników — wszystkich, a głównie synów wojewody. Dawniej zmianę tę przypisywałem ich samorzutnemu pokornemu pogodzeniu się z moją wyższością umysłową; teraz jednak myślę, że musiało to być następstwo coraz bardziej przecież w samej rzeczy rosnącego wpływu mego ojca na żonę wojewody. Ojca swego ci dwaj chłopcy się nie bali, ale matki bardzo... Nie dziw: siostra samego Antiocha, Króla Wielkiego...

Czy jednak domniemany wpływ ów był dowodem osiągniętego już przez Orestesa celu: rozkochania w sobie Laodyki, tego Leptynes nie był pewien. Mógł to przecież być tylko trzeci czy czwarty krok na drodze do celu. Zresztą — zastrzegł się — jak już zaznaczył przedtem, był to tylko jego domysł; napomknięcia, rzekomo tyle znaczące, mogły przecież być żartami. Jedno natomiast było pewne: w tym samym czasie, gdy polepszyły się ogromnie stosunki Leptynesa samego z synami Helioklesa, odczuć się dało napięcie między Orestesem a wojewodą. Czy była to zazdrość czującego się zagrożonym męża? Leptynes sam tak to właśnie rozumiał i coraz bardziej o ojca się bał — nocami często się budził, przerażony, potem oblały, i z silnie bijącym sercem wsłuchiwał się, czy nie skradają się w ciemnościach mordercy, nasłani na jego ojca przez Helioklesa. Oczywiście, był to objaw chłopięcej naiwności czy też braku poczucia rzeczywistości, w połączeniu ze zbyt wielką wrażliwością wyobraźni i pamięci na sytuacje, z książek poznane; po pierwsze bowiem, skrytobójcy raczej dopadliby Orestesa w jakimś ciemnym zaułku, nie we własnym domu; po drugie, Heliokles zbyt był

potężny, by musiał uciekać się do takiego środka, jak zamach skrytobójczy — na jak najbardziej jawny mógł sobie, gdyby chciał, najzupełniej bezkarnie pozwolić!

W Aleksandrii Proftazji szeptano — a i Orestes sam też nieraz na to napomykał, że stosunki między nowym królem a wielkorządcą wschodnich satrapij wcale nie były najlepsze; dodawano jeszcze bardziej po cichu, że i miasto i zamek na jeziorze czas jakiś — tuż po śmierci Antiocha — roily się od tajnych agentów, nasłanych przez Seleukosa, nawet może nie tyle w celach ściśle wywiadowczych, ale wprost dla uprzykrzania życia ciotce i jej mężowi. Cały ten jednak rój ulotnił się, gdy Heliokles — właśnie bynajmniej się do skrytobójstwa nie uciekając — w biały dzień na oczach ogromnego zbiegowiska kazał utopić w jeziorze trzy czy cztery „szczególnie dokuczliwe” — jak mówił — „osy”, i nic topionym nie pomogły ich krzyki, że król okrutną za nich weźmie na wojewodzie pomstę. Gdy Leptynes o wydarzeniu owym, poprzedzającym jego z ojcem przyjazd do Aleksandrii Proftazji, usłyszał, nasłuchiwał z przerażeniem, potem oblany, nie tylko nocami już — dzień w dzień wypatrywał najazdu wojewody na dom, który z ojcem zamieszkiwał, a o którym powiadano, że wznosi się w tym samym miejscu, gdzie ongiś Aleksander wydał był rozkaz schwytania możnych przeciw sobie spiskowców tużomalże przed ich zamachem na siebie, co właśnie i nadało przydomek „Wyprzedzenie” miastu, gdzie Leptynes przeżywał tyle grozy na myśl o zamachu możliwym na ojca ze strony wszechwładnego wielkorządcy. W miarę przecież jak coraz trwoźniejsze stawały się jego dni, malała groza nocna. Wierząc coraz silniej w bezkarny, zuchwały najazd w biały dzień, lepiej, spokojniej, więcej sypiał po zapadnięciu ciemności. A najazd dokonał się właśnie w nocy!

Co prawda nie wojewody najazd, tylko jego żony. Zajechała przed dom konno z dziesięcioma Nosicielami Srebrnych Tarcz. Własną pięścią zaczęła głośno, wręcz grzmiać, walić w bramę. Leptynes — gdy zbudził się — myślał zrazu, że to właśnie są grzmoty. A kiedy w pełni zdał sobie sprawę z tego, co naprawdę się stało, okazał się mocno spóźniony.

Widział już tylko odejście siostry Antiocha, Króla Wielkiego; nie słyszał nic więcej, jak głos ojca, mówiący

do odchodzącej w półmroku: „To nawet nie to, żem zawiedziony, jestem wprost już znużony”. Laodyke, odchodząc, miała górne zęby na dolnej wardze, a w oczach łzy. Gdy Leptynes ją błagał ojca, by mu powiedział, co się stało — Orestes, który też miał łzy w oczach, ale siłił się na szyderczy uśmiech — odparł tak tkliwie, jak nigdy chyba przedtem ni potem, kiedy do pierwородnego przemawiał: „Seleukidzi nas zdradzili; odpłacamy się więc im tym samym, syneczku”.

— Dałem sobie przed chwilą miano pierwородnego. Alem najpierw w owej chwili chciał siebie nazwać jedy-nakiem. Cofnąłem się przecież, by uniknąć nieporozu-mienia. Wówczas — to prawda — jedy-nakiem byłem, ale już w dwa lata potem — nie. W rok bowiem niespełna po owym najeździe Laodyki byliśmy już w Baktrze, a omal-że zaraz po przyjeździe tam złączył się ojciec z kobietą, którą sam traktował jako żonę. Ale ja jej już nie tylko za matkę, nawet za macochę nie miałem, bo rozumiem — choć wy tu podobno inaczej teraz rozumiecie — że ko-bieta irańska, choćby i najwyżej urodzona, nałożnicą tyl-ko może być wolnego Greka, nigdy małżonką prawną...

„Zapewne niektórzy z was tutaj — najpewniej wy, o Eutydemidzi — znacie ją i to może nawet nie tylko z widzenia, choć ojciec wręcz oszalały nie tylko z miłości, ale i z zazdrości potwornej, chował ją przed oczyma świa-ta tak starannie jak tylko mógł. Oczywiście, bywał z nią w przedsionku malachitowym sali fioletowej pałacu, a i w samej sali; nawet bowiem wielki Orestes nie mógł Królowi Wielkiemu odpowiedzieć na zaproszenie: „Nie przyjdziemy”. Nie jestem jednak już pewien, czy nawet w sali fioletowej zdejmowała przejrystą zasłonę z twarzy; stanowczo zaś twierdzę, że nigdy tam nie zdejmowała obuwia. Jeśli w kim bowiem wcielony jest najpełniej duch Iranu, zupełnie zdający się nie liczyć z tym, że przecież panami tu my jesteśmy, Grecy, to właśnie w niej: tej mojej niby macosze.

„Jak się stało, że się z ojcem moim połączyła — za-pytacie? Zapewne i o tym też lepiej, niż ja sam, wiecie wy, o królewno i królewiczu! Jakkolwiek bowiem przy-znaję, co się jej należy: bezmiar uroku, wręcz czaru. Jak-kolwiek rozumiem, teraz dopiero, nie przed odejściem z domu, że można za nią szaleć tak, jak mój ojciec szalał,

przecież skłonny jestem mniemać, że brał ją na ślepo, że nie wcześniej przyjęty został pierwszy raz w sali fioletowej niż dotarła tam z Aleksandrii Proftazji zgoda jego na warunek, pod którym Król Wielki Eutydemida skłonny byłby jawnie okazać swą łaskę temu, dla którego tak łaskawi na przestrzeni tylu, tylu lat byli Seleukidzi...

„Nie chcę zostać źle przez was zrozumiany. Nie przeczę wcale temu, że to monecie, ostatniej jaka się pojawiła z podobizną założyciela dynastii, zawdzięcza ojciec przede wszystkim łaskę, co nań spłynęła z Baktry. Nadzieje jego spełniły się całkowicie: gdy rano po najeździe nocnym Laodykei na nasz dom gruchnęło po mieście, że zamek na jeziorze pusty, że znikły zewsząd Srebrne Tarcze, że już tu i ówdzie obala tłum — raczej wylękniony, niż podniecony — ołtarze z posągami Antiocha Boga, ojciec wezwał mnie do siebie i zapytał: „Kim jestem?” Zakłopotany wybełkotałem, że: moim ojcem. Zaśmiał się gorzko i powiedział: „Nie — jestem największym rzeźbiarzem tych oto czasów. Zapamiętaj to sobie dobrze”. Po południu Rada Starców — też bardziej wylękniona niż podniecona — wypowiedziała uroczyście w imieniu bóstw opiekuńczych miasta, przede wszystkim Aleksandra, przymierze z Seleukidami i ogłosiła nowe: z Eutydemosem, królem Baktrii i Sigdiany. Pod wieczór wielki tłum z pochodniami wyruszył naprzeciw nadciągającemu brzegiem Eurymandu wojsku. O świcie następnego dnia obsadzony został zamek na wyspie, a w południe główna brama miejska otworzyła się na przyjęcie dzisiejszego Króla Wielkiego. Nie widziałem go; ojciec zamknął się w domu, a i mnie zakazał wychodzić, nawet oknem wyglądać czy z dachu patrzeć. Mimo zamknięcia jednak, wciąż miał dla mnie świeże a dokładne wiadomości o tym, co dzieje się na Akropolu i Agorze. Demetrios niby w imieniu ojca — a właściwie, jak się później okazało własnym, bo Eutydemos właśnie w owych dniach był już konający — złożył ofiary wszystkim bogom miasta, najobfitszą Aleksandrowi, zaprzysiął przymierze i zapowiedział, że sam obejmuje w posiadanie zamek na wyspie zastępczo tylko, gdyż nowo zdobyte na Seleukidach eparchie przejdą najprawdopodobniej pod zarząd jednego z jego braci — starszego czy młodszego, sam jeszcze nie wie. O zachodzie zaś słońca ojciec wręczył mi opieczętowaną puszkę i naka-

zując dwom niewolnikom, by mi towarzyszyli z pochodniami, rzekł: „Nie zjedli ciebie Rzymianie na Akropolu w Sardach, nie zjedzą i Grecy z Baktrii. Wręcz tę puszkę do rąk własnych Eutydemidzie na zamku”.

Dziewięciolatek nie zabija się, nie posądza się o zamiary skrytobójcze, przecież jednak Leptynes był zdania, że w ów wieczór Orestes ujawnił po raz pierwszy to, co później w tak silnym miało go cechować stopniu: bez troskę o bezpieczeństwo swego dziecka pierworodnego, a wówczas jeszcze i jedyne. Leptynes bardzo się bał Baktrów, ale do łodzi z niewolnikami wszedł i na wyspę popłynął. Jeszcze gdy był na wodzie, okrzyknięto go z brzegu, przed możliwością jednak sypnięcia się też i strzał w kierunku łodzi uratował go własny dziecięcy głos. Ale jeśli nie strzałami, to pytaniami wcale gęsto go zasypano i na dobre przestraszono, szczególnie gdy czyjś groźny głos wyraził domysł, że w puszcze może znajdować się trucizna. Ostatecznie przecież wszystko skończyło się jak najlepiej: przed oczy Demetriosa go nie dopuszczono, ale ktoś — i to ktoś w spodniach! — usadził go na krześle na jednym z tarasów zamkowych z pięknym widokiem na roziskrzone blaskami pełni księżycowej jezioro; wręczył mu olbrzymi piernik, obficie miodem przesycony i dobrotliwym głosem rzekł, by czekał. Leptynes na chwilę znów się przeraził: temu komuś — właśnie iż był w spodniach — nie nadto jednak mimo i piernika i dobrotliwości głosu — ufał; wzbraniał się więc zrazu oddać w jego ręce puszkę — ustąpił przecież, gdy tamten zdjął z siebie pas z mieczem i wręczając go chłopcu, powiedział: „Z tym mógłbyś dotrzeć aż przed oczy króla — nikt ci nie wzbroni, więc jeśli szybko nie wrócę, śmiało kieruj się ku drzwiom, w które ja zaraz wejdę”. Nazbyt szybko nie wrócił, i Leptynes zaczął już się zastanawiać, czyby naprawdę, opasawszy się, nie pójść w ślad za nim. Nim jednak postanowienie powziął, tamten wrócił i zwracając chłopcu puszkę, rzekł: „Uważaj. Nie zgub. A ten pas z mieczem weź sobie na pamiątkę”.

W puszcze zwróconej znajdował się kosztowny pierścień i skrawek pergaminu, na którym stało wypisane: „Jutro rano przyjdź do mnie. Demetrios”. Całą resztę nocy nie dał Orestes spać synowi: chodził i chodził i chodził. Nazajutrz rano znów go wysłał na wyspę z tą samą puszką

ką, do której też włożył i pierścień — ten sam — i skrawek pergaminu. Zalecił, by Leptynes tym razem na nic już nie czekał, ale wręczywszy puszkę temu samemu Towarzyszowi w spodniach, który wieczór tak mile był się z nim obszedł, natychmiast wracał. Gdy zlecenie to jak najdokładniej zostało wykonane, dopiero wówczas Orestes zapytał syna: „Czy wiesz, co było w puszcze?” Leptynes się zdumiał — rzecz jasna, że wiedział: to samo, co przyniósł był z zamku poprzedniego wieczora. „Nie zupełnie” — uśmiechnął się, a znów gorzko, ojciec. — „Na kartce coś dopisałem. Ciekawys, co? — i nie czekając na odzew chłopca, powiedział: — Nie, to ty przyjdź do mnie”.

Demetrios przyszedł. Inaczej jednak niż w Sardach przy odwiedzinach Eumenesa, Leptynes nie był przy tej rozmowie ojca z Eutydemidą obecny. Wręcz przeciwnie, ojciec na czas trwania tej rozmowy odesłał go z jakimś zleceniem wcale daleko od domu. Dalszy przecież bieg wspólnych wciąż jeszcze ojca i syna losów nie pozostawił mu wątpliwości co do najistotniejszego wyniku owej rozmowy: Demetrios był zachwycony podobizną założyciela dynastii, wykonaną z myślą, iż wytłoczona zostanie na najbliższej nowej, jaką puści się w obieg, czwórdrachmie królów Baktirii. Zapowiedział szybkie wezwanie Orestesa do Baktry.

Ale Demetrios wyjechał, przyjechał Apolodotos — mijały miesiące, a zapowiedziane wezwanie nie nadchodziło. Orestes gryzł się, ale na zamek się nie udawał. Żył — towarzystwa syna nie licząc — w wielkim osamotnieniu; w mieście zaczynano szeptać o nim zjadliwie, nawet nienawistnie, ci bowiem, którzy najzapalczywiej witali zmianę rzekomych sprzymierzeńców, a w istocie władców, zaczynali już po cichu wzdychać za czasami wielkorządztwa Helioklesa, głównie iż znieść nie mogli widoku rycerzy tubylczych z północno-wschodniego Iranu, którymi jako Towarzyszami, otaczał się Apolodotos Eutydemida. Sami gotowi przed każdą kolejną płaszczyć się widomie władzą, Orestesa nazywali zdrajcą, bo wyszedł — wedle nich — daleko poza samo widome płaszczenie się. Cieszyli się też złośliwie albo i wręcz złowrogo, że zdrada jednak — tak to wyglądało — nadto mu się nie opłaciła. Owszem, moneta, jego twór, pojawiła się w obiegu, ale w małej ilości i na kilka dni zaledwie, po czym znikła

z rynku całkowicie: Eutydemos nie żył, synowie jego podzielili się dziedzictwem. Apolodotos jednak własnych pieniędzy nie wypuszczał, zachęcał natomiast miasto, by wybijało samorządowe, tych jednak nikt nie zamierzał u Orestesa zamawiać.

„Aż przyszedł dzień, gdy przecież wybraliśmy się w drogę. Ale wyjazd ten został poprzedzony wymianą listów między ojcem a zamkiem. Treści żadnego z tych listów nie znam, ale domysłem swym co do nich chętnie tu z wami się podzielę: oto z Baktry musiało przyjść ostrzeżenie, że inaczej niż pod rządami Seleukidów, tam, gdzie rządzą Eutydemidzi, obowiązuje jako hasło naczelne — zgoda narodów; Grecy, jeśli i pozostają nadal pierwsi, to tylko już jako pierwsi między równymi. Zapewne dawnemu ulubieńcowi Antiocha to może nie odpowiadać, więc niech się dobrze namyśli, aby później swego przyłgnięcia do nowych opiekunów i pracodawców nie pożałował. Ojciec — cokolwiek wówczas na własny użytek myślał — niewątpliwie odpowiedział, że dziękuje gorąco za ostrzeżenie, ale było zbyteczne, bo płonna to obawa, iżby miał kiedyś tego swego postanowienia pożałować; jako rzeźbiarzowi — tak czy owak nikt mu równy nie będzie, a poza tym jest dlań obojętne, z kim zostanie zrównany przed obliczem prawa. Dał się złapać w potrzask: w sali fioletowej pomyślano sobie: „Świetna to sposobność, by postawić pierwszy krok na drodze ku jeszcze większemu zacieśnieniu zgody narodów. Zażądajmy więc od niego dowodu, iż nasze hasło mu odpowiada, a przynajmniej nie będzie w nim miało jawnego przeciwnika: niech się złączy z tubylczą kobietą, oczywiście, nie z byle jaką, ale z kimś, czyje i uroki i urodzenie całkowicie będą godne tego, by dzieliła łożę nawet bardzo wielkiego rzeźbiarza greckiego. Nie zechce? Wówczas i my go nie zechcemy. Albo, że nie chcemy, udamy tylko. Bo i co z sobą zrobi? Dokąd swoją sztukę poniesie? Seleukidzi nigdy mu już nie przebaczą — samo odstępstwo może by i przebaczyli, ale nie wyrzut szyderczy, że nie tyle zawiedziony, ile znużony już jest wiernością dla dynastii, która formalnie panując nad co najmniej jedną czwartą całego obszaru ziemi, pozwala sobie coraz to nowe wydzierać ogromne obszary czy to na zachodzie, czy wschodzie, czy północy”. Oczywiście, Seleukidzi — za-

znacze — nigdy jedną czwartą obszaru ziemi nie władali, ale cóż mój ojciec — jak i każdy inny Grek na zachód od waszych, o Eutydemidzi, włości mógł wówczas wiedzieć o rzeczywistym obszarze Indyj? Albo o tych przestrzeniach olbrzymich, jakie ja ostatnio byłem przemierzył, a przecież i to jeszcze nie był kres ziemi: pomyślcie o zjednoczeniu królestw, które błędnie — równie błędnie, jak nazywanie Baktrią tego wszystkiego, co wam podlega dziś, o Eutydemidzi! — określa się tu od kilku dni nazwą jednego z członków owego zjednoczenia: nazwą królestwa Tsin”.

„Bez błędnie natomiast — o ile domysł mój jest słuszny — rozumowano w sali fioletowej przed siedmiu laty: ojciec przyjął postawiony sobie warunek — wziął do łóża Mitroanię. Do łóża? Zrobił ją panią swego domu w Baktrze, tak wszechwładną, jaką nigdy nigdzie w poprzednich jego domach nie była moja matka. Ani zapewne nigdy nigdzie żadna inna nie byłaby kobieta. Powtarzam: nie dziwię mu się. Dobrze znam wszystkie jej uroki. Bardzo dobrze — jestem chyba jedynym Grekiem, ojca nie licząc, który nie tylko dzień w dzień przez rok widywał ją bez zasłony, ale kilka razy i z nogami gołymi aż po kolana. O czym zapewne nie wie a jeśli i wie, to tak, jak się wie, że się jest półnagim przy kocie domowym.

„Zrobiłbym jednak sobie krzywdę, twierdząc, że z domu mnie usunęła też tyle tylko nad tym myśląc, co nad wyrzuceniem kota. Owszem, twierdzę, że o to czas jakiś walkę z ojcem toczyć musiała, wręcz wojnę, gdzie polem bitew bywało coraz częściej — im bliżej było do końca wojny — łóże tylko. Z drugiej jednak strony oporu ojca nie przeceniam: pamiętajcie! Zbliżał się czas, gdy godziło mi się ubiegać o elebat. Ja zaś na bieżni — ja w boju pięściarskim czy dyskiem lub oszczepem rzucający? Zapewne bardzo by to było zabawne dla najlepszego towarzystwa Baktry widowisko — pośmiewisko zaś upokarzające dla ojca. A używano by sobie bez granic, bo żebyżem to jeszcze był czym innym synem, ale nie Orestesa, mistrza nad mistrzami w rzeźbiarstwie — nie Orestesa, ulubieńca dynastii, a w szczególności króla Margiany — nie Orestesa, który za murem wysokim przepysznego, a dla nikogo właściwie niedostępnego domu prowadził jakieś dziwne życie osobiste — niezwykle dziwne, wręcz niesaa-

mowite, skoro na wszystkie rzucane ku sobie zachwycone, niekiedy wprost wiele obiecujące spojrzenia kobiece odpowiadał grymasem co najmniej niechęci, i to nawet, gdy były to spojrzenia kobiet czy dziewcząt i pięknych i zarazem umiejących wnikać — a nie tylko o niej paplać bezmyślnie — w istotę sztuki ojca, jak spojrzenie na przykład obecnej tu wśród was a wówczas chyba dwunastoletniej Dionei, córki Diona — jedynej może, o której ojciec nigdy niczego do swej — nazwijmy ją tak — towarzyszki tubylczej uszczypliwie nie był powiedział... Ktoś chce mi przerwać? Niech się nie trudzi. Mam dane sobie słowo Eutydemidy.

„Wreszcie: wciąż byłem pierworodny, ale już nie jednak. Wprawdzie jest to dziewczynka tylko, ale przecież po niej mógł przyjść i chłopak. Czy ojciec naprawdę ją kochał — i to już wówczas, gdy mnie z domu precz odprawiał? Nie wiem. Wystarczyło jednak zupełnie, iż był to z jego nasienia plód Mitroanii.

„Rzekłem: nawet macocha nie wyganiała mnie tak tylko, jak kota się z domu wypędza. Tym mniej ojciec. Do rozłąki przygotowywał mnie zwolna i ostrożnie. Marzeniem moim wielkim zawsze było widzieć wystawione w teatrze dialogi Platona — choćby nawet i skrócone mocno — jeszcze zaś większym: bym sam mógł grać w nich Sokratesa. Oczywiście, żaden poważny zespół Dionizyjski nigdy by Platona nie wystawił, a gdyby nawet — nigdy by nie-zawodowcowi nie tylko Sokratesa, ale w ogóle żadnej roli nie powierzył. Lecz kiedyś grałem w murach naszego domu dla grona zaproszonych przez Mitroanię osób w „Królu Edypie” Edypa samego, Mitroania zaś Jokastę. Wszystkim bardzo moja gra się podobała — ojcu także — i oto któregoś dnia zaczął ze mną rozmowę na temat, żem już wystarczająco duży, by się nie lękać samotnych podróży, o ile miałyby mi przynieść to, czego bym szczególnie silnie pożądał. Napomknął też, że bawią w Baktrze wysłannicy samorządu z Argos — tego wschodniego, rzecz jasna, na pograniczu Parykeny i Fryniany — starając się o różne nowe uprawnienia, zaszczyty i ozdoby dla tak młodego wciąż jeszcze i odległego miasta, także i o jakiś zespół teatralny, ale Dionizyjscy odmawiają, bo to i za daleko — powiadają — a i poniżej ich godności byłoby w mieście, do niedawna

jeszcze mało znaczącej osadzie kresowej, gdzie Greków garstka tylko, występować. Ale Argijczycy też o swą godność dbają — postanowili więcej się nie dopraszać, lecz zaraz po powrocie spomiędzy własnej — nielicznej zresztą — młodzieży wybrać co zdolniejszych i z nich zespół teatralny stworzyć. Przyznają się przecież, że nie ma w Argos nikogo, kto by literacko wystarczająco był przygotowany do kierowania takim zespołem teatralnym z miejscowych chłopców. Na tym rozmowa się urwała — i długo do przedmiotu jej nie wracał. Aż kiedyś Mitroania zaproponowała mi nowy występ przed gronem, jakie chce znów zaprosić — okazała się przy tym niezwykle łaskawa: oto ja sam miałem dokonać wyboru sztuki. Byłem oszołomiony — zamiast drwin, wyzwisk, nagle taka wspaniałomyślność! Ojciec, śmiejąc się, podsunął myśl — żartem niewątpliwie: oto wystawmy „Hipolita”, z tym że on sam zagra Tesejosa, ona — Fedrę, a ja — rolę tytułową. Rozpłakałem się, Mitroania zaś zarumieniła się — ostatecznie ledwie co jest starsza ode mnie, więc żart — przyznacie? — był wysoce nieprzystojny. Znęcony przecież jej łaskawością, wręcz podniecony, szybko przestałem płakać i na wpeł nieśmiało, ale na wpeł już i z zapałem, zapytałem, co by ona powiedziała, gdybym skrócił „Gorgiasa”, wyrzucając zupełnie Chajrefona i Polosa, zmniejszając przy tym bardzo rolę postaci, co nadaje dialogowi tytuł, a zostawiając, choć też ze skrótami, pojedynek słowny między Sokratesem a Kaliklosem? „I ja będę Kaliklosem?! — zawołała. — Świetnie!”

„Z zapałem zabrałem się do dzieła. Mitroania pomagała mi z nie mniejszym wcale — przez całe dwanaście dni nie padły z jej ust żadna drwina, żadne wyzwisko, żadna pogrożka... Przedstawienie samo słuchaczom spodobało się bardziej jeszcze, niż poprzednio „Król Edyp” — zresztą oboje z wielkim graliśmy przejściem, chwilami wręcz z uniesieniem. Po zakończeniu zbliżył się do mnie ktoś — nazywał się, jeśli pamięć mnie nie myli — Antiochos, syn Lizymacha; powiedział, że jest zastępcą sędziego do sporów międzynarodowościowych w Parykenie — wieszował mi i w pewnym momencie westchnął: „Jakizby zapał takie przedstawienie wywołało w Argos!” Na moją uwagę, że nikt nigdy na jako tako poważnej scenie nie wystawia Platona, bo to samo rozumowanie, a żadna

akcja — rozumowanie zaś w teatrze — jak mówią znawcy — zanudza tylko — odparł, że się myślę, bo on oto wcale się nie nudził — owszem, silniej ten pojedynek słowny przeżył, niż może całego „Króla Edypa”, bo też i zagadnienia w „Gorgiasie” są takie co bardziej obchodzą a i poruszają ludzi naszych czasów, niż raczej wątpliwa możliwość nieuchronnej a nieubłagalnej klątwy. Poza tym — dodał — wiele zależy od tego, jak daną rzecz się odtwarza, a wreszcie — tu znów westchnął — na dalekich kresach u nich taki panuje głód prawdziwie pięknego słowa greckiego, że gdyby ktoś się uparł całą „Rzeczpospolitą” bez żadnych skrótów tam na scenie wystawić, cały dzień całe Argos słuchałoby tego z zapartym tchem, a i ze łzami w oczach...

„W cztery miesiące później byłem w Argos. Stworzyłem zespół — wystawiłem „Króla Edypa”, „Gorgiasa” — tym razem z Polosem też i Chajrefonem, wreszcie „Hypolita”. Powodzenie w samej rzeczy miałem znaczne choć może i nie aż takie, jak to zapowiadał Antiochos, syn Lizymacha. Wewnątrz samego jednak zespołu nie miałem najlepszych stosunków — najpewniej zazdroszczono mi. Stamtąd zaś wyszły i na miasto obmowy, wręcz oszczerstwa. Mówiono na przykład o mnie, że nie pasierbem, ale synem irańskiej kobiety. Potem ktoś z samorządu miejskiego wpadł na pomysł, by przeplatać popisy teatralne zespołu gimnastycznymi — czego poniekąd sam byłem bezwiednym sprawcą, bo wszak właśnie w „Gorgiasie” także i dla gimnastyki padają z ust Sokratesa słowa wielkiego uznania. Oczywiście gdy ten pomysł został urzeczywistniony — wiele ze swej powagi zaraz straciłem. A także i wiele z życzliwości jaką darzył mnie Antiochos. Wpadłem w przygnębienie, potem w rozpacz. Chciałem wracać do ojca — napisałem do niego list, potem drugi, trzeci — każdy następny coraz bardziej w tonie błagalny od każdego poprzedniego. Nie odpowiadał. Zacząłem się sam rozglądać za środkami powrotu; Antiochos pomocy mi odmówił, rozżalony — jak mówił — iż tak szybko mi się znudziły kresy, gdzie dla każdego, kto szczerze o greckość się troszczy, pracy jest aż pod dostatkiem na lata całe. Ale choć tak mówił, nic nie robił, by przywrócić powagę, jaką zrazu w zespole miałem, a straciłem. Postanowiłem szukać karawany kupieckiej, do któ-

rej mógłbym się przyłączyć. Zresztą, nie ja sam tylko, było w Argos kilkunastu chłopców, przeważnie zesłańców, mających za sobą jakąś mgliście występłą czy podejrzaną przeszłość — własną czy rodzicielską — i ci też chcieli do Baktrii wrócić. Byli i inni — między nimi kilku członków mego zespołu — którzy na odmianę marzyli o dotarciu do miasta Kinos, jak królestwo Tsin nazywali; ci znów wybierali się do Isedonu. I oto znalazła się taka spółka kupiecka, co oświadczyła, że dbałość o greckość skłania ich do wzięcia na siebie kosztów urządzenia popisów także i w Isedonie: co prawda gimnastycznych tylko, bo teatralne tam żadnego nie będą miały powodzenia. Chcieliby dużym wykazać się zespołem, więc proponują: wyprawiają pod zwykłą karawan swych eskortą gromadę chłopców do Isedonu, a stamtąd nie tylko z powrotem do Argos, lecz w kategoriach wynagrodzenia za tamtą podróż gotowi są każdego z tych, kto weźmie w popisach w Isedonie udział, odesłać na koszt spółki do Baktrii właściwej, choćby i do Baktry samej.

„Długo się wahałem, czy z tej sposobności — właściwie jedynej — skorzystać. Kilku chłopców z zespołu, wciąż mi jeszcze życzliwych, gorąco mnie namawiało. Nęcili nawet możliwością — wbrew opinii spółki kupieckiej — urządzenia i teatralnych też popisów w Isedonie: choćby tam kilkunastu tylko było Greków — mówili — i to takich nawet, co ni pisać, ni czytać nie umieją, piękne słowo greckie i ich też porwie; dadzą nam poklask i wieńce, a może i jedwabiu nie jedną sztukę. To mnie skusiło; ja — właśnie ja — byłbym krzewicielem słowa greckiego tam nawet, gdzie naprawdę greckie rządy już nie sięgają. A przy tym jedwabiem mógłbym przynęcić, więc i przebłagać Mitroanię: choć moje odejście z domu jej to głównie było dzieło, lubi przecież się stroić, więc może wstawi się za mną u ojca. Zgodziłem się...”

Opowiedziawszy ponownie pokrótce dzieje najpierw napadu płowłosych barbarzyńców na wyprawę chłopców, potem odbicie przez Frynów i przekazanie przez tychże pod opiekę oddziału, dowodzonego przez ojca Teodory, Leptynes dość długo się rozwodził nad swą decyzją pozostania w dużej, a oszałamiającej obfitością i wspaniałością owoców, oazie Frynów, której nazwy — jak mó-

wił — nie pamięta. Oto dla odwdzięczenia się tubylcom chłopcy postanowili zabawić oazę popisem gimnastycznym, a oddział wojskowy ponadto i przedstawieniem teatralnym. Leptynes jednak odmówił udziału w pierwszym popisie, powołując się zarówno na swoją niezgrabność, jak też i na to, że nazbyt jest zajęty przygotowaniem do przedstawienia. Zwolniono go, ale w czasie popisu próbnego w zapasach jeden z zawodników zwicznął sobie rękę. Leptynes zaś właśnie w zapasach był jeszcze względnie wcale niezły, więc znów odeń zażądano, by w popisie gimnastycznym jednak koniecznie udział wziął. Odmawiał uporczywie — chłopcy poszli na skargę do dowódcy oddziału wojskowego. Ten wezwał Leptynesa i zażądał podania powodów odmowy; przygotowań do przedstawienia nie uznał za powód wystarczający i oświadczył wręcz, że albo oporny odmowę swą cofnie, albo przedstawienie w ogóle się nie odbędzie, bo on ani sam z żoną na widowni się nie pokaże, ani nikomu z żołnierzy pójść nie pozwoli. Leptynes, głęboko rozżalony, powołał się na wielkość swego ojca, gdy tamten odpowiedział lekceważąco, chłopiec z płaczem zaczął bełkotać coś o żołdakach, niezdolnych ni do odczuwania, ni rozumienia, ni szanowania żadnej gałęzi sztuki. Dostał w twarz, policzkowi zaś towarzyszyła zapowiedź, że jeśli Leptynes będzie w swym oporze trwał, dowódca oddziału nakaże dwom żołnierzom wychłostać go na oczach i chłopców i tubylców.

Ale choć w oporze wytrwał, do chłosty nie doszło, a nawet przedstawienie się odbyło i to przy licznej wcale widowni, bo i żołnierze wszyscy przyszli, i ich kobiety, a i sam dowódca z żoną. Oto bowiem ledwie podniesionym głosem została wypowiedziana groźba chłosty, od stojącej w pobliżu gromady tubylców oddzielił się nie nazbyt już młody mężczyzna i po grecku krzyknął „Hańba!” Po czym zbliżył się ogarnął Leptynesa ramieniem, a do dowódcy oddziału zwrócił się ze słowami: „Jestem Demetrios, syn Diona z Tery w Sogdianie, ongiś Dzierżyciel Srebrnej Tarczy przy osobie Króla Wielkiego w Baktrze. Biorę tego chłopca pod swoją opiekę”. Po czym poprosił dowódcę oddziału o dłuższą rozmowę w cztery oczy.

„Nic w wyglądzie zewnętrznym nie odróżniało go od Frynow. Ale mówił po grecku — choć wolno, z trudem, z wyraźnym napięciem pamięci — bez błędu, wręcz bez zarzutu. Nie, nie — upraszam, by mi nie przerywano — słowo Eutydemidy może być złamane tylko o ile ja sam tego zechcę lub przynajmniej się zgodzę, a ja teraz ani nie chcę, ani się nie zgadzam...”

W czasie przedstawienia — a był to znów mocno skrócony do bitwy słownej między Sokratesem a Kaliklem dialog platoński — Demetrios, syn Diona, głośno płakał. Gdy przedstawienie się skończyło, wyściskał Leptynesa i wycalaował. Potem zabrał go — jego jednego spośród wszystkich chłopców — do siebie do domu, i nikt z Greków temu się nie dziwił; najwidoczniej zostało to uzgodnione uprzednio w rozmowie Demetriosasa sam na sam z dowódcą oddziału. Posadzony przez nieoczekiwanie zdobytego opiekuna na niemalowanej ławce drewnianej pod drewnianym też dachem, wspartym na słupach, Leptynes uczył, że wypoczywa. Zachodziło słońce. Leciutki przyjemny chłód zaostrzał silnie wrażliwość wszystkich zmysłów wypoczywającego: naskórek palców rozkoszował się chropowatą, a zarazem soczystą powierzchnią owoców, których pełen talerz wyniosła mu z domu z uśmiechem i ukłonem płowowłosa bosa dziewczyna w chustce na głowie i w sukni do pięt prawie; słuch jego upajała wielka zgoda narodów na niepochwytnym dla oka wiecu, odbywającym się równocześnie na gałęziach, w krzakach, w trawie i trzcinach nadbrzeżnych pobliskiego dużego kanału: ptaki, świerszcze, pszczoły, żaby — z całkowitą szczerością i z doskonałym wzajemnym zrozumieniem — zdążyły sprawnie do uchwalenia jednogłośnie wniosku, że czas spać; rozgryziony owoc pozwalał także i podniebieniu doznawać dumnej radości życia na równi z językiem, choćby i nie władne było ono mierzyć się z nim stopniem swego wkładu w tworzeniu cudu przeistaczania się myśli Platona w słowo Sokratesa, Leptynesa głosem wymawiane; ten sam owoc rozgrzany, a z nim i wiszących bez liku i bez liku też kwiatów i trawa i nawet gnój bydlęcy — wszystko to łącznie innego na odmianę dokonywało cudu: oto Leptynes nawet z nosa swego był zadowolony; błękit zaś oczu dziewczyny, białość jej stóp między suknią a trawą, trawy tej zieloność, czerwień i zło-

cistość owoców, błyski zachodu na kanałach i odległej nieśpiesznej rzece, bezmiar pustyni za rzeką, ogrom gór za pustynią, różowość iskrząca się śniegu na górskich szczytach — wszystko to, znowuż łącznie, jeszcze inną powodowało radość: że teatr to tylko teatr, więc i krwawe, puste oczodoły króla Edypa to też tylko farba do zmycia, gdy skończy się przedstawienie.

W pewnej chwili dziewczyna zaczęła wołać do kogoś niezrozumiałymi słowami, wśród których najczęściej powtarzało się, więc i dla Leptynesa stawało się zespołem dźwięków do pochwylenia: „Okso, okso!...” Z niskich drzwi domu wybiegł chłopak, też bosy, też płowowłosy, ale z profilem jak gdyby spod dłuta Orestesa, i szybko dokądś pobiegł z krzykiem, który zabrzmiał dla ucha Leptynesa trochę tak jak nawoływanie się Keltów, pełniących straż na stokach Akropolu w Sardach, gdy rozparli się byli tam po zwycięstwie nad królem Seleukidą Rzymianie.

Leptynes gonił wyrostka wzrokiem póki ten mu nie znikł z oczu; najniedwuznaczniej stało się coś, co musiało wśród domowników wzbudzić popłoch. Dziewczyna, osłoniwszy oczy ręką, w skupieniu patrzyła w kierunku, gdzie biegł chłopak; w drzwiach błysnęło kilka dalszych płowych główek, kilka dziecięcych par oczu, też przeważnie niebieskich, z wyraźną trwogą czegoś wypatrywało. Niebawem przecież wszystkie spojrzenia się wypogodziły — dzieci podniosły radosny krzyk, radośnie też uśmiechała się dziewczyna. Leptynes znów zobaczył wyrostka — z dumną miną poganiał w kierunku domu młodego, przecież ociężałego wołu, który najwidoczniej nazbyt się od domostwa oddalił, a stanowiąc prawdopodobnie największy skarb rodziny, tyle wzbudził zniknięciem swym podniecenia. Leptynes znakami próbował wypytywać chłopca, czy mają poza wołem, także osła i sługę i służebnicę, ale nie został zrozumiany. Chłopak wpatrywał się weń spode łba, gdy jednak gość, tknąwszy palcem w grzbiet wołu, powiedział tonem pytającym „Okso?” — tamtemu znów się twarz wypogodziła, i coś o Leptynesie wesoło a wyraźnie przyjaźnie zaczął szybko mówić do wychodzącego właśnie z domu ojca.

Demetrios tak jak i w czasie przedstawienia miał na sobie bluzę z rękawami, do kolan prawie sięgającą,

a w pasie silnie ściągniętą, na nogach zaś buty do kolan — inne jednak, niż poprzednio, bo miękkie, z wołjoku, nie ze skóry ani też czarne ni lśniące. Usiadł przy młodocianym swym gościu — położył mu rękę na ramieniu, drugą sięgnął po owoc, nim jednak wziął w usta, zapytał, a czysto retoryczne właściwie było to pytanie:

— Pięknie tutaj?

Leptynes zamiast odpowiedzieć, westchnął tylko pełną pierśią. W oczach swych poczuł łzy — inne zupełnie, niż po policzku, jaki mu wymierzył ojciec Teodory.

Demetrios też westchnął jakoś inaczej jednak niż gość. Chwilę milczał, wsłuchiwał się w żabi rechot, wreszcie mruknął:

— Ale to wszystko może się nie za długo skończyć.

Zrobił palcami nad swą głową ruch, jak gdyby niewidzialny wysoki stożek w powietrzu budował, potem inny wpoprzek gardła. Leptynes zrozumiał: oazy Frynów osiadłych żyły w lęku nieustannym przed koczownikami, też płowowłosymi, też niebieskookimi, ale przenoszącymi śmigłego konia nad wołu ociężałego — mleko kobyle zaś nad owoce, chyba, że były to owoce pracy znojszej pod ich batem. Pracy tych, kogo — na osadę niczym szarańcza spadłszy — nie dorznęli, bo się za wcześnie na zgliszczach upili, pociągając z czaszek ludzkich nie strasznych już bo z zeszłorocznego pochodzących napadu.

— Oni was obronią — powiedział Leptynes, wskazując ręką w kierunku placyku, gdzie obaj niedawno zostawili za sobą wokół zaimprovizowanej sceny wcale sporą gromadę Greków.

Demetrios uśmiechnął się i patrząc przenikliwie gościowi w oczy, znów dłuższą chwilę milczał. Dopiero gdy za ciemno już się stało, by nawet z bliska coś jeszcze na twarzy chłopca odczytać, podniósł się i dając Leptynesowi znak ręką, by szedł za nim do domu, nim sam iść zaczął, rzekł w smutnej zadumie:

— Wszystko to wokół nie większą ma trwałość, niż tkanina Penelopy. Chyba że przyszliby nareszcie oni.

— Kto, oni?

— Skośnoocy. Na rydwanach bojowych, niczym woje z Homera.

— Ale czegoż dokonają? — zdumiał się Leptynes. — Ile rydwanów mogą przeciw chmarom koczowników wy-

stawić? Słyszałem o nich dużo w Argos — toż to też oaza tylko, choćby nawet i największa z wszystkich na wschód od Tygrysu.

— Oaza? — zaśmiał się nagle Demetrios, biorąc się pod boki: — Oaza! Dużoś o nich słyszał w Argos — powiadasz? Oaza!...

Długo się śmiał — jeszcze gdy do domu wchodzili, a nie sam już tam, bo ledwie coś spod niskich drzwi rzucił w niezrozumiałym języku do płowowłosej gromadki, istny chór to już był śmiechu, zgodnego, przecież na różne tony.

Po wieczerzy Demetrios zapytał Leptynesa — widocznie w wyniku baczego przyglądania mu się przy stole — czy się nie myli, mniemając, że bardzo się gościowi spodobała najstarsza jego — owa, co mu owoce na talerzu wynosiła — córka. Gdy Leptynes uczył żar na policzkach, gospodarz dodał:

— Gdybym ciebie nie miał za Greka, na noc bym do siebie nie zaprosił, mimo nawet żeś mi tyle dziś dał radości. Ale jeśli się omylił — trudno — nie odstanie się: gościem jesteś; jeśli chcesz, by spać z tobą przyszła, przyjdzie. A wiedz: z nikim dotąd nie spała.

Znów chwilę milczał. Znów bacznie Leptynesowi się przypatrywał; dostrzegłszy zakłopotanie, zawstydzienie, na włosach mu już rękę położył, nie na ramieniu.

— Tyś taki jeszcze jak i ona, zgaduję — uśmiechnął się. Nagle uśmiech ten się przeobraził: z dobrotliwego a i lekko też, nie raniąco kpiącego, w taki, jakim zwykło się wstydliwie największe okrywać wzruszenie.

— Gdyby... gdyby — dodał, a głos mu drgał — rozumiała mowę ojcowską i ze mną tam dziś była i słyszała ciebie, jak ja, sama by na noc w twą pościel przybiegła. I to z jakim bezmiarem... czekaj, jak się to mówi... wiem — nie mów — wiem: szczodrobliwości!

I znowu milczał, i znowu głos mu drgał wzruszeniem — choć nieco innego już, niż uprzednio — rodzaju — gdy rzekł:

— Ale nawet i nie władna rozumieć, przybiegłaby a i nie mniej byłaby szczodrobliwa, wiesz, kiedy? Jakbyś skośnookich tutaj sprowadził. A i jabym jej wtedy tego nie bronił. Wziąłbyś ją sobie, na ile byś zechciał: na

zawsze — dobrze. Na lato jedno — też dobrze. Na noc jedną — takż.

„Za nic, ale to za nic nie chciałem dotknąć Demetrios-a; tak mi było tam dobrze — z nim, z jego dziećmi, pod jego dachem, w cieniu jego drzew, nad dymiącą się misą na jego stole. A przecież wyrwało mi się: „Już mi jedy-naczkę Króla Wielkiego za to samo przyrzekano — na-wet za mniej: bo za dotarcie tylko do skośnookich, nie za sprowadzenie ich”. — Znowu upraszam, by mi nie prze-rywano — znowu przypominam słowo Eutydemidy. Oczy-wiście, zaraz, ale to zaraz po tych słowach zaśmiałem się — obróciłem je w żart. Nie we własny, tylko przeze mnie powtórzony — taki właśnie, co śmiechu wart, a nie wiary; więc dlatego też go i powtarzam — tylko dlatego, by razem z Demetriosem z niego się śmiać...

„Zapewne to i był właśnie żart ojca mego, w wieczór, gdyśmy się żegnali. Miałem wyjechać z Baktry o świcie, ojciec zaś zwykł był do południa prawie z sypialni Mitro-anii nie wychodzić, więc jużem go więcej widzieć nie miał, ale ją — czy uwierzycie? — tak! Aż do samej bra-my mnie odprowadziła, z dzieckiem na rękach, nieucze-sana i — o dziw! — bosa, — ona, taka surowa w prze-strzeganiu wszelkich zalecań i zakazów, jakie od Magów pochodzą!... Zaiste — nie urażając tu obecnych i jeszcze jednej, dalekiej — bezmiar fałszu mieścić się może w duszy kobiecej! Bo przecież to jasne, że jeśli ktoś z dwojga choćby odrobinę małą — najmniejszą — żalu czuł, że mną się rozstając, to ojciec, nie ona! Ale że zbyt nikła była to najniewątплиwiej odrobina, nie podniósł się z łoża inaczej niż zwyczajnie; nie widział potrzeby uda-wania...

„Wracając przecież do żartu, o jakim była mowa, jak wszystkie przeważnie ojcowskie, był złośliwy, aczkolwiek jak dalece świadomie złośliwy, nie wiem. Bo oto ja na-prawdę długo, długo wierzyłem, że jeśli między skośno-okich się dostanę i wieści dokładne o nich — jak niegdys Megastenes o Indiach — pierwszy z Greków Grekom przyniosę — nie tylko przebaczone mi przez wszystkich — ale to przez wszystkich! — zostanie to... to, żem nie-śmiały i niezgrabny i baba, jak to mawiał Eukratydes w Aleksandrii Proftazji, ale że nadto posypią się też na

mnie wielkie nagrody i zaszczyty, a wśród nich — darujcie, o Eutydemidzi! wybaczcie głupie a pyszne marzenia nazbyt często poniewieranego wyrostka!... — wśród nich, powiadam, i ta też nagroda największa i największy zaszczyt — że Król Wielki rzeknie do jedynaczki: — Oto godny ciebie małżonek!...”

— A teraz, młodzieniec już, nie wyrostek — zawołała Agatokleja, starając się śmiać, ale bez zbyt wielkiego powodzenia — jeszcze byś się ze mną ożenił?

— Nie muszę odpowiadać na pytania, jakimi moją opowieść wbrew słowu Eutydemidy się przerywa — nieprawdaż? Ale choć nie muszę, mogę: nie tylko między skośnookich się nie dostałem, lecz gdybym nawet był się dostał, nie byłbym pierwszy; uprzedził mnie Teofil. A poza tym — daruj królowo! — nie chciałabyś chyba mieć małżonka, co by w twoim łożu o innej śnił kobiecie?

— Pięknej?

— I na to też, choć nie muszę, odpowiem pytanie: nie tak pięknej, jak Dioneja. A może raczej: też pięknej, ale inaczej.

— Ale niż ja — to bez zastrzeżeń piękniejszej? — z większym już, niż uprzednio, powodzeniem śmiała się Agatokleja.

— W ogóle nie można robić porównań między nią a Greczynkami.

— To nie jest córka Demetriosa, przecież pół krwi Greczynka, to jakaś jeszcze inna — nieprawdaż? Też niebieskooka?

— Skośnooka.

— Więc i nie płowowłosa?

— Czarnowłosa.

— Nie różowolica?

— Żółtolica. Szerokolica.

— I taka może być piękna?

— Bardzo.

— A może być mądra?

— Bardzo.

— I dobra?

— Gdy może sobie na to pozwolić. Dla mnie była dobra.

— Ale także może być okrutna?

- Gdy musi.
- A dla ciebie musiała?
- Musiała. Ale się obronił. Z jej własną, zresztą, pomocą.
- Jeśli tak — była to chyba królowa lub królowna.
- Jedno i drugie.
- Co by znaczyło, że była córką jednego króla, a żoną — drugiego.
- Była.
- Jak się zwała?
- Juan.
- Dziwne imię, jak dla kobiety. Kochała ciebie?
- Kochała. Wierzę, że i nadal kocha.
- A ty ją?
- Kocham.
- I jesteś jej wierny?
- Jestem.
- Myślę tylko, nad inne ją wynoszącą, czy też i ciałem także?
- Także i ciałem, choć... choć...
- Choć, co?
- Jużem tu mówił o tym. Nic mnie z nią dotąd cielesnie nie łączy.
- Mówiłeś, ale córka Króla Wielkiego nie słyszała. Więc masz powtórzyć — choćby i tysiąc razy, gdybym zechciała.
- Moje słowo! — wybuchnął ni to gniewem, ni skargą żalną Agatokles.
- Obowiązuje tylko ciebie samego oraz tych, którzy nie są tobie urodzeniem równi. Rzekłeś oto — zwróciła się znów do Leptynesa — że nic ciebie dotąd z tamtą królową i królową cieleśnie nie łączyło. Żądam, byś mi wytłumaczył ten raczej dziwny wtręt: dotąd. Czy to znaczy, że spodziewasz się ją kiedyś jeszcze zobaczyć?
- Zobaczę!
- Jak daleko się znajduje? Ile czasu trzeba jechać, by dotrzeć stamtąd, gdzieś ją zostawił, aż tutaj — do Tery?
- Około roku.
- Jestem pewna, że nigdy jej już więcej nie zobaczysz!
- tym razem już z pełnym powodzeniem śmiała się Agatokleja.
- Zobaczę!

— Teraz to już i ja też — odezwał się Mankuras — muszę upomnieć się o prawo stawiania pytań podsądnemu.

— Zaprzeczam — rzekł Agatokles.

— Pozwalam — zawołała Agatokleja. — Więcej jeszcze: rozkazuję.

— Nie chciałbym — uśmiechnął się Leptynes — stać się winnym zbrodni stanu, jako przyczyna bezpośrednia wojny domowej. Odpowiem na każde pytanie, byle nie było ich za wiele. Patrzcie, już prawie dnieje.

— Będzie to jedno tylko pytanie. Otoś nam wyznał uprzedniej nocy, że owa Juan — bo o niej to była mowa, nieprawdaż? — gotowa była zdradzić z tobą cielesnie swego małżonka — jakiegoś króla, jak to teraz się ujawniło, tylko pod warunkiem, którego przyjęcie pociągało za sobą nieuchronnie dalszy warunek: mianowicie że ucieklibyście z dworu jej małżonka — króla Hunów, jeśliś dobrze zrozumiał — do królestwa, skąd ją za mąż wysłano, czyli do Tsin...

— Tsin — tylem razy już mówił — to tylko jeden członek wielkiego zjednoczenia królestw, któremu oni sami — skośnoocy — dają nazwę Państwa Podniebnego albo i wprost — nie nadto skromnie — Świata. Niegdyś władcy z Tsin dokonali raz takiego zjednoczenia, a po wielkiej wojnie domowej król z Han — właśnie ojciec królowny i królowej Juan.

— Dzięki za wyjaśnienia. Nie zapomnę. Mogłeś więc mieć ją jedynie uciekając z nią wspólnie z królestwa Hunów do Nad-królestwa Podniebnego, ale w granice Nad-królestwa mogłeś przedostać się jedynie jako rzezaniec...

— Świetny pomysł! — zawołała Agatokleja. — Możebyśmy — zwróciła się do brata — spróbowali wytłumaczyć Wielkiemu naszemu ojcu, by skoro tak czy owak w Indiach już Mauriów naśladowuje, wziął sobie nadto za wzór owych dalekich Tsin czy Han?

— A w co byś ty się wówczas ubierała? — odciął się Agatokles — ciało raz do jedwabiu nawykłe...

— Litości! Naprawdę już dnieje! — zawołał Leptynes.

— Jeszcze nie — podjął Mankuras — to tylko odbłask światła, jakimi zaporą nawodna oddaje cześć znajdującym się w pobliżu członkom dynastii. Spokojnie więc odpowiedz na jedno jedyne pytanie moje — pierwszej zaś

chciej uważnie śledzić mój wywód — jeśli coś przekręcę, popraw. Wymieniłem warunki, których spełnienie przez ciebie było jedyną drogą do przeobrażenia się waszej z królowną Juan miłości z myślniej w cielesną. Tyś jednak drugiego z tych warunków spełnić nie chciał...

— Bardzo mu się to chwali — znów zaśmiała się Agatoleja.

— Ja go za to ganię — powiedział Menander.

— Na szczęście — odparła — z twoją, wodzu znakomity, naganą lub pochwałą nasz tu podsądny nazbyt liczyć się nie ma potrzeby. Ani w ogóle nikt, poza bezpośrednimi twymi podwładnymi.

— Do czasu!

— Zaiste dłuższy to jeszcze będzie czas, niż ów, jakiego potrzebował Laertyda, wiosło na ramieniu niosący, by spotkać wreszcie kogoś, kto by go zapytał: „Co niesiesz?”

— Kiedyś przecież spotkał.

— Tak będąc stary, że nawet do Państwa Podniebnego wpuszczono by go, nie żądając spełnienia warunku, który...

— ...który — znów nareszcie zdołał zabrać głos Man-kuras — choć i odrzuciłeś, odrzucenia tego jednak Juan nie wzięła ci za złe, owszem — jeśli dobrze zgaduję — swą mocą małżonki władcy Hunów dopomogła ci do wygodnego a wyjątkowo szybkiego przemierzenia odległości, dzielącej jej miejsce pobytu od Tery. Czym niczego nie przekręcił?

— Niczego.

— Jeśli tak, wytłumacz sens zamierzonego swego powrotu do niej. Czyżby należało przewidywać, iż jednak kiedyś nadejdzie taki czas, gdy bądź ona gotowa będzie zdradzić z tobą swego małżonka poza granicą Państwa Podniebnego, bądź też ty się zgodzisz na wykonanie warunku poprzednio odrzuconego?

— Ani jedno, ani drugie. Zobaczę ją bowiem ponownie nie wcześniej niż królestwo Hunów przestanie istnieć, a więc związek i cielesny też ze mną nie będzie już wtedy z jej strony zdradą małżeńską. A ponadto wówczas zostaną i w granice Państwa Podniebnego wpuszczony bez żadnych warunków.

— Musisz wytłumaczyć się jaśniej.

— Spotkanie nasze ponowne wyznaczone jest na czas, gdy Państwo Podniebne tyle mi będzie zawdzięczało, że nikt stamtąd ni tam nawet i nie pomyśli już o tym, by stawiać mi jakieś warunki, nieufność zdradzające.

— Skoro tak, muszę ci jeszcze jedno postawić pytanie: rzekłeś oto, że Państwo Podniebne tyle ci będzie miało do zawdzięczenia? Zechciej ujawnić: co mianowicie?

— Zbyteczne pytanie: tego nie ujawnię.

— Żądam.

— Nie ujawnię. Jest to coś, co się wiąże z najważniejszym celem, jaki wytknąłem całemu swemu życiu. Jużem był rzekł: o tym celu mówić mogę do Greków tylko.

— Bzdura! — bez śmiechu już, ale z szyderstwem raczej posępnym zawołała Agatokleja. — Chcesz wracać do skośnookiej, żółtolicej, zapewne płodzić z nią mieszańców, a przed nami tu próbujesz rozgrywać komedię nieprzejednania, właściwego szermierzom zawziętym wyjątkowych uprawnień Greków kosztem tubylców naszego nadkrólestwa. Ale jest nasze — Eutydemidów — nie twoje. Pokus się o nie, dopiero wówczas będziesz mógł...

— Agatoklejo! — znowuż ni to zagrzmał, ni to jęknął Agatokles.

— Cóż strasznego mówię? — znów już się śmiała. — Aleksander wydał Baktrię Achemenidom Persom — Antygonos, z całą zgrają podobnych sobie, synowi Aleksandra — Seleukos Antygonowi — starszy Diodotos Seleukidom — Diodotowi młodszemu, nasz dziad Eutydemos, a każdy każdemu kolejno — z rzadkimi wyjątkami — wraz z życiem. Niechże więc — z życiem wraz czy nie — spróbuje z kolei wydrzeć ją Eutydemidom Leptynes. A jak nie on, to może Menander? Albo Heliodor? Ten jednak, czy ów, czy tamten najpierw nam ją niech wydrze, a potem dopiero ustala, co w Baktrii sędzia z ust podsądnego może usłyszeć, a czego nie może... Względnie: kto tu sędzią ma prawo być, a kto — nie... Słuchaj uważnie, małżonku mój niedoszły! Wiem, że z woli mego stryja palcem ciebie nie godzi się tknąć na tym tu okręcie, ale ja nad sobą jedną tylko wolę uznaję: ojca. Skarżcie się na mnie do ojca — ty sam czy mój stryj — jeśli będziecie chcieli, ale ja, jeśli zechcę, nakażę poddać ciebie torturom na długo przedtem nim twoja skarga do uszu mego ojca dotrze. Myśl więc dobrze, co mówisz, chyba że na

to liczysz, iż wraz z boskością stryj mój nabył zdolność pokonywania wszelkich oporów przestrzeni i czasu, więc zdąży poskarżyć się na mnie ojcu zanim jeszcze klasnę na znak, by żelazo rozpalone tu przynieśli... To nie żarty, jam nie Orestes, noc zaś dzisiejsza to też inna niż ta, gdy tobie nie tyle złośliwość, co głupia pycha ojcowska przyrzekała nęcąco za to a za to możliwość małżeństwa ze mną... Co ci obiecuję, tego dotrzymam, na Atenę, rydwunami bojowymi powożącą!...

— Jeden z braci już cię raz... — zaczął był Agatokles i gwałtownie urwał, by podnieconym głosem, przy wtórce podnieconego też śmiechu siostry, zwrócić się do Leptynesa: — Jako nosiciel pierścienia Króla Wielkiego, nakazuję ci teraz ujawnić przed wszystkimi tu obecnymi swe wielkie rzekomo a tajemnicze cele...

Po czym opryskliwie:

— Ostrzegam, jeśli poddany zostaniesz torturom, ja ciebie bronić nie będę.

— Miejcież we mnie — zawołał Leptynes głosem, oburzenia pełnym, ale też i lęku wyraźnego — drugiego Antenora! Jak on Troję przed wojną z Achajami, tak i ja was ostrzegam, groźnie i błagalnie zarazem, przed skutkami żałobnymi lekkomyślności...

— Żeś czytał Homera i tragiczków, dawno w to nie wątpimy — pogardliwie rzuciła Agatokleja — ale takich jest więcej na świecie...

— Rzekłś, o pani. Lecz za to nie ma, jak dotąd, wiele takich, co by wpadli na pomysł rozproszenia raz na zawsze lęku, co trapi sny płowowłosych dzieci Demetriosa z Tery. A i innych też dzieci: w Terze samej, w Aleksandrii Najdalszej, w jeszcze dalszej Krainie Frynów Wschodnich, w królestwie Jen tuż poza murem, który dynastia Tsin na swoim wzniosła pograniczu północnym, jak wy tu oto na rzece zaporę z okrętów... Pomysł to nasz wspólny: królowej Juan i mój — niech Grecy z jednej strony, skośnoocy z drugiej równocześnie rozpoczną starannie uzgodnione oczyszczanie olbrzymich przestrzeni, co jednych dzielą od drugich, z wszystkich, licznych jakie tam się pętają, plemion koczowniczych. Nazwałem przestrzenie te olbrzymimi — jakże żałośnie za słabe to określenie! Plemiona koczownicze — licznymi, słowo równie żałośnie za słabe! Więc i owo oczyszczanie równoczesne a uzgodnione; ów

napór roli uprawnej na step — napór z zachodu i ze wschodu — zaiste będzie to praca Heraklesa! Ale właśnie Heraklesa, nie Syzyfa, bo olbrzymie są zasoby Państwa Podniebnego w ludziach i środkach i pomysłach; nie mniejsze w świecie greckim od Aleksandrii Najdalszej do owej koło Egiptu, od Argos młodego w Parykenie do starożytnego na Peloponezie...

— A samego naszego własnego nad-królestwa zasoby nie wystarczyłyby? — zjadliwie zapytała Agatokleja.

— Nie, a w każdym razie nie na to, by brać w tym Heraklesowym naporze pola na step udział jako równi z równymi...

— Hasło nie nowe, ale w ustach twych, niedoszły mój małżonku, raczej niezwykle brzmiące...

— Bo też skośnoocy to jedyny szczep na świecie, który jest nam, Grekom, równy — we wszystkim, nawet w filozofii... Odmieniliśmy, aleśmy sobie równi — nie moje to słowa, tylko Demetriosia z Tery...

— Wolę, gdy opowiadasz, niż gdy rozumujesz i pouczasz — powiedziała Agatokleja. — Nie zapominaj też, żeś wcale nas jeszcze nie przekonał, iżes synem Orestesa, a nie samozwańcem, może i szpiegiem, na pal zasługującym...

— Królewno, czy mogę zapytać, ile masz lat?

— Czternaście — już bym wedle prawa mogła iść z tobą w łóżko małżeńskie... Aleś ty, głupi, wolał skośnooką, choć i nic ci dotąd nie dała...

— Tyle mi dała!

— Chcę właśnie wiedzieć, ile! Opowiadaj, jakieś ją poznał. Czyś słyszał o niej, zanim poznałeś?

— Coś niecoś od Demetriosia. W ogóle o wielu rzeczach i sprawach, zupełnie sobie nieznanych, od niego posłyszałem. Bo też wiele wiedział, a wiedział, bo chciał. Lata i lata marzył o przedarciu się do Państwa Podniebnego, przez lata i lata posuwał się wolno ku wschodowi, zbierając wiadomości i obmyślując sposoby z jaką taką rękojmnią, iż żywy a cały dostanie się tam i takież stamtąd wróci...

— Obawiam się, Heliodorze — z wielkim spokojem powiedziała Dioneja — iż nie jest mi sądzone zostać olśnioną wytropieniem przez ciebie największej naszej tajemnicy rodzinnej...

— Nie jesteś sprawiedliwa — skarcił ją dobrodusznie Menander. — Cóż któż z nas mógłby wiedzieć o tym, czego teraz się dowiadujemy, gdyby właśnie twój mąż nie dostarczył nam tak niezwykłego połowu, jak ten tu oto tajemniczy młodzieniec?...

— Tajemniczy tylko dla przesadnie nieufnych, jakim był zresztą także i twój brat, Dionejo. Bo oto, wyobraźcie sobie, nikt z moich towarzyszy, nikt z żołnierzy, w ogóle żaden Grek, nawet ojciec Teodory nie oświecił Demetriosa, czym jestem synem. Sam zaś on o Orestesie nigdy nie słyszał, co zresztą i nie dziw, skoro się zważy, że wśród Frynów przebywał co najmniej od czasu, gdy Dioneja czwarty dopiero kończyła rok życia, gdy zaś ja z ojcem przyjechałem do Baktry, miała już jedenaście. Oczywiście próbowałem mu wytłumaczyć, kim naprawdę jestem, aż po teraz jednak nie wiem, czy skuteczne to były próby. Z różnych jego odezwań się — a były rzadkie i skąpe, bo na ogół mówił mało — skłonny jestem wnosić, że miał mnie raczej za jednego z młodocianych zesłańców z przestępczą przeszłością; znaczenia jednak istotnego to dlań nie posiadało; potrzebował przy sobie kogoś, z kim by mówił po grecku — we mnie zaś w czasie przedstawienia odkrył kogoś, kto w kategoriach tej właśnie jego potrzeby oszałamiająco wprost cennym mógł się okazać dlań nabytkiem. Jeszcze, zresztą, i przed przedstawieniem miał na mnie oko, wtedy jednak byłem dla niego tylko wyrostkiem, czyjego imienia nawet nie znał, ale czyje złe stosunki z własną gromadą spostrzegł i należycie ocenił pierwszego już dnia pobytu tej gromady w oazie. Więc też jeszcze owego pierwszego dnia założył sobie: „To kulawe, skubane przez wszystkich kaczątko ze mną tu zostanie”. Odtąd śledził mnie bacznie, ale nie zagadywał, nie przystępował; dopiero ostre moje starcie z dowódcą oddziału i policzek mi wymierzony zostały przez Demetriosa uznane za najodpowiedniejszą chwilę od wkroczenia; rozmowa z dowódcą oddziału sam na sam dalszy niewątpliwie i to wielki stanowiła krok na drodze do osiągnięcia tego, co sobie był założył. Prawdopodobnie zaczął od zawstydzienia ojca Teodory, iż bił o wiele młodszego i słabszego od siebie, takiegoż jak sam, Greka na oczach innoplemieńców; skończył zaś chyba wyrażeniem gotowości uwolnienia i swego roz-

mówcy i w ogóle całej gromady od przykrego ciężaru. Czy tę swą gotowość poparł darowizną dwu czy trzech sztuk wysokogatunkowego jedwabiu, z przemytu pochodzącego — nie wiem; skłonny jestem raczej sądzić, że nie, bo w przeciwnym razie Demetrios niechybnie musiałby się dowiedzieć, że synem znakomitego rzeźbiarza, ulubieńca dynastii, jako że jakiegokolwiek osobiste zdanie mieć mógł dowódca oddziału czy o moim ojcu czy o rzeźbie czy o sztuce w ogóle, niewątpliwie przecież uzmysławiał sobie, że jeśli za towarzystwo byle niedołągi dziwaczny samotnik gotów byłby dać tyle a tyle jedwabiu, dałby trzykroć tyle, gdyby mu się powiedziało, że względem syna takiej a takiej znakomitej osoby dowódca oddziału poczuwa się do szczególnych obowiązków odpowiedzialności opiekuńczej. Po przedstawieniu zaś Demetrios dorzuciłby jeszcze więcej — wszystko może chyba, co sam z przemytu posiadał, że jednak, jakem rzekł, okazało się, iż nie wiedział kim jestem, stąd i wspomniany już mój wniosek, że odstąpił on został za darmo. Jeśli zaś wniosek to fałszywy, zaprawdę na nic się dowódcy oddziału utarg taki nie zdał; najwyżej zasłużyłby sobie pośmiertnie na wdzięczność tkliwą kobiet z plemienia koczowniczego, które cały jego oddział wraz z nim samym i żoną i wszystkimi, co oddziałowi towarzyszyli, wymordowało.

„W samej zaś rzeczy bardzo niewiele jednak brakowało, by mój ojciec zasłużenie otrzymał przezwisko Synobójcy; Demetrios bowiem bynajmniej nie nabył mnie jako niewolnika; gdybym zapragnął, towarzyszyłbym bez przeszkód, rzecz jasna, w drodze rzekomo powrotnej do Argos, a w istocie naprzeciw straszliwemu ich losowi, tym, którzy się w drogę tę nazajutrz po przedstawieniu wybrali. Ale i ojciec Teodory i Demetrios zakładali, że nie zechcą się w drogę wybrać, że mam tak dość ponieważ przez dotychczasowe swe otoczenie, iż z radością powitam możliwość zmiany go na nowe, pozornie nieporównanie przyjemniejsze. Nie mylili się. Demetrios przecież wołał ów swój domysł podeprzeć tak mocno, jak się tylko da, więc gdy wyrwały mi się owe głupie słowa chełpliwe o widowiskach na małżeństwo z córką Króla Wielkiego w razie gdybym dostał się między skośnookich, gospodarz mój, zamiast wytknąć mi — spojrzeniem choćby tylko — karygodny brak delikatności, z zapałem zawołał: — Warto,

drogi chłopcze! na stupiersną krwiożerczą lwicę Palladę, warto!"

Leptynes nigdy nigdzie pierwej ani słyszał, ani czytał, by spokojnie rozumną a spokojnie też waleczną, boską opiekunkę dziewczącą sztuk nazywano lwicą krwiożerczą, a przy tym stupiersną, dziwił się więc bardzo, tym bardziej, iż miał zawsze wyobrażenie, że właśnie lwice należą do samic zwierzęcych, jak najmniej sutek posiadających. Zawstydzony jednak poprzednim swym odezwaniem się, nie chciał gospodarzowi nowej — przez wytknięcie mu nieuctwa czy zaniku pamięci — przykrości wyrządzić; puścił więc jego dziwny okrzyk mimo uszu, by z najwyższym możliwie zainteresowaniem i w największym, na jakie go stać było, skupieniu wsłuchiwać się w długi wywód, który po okrzyku tym nastąpił. Zresztą, ani zainteresowania, ani skupienia nie potrzebował udawać w najmniejszym choćby nawet tylko stopniu; wielkich bowiem dziwów i to dziwów bez liku pełna była całonocna prawie opowieść Demetriosa o państwie skośnookich, które Grecy, nawet i ci, co Argos zamieszkiwali, w żalosej nieświadomości mieli za oazę, Okeanosu na wschodzie najbliższą, większą tylko niż wszelkie inne, a które w rzeczywistości było zreszeniem potężnym gęsto zaludnionych a obfitujących w wiele bogactwa rozmaitego królestw o nazwach dziwacznych a o jeszcze dziwaczniejszych — przecież na ogół wcale nie barbarzyńskich — obyczajach. Dostać się tam od dawna było największym marzeniem Demetriosa, Dionowego Syna; gdy sam zaś już więcej marzyć o tym nie może, z radością gotów jest dzielić się całą nagromadzoną przez siebie wiedzą o Państwie Podniebnym z kimś, kto by podjął się dokonania dzieła, przezeń rozpoczętego, ale które do końca doprowadzone przez niego — niestety! — nie będzie. Dzieła, zbawiennego dla Frynów, korzystnego niezmiernie i dla Greków i dla skośnookich samych. „Ja się podejmę!” — w uniesieniu zawołał Leptynes. Demetrios ucałował go w głowę i zaprowadził na spoczynek. Zasnąć jednak Leptynes długo nie był w stanie: marzyły mu się dziwa Państwa Podniebnego, a potem opowiadanie o tych dziwach w sali fioletowej pałacu królewskiego w Baktrze. Stoi oto z królowną na stopniach tronu — na tronie rozparty szeroko, siedzi Król Wielki, Demetrios. U stóp tronu Mitroania klęcząc, wyciąga przed siebie ręce

gestem błagania o łaskę. Król Wielki powiada, że łaska dla niej jest w mocy jego córki i Leptynesa. Królowa rzuca na oblubieńca pytające spojrzenie: czy nie należy winowajczyni przebaczyć, przecież — choć bezwiednie — wiele dobrego dokonała, wyganiając Leptynesa z domu?...

W jakiej chwili marzenia te przeistoczyły się w senne, nie wiedział; gdy się obudził, słońce stało wysoko, z bardzo daleka już donosił się dźwięk muzyki wojskowej. Wybiegł przed dom — za ostatnim kanałem sunął ku zachodowi, na pustyni już, wielki obłok kurzu. Ci, którzy nim poniewierali, odeszli.

Czy odczuwał ulgę? Wręcz przeciwnie: był nieprzyjemnie zaskoczony, przygnębiony, wręcz wystraszony. A przy tym — wydawało mu się — podstępnie zawiedziony. Gdy jednak sychnął tymi swymi żałami w Demetriosą, ten ze zdziwieniem bez granic — nie wiedzieć, szczerym czy udanym — zawołał: „Przecież wyraziłeś gotowość udania się do Państwa Podniebnego, a tamci w przeciwnym odeszli kierunku!”

Po czym dodał:

— Jeżeliś się jednak rozmyślił, to biegnij. Może ich jeszcze dopędzisz. Nie wątpię, że okrzykami radości powitają zaginionego towarzysza.

Nie pobiegł. A nieraz potem tego żałował. Aż do dnia, gdy do oazy nadeszła wiadomość o losie tych, którzy odeszli.

Ale i po tym też jeszcze dniu żałował — nie tego, co prawda, iż z tantymi nie był odszedł, lecz że właśnie z Demetriosą pozostał. Miał bowiem w kilka dni po osiedleniu się w oazie sposobność przyłączenia się do gromady Frynów, którzy wybierali się do Isedonu; może gdyby ze sposobności tej był skorzystał, dostałby się przecież jakoś do Państwa Podniebnego. Od zachodu, nie od północy, jak to miało się stać w niespełna trzy lata potem, a nie stało się, bo nie chciał pozwolić na zrobienie z siebie rzezańca.

— Oczywiście — dodał jak gdyby uprzedzając gotowe zerwać się z ust kogoś ze słuchaczy pytanie — rzezańcem może bym musiał tak czy owak zostać; różnica przecież jest i przyznajecie chyba, iż znaczna: w drodze od zachodu spadłoby to na mnie jako nieoczekiwane nieszczęście, na jakie żadnej nie miałbym rady; w trzy zaś

niespełna lata później nie tylko zostałem uprzedzony, ale mogłem i powinienem być sam dokonać wyboru. Co wybrałem, wiecie; bynajmniej jednak nie jestem pewien, czy byłbym wybrał to samo, gdyby tę samą cenę kazano mi zapłacić za możliwość przerwania się do Królestwa Podniebnego z oazy, gdzie pozostał z Demetriosem, w jakiś miesiąc po moim u niego zamieszkanu.

„Po kilkunastu bowiem dniach wspólnego pożycia zaczął i on też źle się ze mną obchodzić. Ale więcej jeszcze: jego dzieci także! Możliwością mówienia z kimś po grecku szybko się nasycił; niewątpliwie o tym głodzie swej duszy błędne, bo przesadne, miał uprzednio wyobrażenie. Zacząłem mu ciążyć, najpewniej wprost jako dodatkowa gęba w domu. W oazie był dostatek — to prawda; osiągało się go jednak tylko wytężoną pracą rąk i czujnym przestrzeganiem równowagi między potrzebami a możliwością zaspakajania ich. Moja obecność równowagę tę naruszała, przywrócić ją można było tylko i mnie też do wytężonej zapędzając pracy, a ja, gdybym i chciał nawet, nazbyt byłbym na to niedołączny, ale ponadto nie chciałem. Jediną pracą rąk w czasie pokoju, godną wolno urodzonego — przedkładałem Demetriosowi — może być rzeźba; że tak właśnie jest, wszyscy się ze mną tu zgodzicie. Zrazu słuchał tych moich wywodów pobłażliwie, nawet przyznawał, że gdybym na przykład sprowadził skośnookich, a ci przymocą ściągnęliby koczowników z koni i podarowaliby ich, jako niewolników, mieszkańcom oazy, to by z całą pewnością ni on sam, ni jego dzieci, ni sąsiedzi nie kwapili się trudzić sobie rąk i grzbietów, ale póki rydwanów bojowych od wschodu nie widać, owoce zaś smakują i miód smakuje, a i sam chleb chociażby czy woda, póty trzeba się mordować, w sadzie kopiąc czy na kanale. „Zresztą” — dorzucił kiedyś — „mówiłeś o rzeźbie, jako jedynie godnej pracy rąk dla wolnych w czasie pokoju. Ale tu nie ma czasu pokoju, tu zawsze jest stan wojny”. „Z kim?” — uśmiechnąłem się niedowierzająco. „Z pustynią” — odpowiedział posępnie a spokojnie.

„Spokój ten jednak jego nie miał już trwać długo, i właśnie ta zmiana w jego usposobieniu kazała mi chwilę temu powiedzieć, że może bym i zapłacił tak straszliwą cenę, jak zostać przemienionym w rzezańca, za możliwość wymknięcia się skutkom owej w nim w stosunku do mnie

przemiany. Co prawda, nie ja sam byłem przemiany tej przyczyną — na mnie tylko wszystkie inne odbijał przyczyny, nawet i tę najdziwaczniejszą, niesamowitą, długo dla mnie niezrozumiałą. Oto któregoś dnia przyniósł do domu niemowlę, na którego widok w rodzinie podniósł się wielki płacz; szczególnie zawodziła — i to w sposób, co czynił ją wręcz wstrętną — najstarsza dziewczyna, owa, co tak mię czarowała w pierwszy wieczór pobytu wśród nich. Nie dziw, zresztą, że tak zawodziła, na nią bowiem bezpośrednio spadała troska o tego nowego, a najzupełniej już bezradnego i długo nieużytecznego domownika. „Czy to znajda?” — zapytałem. Demetriosowi nabiegły krwią oczy, i uderzył mię w twarz — boleśniej jeszcze niż przed miesiącem i coś ojciec Teodory. Po czym rzekł coś po frynijsku do dzieci, i wszystkie w lot przeszły od płaczu w śmiech, ale jakiś bardzo nieprzyjemny; jedno zaś z nich rzuciło we mnie zgniłym owocem.

„Płakałem całą następną noc. Ale nie byłem jedyny w domu, który spędził ją bezsennie; Demetrios i najstarsza dziewczyna długo o czymś z sobą mówili: on — sucho, rzeczowo, ale niekiedy też z wyraźnym wahaniem się; ona — cały czas stanowczo, a z zawziętością, która im dłużej rozmowa trwała, tym wyraźniejszych nabierała tonów złowrogiej uciechy. Zasnąłem, zanim umilkli za przegródką, i śniło mi się, że wróciłem do domu, i służba witała mię wiadomością, że ojciec wypędził haniebnie Mitroanię, przyłapawszy ją na uściskach z bratem, któremu, o ile się nie mylę, na imię jest Hyspaosynes.

„Nazajutrz stwierdziłem nową zmianę w stosunku do siebie domowników: Demetrios nie napędzał mnie do żadnej roboty, a dzieci mego nieróbstwa nie piętnowały ani rzucaniem we mnie kamieni, ani nawet wrogimi okrzykami czy minami; owszem — nie wyłączając najstarszej dziewczyny — uśmiechały się do mnie, ale właśnie te uśmiechy nie podobały mi się, wręcz mnie niepokoiły. Powoli jednak do nich się przyzwyczailem, jak i w ogóle do całego tego nowego do mnie stosunku, który — jak niebawem się okazało — nie był wynikiem jakiejś przelotnej odmiany nastrojów, ale stanem trwałym. Ocenilem go jako polepszenie na ogół swego położenia, ale wnet zaczęła mi się dawać we znaki — jeśli pozwolicie na to porównanie — odwrotna strona monety: oto od pierwszego dnia

tej zmiany dawano mi mniej jeść i pić: nie od razu, ale każdego dnia nieco mniej niż w dniu poprzednim; nigdy przecież tak mało, bym czuł zbytne osłabienie, najwyżej to, że chętnie bym jeszcze zjadł i wypił.

„Była to niewątpliwie oszczędność, wytłumaczalna w kategoriach ścisłej współzależności między pracą a jej owocami, ale równocześnie zagadkowa przez to, że dotyczyła wyłącznie odżywiania, bo ubiorów i obuwia na przykład Demetrios nie tylko mi nie skąpił, ale ujawniał w tej dziedzinie hojność wręcz oszałamiającą. Zrazu stałe nosiłem się po grecku, ale gdy nadciągnęły z jesienią ostre, a potem i wręcz mordercze wichry z pustyni, zwołna się upodobiłem strojem do tubylców, z tym przecież, że mało kto z nich był równie bogato odziany, co ja. Zwracano też na mnie coraz więcej uwagi w oazie, ale tu właśnie nowa zaczynała się zagadka — przy tym dwoista: o pewnych, stałe tych samych porach dnia, ale nie co dzień, tylko w stałych odstępach czasu, Demetrios zabierał mnie i najstarszą dziewczynę na przejażdżkę osłami, przy czym stałe w tym samym miejscu zsiadaliśmy i wracali do domu pieszo, powierzając osły opiece młodszych jego dzieci. Miejscem zsiadania był placyk, na którym odegrałem skrót „Gorgiasa”; zawsze tam był tłok, ale nigdy prawie w pobliżu dość wysokiego — jak w ogóle na wymiary budowli w oazie — muru, okalającego najwspanialszy z sadów całego osiedla z zabawnie stożkową wieżą w głębi. Domyślałem się, że musi to być świątynia albo też siedziba samorządu osady; domysłem tym moim Demetrios przytaknął, ale niechętnie, mruklawie i bez wdawania się w szczegóły. Wieża miała taras — na tarasie zawsze ktoś siedział, ilekroć zajeżdżaliśmy tam osłami. Domyślałem się z kolei, że to musi być najwyższy kapłan.

„Na czym jednak — zapytacie — polegała, jakem rzekł, dwoistość zagadki tych przejażdżek w stałych odstępach czasu? Oto na tym, że wyprowadzając mnie między tubylców i to tak, by zwracano na mnie uwagę, także i ze względu na bogaty mój strój, Demetrios ogromnie przestrzegał, bym z nikim nie nawiązywał znajomości. Więcej jeszcze: od pierwszego dnia owej zmiany w stosunku domowników do mnie urwały się wszelkie próby zacieśnienia związków między mną a rodziną — próby, które poprzednio dały mi już pewne początki znajomości tu-

bylczego języka. Dzieci nie tylko przestały do mnie mówić, ale i między sobą w mojej obecności nie mówiły. Wyglądało to na zakaz, a że trudny był do wykonania — z nadzieją zimy nastąpiło oddzielenie mnie od reszty rodziny, właśnie z celem najwidoczniej, bym się nie uczył języka. Przeniesiono mnie do obory, przemienionej zresztą przy pomocy futer, bawełny i jedwabiu w wykwintną wcale sypialnię. Nawet jeść mi tam przynoszono — a zawsze milcząco. Sam Demetrios natomiast dużo czasu ze mną spędzał właśnie na rozmowach; mówił zresztą mniej, niż dawniej, nawet o Państwie Podniebnym, chciwie zaś słuchał i wciąż prosił o więcej: recytowałem poezje, opowiadałem wszystkie znane sobie dzieje bohaterów baśniowych i tych, którzy rzeczywiście istnieli — opisywałem, co i kogo sam widziałem w wędrówkach swych od Sardów aż do tej oazy.

„Przez całą zimę właściwie nie opuszczałem wykwintnego swego ale ciasnego domostwa; więc mimo przyjemności, jaką samemu mi sprawiało własne opowiadanie, nudziłem się, a i wręcz już męczyłem z dnia na dzień coraz dotkliwiej. O wyjeździe jednak do Isedonu mowy być nie mogło — przed wiosną żadna nie wyruszała karawana — więc życie płynęło dalej po dawnemu. Życie, do tego sprowadzające się, żem dużo leżał, dużo mówił, mniej słyszał, jeszcze mniej jadł i pił, z tym że im więcej leżałem, tym mniej spałem.

„Owe noce — coraz bardziej bezsenne — spędzałem przeważnie na przygotowywaniu myślnym opowiadań dla Demetriosa na nadchodzący dzień. Przychodził zazwyczaj, gdy słońce było już — jak na zimę — dość wysoko; nieodmiennie poprzedzało go któreś z dzieci z jadłem i napojami dla mnie. Przychodziło, gdy jeszcze było szaro, ale przecież nigdy w nocy. Więc nie dziw, że ogromnie zdumiałem się, wręcz przeraziłem, gdy kiedyś — właśnie gdy przypominał sobie szczegóły uratowania się Deukaliona od potopu — ktoś o najciemniejszej godzinie zapukał cicho, ostrożnie, przecież dobrze słyszalnie, do mych drzwi. Myślałem, że Demetrios postanowił mnie zabić i w ten najprostszy sposób pozbyć się z domu dodatkowej a nieużytecznej gęby. Wnet jednak przemknęło mi przez myśl: przecież mógł to zrobić dawno!... Nieco uspokoiłem się, ale przecież uginały się pode mną nogi, i potwor-

nie łomotało mi serce, gdym zbliżył się do drzwi i pytał: Kto tutaj? Kto?

„Nikt nie odpowiedział, wnet jednak spostrzegłem, że coś się wsuwa poprzez szczyrbę pod drzwiami. Pochyliłem się, podniosłem — w ciemnościach dotykłem tylko mogłem stwierdzić, że był to jak gdyby dosyć duży kawał raczej cienkiej a z natury miękkiej, przecieź starannie wysuszonej kory drzewnej, najpewniej z pnia topolowego. Ze zdumieniem odczekałem do rana, przy świetle dziennym między przyjściem dziecka a samego Demetriosa dziwny tajemniczy nabytek starannie obejrzałem. W miarę jak oglądałem, zdumienie moje rosło i rosło.

„Oto na dużym arkuszu zszytym starannie — jak dopiero stwierdziłem — z kilku kawałków cienkiej kory znajdowała się cała seria rysunków. Każdy z nich ujęty był w koło. O wszystkich ojciec mój powiedziałby zapewne, że są dziełem dziecka, które bardzo mało jeszcze umie, ale z któregoś może wyrosnąć wielki malarz lub rzeźbiarz. Pierwszy rysunek wyobrażał stożkowatą wieżę — na tarasie stała ludzka postać, najniedwuznaczniej kobieca, wyciągająca ręce ku dwom męskim, z których jedna — dzięki wcale zręcznemu oddaniu zasadniczych szczegółów greckiego stroju — musiała niewątpliwie odtwarzać mnie. I ja, i mój towarzysz nieśliśmy w prawej ręce na tym rysunku coś co mogło wyglądać na topór. Na następnym rysunku na tym samym tarasie stożkowatej wieży ta sama kobieta przedstawiona była w sposób tak nieprzyzwoity, a z tak dokładnym odtworzeniem najwstydlivszych szczegółów, pozwalających na stwierdzenie jej płci, że wypuściłem arkusz z ręki; nie dziw, było to dla mnie pierwsze w życiu zaznajomienie się z wyglądem tych szczegółów. Gdym się nieco uspokoił, wróciłem do oglądania: dopiero też spostrzegłem, że na tym samym wciąż jeszcze rysunku ja i mój towarzysz zamachujemy się na siebie toporami. Na trzecim natomiast, jakkolwiek kobieta wyrysowana była dokładnie tak jak na poprzednim, we wzajemnym układzie między męskimi postaciami zachodziła zasadnicza zmiana: ja leżałem, a ten drugi z jedną nogą na moich piersiach wrzynał mi się ostrzem topora w głowę. Na czwartym ja nadal leżałem z toporem w głowie, tamten zaś leżał na kobiecie. Na piątym w miejscu, gdzie ja przedtem leżałem, wznosił się kopiec, na którym siedział

mój zwycięzca i wpatrywał się w taras, na którym kobieta znów już stała, ale mając ogromny brzuch. Na szóstym podawała mu niemowlę, na siódmym jej już nie było, a on szedł z niemowlęciem. Na ósmym pokazywał to niemowlę gromadzie innych dzieci, które wznosiły ręce w rozpaczy jak gdyby.

„Zapomniałem powiedzieć o pewnym szczególe: oto na tarasie po obu stronach kobiety — i to na wszystkich rysunkach, gdzie się pojawiała — znajdowały się wielkie zwierzęta, co się nie najlepiej rysownikowi udały, ale niewątpliwie w pomysłę jego były to jakieś olbrzymie koty: pantery, tygrysy lub najpewniej lwice. Wówczas przypomniałem sobie tak dziwny dla mnie okrzyk Demetriosa: „Na stupiersną lwicę Palladę!” I wówczas też wydało mi się, że oto bezbłędnie odczytuję niemą mowę ostrzegawczą wszystkich tych rysunków.

„Oczywiście, nie jestem wcale pewien teraz, czym naprawdę bezbłędnie ją odczytał. Ale wówczas wszystkie prawie zagadki zdawały się otrzymywać przekonujące zupełnie rozwiązanie właśnie w rysunkach, więc i brak matek w rodzinie Demetriosa i sąsiednich; i nocna rozmowa między ojcem a córką po przyniesieniu niemowlęcia, z uwzględnieniem wahań w głosie Greka, a złowrogiej radości w głosie dziewczyny; i to że mię coraz gorzej karmiono a coraz lepiej ubierano, a tak ubranego wożono w miejsce, skąd mogłem być dobrze widzialny z tarasu. A i to wreszcie, że Demetrios coraz mniej sam mi opowiadał, a coraz chciwiej słuchał, jak gdyby przewidywał, że się niezapowiedzianie ze mną na zawsze rozstanie, wiedząc równocześnie, że w wyniku tego rozstania nie w kierunku Państwa Podniebnego się udam...

„Ale jakem rzekł, prawie wszystkie, przecież nie bez reszty wszystkie zagadki otrzymywały poprzez tę mowę niemą rysunków rozwiązanie; więcej: z samych rysunków nowe zagadki wynikały. Więc prawdopodobnie zaplątałbym się w sieci, z wątpliwości i sprzeczności utkanej, z której wydobyć się byłoby możliwe w jeden tylko sposób: pokazać rysunki Demetriosowi, a któż wie, co z tego by wynikło? Może moja śmierć znacznie szybsza a odmienna od tej, przed którą ostrzegał pragnący pozostać nieznanym przyjaciel, bezsprzecznie ucałowany w czoło przez którąś z Charyt niewidzialnych, jeszcze w kołysce... A ra-

czej przyjaciółka, niż przyjaciel, bo przecież częściowo przynajmniej dał czy raczej dała mi się później poznać. Jak? I o tym też powiem, ale za chwilę dopiero. Najpierw zaś o jej uporze i przenikliwości. Oto musiała przewidzieć moje wątpliwości, i następnej nocy wsunęła się do mnie pode drzwiami dalsza seria rysunków. Tym razem jednak wszystkie w zasadzie były jednakowe: tą swą tożsamością tłumaczyły mi, że w oazie dwanaście jest takich stożkowatych wież, a w każdej po dwanaście też takich kapłanek — królowych matek. Że bój śmiertelny o prawo czy też raczej o obowiązek niby zaszczytny zapładniania toczony jest przez każdego z powoływanych do zapładniania dwa razy tylko: gdy jest jeszcze dziewicą i gdy ma już w domu sześcioro dzieci. Jeśli z tego drugiego pojedynku też wychodzi zwycięsko, zostaje podniesiony do godności kapłana i członka rządu oazy, za cenę jednak poddania się zabiegowi, którego przedstawienie bardzo dokładne na rysunku żadnej nie pozostawiało wątpliwości co do dalszej całkowitej już jego niezdolności do udziału czynnego w zwiększaniu stanu liczebnego ludności oazy. Natomiast inną — i to ogromną — nasuwał mi ten ostatni rysunek wątpliwość: miałże by Demetrios w samej rzeczy biernie czekać na chwilę, która nawet jeśli i daruje mu życie, to już na zawsze tylko życie rzezańca? Dlaczego takim zagrożony losem, tkwi w tej osadzie? Dlaczego w ogóle tu właśnie się osiedlił? Czemu — jak mówi — nie jest władny już urzeczywistnić swego marzenia o dostaniu się do Państwa Podniebnego?

„Następna z kolei noc nową też przyniosła mi serię rysunków, ale żaden żadnej nie rozpraszał z mych wątpliwości, osoby Demetriosa dotyczących. Wszystkie natomiast były mową — wciąż niemą, a coraz łatwiej dającą się rozumieć — o środkach zaradczych, za pomocą których mógłbym się wymknąć grożącemu mi niebezpieczeństwu. Dawano mi więc do wyboru bądź spędzenie wielu, wielu lat, udając dziewczynę-niemowę, a przy tym z jakąś straszną chorobą twarzy, bądź ukrywanie się, też długoletnie, we wnętrzu spróchniałym starego drzewa czy też wśród zmarłych pod kopcem, dokąd by docierało dla mnie w sposób bardzo pomysłowy powietrze, jedzenie i picie, bądź wreszcie doradzało mi się sposób, na jaki się zdecydowałem. Sposób ten wyobrażały trzy kolejne rysunki: na

pierwszym z nich dziesięciu chłopców, wśród nich i ja, szło ku stożkowatej wieży z tarasem; na drugim — pięciu nadal szło w tym samym kierunku, ale pozostali, mając mnie wśród siebie, biegli już w kierunku przeciwnym; na trzecim biegło już tylko czterech, mnie zaś wśród nich nie było — po przeciwnej zaś stronie wieży wznosiło się sześć kopców.

„W ciągu kilku następnych nocy niczego mi nie podawano pode drzwi, a gdy po przerwie znów podano, była to dokładnie taka sama seria, co przed przerwą. Potem znów kilka dni przerwy, i znów to samo, z pewną przecież odmianą: oto u dołu dorysowany był piecyk, jakich Frynowie używają do gotowania strawy i ogrzewania wnętrza w zimie, na prawo zaś i to dość daleko od piecyka powtórzenie całej serii w silnym pomniejszeniu. Tajemniczy mój przyjaciel słusznie się domyślił, że ja przez ostrożność wszystkie otrzymywane kolejno serie rysunków pałę, prosił mnie więc, bym zachował ten, jaki teraz otrzymywałem. Zachowałem, schowałem na piersiach pod kilkoma warstwami odzieży. Następnej nocy znów zapukano, a wiedziałem już, że to uderza o drzwi stopa w miękkim wołokowym bucie. Niczego mi jednak pod drzwi nie podsunęto, tylko wyraźnie czekano. Zaryzykowałem — umoczyłem palec w soku wiśniowym, stanowiącym największy przysmak Frynow w zimie — otoczyłem czerwonym kołem rysunek, przedstawiający ucieczkę pięciu chłopców ze mną włącznie — wsunąłem arkusz pod drzwi.

„Przez dwie noce znów nic nie było, trzeciej zaś nadeszła inna już zupełnie, niż uprzednio, niema mowa: odciśnięcie w wiśniowym soku małych ust, jedenastokrotnie powtórzone. Frynowie — o ile mogłem spostrzec — nie uprawiają miłości między osobami, do tej samej płci przynależnymi, więc był to pocałunek kobiety. Ale chyba nie tej dziewczyny, która z taką złowrogą zawziętością doradzała swemu ojcu tak niesamowity a w jej przekonaniu najpewniejszy sposób pozbycia się mnie z domu!... Tym pewniejszy, że jak mówił mi Demetrios, pospolite zabójstwo jest wśród Frynow przestępstwem w ogóle nieznanym, gdy zaś popełnia je ktoś obcy na ich ziemiach, zostaje ukarany powolną śmiercią głodową.

„Jedenastej nocy po otrzymaniu pocałunku ubrałem się jak najcieplej, zjadłem cały sok, jaki był w garnku, i cze-

kałem. Usłyszawszy uderzenie miękkiego obuwia o drzwi, wyszedłem na dwór; było bardzo ciemno, ale nie nazbyt zimno — wyraźnie miało się już ku wiosnie. Ktoś wziął mnie za rękę i dokądś długo prowadził. Potem pomógł mi wsiąść na osła bądź na muła. Potem małe usta czułem przez krótką chwilę na swych ustach, nie na arkuszu je oglądałem.

„Było nas nie pięciu chłopców, jak na rysunku, ale ze trzydziestu. Jechaliśmy całą noc tak szybko, jak tylko muły czy osły dawały się popędzać. Potem cały dzień, jedząc nawet w ruchu. Potem znów noc — nauczyłem się od swych towarzyszy spać, a raczej drzemać jadąc. Robiliśmy wielkie koło w kierunku: północ-wschód-południe-zachód — znowu północ. Nie rozumiałem tego krążenia, ale znakami wytłumaczono mi, że unikamy spotkania się z tymi płowowłosymi koczownikami, w czyjej niewoli krótko już byłem, celem zaś naszej wyprawy są pastwiska innych i mową i obyczajem koczowników: Tocharów. Zrazu dobrze się czułem w tej gromadzie, z którą nie mogłem zamienić więcej niż czterech-pięciu słów; w miarę jednak jak podróż trwała, zaczynało ujawniać się moje niedołęstwo, i stosunek gromady do mnie przeobrażać się z życzliwego we wrogi. Na odmianę łagodniało w miarę trwania podróży powietrze: na pastwiskach Tocharów wyraźnie musiała już być wiosna.

„Nadszedł dzień, gdy znakami zagrożono mi biciem albo odebraniem muła. Ale nim dzień ten dobiegł do schyłku, cała gromada była poniekąd na mej łasce. Żaden to cud; w przeciwieństwie do frynijskiego, który jakem rzekł, przypominał mi nieco swym brzmieniem mowę Keltów, tocharyjski nadspodziewanie, a ku wielkiej mojej radości, mocno podobny okazał się do baktryjskiego, którego przy Mitroanii nauczyłem się wręcz znakomicie. Mimo woli więc przeobraziłem się w wodza gromady.

„Towarzyszy moich po dniu obfitego poczęstunku zapędzono do ciężkiej pracy. Przyjęli to bez szemrania — byli na to przygotowani — była to cena dokonanego jeszcze w ojczystej oazie wyboru. Praca równie ciężka mnie nie groziła, a to właśnie ze względu na możliwość wcale znośnego porozumiewania się z nowymi panami. Przecież zanościło się na to, że jeśli nawet i nie grzbiet, to oczy moje i godność wcale mocno będą cierpiały: oto miałem zostać

przydzielony jako pomocnik do szewca w służbie wielmoży, posiadającego kilkaset owiec. I owszem, przydział ten otrzymałem, ale butów nie szyłem — przeciwnie, innym szyć przeszkadzałem...”

— Słowo czy nie słowo Eutydemidy — zawołał Agatokles — ale niech jak brat mój młodo umrę, jeśli źle zgadł, jakieś się wykręcił. Opowiadałeś...

— Nie powinienes, o panie, umrzeć młodo — uśmiechnął się Leptynes. — Opowiadałem. Najpierw szewcowi samemu, potem całej gromadzie sług wielmoży, a wreszcie wielmoży samemu i jego żonom. Nie wiem — zwrócił się do Mankurasa — kto był pierwszym Grekiem, który Indów zapoznawał ze skarbami naszej poezji i naszych dziejów zarówno bajecznych, jak rzeczywistych, ale dobrze wiem, kto był ten pierwszy wśród Tocharów.

„Wiodło mi się wśród nich bardzo dobrze. Są na ogół weseli i zgrabni, trochę więc ich we mnie raziły i niedoświadczenie i pewna — za wielka, jak im się zdawało — posępność, przecież godzili się z tymi mymi wadami, skoro umiałem umilić im wszystkie wieczory przez miesiące, i miesiące, i miesiące. W końcu dostałem nawet sługę, który mi rozkładał w porze koczowania namiot co wieczór, a co rano go składał. Synowie wprawdzie wielmoży niezbyt mi byli życzliwi i nawet grozili poszczuciem psami, ale zawsze były to groźby tylko. Na odmianę jedna z córek wielmoży bardzo mnie lubiła i zawsze gdym kończył opowiadanie, przed udaniem się na spoczynek dawała mi stopę do ucałowania. Oczywiście, mogli z biegiem czasu także i ją bracia przeciw mnie nastawić, ale nim zdążyli, stracili i rodziców, i siostrę, i służbę, i owce, a i kilku spomiędzy siebie, ci zaś, którzy pozostali przy życiu, wraz ze mną powędrowali z pętlą wokół szyi za końmi innych znów na odmianę koczowników: Hunów.

„W tej nowej niewoli — zrazu naprawdę gorzkiej niewoli — było mi dłuższy czas tak źle, że raz powziął mocny zamiar odebrania sobie życia. Powodem tej ostatecznej rozpaczki była wrogość właśnie tocharyjskich towarzyszy niedoli: Hunowie z wszystkimi nami obchodzili się jednakowo źle, ale właśnie im nam wszystkim razem było gorzej, tym dotkliwiej reszta młodocianych jeńców past-

wiła się nade mną, jako nad innoplemieńcem, rzecz jasna. Cierpiałem długo, przecież pewnego dnia uczułem, że więcej nie wytrzymam. Dobrze pamiętam: mieliśmy postój nad ogromnym jeziorem — gdzieś daleko, daleko na północy — w noc pełni księżycowej. Było pięknie wokół, ale w mojej duszy tylko przerażenie i świadomość, że tym udrękom musi już przyjść kres. Na wodzie falował lekko długi szlak świetlisty: odbicie promieni księżyca. Stałem na samym brzegu i rozplakałem się: gdybyż jakieś bóstwo wszechmocne a litościwe dało mi moc cudowną pójścia nie tonąc, tym szlakiem promienistym tak daleko, aż znikłbym zupełnie z oczu swych prześladowców, by nazajutrz wrócić wraz ze słońcem wschodzącym witany okrzykami błagalnymi, abym im — tym mym prześladowcom — przebaczył. Przebaczyłbym! Tuliłbym kolejno każdego do swej piersi. Dotknąłem wody nogą — nie utrzymała się na powierzchni, zanurzyła się... Zmrużyłem więc oczy i rzekłem sobie: — Teraz, zaraz skoczę... Pływać dobrze nie umiałem, więc śmierć była pewna.

„Nie skoczyłem, a gdy wróciłem między swych towarzyszy niedoli, okrucy z ich nędznej wicherzy smakowały mi tak, jak nigdy nic przedtem. A nawet razy ich pięści tak bardzo już nie bolały. Wcale dobrze spałem. I wcale długo, aż obudziły mnie kopniaki”.

— Język huński zapewne nie jest podobny do baktryjskiego — zaśmiała się Agatokleja.

— Do żadnego.

— Biedaczyna! — wciąż się śmiała. — A tyle miał do opowiadania...

— Nie śmiej się, o pani. Zdziwisz się, ale przecież w końcu znowu opowiadałem...

— Po huńsku?

— Wciąż po tocharyjsku.

— Uśmierzyłeś jednak czarem swej mowy wściekłość swych towarzyszy niedoli?

— Ich wściekłości sam Orfeus nie uśmierzyłby chyba.

— Więc komu opowiadałeś?

— Królownie i królowej Juan.

— Tej z Podniebnego Państwa? Dzięki niech będą Siwie, boskiemu bykowi garbatemu, przecież dotarliśmy do

twojego z nią spotkania. Ale jak ona mogła znać mowę tocharyjską?

— Nauczyła się.

— Wśród Hunów?

— Jeszcze w pałacu swego ojca. Zna języki wszystkich plemion barbarzyńskich, których pastwiska przylegają do granic Państwa Podniebnego.

— Ja zaś znam tylko jedno narzecze indyjskie — westchnęła Agatokleja — nie licząc języka książkowego czy też świętego: sanskrytu. Ale to pewnie dlatego, że my — inaczej niż skośnoocy Tocharów — Indów za barbarzyńców nie mamy, więc jak się sanskryt zna, wszędzie w Indiach z przodownikami społeczności każdej rozmówić się zdołam. Lecz jak odszukaliście się — ty i ta Juan?

— Przejeżdżała któregoś dnia z mężem swym, Królem królów huńskich, w pobliżu miejsca, gdzie myśmy, jeńcy, obozowali. I usłyszała moje krzyki.

— Tak ciebie bito?

— Bardzo. Zatrzymała się i zapytała, kogo kto bije i za co. Gdy nadzorca wyjaśnił, że to wśród jeńców tocharyjskich dość zwyczajny samosąd, skrzyła konia w naszą stronę i po tocharyjsku już zaczęła żądać wyjaśnień.

— Dostała je?

— Bezpośrednio ode mnie. Powiedziałem, że dręcą mnie za to, iżem nie koczownik jak ci inni, ale pochodzę z potężnego narodu osiadłego. Zaśmiała się, ale łagodnie, bo oto — rzekła — rozumie, iż nawet kłamstwem komuś bardzo udreżonemu godzi się posłużyć w nadziei, iż się udreće wymknie.

Zapewniłem ją, że nie kłamię. Wprawa, jakiej nabyłem, Tocharom wiele o greckim opowiadając świecie, pozwoliła mi szybko a zwięźle wytłumaczyć jej kim my, Grecy, jesteśmy, jakie obszary zajmujemy, jakich wielkich rzeczy dokonujemy. Słuchała z niedowierzaniem — twierdziła, że nie ma narodów osiadłych, poza podwładnymi Synowi Nieba — więc padłszy na twarz, prosiłem ją o pozwolenie mi opowiedzenia jej przebiegu dziejów Aleksandra i jego bezpośrednich następców oraz treści jednej z tragedii Sofoklesa i jednego dialogu Platona.

— Pozwoliła?

— Rzekłaś, o pani.

— Co było potem?

— To, że nikomu pod karą utraty rąk nie wolno było mnie uderzyć. Ale że spojrzenia potrafią zadrzeć nie gorzej od pięści, czas jakiś jeszcze cierpiałem.

— Długo?

— Aż jej opisałem dokładnie Sardy, Antiochię, Seleukię nad Tygrysem, Suzę i Baktrę, w szczególności zaś wspaniałość sali fioletowej w pałacu baktryjskim.

— A wtedy cóż się z tobą stało?

— Zostałem członkiem jej dworu.

— Wciąż tam opowiadając?

— Ale i słuchając także. A było co słuchać. W porównaniu z tym, czegom od niej się dowiedział, jakże żałośnie przedstawiała się rzekoma wiedza Demetriososa o Państwie Podniebnym... Zaiste, to, com od niej słyszał, dziwy to były nad dziwami.

— Nie zmyślała?

— Po cóż? A zresztą, gdyby nawet, jakże bym sprawdził? Jam nie Lu Wan...

— Lu Wan? Któż to taki? Jej mąż?

— Nie, to jej współplemieniec. Ongiś król, a za mojej wśród Hunów bytności — wygnaniec... Bardzo mnie nie lubił. On to, podejrzewam, doniósł Motunowi o naszej z nią ku sobie miłości. Motun — to imię jej męża, władcy najwyższego Hunów.

— Dlaczego tak podejrzewasz? Czy Lu Wan był twym współzawodnikiem?

— On? — zaśmiał się Leptynes. — Toż to starzec. Rówieśnik owego Syna Nieba, Kao Tsu, za czyją córkę... czyją córką była.

— Więc po cóżby miał na was donosić? Szkodzić jej? Myślałem, że jako współplemieńcy, powinni by się byli raczej wspierać wśród obcych.

— Przeciwnie, zacięcie z sobą walczyli.

— Dlaczego? O co?

— Ja wiem, o co — wtrącił Mankuras. — Pozwolisz, o pani — zwrócił się do Agatoklei — by podsądny dokończył możliwie najzwężlej już swego opowiadania? Naprawdę już dnieje.

Po czym znów zwrócił się do Leptynesa:

— Ona strzegła wielkiej tajemnicy i choć umiała ją ochronić przed owym Lu Wan, tobie przecież z niej się zwierzyła, nieprawdaż? Nie brnij dalej w kłamstwie, bo

kłamać — właśnie kłamać — tak czy owak dobrze nie potrafisz. Przyznaj się: twoja skośnooka ukochana wcale nie była królowną Juan, ale tylko się za nią podawała. Jeśli teraz znów skłamiesz, będę nieubłagany. Ale jeśli wyznasz, żeś skłamał, zostanie ci przebaczone: chciałeś wywyżżyć kobietę, co do której myślisz, że ją kochasz, w ten sam sposób, w jaki sama się wywyższała; to jest zrozumiałe, więc — powtarzam — może być przebaczone. Ale tylko to. Skłamałeś?

— Skłamałem.

— Nie była królowną?

— Nie była.

— Dlaczego królownę udawała?

— Bo Motun żądał królowny w małżeństwo, a Kao Tsu, ów pierwszy Syn Nieba z Dynastii Han, szczególnie zaś jego żona, jedynej swej córki barbarzyńcy dać nie chcieli.

— I Lu Wan się tego domyślał?

— Rzekłeś. Chciał wydrzeć jej przyznanie się do prawdy; jakkolwiek jednak ogromnie się wysiłał, wręcz ją zadreślał, nigdy jej czujności nie złamał, nawet nie ugiął.

— Ale przed tobą się zwierzyła? Dlaczego?

— Bo mnie kochała.

— Nie musiała jednak tak bardzo kochać skoro skłonna była zaprowadzić cię do Państwa Podniebnego nie inaczej niż jako rzeźnica tylko.

Leptynes wpadł w silne rozdrażnienie. Zaczął wołać do Agatoklesa, że przecież słowo Eutydemidy znowu oto zostało złamane. Królewicz opryskliwie odparł, że Mankuras przyłapawszy podsądnego na kłamstwie, nie tylko miał prawo zasypać go pytaniami, ale wręcz dobrodziejstwo mu w ten sposób wyświadczył, bo przecież mógł postąpić — właśnie słowu Eutydemidy posłuszny — inaczej: uznać żeś skłamał, ale nie ujawnić tego, ażebyś całą ukończył opowieść, i dopiero wówczas na podstawie owego jednego jedyne — jak najwidoczniej mniema — kłamstwa oświadczyć, że tobie nie można wierzyć. Winieneś więc być mu tylko wdzięczny. Szczególnie iż na ogół — poza tym jednym wypadkiem — zdaje się uważać twą opowieść za wiarygodną. Może jest, może nie jest, zresztą im dłużej cię tu słucham, tym bardziej się zdumiewam, iż to właśnie taką opowieść uznał Mankuras za najlepszą próbę.

mającą wyświecić, jesteś czy nie jesteś tym, za kogo się podajesz. Oczywiście, skoro tak mniema, jego to sprawa — on będzie odpowiedzialny za wszystko, co się stanie w wypadku, gdyby się pomylił. Ale — powtarzam — ja bym na jego miejscu, tyle już wysłuchawszy, stwierdził, że taka próba nie jest zadawalająca: opowiadasz o rzeczach ogromnie ciekawych i opowiadasz zajmująco, chwilkami — mnie przynajmniej — wręcz porywasz. Ale porywać to zadanie poezji, nie historii, więc też mogę przyznać jeszcze raz: masz w sobie dane na poetę, wielkiego może nawet, czegoż to jednak dowodzi, poza tym, że cokolwiek o sobie opowiadasz, wygląda na rzeczywiście przeżyte, ale w rzeczywistości wcale takie być nie musi?... Nie jesteś w stanie przedstawić świadków, z nas zaś nikt tutaj nie posiada danych, by ci zaprzeczyć... chyba jeden tylko Teofil, którego...

— ...którego — szybko przerwał Mankuras — choć nie ma teraz tu między nami, powinieneś się jednak liczyć z tym — właśnie ty — że wszystko, co tu opowiadasz, może zostać mu powtórzone... O ile pamięć mnie nie myli, nie obce dlań byłoby imię Lu Wan na przykład, więcej: znał go, zdaje się, osobiście... Opowiedz, jak Lu Wan wyglądał, a i w ogóle wszystko, co o nim wiesz.

Leptynes opowiedział. Najdłużej się zatrzymał nad tym, czego sam był świadkiem, więc nad tym, na co był już zresztą uprzednio napomknął: nad zabiegami Lu Wana, by rzekomej królownie Juan wydrzeć przyznanie się, że jest samozwańczynią. W toku opowiadania siłą rzeczy zahaczył o przyjaźń od lat dzieciennych między Lu Waniem a jego sąsiadem z wioski ojczystej, późniejszym królem w Han, ojcem rzeczywistej Juan, a wreszcie po złamaniu wszystkich współzawodników, Królem Królów z tytułem Syna Nieba. Opowiadał zwięźlej może a jaśniej niż o czymkolwiek poprzednio; jeśli nawet i był już znużony, wielkim wysiłkiem woli a może też i mocą napięcia najwyższego wszystkich swych władz umysłowych nie pozwalał się znużeniu ogarnąć. Nawet Heliodor stwierdził nagle, że wreszcie zaczyna i to żywo, coraz żywiej, reagować myślowo na to, co słyszy. Szczególnie przykuły ku sobie jego — a i wszystkich innych też — uwagę dzieje powolnego a przecież najwyraźniej nieuchronnego wyrastania króla z Han ponad wielkiego wodza, wojownika i wiel-

możę z dziadów pradziadów, imieniem Siang Ju. I nagle Heliodor, przypomniawszy sobie pierwsze na ten temat starcie słowne między podsądnym a Teofilem, nie tylko zrozumiał istotny sens tego, o co się tamci dwaj wówczas spierali, ale i poczuł się na siłach sformułować własne na temat sporu tego zdanie. Oto nie miał wątpliwości, że wówczas słuszność być musiała po stronie Teofila; że skoro raz — jeden jedyny raz tylko przez wiele lat trwania wojny domowej — znalazł się późniejszy zwycięzca całkowicie w mocy swego przeciwnika, wymknięcie się jego, cudowne omalże, nie było wynikiem szlachetności i wspaniałomyślności rycerskiej najwyższego stopnia, jaką ujawnił Siang Ju z pełną świadomością, że działa na swoją szkodę, tylko objawem lekceważenia, jakie wielki pan i wielki ponad wszelką wątpliwość wódz żywił dla pospolicie urodzonego awanturnika, czyje wyniesienie się miał za zjawisko przejściowe, za wyrośnięcie przypadkowe na fali wielkich wydarzeń. Oczywiście, mówił do siebie Heliodor, późniejsza przegrana, jaką na siebie Siang Ju, lekceważąc tak lekkomyślnie przeciwnika, ścigał, była wyrokiem losu całkowicie zasłużonym, tym więcej, że go przestrzegano, ale z przestroąg tych niewiele sobie robił. Leptynes wówczas, spierając się z Teofilem, wołał, iż gdy Fan Tseng kilkakrotnie ostrzegał pasierba tuż przed ucztą pojednania w Hung Men, że ostatnia to sposobność obywatelnego groźnego wroga — Siang Ju odmawiał ojczymowi, zasadniczo przyznając mu słuszność — myśląc ponuro, może wręcz żałobnie, przecież stanowczo: „Trudno, ale choćby to w samej rzeczy ostatnia była sposobność czci swej zamachem na gościa nie splamię”. Teofil natomiast sądził, że gdyby Siang Ju posępnie przepowiednie ojczyma choćby w części małej tylko brał poważnie, nie oglądałby się ani chwili na swoją cześć rycerską — pozbył się niebezpieczeństwa raz na zawsze a natychmiast jeszcze w sali biesiadnej, szczególnie iż taką świetną wymówkę miałby w razie potrzeby przed światem: „Skąd mogłem wiedzieć, że Siang Czuang, ofiarowując się wykonać taniec miecza, miał co innego na myśli, niż tylko zabawienie dostojnego gościa?” Zresztą — ciągnął dalej myślnie Heliodor — Leptynes częściowo nawet mógłby mieć słuszność; Siang Ju mógł w samej rzeczy nie być wtajemniczony w to, co naprawdę skłoniło Siang

Czuanga, by się w czasie uczy z tańcem miecza zaofiarował. Rzecz inna, że ze spojrzeń, czy to wymownych, natarczywych, ojczyrna czy pełnych najwyższego napięcia w oczach reszty biesiadników, szybko mógł wywnioskować, na co się tu oto pod pozorem bawienia gościa naprawdę zanosi. Obaj przyznawali, i Leptynes i Teofil, że gdy Siang Czuang wzniósł toast, czarę wychylił, a potem obnażył miecz, rozstawiając nogi jak gdyby do tańca, Siang Ju żadnego nie zrobił gestu, słowem się nie odezwał, okiem nie mrugnął. Wedle Leptynesa: bo niczego nie podejrzewał; bo udawał że nie podejrzewa — wedle Teofila. Teofil tam był, dolewał wina do czar, jemu chyba bardziej należy wierzyć, choćby nawet i tysiąc razy powtarzał Leptynes, że gdyby Liu Ci miał co przeciwnikowi, później przez siebie pokonanemu, do zarzucenia w związku z przebiegiem owej uczy, nie omieszkałby ujawnić takich swych zarzutów przed córką, a więc tym samym i przed dziewczyną, którą wysłał do władcy Hunów, by córkę jego najdoskonalej udawała.

Ale nie zrobił też Siang Ju żadnego gestu, słowa żadnego nie rzekł, okiem nie mrugnął, gdy stryj jego, Siang Po zerwał się z miejsca i też jął taniec miecza wykonywać, tak swe ruchy układając, by Siang Czuang stale miał, tańcząc, jego w zasięgu swego miecza pierś, nigdy zaś tej piersi, w którą zdradziecko godził. Leptynes mówił: „Siang Ju się cieszył, iż Liu Ci ma nieoczekiwanego obrońcę”: Teofil zaś rechotał: „Siang Ju był wściekły na stryja, ale oczywiście nie pokazał tego po sobie”.

Różnili się, zresztą także — a to bardziej może nawet jeszcze — co do pobudek, jakie niespodzianym obrońcą kierowały. Wedle Leptynesa Siang Po bał się o cześć bratanka, którego jako człowieka i wodza uwieliiał — jeśli Siang Ju, bezwiednie nawet, dopuści, że Siang Czuang jego wroga tu na uczcie podstępnie zamorduje, będzie to hańba nie do zmazania. I dla bratanka, i dla wszystkich Siangów, wielmożów dumnych a przez pokolenia słynących jako wzór cnót rycerskich do naśladowania. Zresztą — dodawał Leptynes — Siang Po był właśnie najbardziej osobiście odpowiedzialny za bezpieczeństwo gościa, a do niedawna wroga; za jego to radą Liu Ci przyjechał do Hun Men wytłumaczyć się przed współzawodnikiem, któremu — wiedział — nie mógł na razie sprostać.

Teofil uchwycił się wręcz z radością owego „na razie” Leptynesa. Ależ nie tylko sam Liu Ci ale i Siang Po też wiedział, że to właśnie tylko na razie; że przecież Siang Ju, wódz wielki, nigdy naprawdę nie zdoła najwyższej władzy choćby nawet i dorwał się do niej, w ręku swym utrzymać; że lekceważącą pobłażliwością wówczas, gdy trzeba być bezwzględny, okrucieństwem wymyślnym, gdy należy okazać wspaniałomyślność — zrazi nie za długo do siebie najwierniejszych nawet stronników; walczyć będzie wspaniale, nawet zupełnie osamotniony — to prawda; tak czy owak jednak w końcu padnie. Stryj więc, dobrze go znający a przy tym niewątpliwie obdarzony w wysokim stopniu umiejętnością przewidywania, wołał dobrze zabezpieczyć się zawczasu. Czyż nie ułożył się w czasie owej rozmowy nocnej z awanturnikiem — w chwili, gdy temu znacznie bardziej zależało na pojednaniu z Siang Ju, niż odwrotnie — o małżeństwo między członkami ich rodzin? A czyżby się z nim, chłopkiem, on — członek rodu Siangów — spowinowacał, gdyby nie wierzył w jego świetną przyszłość? I ta właśnie wiara — nic innego — kazała mu chronić w czasie uczty przyszłego powinowatego przed ciosem zdradzieckim Siang Czuanga. Zresztą — rechotał Teofil — czy sam także do tańca miecza stając, naprawdę tak wiele ryzykował? Siang Czuang mógł być wściekły, tak jak i Fan Tseng, który go do tańca namówił, ale czyżby się odważył uderzyć w pierś stryja wodza? Nigdy! A więc nie było wcale owo piersi własnej nadstawianie, osłanianie nią gościa, aż tak ofiarnym bohaterstwem, jak to usiłuje przedstawić Leptynes!

I z tym też wywodem Teofila w pełni się Heliodor godził. Zdziwił się więc ogromnie, gdy Leptynes, kończąc opowiadać dzieje przegranej Sianga Ju i bohaterskiej jego śmierci, nagle przerwał sobie i zwracając się do Mankurasa, rzekł z dziwnie iskrzącymi się, a jak gdyby i wilgotnymi oczyma:

— Pytałeś, o czym mówiliśmy z Teofilem, gdyśmy sami na tarasie dziś — a raczej już wczoraj — w południe zostali. Otóż o tym samym, co zawsze przedmiot głównych naszych sporów stanowiło: przez co właśnie padł Siang Ju — przez lekkomyślność, lekceważenie przeciwnika czy też przez wspaniałomyślność? Zrazu obstawał przy swoim zwyczajnym zdaniu, także i co do pobudek, jakimi się

Siang Po, piersi swej w tańcu miecza nadstawiając, kierował. Nagle jednak — oszalamiając mnie — rzekł:

„Wolałbym, aby tak to było, jak ty to ujmujesz, chłopaczku”.

Po czym dodał:

„A byłoby to przy tym — tak jak i śmierć króla Agisa — miejsce, gdzie spotykają się ze sobą boskość zstępująca i człowieczeństwo, ku boskości się wznoszące. Może bardziej jeszcze nawet, bo król Agis w czynie tak, zresztą, jak w pierwotnym swym zamiarze i ów Ind Ardżuna, z współplemieńcami tylko wzdragał się walczyć a wzdragając się, sam wolał zginąć; zabijanie zaś obcych na polach bitew, ojczyzny swej wrogów, za wielką poczytywali cnotę. A że dla Agisa wrogiem ojczyzny i obcym był też i każdy Grek, zamieszkały o pół dnia drogi od Sparty, niewielu w samej rzeczy takich być musiało, których oszczędzając, sam wolał zginąć. Siang Po zaś taki, jakim ty go przedstawiasz, chronił piersią swą kogoś, o kim wiedział, że jeśli teraz zdradziecko porażony nie padnie, padnie Siangów potęga”.

— A cóż ty na to? — zapytał Mankuras.

— Odrzekłem, że choćby jednego tylko człowieka życie ocalić miała śmierć dobrowolna Agisa, już by to Agisa wyniosło ponad wszystkich ludzi. Na co Teofil: „Musiałbym się dłużej zastanowić, czy nie ma przecież jakiejś słuszności w tym twym ujęciu, ale powiem ci: nie warto. Bogów nie ma, więc żaden z nich nie umrze po to, by jakiś człowiek żył. Gdyby zaś istnieli, też by się to na nic ni tobie ni mnie nie przydało: bo jakem był już rzekł, bogowie jako nieśmiertelni, umrzeć nie mogą, choćby nawet chcieli. A zresztą, gdyby i mogli, to co? Umarłby Siang Po, by żył Liu Ci, a Liu Ci żyłby na to, aby umarł z jego woli — nie dobrowolnie już wcale — Siang Ju. Nie, chłopaczku, lepiej niech już bogowie — jeśli i są — do sprawy naszej ludzkiej śmierci się nie mieszają. Za trudne to dla nich, tak jak dla nas, ludzi, trudne to, co łatwe dla ryb i ptaków. Jeśli bóg żydowski — jedyny bóg bezwzględnie szczery — w samej rzeczy władny jest stworzyć i zło i dobro — niech tworzy; ale jeśli któryś zły stwór nie zechce istnieć jako zły, czy godziłoby się stwórcy odmówić mu prawa do samozniszczenia? Zresztą, niechby i odmawiał — to mało ważne; ważne byłoby dopiero,

gdyby zdołał mu w samozniszczeniu przeszkodzić. Bo też to by dopiero było objawieniem rzeczywistej wszechpotęgi, — i o takim — ale też tylko takim bogu — warto może byłoby myśleć z westchnieniem tęsknoty: „Szkoda, że to właśnie on nie zechce — czy nie jest władny — umrzeć, bym ja żył”. Tylko bowiem doskonała wszechmoc budziłaby podziw gotowością do ofiary z siebie. Jakoże co do każdej mocy, mniej doskonałej, można by żywić podejrzenie: czy to naprawdę dobrowolna z siebie ofiara?...”

„Dużo jeszcze w tymże sensie mówił, a skończył zupełnie już nieoczekiwanie. Oto w Babilonii zapytał był niegdyś pewnego Żyda, jakie są cechy boskości. Ten zaczął od zdolności przemawiania na odległość, więc mu Teofil zaraz przerwał oświadczeniem, że na pokładzie okrętu naczelnego królów Baktirii każdy, kogo się odpowiednio pouczy, zdoła na odległość przemówić. „Ale na bardzo małą zapewne odległość” — odparł Żyd. „Czyż więc — zapytał Teofil — wedle ciebie różnica między boskością a człowieczeństwem jest tylko ilościowa, nie jakościowa?” Ciekaw byłem, co mu tamten odpowiedział, ale wszedł na taras jakiś żołnierz i odwoławszy Teofila, zaczął mu coś mówić do ucha. Po czym Teofil znów zbliżył się do mnie — wziął mię pod brodę, spojrzał wprost w oczy, uśmiechnął się i rzekł: „Młodyś, więc sobie ufasz”. Zapytałem, co ma na myśli, ale już nic nie powiedział: poszedł za żołnierzem. Wnet znikli mi z oczu — to wszystko”.

— Wszystko? — zaczął był Mankuras, ale przerwała mu Agatokleja, pytając Leptynesa jak ów żołnierz wyglądał.

— Wysoki, barczysty, ale z twarzą taką, jak gdyby całe życie najwięcej swego czasu poświęcał płakaniu. Chyba Grek, ale może też być i mieszaniec, baktryjski czy aryjski raczej, niż sogdyjski. Spodni nie nosi. Inaczej zgina lewe kolano niż prawe.

— To ten sam! — zawołała Agatokleja do Mankurasa.

— Ani przez chwilę nie wątpiłem — odparł Ind. — Co z nim będzie?

— Nic — powiedział znowuż opryskliwie Agatokles — uszanujmy poglądy Teofila. Jeśli nawet bogom odmawiał prawa wtrącania się w pewne sprawy ludzkie, nie roścmy i my sobie tego prawa.

— Miło mi raz przynajmniej — w sprawach naprawdę istotnych — zgodzić się z którymś z braci — zaśmiała się Agatokleja, ale jak się Heliodorowi wydało, łkanie tało się w tym śmiechu.

— Miałem dowiedzieć się czegoś ważnego o Teofilu — zwrócił się Leptynes do Inda tonem nieomal żądania.

— Miałeś pierwszej dokończyć swej opowieści — odparł Mankuras beznamyślnie, ale przyglądając się podsądnemu w sposób, jaki Heliodorowi wydał się zupełnie nowym. I to takim, że gdyby to on był na miejscu Leptynesa, bardzo nieswojo by się poczuł.

— Rozzuchwalił się barbarzyńca! — pomyślał z niesmakiem, a właściwie to już i znów ze złością. Ze złością, zresztą, której przedmiotem był nie sam Ind tylko, ale wszyscy obecni, wyłączając może — o dziw! — samego Leptynesa. Ale już nawet i nie Menandra.

Sam Leptynes jednak zdawał się zupełnie nie być uderzony nowością w spojrzeniu, z jakim Mankuras wezwał go, by kończył swą opowieść. Może w ogóle żadnej nowości nie dostrzegł, choć naprawdę był już dzień, a Ind stał tuż przy nim, czy też raczej nawet: nad nim, ale tak by ani na chwilę nie spuszczać z oczu podsądnego swoich. Musiało to być dla Leptynesa niemiłe, chyba że już się po prostu przyzwyczyił; tak jednak czy owak, gdy podejmował po przerwach opowiadanie, zdawać się mogło, że nie czuje wcale na sobie owej natarczywości oczu Inda. Dziwna zaś ta niewrażliwość uwydatniła się szczególnie wyraziście, gdy po znowuż bardzo zwięzłym i przejrzystym sprawozdaniu z udręk myślowych, jakie przechodził, wahając się, ma czy nie ma zostać dobrowolnym rzezańcem, by za taką cenę dostać się do Państwa Podniebnego — przeszedł do omawiania najistotniejszej z pobudek, co go skłoniły do wyrzeczenia się i chwały, która by spłynęła na pierwszego Greka, z państwa skońskich powracającego, i jednorazowego zbliżenia się cielesnego z małżonką władcy Hunów, po którym to zbliżeniu miałby w niej zawsze — w to nie wątpił — gorąco oddaną mu matkę i siostrę w jednej osobie, najczulszego przyjaciela, najgorliwszego przewodnika po dziwach wszystkich Państwa Podniebnego. Jeśli jednak — wywodził — obowiązek względem ojczyzny czy dynastii w niej przemógł nad miłością do niego, godny naprawdę jej uczuć mógłby stać

się wówczas dopiero, gdyby sam też obowiązki względem swoich, więc Greków, przeniósł ponad najwyższą wyobrażeniu dostępną rozkosz miłości cielesnej oraz ponad wszelkie rozkosze — bo i to też są rozkosze! — jej trwałej przyjaźni. Jej obowiązkiem było: nie ulec pokusie zachowania go dla siebie na zawsze jako mężczyzny, ale dopilnować, by żaden mogący płodzić mieszańców innoplemieniec nie przedostał się na ojczystą jej ziemię, cóż zaś jego było obowiązkiem? Oto dokonać wielkiego dzieła porwania za sobą Greków dla sprawy zmiażdżenia mocy koczowników, mocy stepu, przez napór dwustronny pola, kogóż jednak władny byłby porwać rzezaniec, przedmiot szyderstwa powszechnego? Nawet dla garstki przyjaciół najbliższych byłby żałośnie śmieszny, on zaś musi porwać za sobą rzesze niezliczone takich, którzy zupełnie go nie znają, dla których długo jeszcze może być niczym — królów, miasta, związki miast! Nie wolno mu więc pozwolić sobie na śmieszność — na żadną śmieszność, a cóż dopiero na taką, z którą zazwyczaj nierozzerwalnie wiąże się odraza, a z tą z kolei — najgłębsza nieufność. Żeby zaś dzieło, które zamyślił, zostało dokonane czy nawet tylko choćby z miejsca ruszyło, nic nie jest równie ważne, jak to, ażeby budził zaufanie. Ażeby ci, których porwać za sobą zechce, nie wątpili, że pobudki jego są najczystsze. Grecy jednak skłonni są zazwyczaj wątpić w czystość pobudek tych spośród siebie, którzy za długo przebywali wśród obcych, przypomni tu swym słuchaczom choćby ten ustęp w historiach Filarcha, gdzie mowa o niechęci, jaką wśród Spartan budził współrządca i wróg króla Agisa, ojciec Chilonidy, Leonidas przez to przede wszystkim, iż za długo przebywał przy boku pierwszego Seleuka w Iranie. Stąd konieczność, o której raz już był wspomniał, by on, Leptynes, obmył możliwe skazy na swej duszy, skutek prawdopodobny pętania się wśród barbarzyńców przez sześć lat prawie, w najczystszych źródłach greckości, więc w sercu Grecji prawdziwej, w praojczyźnie Greków, po świecie rozrzuconych. Niech jednak nie myślą jego słuchacze — ciągnął — że olśniony jest wizją wspaniałą dalekich Aten czy Achai czy Delf aż do stopnia zaślepienia, co by go czyniło niewrażliwym na uroki greckości, ujawniające się pod rządami Eutydemidów. Krzywdziliby go, tak mniemając, bo oto Eutydemidom właśnie, ich wła-

daniu nad sercem Azji, zawdzięcza jedno z największych, najszczęśliwszych przeżyć swego życia — mianowicie przeżycie, które wywołało w nim jak nic nigdy przedtem, dumę olbrzymią a radosną, że i on też jest Grekiem. Zaraz im słuchaczom swym — dokładnie to swe przeżycie opisz, poprzedzić musi ten opis innym: drogi, która go do tego przeżycia przywiodła.

Była to droga powrotna do Baktirii — po sześciu latach blisko! I to droga jakże — w każdym sensie — odmienna od tej, po jakiej było udziałem jego od Baktirii się oddalać. Małżonka władcy Hunów, rzekoma królowna Juan, przyznała słuszność wywodom innoplemieńca, którego pokochała, na temat, w jaki jedynie sposób mógłby on naprawdę stać się jej i uczuć jej godny: oto pełniąc swój obowiązek, jak ona pełni swoje. Mimo że mocno przybita kłopotami, jakie na nią spadały w związku z przysłaniem władcy Hunów innej jeszcze skośnookiej małżonki — też królowny rzekomo — przez nowego Syna Nieba, nie zaniedbała niczego, by drogę Leptynesa ku wołającym go obowiązkom uczynić najszybszą, najdogodniejszą, nawet przyjemną wręcz; wyraźnie osłodzić mu chciała ból rozłąki, która miała przecież trwać tak długo, aż spotkają się wreszcie ze sobą — po długim przedzieraniu się ku sobie poprzez opór zacięty mrowia koczowników — wojska Państwa Podniebnego i greckie, najpewniej gdzieś w pół drogi między oazą, gdzie zakopał się Demetrios, syn Diona, a wielkim jeziorem, nad którego brzegiem zamyślił był kiedyś samobójstwo w noc wspaniałą pełni Leptynes, syn Orestesa. Jakikolwiek król — obyż to był Eutydemida! — przewodzić będzie wówczas greckim wojskom przy owym najdonioślejszym w dziejach ludzkości spotkaniu, tuż przy jego boku niewątpliwie znajdować się będzie, zalany wówczas łzami najwyższego wzruszenia, jakie najwyższa rodzi szczęśliwość, właśnie on Leptynes. A tak samo po tamtej stronie linii spotkania: jakikolwiek Syn Nieba przewodzić będzie rydwanom bojowym z królestw Han i Tsin i Jen i Cz'i i Czao i wielu innych, stać będzie przy nim na rydwanie, też ze łzami szczęśliwości najwyższej w oczach, ona, rzekoma królowna Juan, jeszcze godniejsza tylko przez to czci, iż rzekoma, bo tajemnica, której dochowania ojczyzna od niej wymagała, obarczyła ją obowiąz-

kami, stokroć cięższymi, niż gdyby naprawdę królowną była.

Tak sobie przyrzekając spotkanie, pożegnali się. Władca Hunów — na prośbę małżonki wyposażył Leptynesa w najwyższe uprawnienia poselskie. Towarzyszył mu liczny poczet wojowników huńskich, którego dowódca, okazując odnośne znaki porozumiewawcze, przez wszystkich koczowników najświęciej szanowane, zwierzył go z kolei opiece najtroskliwszej Tocharów, tych samych, czyich był on przed trzema laty niewolnikiem, ci zaś uświetnili jeszcze jego podróż, przydając mu za towarzysza posła do Króla Wielkiego, Demetriosa, z jakimś doniosłym a tajnym zleceniem. Dalsza droga wiodła poprzez różne szczepy, do związku Masageckiego przynależne, a wszędzie najwspanialszymi, najszybszymi końmi, zaprzężonymi w rydwany lub sanie, jakich wielmoże tylko wśród koczowników używają. Wreszcie kraj Chorazmijczyków — oczy wędrowca łzami powitały lśnienie wód Oksosu, tych przecież wód, co przy płynęły aż tam — między czarną a czerwoną pustynię — spod samej Tarmity Greków, z pobliza Baktry Eutydemidów. W rozporządzenie Leptynesa i posła tocharyjskiego oddali Chorazmijczycy dwa okręty — nie było łatwo płynąć przeciw prądowi — podróż rzeczna okazała się wyjątkowo męcząca, a i sam wędrowiec musiał być już, mimo wszystkich wygod, mocno znużony rokiem, w drodze spędzonym. Zaczynały go opadać gorączkowe sny, przeważnie sny o przykrościach, jakich doznawał czy to w Aleksandrii Proftazji od synów wojewody, czy w Argos od innych chłopców greckich, niekiedy zaś i o udrękach, jakie były jego udziałem w początkowym okresie pobytu wśród Hunów. Budził się przerażony, a za chwilę już szczęśliwy, że to był tylko sen. Wnet jednak ponownie zasypiał. Stracił poczucie i czasu i przebywanej wolno a z trudem kołyszącej się pod płaskim dnem przestrzeni. Dziewiętej przecież nocy, na rzece spędzanej, wyrwał go ze snu, szczególnie przykrego, bo przedstawiającego twarz rzekomej Juan, jako maskę tylko na twarzy Mitroanii, niezwykły hałas i ruch na pokładzie. Targnęła nim przerażająca myśl, że okręt tonie i on się też utopi, tak blisko już od swoich! Nie pojmował, czemu okręt trzecią już noc nie dobijał do brzegu, by w dalszą drogę ruszać dopiero o świcie; czyżby — myślał — jest jednak jego przegna-

zeniem być zawsze tylko pośmiewiskiem któregoś z bogów, tego samego może właśnie, co go pomyślał stworzyć, by mieć się czym szczególnie okrutnie zabawiać? Od tych grozy pełnych rozmyślań oderwała go groza dla oczu: gwiazdy nagle ruszyły się ze swych miejsc — mknęły w straszliwym pędzie po niebie, a wszystkie krwawo czerwone! Zgroza przecież ustąpiła miejsca uldze, a potem i wesołości wręcz, gdy usłyszał wokół siebie rozmowy, z których wynikało, iż rzekome gwiazdy to sygnały świetlne, ciskane zapewne przez największy grecki okręt na Okosie, „Meandrię”, zwaną też „Zgodą Narodów”. Niebawem też — gdy świtało — ujrzał ją samą. Oszalała wymiarami, upajała urokiem swych kształtów i silnie wydętych przez wietrzyk poranny żagli, nade wszystko zaś ruchem doskonale rytmicznym niezliczonych wiosel. Jeden po drugim milkli w podziw Chorazmijczycy na pokładzie wokół niego, a i nie przez niego samego tylko przeszedł dreszcz, gdy blask słoneczny ujawnił zdobiącą dziób coraz zbliżającego się olbrzyma nawodnego, postać skrzydlatą bogini Zwycięstwa. Dopiero w łodzi jednak, którą jechał od chorazmijskiego okrętu ku greckiemu, ów jego dreszcz najwyższe swe osiągnął natężenie: przy jednym ze skrętów znalazł się z marmurową boginią twarzą w twarz — rozpoznał z silnie łomocącym sercem tak dobrze jednak — mimo tylu lat rozłąki — pamiętane rysy: Mitroanii! Ojciec — pierwszy spośród Greków — witał powracającego wędrowca nowym swym nieznanym Leptynesowi, dziełem. Najczulsze jednak nie było to powitanie: marmurowa twarz pogrążona była w trwałej zadumie, nie koniecznie dobrze wróżącej temu, kto się w nią, nadpływając przeciw prądowi, wpatrywał. Wnet jednak dały się spostrzec inne twarze — żywe; wpatrywały się z pokładów w nadciągającą łódź z wielkim zaciekawieniem, nie wrogim jednakże, tylko spokojnym, a był to spokój pewnej siebie, przecież czujnej siły. Greckiej siły w sercu Azji. Leptynes doznał przypływu wielkiej fali tkliwości — nawet dla ojca, który pozbawił go był domu, na tyle naraził udręki. Udręki wszak się skończyły, dom odzyskiwał. Był znów wśród swoich.

Gdy skończył swą opowieść, oczy miał pełne łez. Nie tylko on sam zresztą. Dioneja także, a bodajże i oboje Eutydemidzi. Heliodor jednak wątpił, by Leptynes te inne

łzy widział. Ledwie bowiem umilkł, natychmiast zamknął oczy i długo ich nie otwierał. Musiał być ogromnie zmęczony. Znowuż jednak nie on sam tylko; Heliodor, ledwie opowieść się skończyła, doznał wrażenia, że zaraz upadnie i na deskach tarasu zaśnie. Wrażenie zaś to tym było przykrzejsze, że łączyło się ze świadomością upokarzającą całkowitej bezużyteczności tylogodzinnego skupienia uwagi. Z zawstydzeniem, z przerażeniem wręcz stwierdzał, że z całej opowieści Leptynesa zapamiętał jedno tylko i nic, ale to nic więcej; to mianowicie, że pierwszy Syn Nieba z dynastii Han, Liu Tsi czy Liu Ki, w chwili gdy przystępował do buntu przeciw dynastii Tsin, chyba mało co był od niego, Heliodora, młodszy, a może nawet młodszy nie był.

IV

Mylił się — i to wielostronnie. Nie upadł i nie zasnął aż dopiero w całą godzinę potem w swej sypialni, a i tam wcale nie od razu, bo dłuższy czas jeszcze wsłuchiwał się czy nie nadchodzi Dioneja. Zapamiętał też znacznie więcej sobie z opowieści Leptynesa, szczególnie z jej części końcowej, niż zrazu mu się zdawało; dowodził tego sen, jaki miał, gdy przecież wreszcie usnął: oto z wysokości jakiegoś wału Król Wielki, Demetrios wzywał go, by stanęli z sobą do pojedynku; Heliodor zaś, mrużąc przebiegle oczy, które wcale nie były jego własne, bo skośne, wołał spoza rowu, jakim był wał otoczony: „Z tobą? Ależ z tobą pojedynkować się nie uchybiłoby godności tylko ułaskawionego skazańca, co pospolite popełniłby przestępstwo!” Co słysząc Demetrios szybko wsunął rękę poza tarczę, jaką go osłaniał nagi zupełnie Leptynes. Heliodorowi przemknęło przez myśl: „Zaraz wydobędzie kuszę i zrani mnie w bok; ja zaś będę udawał, że w stopę tylko, by nie wywołać wśród mych stronników zbyt wielkiej paniki”. Że jednak nie był pewien, czy naprawdę będzie go na takie udawanie stać, padł szybko na ziemię.

Obudził się na skórze tygrysyj — spadł we śnie z małżeńskiego łoża, którego tak dawno — zdawało mu się, że lata — nie dzieliła z nim Dioneja. Przez górny otwór zobaczył gwiazdę, spał więc prawie cały dzień. Wydało mu się to niepodobieństwem: sen, odtwarzający z pewnymi zmianami okoliczności w jakich Siang Ju usiłował nadaremnie skłonić przyszłego pierwszego Syna Nieba z dy-

nastii Han do pojedynku, trwał przecież tak krótko, a zaczął się był zaraz jak tylko Heliodor zamknął oczy! Równie zdumiewająca wydała mu się treść snu: ostatecznie — mówił sobie — Liu Tsi naprawdę mógł swą odmowę przekonująco uzasadnić i to dziewięciorako; zresztą, wystarczyłby i jeden zarzut z dziewięciu: dotyczący zamordowania ostatniego władcy z dynastii Tsin naprzekór łasce, jaką mu, gdy poddał się bezbronny z powrozem wokół szyi, zapewnił Liu Tsi; zapewnić zaś tę łaskę pełne miał prawo, a to w myśl porozumienia, do jakiego doszli uprzednio w tej sprawie wszyscy przywódcy buntu przeciw dynastii Tsin, więc i Siang Ju między nimi. Ale on, Heliodor, czym swą odmowę pojedynkowania się z Królem Wielkim Eutydemidą we śnie uzasadnił? Niczym, chyba że to, co ze snu spamiętał, to było tylko samo zakończenie, poprzedzało zaś je coś jeszcze. Był jednak całkowicie pewien, że nic nie mogło poprzedzać; doskonale pamiętał — mówił sobie, wygodniej rozciągając się na tygrysięj skórce — jak to było z jego zaśnięciem: wsłuchiwał się długo — wreszcie usłyszał kroki tuż za drzwiami — w drzwi wpatrzony, czekał, aż się otworzą. Nie otworzyły się, i znów usłyszał kroki, tym razem oddalające się. Był przekonany, że rozpoznał chód Dionei; chciała więc wejść, ale w ostatniej chwili cofnęła się. Czyli już nie było w co się wsłuchiwać dalej, na co dłużej czekać, i dopiero to sobie powiedziawszy, postanowił nieodwołalnie: teraz będzie spał. Zamknął powieki i od razu — ale to właśnie od razu! — zobaczył wał, a na wale Króla Wielkiego Eutydemidę, tuż przy nim zaś nagusa z tarczą, w którym bez trudu rozpoznał Leptynesa. Tarczą tą Demetriosą osłaniał, nie własną nagością, z jaką się już ani krył ani się jej wstydził, jak gdyby wcale już nie odczuwał niesmaku czy niechęci do swego ciała — jak gdyby nie tęsknił już za chwilą wyzwolenia swej duszy dobrej a nieśmiertelnej z niewoli upokarzającej w ciasnych ścianach więzienia, zbudowanego z podwładnej gniciu materii, co z natury swej jest zła.

Zresztą, nagość zupełna Leptynesa we śnie była jedyną, zupełnie też zrozumiałą, snu tego częścią składową; stanowiła jasne i proste nawiązanie do słów, jakimi Menander przerwał ciszę, co zapanowała była rano na tarasie na dłużej potem jak Leptynes głosem znużonym a roze-

drganym od łkania, z trudem hamowanego, powiedział „Byłem wśród swoich” i gestem ręki już tylko był w stanie oznajmić, że to koniec jego opowieści. Słowa owe Menandra — też z wzruszeniem a i życzliwością wielką wypowiedziane — brzmiały:

„Ależ się i obnażył tu przed nami, chłopcze drogi”.

Na co Mankuras — do Leptynesa, nie do Menandra:

— Domysł mój był zupełnie słuszny. To, com na tabliczce zapisał, nie wymaga najdrobniejszej poprawki.

— Długa ta, a w samej rzeczy ciekawa i pouczająca wielce opowieść — zwrócił się Agatokles do Inda — naprawdę dała ci właśnie to, czegoś się po niej spodziewał?

— Całkowicie. Więcej: ponad spodziewanie.

— Jesteś zadowolony! — zawołała Agatokleja, a w wołaniu jej też drgało coś co mogło być tylko hamowanym z trudnością płaczem. — Ale on, wędrowiec co się w drodze trudził, nie znając prawie rodzinnego domu? Nie groziż mu to, że płacz wzruszenia, co się wszystkim tu udziela, dla niego się w rozpaczę przeobrazi płacz? W płacz żalu, iż tak całkowicie — jak tu chwilę temu zostało powiedziane — przed nami, może jego katami jutro, się obnażył?

— Nie grozi mu nic — odpowiedział Mankuras nie tak już beznamyślnie, jak zazwyczaj, bo z nutą rozbawienia w głosie jak gdyby. — Więcej: nic by mu nie zagroziło, gdyby nawet bardziej jeszcze został obnażony.

— W to wątpię — pogodnym tonem sprzeciwił się Menander — jakoż byliby to już nie obnażanie, tylko obdzieranie żywcem ze skóry. A na taką karę chyba sobie nie zasłużył.

— Na żadną.

— Czyli — powiedziała Dioneja wolno, w zadumie jak gdyby — jest dokładnie tym za kogo się podaje.

— Jest — szybko, bez namysłu odpowiedział Mankuras — Leptynesem, synem pierwotnym Orestesa rzeźbiarza. Posądzając go czy to o szpiegostwo czy o podawanie się tylko za syna Orestesa, wyrządziliśmy mu krzywdę, za którą należy się zadośćuczynienie. Odnośny też wniosek zamierzam za chwilę przedłożyć królowi Margiany, czy mogę liczyć na współdziałanie i w tym także ze strony nosiciela pierścienia Króla Wielkiego?

— W pełni — też bez chwili namysłu rzekł Agatokles

— z tym jednakże, iż pierścień od tej chwili na twój wraca palec, Mankurasie.

— Jestem więc wolny? — zawołał z przejęciem Leptynes.

— Całkowicie.

— Mogę więc udać się w ślady mego ojca?

Heliodor spojrział spod oka na Dioneję — siedziała spokojnie, oplatając rękoma kolano lewej nogi, którą zarzuciła była na prawą. Nie drgały jej usta. Ani nawet powieki.

— Możesz — odpowiedział Leptynesowi Mankuras — nie wcześniej przecież jednak, niż otrzymasz należne ci zadośćuczynienie.

— A jeśli go nie przyjmę?

— Postąpisz, jak zechcesz. Nie będziesz jednak mógł zejść na ląd tak długo, aż zadośćuczynienie zostanie ci zaoferowane, co nie nastąpi wcześniej niż jutro rano.

— Więc jeszcze cała doba! — westchnął Leptynes.

— Nie przewiduję, byś ją miał spędzić nudząc się — powiedziała znacząco, wprost w twarz mu patrząc, Agatokleja.

Heliodor podniósł się.

— Jeszcze chwilę tylko — zatrzymał go Mankuras uprzejmie, łagodnie, przecież stanowczo. — Pragnę ci w obecności dzieci Króla Wielkiego a i Leptynesa też powinszować najgoręcej, o panie. Przenikliwość twoja — jak i zawsze przez tyle lat w służbie dynastii, tak i tym też razem — okazała się nieprześcigniona, nieporównana. Uznałeś podsądnego za syna Orestesa więcej niż o dobę całą wcześniej od nas tu wszystkich.

W głosie jego nie było ani krzty kpiny. Ani też żadne nie tały się niedomówienia. Czy dwuznaczne na cokolwiek bądź napomknięcia.

— Teofil miał słuszość — przemknęło Heliodorowi przez myśl — mówiąc, że to człowiek wyjątkowo niebezpieczny.

— Czyś już nie ciekaw — zwrócił się znów Mankuras do Leptynesa — czemu wśród twych słuchaczy brakowało tej nocy Teofila?

Heliodorowi znów się wydało, że zaraz, natychmiast upadnie na deski. Tym razem jednak to nie senność już tak go z nóg zbijała.

— W samej rzeczy! — wymamrotał Leptynes — musiałem zapomnieć...

— Z przejęcia, że jest wolny, że nic mu nie grozi — tonem, pełnym wyrozumiałości, skomentował to jego nie wolne od zakłopotania wyznanie Menander.

— Z radości — poprawiła Agatokleja.

— Ze znużenia — dorzuciła dość posępnie Dioneja.

— Ale już mi znużenie przeszło — zawołał Leptynes — i chętnie gotów jestem wysłuchać...

— Ogromnie cieszy mnie ta twoja chętna gotowość — odparł Ind, nadając znów swemu głosowi zazwyczaj właściwą mu beznamietność — lecz że nuży nie tylko mówienie długie, ale i długie słuchanie, wszyscy zaś tu — poza tobą — dokładnie są powiadomieni, w jaki sposób wyzbył się tego życia swojego Teofil, więc zejźdź teraz — przy tych słowach błysnął pierścieniem Króla Wielkiego — do komnaty, która przez kilka dni służyła ci za więzienie — wcale łagodne, przyznasz chyba? — a znajdziesz tam kogoś, kto twoje zajął tam — co prawda do dzisiejszego wieczora tylko — miejsce.

Teofil jednak przesadzał — uśmiechnął się myślnie Heliodor — uważając tego Inda za umysł, wprost nadludzką posiadający władzę nabywania wiedzy i właśnie przez to głównie tak niebezpieczny. Wydziwiał ze zgrozą wręcz: „Jak on mówi po naszymu!” Dobrze mówi, bardzo dobrze, żaden Grek jednak nie użyłby zwrotu „wyzbył się tego życia swojego”.

— Temu komuś — ciągnął Mankuras — powiesz, że ja cię posyłam, by ci opowiedział o ostatnich chwilach Teofila; gdyby zaś się wzdragał, natychmiast wyzbędzie się nieufności, jeśli go zapytasz: „A wedle ciebie samego, jest czy nie jest człowiek miarą wszech rzeczy”?

Rozciągnięty na skórze tygryziej, wpatrzony w gwiazdę Heliodor jał się zastanawiać w pewnej chwili, czy uwięziony do wieczora żołnierz w stosunku do Leptynesa nie okazał się — bezwiednie dla siebie samego, zresztą — głębszym albo przynajmniej bardziej nieustraszonym filozofem niż nie tylko Teofil, ale i sam Protagoras. Bo oto jeśliby i ta tu nad otworem gwiazda nie miała mieć żadnego innego bytu, jak ten jedynie, w jaki ją wyposaża

świadomość człowieka — to i do tego też przypadku dałyby się odnieść słowa żołnierza, skierowane do Teofila i do Teodory, a może raczej i do Teofila samego tylko, gdy przechylił łódź, by mogli z niej wypaść: „Którego człowieka — o szaleńcy”? Bo oto gwiazdę tę widzi w tej chwili on, Heliodor — widzą ją też skądś Dioneja i Leptynes i król Antymachos. A widziałby i Teofil, gdyby jeszcze żył; nie żyjąc już jednak, nie władny jest widzieć, z czego wynikałoby właśnie wedle Teofila, że byt jej odrobinę się skurczył, bo jeśli na to aby w pełni istniała, potrzeba by na przykład dwadzieścia milionów dwa tysiące i osiem ludzkich to świadomości stwierdziło „Ta gwiazda istnieje”, to tej nocy jest już tych stwierdzeń tylko dwadzieścia milionów dwa tysiące i sześć. Ale świadomość Teofila i Teodory przestały już stwierdzać byt nie tylko tej gwiazdy, ale Agatoklesa, Leptynesa, Dionei, Heliodora, więc czyżby Heliodor był już przez to o jakąś odrobinę mniej sobą, niż onegdaj? A będzie sobą jeszcze i jeszcze mniej w miarę jak umierać będą Dioneja, Leptynes, Mankuras i wszyscy kolejno Eutydemidzi? Ależ gdyby cały rodzaj ludzki poza nim jednym w tej chwili — właśnie w tej oto chwili — miał nagle stracić życie, a więc i świadomość, czy on by, Heliodor, też przestał natychmiast istnieć? Nie, on by właśnie był tą świadomością, stwierdzającą wyginiecie reszty rodzaju ludzkiego, więc też i straszliwe swe osamotnienie, a tym samym i dalszy ciąg — choć i w zmienionych do nie poznania warunkach — swojego bytu. Gdyby się jednak stało odwrotnie — stałoby się z nim, jak było się stało z Teofilem, cóż stąd, że cała reszta rodzaju ludzkiego nadal by istniała? jego świadomość nie byłaby już władna tego cudzego bytu stwierdzić, a stwierdzić nie mogąc, unicestwiałaby go. Czyli jego, Heliodora, świadomość warunkuje byt reszty rodzaju ludzkiego, ale czy tak, dokładnie tak jak on właśnie tuż przed chwilą, nie mogłaby rozumować Dioneja czy wpadając w wodę, Teofil? Ale gdyby Teofil tak rozumował, byłby w błędzie, bo oto już nie żyje, świadomość jego nie stwierdza istnienia Heliodora, ale on, Heliodor, nadal istnieje... Więc jedno jest pewne: Teofil nie był miarą wszech rzeczy. Czy jest więc nią może on sam, Heliodor? Jeśli jednak Heliodor nadchodzącej nocy zginie, czy nie powie jutro żołnierz, uwięziony aż do wyjaśnienia,

czy naprawdę obejmie w posiadanie margijskie dobra Teofila: „Heliodor nie mógł być miarą wszech rzeczy”? Czy jednak władny byłby tak powiedzieć? Bo czy istniałby nazajutrz naprawdę? Heliodor wie, że był to coś więcej, niż stwierdzenie świadomości Teofila, ale czy i był prawdopodobnego dziedzica dóbr margijskich Teofila też jest czymś więcej niż tylko stwierdzeniem jego, Heliodora, świadomości, o tym Heliodor wiedzieć nie może: póki żyje, ma prawo uważać żołnierza za wytwór swej świadomości tylko; gdy umrze, nie będzie w stanie sprawdzić, czy nie było to urojone tylko prawo. Więc może albo być urojone albo nie być. I tak by się dało owe „albo albo” snuć w nieskończoność, raz otrzymawszy bodziec dla myśli, by mknęła w odpowiednim kierunku. Kto taki bodziec władny jest dać — jest filozofem. Im zaś dłużej pod wpływem bodźca musi myśleć, tropiąc kres owym „albo, albo”, tym większy jest i filozof. Dlatego też, iż nie widać kresu wszystkim niezliczonym kolejnym „albo albo”, wynikającym z pytania „Który człowiek jest miarą wszech rzeczy?”, uznał on, Heliodor, żołnierza, jutro zapewne dziedzica obszernych włości w Margianie, za tak wielkiego filozofa. A może i nie tylko dlatego, ale dlaczego jeszcze, nad tym nie chciał już się zastanawiać; znów się czuł znużony i to tak bardzo, że przez chwilę Teofil wydał mu się godny zazdrości: świadomość jego żadnych już nie tropi „albo albo”, więc też nie zagrozi jej już żadne znużenie, co przy pościgu niektórych spośród „albo albo” łatwo przeobraża się w zgrozę nie do zniesienia. Takich na przykład, jak „Dioneja albo mnie zdradzi albo nie zdradzi cielesnie z Leptynesem” lub: „Król Wielki Demetrios albo będzie albo nie będzie wiedział, że ktoś kto już zabił najstarszego z jego synów, zamierza też zabić i trzech pozostałych”.

— Nie będzie wiedział, jeśli ty mu nie powiesz, taki był koniec rozmowy między nim a Agatokleją na pomoście, z którego wysokości nie tylko marynarze na głównym pokładzie, ale i rozmówcy na tarasie pokładu komnat królewskich wydawali się być zabawnie mali, a przez to iomalże nierozpoznawalni. Oczywiście, nieomylnie się wyróżniał z całej czwórki ogrom Teofila, od biedy też można było i o zawoju domniemanym Mankurasa twierdzić, że to na pewno nie jest ani „kauzja” Agatoklesa.

ani cudaczny kapelusz Leptynesa. Ale że właśnie i król Lewicz i podsądny stali w owej chwili z obnażonymi głowami, obaj zaś mieli na nogach spodnie, nie sposób było z wysokości pomostu określić, któremu właśnie z tych dwu oto gotuje śmierć — co prawda tak przyjemną jak niczyja nigdy dotąd nie była — imienniczka i siostra.

„Właśnie przyjemną — mówiła Agatokleja z oczyma utkwionymi w coraz rosnącym skupisku żagli barbarzyńskich daleko poza grecką zaporą nawodną — błędu popełnionego już się nie naprawi, ale służyć może i musi jako nauka na przyszłość. Demetrios — o bracie mówię, nie o ojcu, rzecz jasna! — nie będzie tyle cierpieł, umierając, co Eutydemos, Pantaleon zaś jeszcze mniej niż Demetrios, bo jak mawiał Orestes — tu uśmiechnęła się — mistrzostwo rodzi się nie tylko ze zdolności wrodzonej, ale i z wprawy. Czyli nim dojdę do tego oto tu na dole, tyle już będę miała za sobą doświadczenia w wyzwalaniu z nędzy istnienia, że Anaita, gdyby bogowie w samej rzeczy byli sprawiedliwi, tak jak się o nich mówi, powinnaby mi wówczas odstąpić swe miejsce nad półksiężycem szczerozłotym; miałam dwórkę, co wciąż tam przed posągiem owym kłęzczała, jęcząc: „Matko Niepokalana, daj memu staremu śmierć lekką”. I cóż sobie myślicie? Stary w tak potwornych skonał mękach, że małpy pałacowe uszy sobie zatykały, by nie słyszeć jego wycia przedśmiertnego. Właśnie gdyby nie wycie to, zapewne nie byłabym tutaj teraz z wami; ale myśl, że Eutydemos tak samo może ryczeć, zagnała mnie — jak widzicie — aż pod Terę... Nie wiem więc, był czy nie był, przysięgam jednak wam na cały bezmiar litości Gautamy, Czwartego Buddy, że Demetrios nie tylko wyc, jęczeć nawet nie będzie, konając. A Pantaleon to już nawet i nie westchnie boleśnie.

„Co prawda — dodała z uśmiechem — może lepiej to, że Artemis, choćby i z Anaitą jedność już stanowiąca, równie mało ma zmysłu sprawiedliwości — że już nic nie powiem o litości! — co jej miała w czasach Hipolita czy Nioby... Bo ostatecznie jej jeszcze nie najgorzej tak w butach o zimną ostrą krzywiznę złotego księżyca wiekami się opierać, ale mnie, jako Greczynce, bosu by wypadało ją zastąpić — bo inaczej zarazybyście, Grecy, w święte oburzenie wpadli...

„Zresztą — teraz zwracała się już bezpośrednio do Dio-

nei, cicho siedzącej na najwyższym stopniu wąskich, stromych schodków — czy nie zaczęliby i najwierniejsi wykonawcy nakazów i zakazów, pochodzących od Magów, ściągać butów z nóg Niepokalanej, gdyby jakaś potworna powódź tak całą Baktę zalała, że woda by aż ponad złoty księżyc się wzniosła?... Rzekłam oto: wyzwalać z nędzy istnienia! Wiesz, piegowata, kiedy mi się najpełniej owa nędza objawiła, najstraszliwiej mną wstrząsnęła? Posłuchaj, bo to ciebie szczególnie powinno też obejść. Jak was znam — wyobrażacie sobie zapewne, że to było gdzieś w Indiach — wśród spiekoty, ryku tygrysów, syczenia węzów olbrzymich? Gdzie tam! w letnim pałacyku pod Baktrą. Tyś wtedy była wśród rzezańców w przybytku Nienaruszonej, ale opiekunka twoja i zbawczyni, mimo wszystkich swych cnót świetnie umiejąca chodzić koło interesów rodzinnych, przypędziła właśnie do letniego pałacyku aby wiedząc, że mi stryj Antymachos nigdy w niczym nie odmawia, prosić, bym wyjednała dla brata jej, co się taką wielką okrył właśnie wówczas chwałą wojenną, urząd wojewody nowo tworzącej się satrapii Tapuryjskiej. Przyrzekłam jej chętnie to, o co zabiegała, bo choć zupełna jeszcze smarkuła, rozumiałam, że Aspiones zasłużył sobie na satrapię, bo też to jego przede wszystkim dzielność wyparła Partów z tejże właśnie Tapurii. A mimo to został wojewodą nie wcześniej aż za rok, dopiero gdy ojciec w sprawę się wmieszał, bom stryjowi powiedziała, że ze słonia się zrzucę, jeśli Aspiones satrapię dostanie, zanim jego siostra pokaże stopy Orestesowi. I stryj przeląkł się, że się zrzucę; ojca natomiast nigdy nie władna była zastraszyć. A wiesz, co się stało? Oto obiecawszy Aspionii poparcie, zatrzymałam ją na dłużej, by muzyki ze mną słuchała. Została, i nagle straszna ulewa! A wiecie, że letni pałacyk właściwie na wyspie jest położony: Baktros od wjazdu, a że wszystkich innych stron kanały. Woda więc rośnie — powszechna uciecha, ale ulewa wzmagą się — woda wyżej i wyżej; uciecha znika z wszystkich twarzy — jej miejsce zajmuje panika. Muzyki słuchałyśmy w ogródku ze stawem na kształt Morza Ajejskiego, staw też wyszedł z brzegów, i cały ogródek to już morze. Moje dwórki wszystkie zaczęły obuwie zrzucać — cóż? rzecz zwykła — Greczynki... Ale patrzę, i oto Aspionia też już bosa... Ja w śmiech! „A cóż — wołam — na-

kazy Ahura Mazdy? Co ze strachem zbożnym przed ty-loma a tyloma piekłami?" Biedaczka w płacz: do mnie się wybierając, najwspanialsze swe obuwie włożyła, więc jas-ne: bała się, że w wodzie się uszkodzi... Zaczyna mi tłu-maczyć: to po ziemi tylko bosy chodzić rzecz bezbożna, ale o wodzie nic przepisy święte w tymże sensie nie mówią... Ja jeszcze weselej się śmieję; po pierwsze — po-wiadam do niej — gorliwemu czcicielowi Ahura-Mazdy w ogóle się nie godzi z wodą się stykać, stąd też i Mago-wie wzdragają się przed podróżowaniem okrętami czy łodziami, a po drugie, cóż to za bzdury ona plecie? Woda jej i do kolan nawet nie sięga, więc czego teraz bosą stopą dotyka? nie ziemi?! A przestając się śmiać, powiedzia-łam: „Orestes potrzebował twych stóp jako wzoru dla którejś swej rzeźby; mówił, że wprawnym okiem poprzez obuwie stwierdził, iż właśnie ty i tylko ty masz takie stopy, w jakie posąg chciał wyposażyć. Prosił cię, byś choćby na małą chwilę bosy mu się pokazała — odmówi-łaś, powołując się na nakazy czy zakazy bóstwa, które czisz. Więc powstanie wielkiego dzieła sztuki uniemoż-liwiasz, ale bóstwu swemu z pary butów ofiary złożysz nie łaska? Głupia! Toż gdybyś nie zdjęła teraz butów, i uszkodziłyby ci się, jabym cię najwspanialszymi swymi zasypała, z podziwu, że tyle dla ciebie zakaz czy nakaz bóstwa znaczy! Tak zaś jak się stało: choćbyś się tysiąc razy od jutra Orestesowi bosy pokazywała, nie dostanie Aspiones satrapii Tapuryjskiej!”

„To ona w płacz. Nie tylko nad sobą jednak, ale i nade mną: że ja na stopniu kamiennym też już wyżej niż po kostki w wodzie stoję i właśnie w butach — tych, które z Indyj wdowa po Bryhadracie Maurii mi przysłała, bła-gając, bym pobudziła ojca do zemsty na mordercach jej małżonka, Króla Wielkiego. Mało co kiedy w dzieciń-stwie lubiłam jak to właśnie obuwie, a na pewno w wo-dzie się psuło, przecież nie zdjęłam. Nie iżby jakiś bóg miał mi zakazywać chodzenia bosy, ale nie chciałam oka-zać uległości dla ślepego, bezmyślnego żywiołu, który niszczy — buty czy czujące istnienia — nawet sprawy so-bie nie zdając, że niszczy! Woda jeszcze wyżej, ale ja nie: na tym samym zostałam stopniu. Oczywiście, powiecie, że to z mojej strony była bezmyślność: skoro powódź nie po-siada świadomości, na cóż się zdało objawiać sprzeciw?

Otóż zdało się, bo to jakieś bóstwo powódź zsyła, i jemu to sprzeciw swój słałam... Oczywiście, nic by ten sprzeciw nie pomógł, i gdyby ulewa trwała tak z pięć dni, a ja bym się nie ruszyła — nie byłabym zaś się ruszyła! — utonęłabym. Ale tonąc, jeszcze bym swój sprzeciw słała — tam, w niebo! — aż do ostatniego tchu, by bóstwo, powódź zsyłające, wiedziało, żem w pełni świadoma nędzy istnienia!

„W kilka lat potem w Indiach dowiedziałam się, żem nie pierwszą kobietą, co taki sprzeciw ku niebiosom słała, że mnie dawno dawno poprzedziła Draupadi, żona wspólna Ardzuny i jego braci; rzuciła była ku niebu, zamiast hymnu dziękczynnego za istnienie, krzyk rozpaczony wzdargliwej, iż i sama, i wszystko, co żyje, to kukielki z teatryku, którym zabawia się twórcza boskość — tak bezwolne kukielki, jakby z drewna zrobione... Odkrzyknęłam jej wstecz poprzez wieki: „Mylisz się, o Draupadi! Kukielki, z drewna zrobione, nie rozumieją, nie czują nędzy swego istnienia...”

„Zapytałeś na wstępie, Heliodorze — zaraz, jakieś tu się wspiął — dlaczego zabija starszego brata a zamierzam nadto i innych też zabić? Nie odpowiedziałam ci od razu, bom ogarnięta była podziwem bez granic, bez miary dla twej domyślności i przenikliwości. Więcej powiem: przez chwilę zastanawiałam się, zgrozą potworną targana, czym nie popełniła straszliwej pomyłki, bo oto takiego mając przy sobie Towarzysza, jak ty, może by uniknęli bracia większości ciosów, jakimi grozi im nędza istnienia... Ale nie — bo i jakżeś w samej rzeczy bezradny wobec tej nędzy! Cóż ty możesz? Przed skrytobójcą ochronisz — sprzysiężenie, bunt zawczasu wykryjesz — ale co władnys nadto? Już nawet nie mówię o bezsilności twej względem piorunów, pożarów, powodzi, chorób, zawodów w miłości, ukąszeń węża, ale niech spadnie na najmłodszych Eutydemidów zemsta za krew, jaką dziad nasz przelał, wydzierając Baktrię młodszemu Diodotowi, zemsta w postaci jakiejś wielkiej, łamiącej nas wojny — cóż poradzisz? Nie rozumiesz mnie? A to takie proste: ja moich braci kocham — wszystkich. A kochając chcę ich uwolnić od wszelkich cierpień i upokorzeń nędzy istnienia. Takie to proste!”

Heliodorowi wcale się to nie wydawało takie proste, ani wówczas na pomoście, ani nazajutrz, gdy rozciągnięty na tygryziej skórze, w gwiazdę wpatrzony, zadreślał się dylematem: „Ojciec jej albo będzie albo nie będzie wiedział...” Uwolnić tych, kogo się kocha, od nędzy istnienia — wcale ładnie to brzmi. Ale czy zapytała swych braci, czy chcą zostać uwolnieni? Bo przecież mogliby nie chcieć — szczególnie mógł nie odpowiadać im sposób, jaki postanowiła dla uwolnienia ich zastosować. Ba, mogliby dopatrywać się w swym istnieniu czegoś innego jeszcze, nie tylko nędzy, lub nawet w ogóle odmienne mieć do życia nastawienie, uważać je za wartość tak cenną, że chętnie gotowi byli znosić upokorzenia i cierpienia wszelkie, byle tylko żyć, żyć jak najdłużej.

Uśmiechnęła się z politowaniem. „Ja ich dobrze znam” — powiedziała. Heliodor odparł na to, że takie postawienie sprawy w żadnym sensie ani w stopniu żadnym wątpliwości jego nie wyjaśnia. Czy słowa jej znaczą, że bracia tęsknią za tym, by ona ich kolejno — od najstarszego do najmłodszego — pozabijała? Niech go królowna źle nie zrozumie: on dopuszcza możliwość zaistnienia u czterech młodych ludzi przedwczesnego przesytu łatwym życiem, w którymomalże wszystko może, nawet musi, działać się wedle ich kaprysu, bo któżby czego odmówił synom Króla Wielkiego? A więc tym samym i inną jeszcze dopuszcza możliwość: zrodzonej z przesytu chęci zbiorowej samobójstwa. Ale pomijając już nawet zasadniczą różnicę między dwiema postawami myślowymi względem istnienia: między przesytem, jego urokami a buntem przeciw domniemanej jego nędzy, czemu takie zbiorowe samobójstwo nie zostaje inaczej dokonane? Oto mogliby przyjść do niej, sięść wokół niej i rzec: „Chcemy umrzeć ale nie mamy dość odwagi, by dokonać tego własnymi rękoma. Uważamy też poniżej swej godności, by zabił nas ktoś obcy. Więc jeśli nas kochasz — daj, siostró, najwyższy dowód tej miłości: zabij nas kolejno jednego po drugim”.

— Bardzo mądrze to ująłeś — odpowiedziała. — Ale czy taka prośba o śmierć, takie żądanie dowodu miłości koniecznie musiało zostać wyrażone w tych dokładnie słowach, w tylu słowach czy wręcz w słowach w ogóle? Czy poza mową języka nie mogą istnieć — szczególnie między

ludźmi ogromnie sobie bliskimi — jakieś inne jeszcze sposoby ujawnienia pragnień, tęsknot, żądań?

— Takim wywodem — posępnie uśmiechnął się Heliodor — żadnego byś nigdy nigdzie nie przekonała sądu, o królewno...

— Bo też ja nigdy nigdzie przed żadnym sądem nie stanę. Może powiesz, jak wielu Irańczyków powiada: przed boskim po śmierci? Strachy to na pańszczyźnianych, by się z obrokiem nie zaniedbywali; na niewolników, których gnuśności czy krnąbrności bat wystarczająco dobrze nie łamie. Ja po śmierci jeśli z kimś się i będę rozliczała, to tylko z Gautamą, czwartym Buddą, a wiesz, jak będzie ten rozrachunek wyglądał? Oto odstąpi mi z mądrym uśmiechem swego nad-boskiego miejsca na lotosie, bo dojrzy we mnie piątego Buddę, Majtreję... Każdy następny bowiem Budda litościwszy ma być od poprzedniego, gorliwszy w wyzwalaniu od nędzy istnienia, a któreż z dzieł Gautamy zrówna się z moim? Kocham braci — myślą i ciałem; moje własne odczucie nędzy istnienia ogromnieć będzie w miarę jak będę ich traciła, a jednak godzę się na to ogromnienie, skoro nie można taniej opłacić szczęśliwości, jaką im da wyzwolenie się z tej nędzy...

— A cóż na to wszystko Król Wielki? — zapytał Heliodor zupełnie odruchowo, wręcz niemal bezmyślnie, a raczej chyba w roztargnieniu, bo uwagę jego od słów Agatoklei odrywało coraz silniejsze zdenerwowanie, ujawniane od pewnej chwili przez siedzącą na schodkach Dioneję.

Wówczas to właśnie odpowiedziała, że ojciec jej o niczym nie wie, ani będzie wiedział, chyba że Heliodor go wtajemniczy.

— Spróbuj — dodała. Istotnego sensu owego „Spróbuj” Heliodor wówczas na pomoście nie pochwycił. Ani też nazajutrz go nie dociekł — na skórze tygryskiej rozciągnięty, w gwiazdę samotną wpatrzony, jakkolwiek przez chwilę zdawało mu się, że jest na właściwym tropie: oto nie nagły wybuch złośliwości niepoczytalnej Eutydemosa Młodszego, ale pomysłowość dalekowzroczna Agatoklei umieściła go, Heliodora, na grzbiecie słonia w chwili, zawczasu upatrzonej na początek drogi pierwszego z braci-kochanków ku wyzwoleniu z nędzy istnienia. Przewidywała bowiem, że jeśli ktoś w niej kiedyś sprawczyni mor-

du się domyśli to najpewniej tylko Heliodor, więc się zabezpieczyła: niech się on sam znajdzie w podejrzeniu, którego Król Wielki podzielać wcale nie musi, ale które ponad wszelką wątpliwość skwapliwie wykorzysta w wypadku, gdyby Heliodor odważył się przedstawić mu dowody, że to ukochane jego dziecko rodzonych braci morduje. Ale jeśli się nie odważył? Wówczas mogłoby się stać, że Demetrios Eutydemida innymi drogami dotarłby do strasznej dla siebie prawdy, która zawierałaby najniewątpliwiej w sobie dodatkowo inną jeszcze: że Heliodor wie, ale ukrywa. Źle to — pomyśli wtedy Król Wielki — że Heliodor ukrywa; jeszcze gorzej, że wie; przez to i przez tamto zasłużył sobie w pełni na karę w postaci zrzucenia mu na głowę zawieszono go wysoko nad nią miecza, ukuto go z podejrzeń, których Król Wielki podzielać nie musi, ale nie musi też przed nikim się zdradzać z tym, że ich nie podziela.

Lecz jeśli Heliodor zginął rzekomo jako królobójca, naprawdę zaś jako ten, który za dużo wie, czy oznaczałoby to milczącą zgodę Króla Wielkiego na dalsze mordowanie mu synów przez córkę? Sen o odrzuceniu wyzwania na pojedynek dowodził, że coś w Heliodorze — to „coś” które nie jest świadomością, choć podobne do niej, z możliwością taką się liczyło, wprost ją przewidywało. A czy świadomość jego z tego przewidywania wyciągnęła jakieś wnioski? Znowuż ujawniał ten sam sen: tak, wyciągała. Bo choć uspiona, świadomość jego — wbrew temu, co zrazu mniemał — wcale dużo i wcale dobrze wchłonęła w siebie z tego, co opowiadał Leptynes. Rozumiał teraz swój upadek z posłania na skórę tygrysią. Był to sygnał alarmowy: dalej nie wolno mu tak śnić choćby tylko! Tym mniej wolno, im lepiej oto — jak się okazywało — zapamiętał sobie ów ustęp opowieści, jaki poświęcił Leptynes dziejom zakończenia wojny domowej w Państwie Podniebnym, prowadzonej na gruzach potęgi dynastii Tsin...

„Ależ! — zawołał nagle, unosząc się na łokciach. — Gdzie tu są gruzi potęgi dynastii Tsin?”

Zapukano do drzwi. Nie mogła to być Dioneja, bo weszłaby — gdyby w ogóle wejść chciała — wcale nie pukając. Bardzo możliwe więc — pomyślał — że to Antymachos po niego przysła. Odkąd uwierzył w swoją bos-

kość, będzie przez najbliższe dni obecności Heliodora przy sobie często potrzebował; niedwuznacznie to oświadczył, gdy znaleźli się sam na sam niedługo potem jak Heliodor zniósł swój zawrót głowy z pomostu o piętro niżej i wszczął daremne poszukiwania Teodory, a równie niebawem też — i równie daremne — własnej żony. Teodory nie zobaczył już nigdy; Dioneję dopiero też przed powrotem Leptynesa do swej opowieści. Tak jednak wstrząśnięty był wówczas wiadomością o podwójnym samobójstwie, że zapomniał żony zapytać, dokąd i w jakiej właśnie chwili zniknęła była ze schodków, łączących pomost z poładadem komnat królewskich. Po ukończeniu zaś opowieści Leptynesa ponownie oto zniknęła.

— Wejść! — zawołał w odpowiedzi na pukanie.

— Nie da się — odpowiedział spoza drzwi głos Mankurasa. — Orestes za szybko nas jednak opuścił. Musisz własną ręką pociągnąć zasuwkę ku lewej.

Heliodor zdziwił się. Zarówno wzmiance o Orestesie, jak — bardziej może jeszcze temu, że drzwi były zamknięte od wewnątrz na zasuwkę. Wypatrując przed zaśnięciem nadejścią Dionei, umyślnie ich nie zamykał, a zartasnął tylko, dobrze to pamiętał!

Wpuszczając Inda, zapytał:

— Nie widziałeś gdzieś teraz mojej żony?

— Widziałem — w tocharyjskim stroju i bosą.

— Gdzie?

— Na dole. W pobliżu kwater straży królewskich.

— Była sama?

— Szła sama.

— Wiesz może, dokąd?

— Wiem. Poszła oddać się Leptynesowi.

Heliodor powoli osunął się na posłanie. Powoli też zaczął wyciągać z dwu rzędów dziurek długie czerwone sznurowadło, jakim przymocowywało się do nogi używaną przez Masagetów i Masagetki a niekiedy i przez sogdyjskich wielmożów pogranicza, odmianę wysokiego buta, szczególnie przydatną w porze deszczowej. Buty te dostała od niego Dioneja jako podarunek gdy osiągnęła pełnoletność.

— Powtarzam — powiedział Mankuras, wcale jak gdyby nie widząc, co Heliodor robi — stanowczo za szybko odszedł od nas Orestes. Największym marzeniem jego ży-

cia było stworzyć mechanizm, za pomocą którego można byłoby zamknąć drzwi na zasuwkę od wnętrza, zatrzasnąjąc je z zewnątrz. Dostrzegasz użyteczność takiego wynalazku? Na przykład ja teraz ciebie zabijam i wychodzę. Nawet gdyby w przedsionku tuż za drzwiami nikogo i nie było, zawsze mogę być widzialny, drzwi te otwierając, z tarasu, względnie ze schodów, z dołu do przedsionka wiodących. Oczywiście, kto by zobaczył, zapamiętałby sobie, że wtedy a wtedy stąd wychodziłem. W jakąś godzinę przychodzi do ciebie ktoś inny: Puka — nie odzywasz się. Odchodzi zdziwiony. To samo dzieje się z drugim, trzecim, czwartym. Zdziwienie zwolna przeobraża się w niepokój. Zwolna też rodzi się domysł powszechny, że coś ci się złego przydarzyło. Zaczynają gromadnie naciskać na te drzwi. Nie poddają się — dla wszystkich jasne: zamknięte są od wnętrza na zasuwkę. Wylamują je wreszcie, tu, oczywiście, musimy założyć, że górnego otworu nad sypialnią nie ma, względnie że przystęp tamtędy — tak jak i w tej chwili — jest niemożliwy. Drzwi wylamawszy, stwierdzają, że nie żyjesz. Śmierć naturalna — orzekają — albo gdybyś miał na sobie jakie rany, samobójstwo. Oczywiście, w tym drugim wypadku przed odejściem po zabiciu ciebie włożyłbym ci broń do ręki albo umieściłbym tak, by wyglądało, że konającemu z ręki wypadła. Wynalazek ten — mawiał Orestes — uczyniłby go jednym z najpotężniejszych ludzi pod planetami. Dokąd się wybierasz?

— Puszczaj! — krzyknął Heliodor, widząc, że Ind całą swą postacią zatarasował drzwi.

— Jak ty się łatwo jednak zdradzasz! — powiedział Mankuras spokojnie, z wielkim — dopiero teraz! — zaciekawieniem przyglądając się czerwonemu sznurowi w rękach Heliodora. — Uduśisz Dioneję, prawdopodobnie od tyłu, a Leptynes co? Będzie leżał nieruchomo, na swoją czekając kolej? Za dwadzieścia lat — może — ale jeszcze nie dzisiaj, wierzaj mi! Nie, mój przyjacielu, jeśli naprawdę chcesz, by ci to bezkarnie uszło, zwróć się do mnie o pomoc. Zresztą, prawdziwa przyjaźń nie czeka, aż się do niej zwróca — sama naprzeciw z pomocą wychodzi. Widzisz?

Wydobył z zanadru zakrzywiony lekko sztylet o rękocyści, obsypanej różnobarwnymi cennymi kamieniami.

— Zróbmy umowę — powiedział. — Wy, Grecy, to zaiste zdumiewający naród! Niby najściślejsi, najjaśniejsi, najlogiczniejsi w myśleniu, ale zarazem cóż za żałosna, iście barbarzyńska niezdolność do rozumienia wypowiedzianej myśli dokładnie w zgodzie z brzmieniem wypowiedzi. Pędzisz zabić niewierną żonę? Jakiż masz dowód niewierności Dionei? Powiedziałem ci: poszła oddać się Leptynesowi. Czy to znaczy: odda mu się? Uważaj: oto kładę tę broń na stoliku, a tuż obok pierścień Króla Wielkiego. Twierdzę, że Dioneja nie zdradzi ciebie z Leptynesem, mimo że poszła aby mu się oddać. Jeśli zaś ty z kolei stwierdzisz, że cię twierdząc tak, wprowadziłem rozmyślnie w błąd lub się pomyliłem, będziesz mógł na miejscu mię tu zabić, dość jeszcze mając potem czasu, by zbiec schodami do pokoju, gdzie więziony był Leptynes, i mieczyk, moją krwią już splamiony, wbić silnie w ciało Dionei, a słabiej już — Leptynesa. Nikt prawdy się nie domysli: słabość drugiego ciosu wszyscy tłumaczyć będą wrazeniem, jakie na tobie zrobił widok zabitej przez siebie żony. Co do mnie zaś, pierścień Króla Wielkiego znakomicie cię osłoni: powiesz na przykład, żeś wytropił, iżem szpiegiem Sungów, i możesz być pewien: uwierzą ci; Eutydemidzi wyraźnie zaczynają mieć mię dość, mimo, a może dlatego właśnie, że tak się im okazał przydatny... Odpowiada ci ta umowa? Póki nie stwierdzisz, że Dioneja naprawdę cielesnie wzięła Leptynesa w siebie, nie ruszysz się stąd, zgoda? Jeśli zaś weźmie go, zabijesz mię, lub nie — jak zechcesz; nie będę ani sam się bronił ani tego też, byś pomknął ją zabić, przysięgam ci na wyzwolenie z nędzy istnienia — wyzwolenie, jakiego pragnę dla siebie, ciebie, Dionei, Leptynesa. Ostrzegam tylko: nie próbuj mnie zabić, ani nawet nie sięgaj po broń czy pierścień, póki się nie przekonasz, zdradzonyś przez żonę czy nie. Zabić się nie dam, mieczyk i pierścień z ręki ci wytrącę, będziesz się tylko wstydził...

— Co za stek bzdur! — pośepnie uśmiechnął się Heliodor. — Jak się stąd przekonam, zdradzonym czy nie o piętro niżej?

— Uważaj, bo zacznę podejrzewać, że pozorujesz szukasz nie tylko po to by żony się pozbyć, ale też by pierwszej przyglądać się jej w uścisku najbezwstydniejszym z innym mężczyzną. Albo może w ogóle wcale nie wybierasz

się zabijać tylko patrzeć? Chorobliwe to pragnienie, przedwczesnego starzenia się dowodzące. A przy tym — jeśli mamy wierzyć Teofilowi — widok to byłby nie najprzyjemniejszy, raczej śmieszny tylko. A to niesmacznie śmieszny. Co natomiast zyskuje podobno pod wpływem podniecenia miłosnego, to głos. Znowuż, jeśli wierzyć Teofilowi, a raczej z osobna i jemu, i dziedzicowi jego dóbr. Ja osobiście wierzę, a i ty też, zdaje się; możemy więc nawet, i to niczym nie ryzykując więc ni ja życiem, ni ty czią — mieć chwilę wcale znacznej przyjemności słuchowej. Zdejm — bądź łaskaw — to okrycie wojskowe ze ściany. Wzdragasz się? osłupiałeś? Zbyteczne. Wiem nie tylko co tam znajdę, ale i czego nie znajdę. Dodam, że pomysł wasz z żoną choć wcale sprytny, był niepotrzebnym zupełnie wysiłkiem inteligencji. Szkoda, żeś był zabronił Dionei pobierać dłużej naukę rzeźby od Orestesa. Dowiedziałyby się niewątpliwie, a i tobie by się z tego zwierzyła, że byk tu na płaskorzeźbie miał ruchome powieki. Wystarczało je nacisnąć, by zamknąć wszystkim niepowołanym drogę do rozwiązania zagadki śmierci młodego króla Baktrii. Zaiste wstyd mi za ciebie, Tajniaku nad Tajniakami, widząc, że się tak zdumiewasz. Nie słuchałeś uważnie tego, co mówił Leptynes o znacznie silniejszym przez długi czas zamiłowaniu jego ojca do mechaniki, niż do rzeźby? Jestem przecież teraz równocześnie temu twemu zdumieniu bezgranicznie wdzięczny; nareszcie zrozumiałem, czemu Sokrates — taki, jak go Platon pokazał — zawsze wydawał mi się rozumującym poniżej poziomu, na jaki było go stać. Właśnie tak też i jest, jak myślałem — zniszczyliście ruchome powieki. Byłaby więc nawet pewna sprawiedliwość w tym, ażeby się Dioneya właśnie Leptynesowi oddała; spłacałaby dług, powstały przez uszkodzenie dzieła ojca. Ale nie spłaci go, wierzaj mi. I znowuż jakie to głupie, że muszę cię o tym zapewniać; sam byłbyś równie przekonany, co ja, gdybyś uważniej wsłuchiwał się w to wszystko, co mówił o sobie — a tyle przecież mówił! — Leptynes. I gdybyś zarazem dobrze miał w pamięci wszystko, co Dioneya o sobie kiedykolwiek ci mówiła. Lub też ty sam mnie o niej. Musisz teraz — bardzo cię przepraszam, ale nie ma na to rady — zabawić się bardzo nieprzyzwoicie w miłość platońską z bykiem; taki już ten Orestes był: szyderca i to wybitnie

wyuzdany szyderca, tylko że Leptynes, gdy razem przebywali, za mały był jeszcze na to, by wyuzdanie to spostrzec i zrozumieć. Nie, nie — na prawo, nie na lewo.

— Jestem pewna, że jej nie kochałeś — powiedziała Dioneja, jak się Heliodorowi wydało, tuż za jego plecami. Nawet się obrócił, napotkał oczyma na uśmiech Mankurasa, dyskretny, przecież wyraźnie ulgą i radością tchnący, a dziwnie uderzający w zestawieniu ze zwykłą mu beznamiętnością wyrazu twarzy.

Ulgą i radość też rozbrzmiewały w jego głosie, gdy wsłuchując się w odpowiedź Leptynesa, też tak wyraźną a głośną, jak gdyby tuż obok stał, skinął do Heliodora głową, mówiąc:

— Nie mniemasz, mam nadzieję, że rozmawiają tak z sobą, złani już w tak zwaną jedność miłości?

Jakoż Leptynes odpowiedział Dionei:

— Czy mogę wiedzieć, na jakiej podstawie ten swój domysł aż do stopnia pewności podnosisz?

— Możesz wiedzieć, jeżeli nie szkoda ci czasu, którego tak nazbyt wiele już przed sobą nie mamy.

— Toś ty sama zaczęła na ten temat mówić, nie ja...

— Było to konieczne. Bo inaczej, uważasz, grozi mi niebezpieczeństwo, że gdy wezmę cię w siebie, zamkniesz oczy i zaczniesz sobie wyobrażać, że to nie ja, tylko ona...

— Spokojnie, spokojnie! — powiedział Mankuras, kładąc rękę na ramieniu Heliodora — tak jak się nic dotąd nie stało nic się i w ogóle nie stanie.

— Oczywiście, musiała cię bardzo lubić, więcej, musiałeś być dla niej wyjątkowo interesujący. Ale nie myśl, tu w głosie Dionei zadrgała lekka drwina, przecież ciepla bardzo — że to ty jako ty. Każdy Grek tak samo by ją ujął, może niekiedy nawet i porwał. Daruj, tu krzywdzę cię. Nie, nie każdy Grek, ale taki, co by tyle wiedział, jak ty, i jak ty też, umiałby to, co wie, wyrazić. Zresztą, zapewneś w tym samym stopniu tego świadom, co ja, tylko tak ci niezbędne jest ludzi się myśla, że to jednak była miłość. Poznała cię w okolicznościach, tak bardzo dla cię upokarzających, o tym nigdy nie mogłeś ani nadal nie możesz zapomnieć. A czy kobieta zapomni mężczyźnie to, że w takich właśnie okolicznościach go poznała? Tylko wtedy, gdy się w nim zakocha. Inaczej —

nie. Wiesz o tym, więc mówisz sobie: zakochała się we mnie. Ale wiesz też, że naprawdę tak nie było. Bo gdyby było, o miły! aniby nie żądała od ciebie, byś raz ją wzięwszy, rzezańcem się stał, aniby też — gdyby jednak ten jeden jedyny raz tyle miał dla niej znaczyć! — nie przyznałaby tak spokojnie słuszności twym wywodom ostatecznym przeciw temu, byś rzezańcem został.

— Dobro wspólnej wielkiej sprawy...

— Dobro wspólnej wielkiej sprawy wymagałoby, bym nie zdradzała Heliodora z tobą, narażając być może życie wszystkich trojga... Ale czy ja teraz na to się oglądam?

— Czyli chcesz rzec, że mnie kochasz?

— Jeśli mam być zupełnie szczerą, nie wiem jeszcze. Będę wiedziała, gdy to już się stanie. A że mi tak już pilno do pewności, iż cię kocham, chodź... Nie, nie tak...

— Jeśli twierdzisz tak uporczywie, że jej nie kocham — nieco porywiście już mówił Leptynes — znaczyłoby to, że kocham ciebie...

— Nie, nawet tego by nie znaczyło, że mnie się zdaje, iż mnie kochasz... Bo ty, owszem, kochasz kobietę, i to nie jestem ja, więcej: najprawdopodobniej kochasz ją z wzajemnością... Aleś tej swej miłości — a tym mniej jeszcze: jej — nie świadom, i tu moja właśnie tkwi siła. Nim noc minie, nic już z tamtej twej miłości bezwiednej nie zostanie; będziesz — i to świadomie — kochał mnie... Zdejmijże to już z siebie — czy mam cię rozbierać, jak dziecko?

— Heliodorze — powiedział Mankuras głosem, który też już wcale nie był ani beztroski, ani nazbyt radosny. — Miej do mnie zaufanie! Masz w ręku moje życie, a wierzaj mi, wierzaj: za nic bym nie chciał teraz — właśnie właśnie teraz — umrzeć... Stoję oto w obliczu największej próby, com naprawdę wart!... A jeśli wart coś więcej niż tylko cenę jeszcze jednego złudzenia, nowe — też nibylejaki — czeka mnie zadanie, więc zrozumże: chcę żyć! Tak bardzo chcę żyć! Spokoju więc — zaklinam cię: spokój!

— Podobam ci się? — uniesienie w głosie Dionei przecież zarazem wstydlivością rozbrzmiewało.

Ale zaraz opadło.

— Jeszcze jedno marzenie nieodwołalnie objawiło się jako złudzenie tylko — mówiła na odmianę z pewną go-

ryczą już. — Zawsze sobie wyobrażałam: z doskonałą równoczesnością pokażemy sobie nawzajem po raz pierwszy naszą nagość...

Wnet potem jednak znów już tkliwiej:

— Dobrzem zgadywała. Żadnego właściwie nie masz za sobą doświadczenia. To i lepiej, tylko — a znów wibrowała tu ciepła drwina — nie przeraż się, gdy spadnie na cię cały ogrom mojego... Nie, miły! nie tak... Cóż to? Nie, nie... ja chcę właśnie inaczej... Czeka, zostaw to mnie... Już teraz, albo nie: najpierw jeszcze o coś muszę cię zapytać...

— Więc dobrze — powiedział Mankuras bardzo już trzęsącymi się wargami — weź już mieczyk do ręki...

Bezmiar ciepła rozbrzmiewał w głosie Dionei, a przecież obok ciepła i czujność też — gdy pytała:

— Czy wiesz, czemu dla ciebie — tylko dla ciebie — chodzę boso?

— Wiem — odskrzyknął jej wzruszeniem bezgranicznym Leptynes. — Przeciwnie niż czciciele Ahura-Mazdy, wzdrgasz się zazwyczaj przed chodzeniem boso nie w trosce, by świętości ziemi nie pokalać dotknięciem ciała, gniciu podwładnego, ale odwrotnie wręcz: nie chcesz przez łączność tak bezpośrednią, z przyrodą ślepą, niemą, głuchą, bezmyślną, poniżyć tego, co w tobie, człowieku, jest obrazem i podobieństwem twego stwórcy... Ale dla mnie gotowaś na ofiarę...

— Obrazem i podobieństwem stwórcy? — Ton nagły a nowy zupełnie Dionei sprawił, że Mankurasowi natychmiast przestały trząść się wargi. — Czy mówisz o stwórcy, którego z Platona znamy? Ależ stopa moja, a i całe ciało przez niego z tej samej zostało materii stworzone, co przyroda cała, więc jakież by to było kalandrzenie się? Więc może masz na myśli iskrę boskości we mnie, cząstkę własnej jego, stwórcy, natury? Silniej niż ja jednak czułem w sobie ogień ten, nie iskrę tylko, Sokrates, chodził jednak boso — więcej niż ktokolwiek — i nie mniemał że przez to ogień ów gasi... Chyba więc wyobrażasz sobie, że moja stopa czy twoja też — inaczej niż łapa tygrysa lub jelenie kopyta — są właśnie obrazem stopy stwórcy... Słuchaj! Ależ... Czy by to było możliwe? Chodź tu pod światło... chodź — mówię ci...

— Odłóż mieczyk, Heliodorze — bardzo pogodnie powiedział Mankuras.

— Sama nie wiem — też bardzo pogodnie, przecież z pogodą, ku mrozowi szybko zdążającą, rzekła Dioneja — czy mam być wdzięczna memu pra-pradziadowi, że tyle się dzięki niemu nauczyła, czy też ślać mu w zaświaty, o ile istnieją, przekleństw bez liku...

Była chwila ciszy, którą przerwał spazmatyczny płacz.

— Mylisz się... jesteś w błędzie... Nie jestem — łkał Leptynes. — Czekaj... Nie ubieraj się tak szybko... Opowiem ci wszystko... Powinnaś mi uwierzyć, powinnaś mnie zrozumieć, a zrozumiawszy, przebaczyć, a przebaczywszy, kochać...

— Więc przecież nie jesteś tym, za kogo się podajesz.

— Jestem. Jestem synem Orestesa... jestem...

— Oszustem. Czyżeśmy się nie umówili, że zanim przyjdę wziąć ciebie w siebie, odkryjesz mi całą o sobie prawdę?...

— Błagam cię... Nie odchodź...

— A zresztą, wiesz? Może to i lepiej — możliwości aż takiego zimna w głosie Dionei nigdy dotąd Heliodor nawet sobie nie wyobrażał — znacznie lepiej, żeś jednak nie odkrył... Mógłbyś mnie jeszcze sprytnymi swymi sposobikami roztkliwić, i byłabym z głupia przyrzekła ci siebie... i cóż? nie dotrzymałabym przyrzeczenia... Bo to... bo to jednak jest ogromnie... niewiarygodnie wręcz śmieszne... Nie mogłabym, za nic bym nie mogła... Nie dziwię się teraz, że łaskę zła ów bóg na oszusta, co żonę swą jako siostrę rzekomą pchnął w łóżko królewskie, na króla zaś, co oszustowi uwierzył, za karę iż z cudzą żoną sypia, straszliwe klęski zesłał... Bo też w samej rzeczy, gdy czyjaś boskość na takie stać pomysły... Nie i nie i nie! Nigdy bym nie mogła...

I nagle wybuchnęła wesołym, beztróskim, pełnym bezlitosnego szyderstwa a zarazem i wolności radosnej, długo niemilkącym, śmiechem.

Mankuras ukrył w zanadru mieczyk, na palec włożył pierścień Króla Wielkiego. Beznamiętnie wpatrywał się chwilę w bezgraniczne zdumienie Heliodora, po czym niespiesznie wyszedł z sypialni, nie domykając za sobą drzwi.

Długo słyszał Heliodor już tylko coraz i coraz potężniejsze, coraz i coraz rozpaczliwsze, łkanie spazmatyczne

Leptynesa. Aż wreszcie przedarł się poprzez nie bełkot, niczym skowyt kopanego psiaka: — Za co? za co? za co? Jam nie winien... Mnie nie pytano... Kto pyta kilkodniowe niemowlę o zgodę? A i długo jeszcze... długie lata nie wiedziałem, nie domyślałem się, nie podejrzewałem... Nie jestem winien... Powiedz jej, że nie jestem winien...

A na to Mankuras — ciepło raczej, niż beznamiętnie: — Czy ma prawo rzec o sobie „Jam nie winien” malarz, który by zapragnął w mieście, gdzie niesposób dostać czerwonej farby, przyjąć od Rady Starców zamówienie na odtworzenie na płótnie pobojobowiska, pełnego zalanych krwią rannych i trupów? Podnieś się, młodzieńcze. Ubierz się. Czas, byśmy z sobą nareszcie naprawdę szczerze porozmawiali. Najwyższy czas! Niewiele już tej nocy zostało, a o świcie mam ogłosić rozkaz tajny Króla Wielkiego, znany zresztą od dawna i królowi Margiany: „Zgoda Narodów” ma przestać istnieć. Zrazu miała ulec rozbiórce, ale Antymachos wyprosił u brata, że taka jaka jest, pójdzie na dno. Z rozpiętymi żaglami, więcej: z wiosłami w pełnym ruchu. Alem cię świetnie odgadł: tak własnym przejętyś cierpieniem, że ani ci w głowie zapytać: „Czy pójda też na dno wiosłarze?” Otóż nie pójda, więc nie ślij tylu przekleństw na głowę swego ojca; gdyby nie on, może by i oni w większości swej na dno poszli, wszak to przeważnie skazańcy i niewolnicy. Ubrałeś się? Siądź spokojnie, nie, nie — na wprost mnie. Słuchaj uważnie, bardzo uważnie, gorąco cię o to proszę.

V

Heliodorem tak wstrząsnęła nieoczekiwana zupełnie wiadomość o nadchodzącym kresie nieuniknionym istnienia „Zgody Narodów”, że zrazu sporo wcale wymknęło się jego słuchowi, a raczej świadomości z rozmowy, jaką wiedli o piętro niżej Mankuras i Leptynes, a którą słyszał — cały czas przecież — jak gdyby się tuż obok odbywała; ani na chwilę bowiem nie oderwał ucha od przyrządu, o którym nareszcie już wiedział nie tylko to, gdzie jest umieszczony, ale i dokąd prowadzi złączona z nim rura podsłuchowa. Spóźniona to jednak i mało na co przydatna była wiedza, jako że w pełni już zdawał sobie sprawę, iż tropienie przezeń miejsca wylotu rury to też właściwie był jak gdyby sen jego tylko, a w czasie gdy sen ten trwał, w świecie jawy rura, a zapewne też i przyrząd mnożyły się wielokrotnie, udoskonalały, pokryły sobą — niczym siecią — co najmniej cały kasztel, jeśli nawet i nie okręt cały; nie były już tylko dziwem, umożliwiającym słuchanie na odległość, ale i mówienie także... On jednak, wysoki urzędnik służby bezpieczeństwa, Towarzysz zaufany dynastii, ba, współgospodarz omalże okrętu, żadnego o tym wszystkim nie miał pojęcia, ba, może i teraz jeszcze dodatkowo się ludzi nie nadążając już zupełnie własnym rozumowaniem za biegiem wydarzeń wokół: oto był powiedział sobie chwilę temu, że nareszcie ujawniła się przed nim od tak dawna tropiona tajemnica, skąd i dokąd rura prowadzi, ale jakże właściwie może wiedzieć, że to właśnie tego samego oto przyrządu, o którego istnieniu

wiedział, dotyka teraz uchem? Przecież to może być jeden z owoców cudownego rozmnożenia się pierwotnego wynalazku!

Oderwał od przyrządu ucho, przywarł doń ustami i zapytał:

— Czy okręt pójdzie na dno także i z tymi wszystkimi rurami i ich nasadami? — po czym znów szybko przyłożył do przyrządu ucho.

— Nie — głos Mankurasa, wielką rozbrzmiewał stanowczością. — Jeszcze w drugim a bodajże i w trzecim nawet dniu pobytu twego na pokładzie sama nazwa „Żydzi” nic mi nie mówiła.

Heliodor zdumiał się, ale szybko sobie uprzytomnił, że to nie jemu, tylko Leptynesowi na jakieś pytanie Ind odpowiada; powtórzył więc swoje — i to trzykrotnie, wciąż jednak z tym samym skutkiem.

„Najwidoczniej mnie nie słyszy”, rosnęło jego zdumienie. „Ale przecież wielokrotnie słyszał i odzywał się, gdym wprost w przestrzeń wołanie rzucał, nie w nasadę rury?”

— Owszem — ciągnął Ind o piętro niżej — słyszałem kiedyś o takim narodzie, który plemiennego swego boga nie tylko ma za najwyższego, ale bodajże w ogóle za jedyne — z pewnością zaś uchyla się od składania czci jakimkolwiek bądź innym — w zasadzie przynajmniej, bo o wyjątkach od zasady tej — i to bardzo zabawnych niekiedy — też coś niecoś słyszałem. Ale nie wiedziałem ani jak się naród ów nazywa, ani gdzie się znajduje jego siedziba, ani jakie są jego zwyczaje. O kaleczeniu niemowląt męskich w taki dziwaczny sposób też wprawdzie kiedyś słyszałem, ale wcale nie w zestawieniu z narodem owym, który żadnych bogów poza własnym plemiennym, uznawać w zasadzie nie chce; myślałem zresztą, że to nie szczepowy zwyczaj, tylko stanowy: przez mędrców-kapłanów uprawiany w dalekim Egipcie czy w równie dalekiej, a może i dalszej jeszcze Etiopii. Więc mylisz się, Leptynesie, mniemając, że mnie schwytał dziś w potrzask, z dawna zastawiony; wręcz przeciwnie, do prawdy, kim ty w rzeczywistości jesteś, długą a niełatwą dotarłem drogą.

Dotarcie to ogromnego kosztowało mię wysiłku myśli; jeśli zaś w usuwaniu przeszkód na tej drodze i dopomagali mi inni — Dioneja, Teofil i kilku marynarzy i wiosłarzy — to tylko na moją prośbę, a i to też wcale nie byle jaki był myśli wysiłek — uprzytomnić sobie, że właśnie oni władni byłiby okazać mi się pomocni... Jedyny, który mi pomagał samorzutnie — przy tym zaś bezwiednie zupełnie — byłeś ty sam... Ujawniłeś zdumiewającą, najwyższego godną podziwu zręczność, opowiadając dzieje swego życia tak by opowieść ta — tak szczegółowa a przy tym tak bezsprzecznie prawdziwa nie pozwoliła słuchaczom domyśleć się, żeś synem Żydówki; mało zresztą rzec zręczność: było to wprost wielkie mistrzostwo twórcze, zaiste godne krwi Orestesa! Ale wraz ze zdolnościami artysty przejąłeś wraz z krwią po Orestesie coś jeszcze: nadmierną pewność siebie, której towarzyszy skłonność do niedoceniań inteligencji otoczenia. Ta pewność siebie rosła w tobie w miarę jak opowieść zbliżała się ku końcowi, zresztą, tu może cię i krzywdzę nieco: dałeś się sam zbyt silnie ogarnąć wspomnieniom tego, coś był przeżył; byłeś też chwilami — właśnie znowuż pod koniec — sam samą formą swego opowiadania poruszony, niekiedy porwany; to zaś osłabiało w tobie ostrożność, czujność, podejrzliwość. Oddziaływało też — rzecz jasna — znużenie; nie kontrolowałeś już siebie tak, jak pierwszej nocy opowiadania czy uprzednio w czasie przesłuchań. Poprzedniej nocy za nic byś nie był powiedział na przykład, żeś zapytał w owej oazie Frynów jedno z dzieci Demetriosza, syna Diona, czy poza wołem, nie mają także osła, sługi i służebnicy... Jakożeś powiedział to najdokładniej w tej formie, w tym szyku jak słowa te ujęte są przez grecki przekład jednej ze świętych ksiąg żydowskich, w Aleksandrii koło Egiptu niezbyt dawno dokonany... Słowa to z końcowego z dziesięciu przykazań, jakie bóg żydowski dał plemieniu swych czcicieli, nieprawdaż? Wszystkie dziesięć wyrecytowała mi była Dioneja, sama jednak z typowo grecką niezdolnością do skupiania uwagi i kojarzenia świeżych wrażeń świadomości z przechowywanymi przez pamięć, nie spostrzegła się zupełnie, iż się tak obnażył... Gdyby zaś była się spostrzegła, nie doszłoby zapewne wcale do tego drugiego — cielesnego — obnażania się chwilę temu... Powiem ci jeszcze coś: oto pod koniec twej opowieści nieraz przy-

chodziło mi na myśl, że to osłabienie twej czujności dokonuje się zupełnie celowo; żeś był tak pewny swej mistrzowskiej gry, iż sięś dawał się raz po raz znieść pokusie: „Pozwolę sobie teraz na to, posunę się aż do tego, kłębek Ariadny pod same palce im przysunę, bo tak czy owak nie uchwycą...”

„Oczywiście, nie przeceniaj też jednakże i mocy mojej spostrzegawczości i przenikliwości. Owego poślizgnięcia się czy też wyzwania, ujawnionego przez zestawienie wołu, osła, sługi, służebnicy, ani kilku innych jeszcze podobnych wcale nie byłbym spostrzegł najprawdopodobniej, gdybym już uprzednio zdecydowanie cię nie miał za syna Żydówki, który bardzo nie chce, by wykryło się, kim była jego matka. Pamiętasz tabliczkę, którą włożyłem do pudełka i kazałem zanieść między twoje rzeczy? Rzeczy te są w każdej chwili do odebrania — byłyby już i przedtem, gdybyś tak całkowicie nie był wyzbyty czujności przez cały miniony dzień... A pamiętasz też, w jakiej mianowicie chwili po tabliczkę sięgnąłem? Przypomnę ci: oto gdyś opowiadał o śmierci Antiocha Seleukidy w czasie napadu na skarbiec świątyni Bela Elimaickiego. W Suzie, gdzie twoja matka umarła, musiało być wielu Żydów, nieprawdaż? I ich to Antiochos chciał mieć za sprzymierzeńców czynnych przeciw czcicielom Bela? I liczył na twego ojca, że mu to przymierze doprowadzi do skutku, tak jak przed laty pozyskał był dla niego przeciw Ptolemajosowi, władcy Egiptu, naczelnym przywódców całego plemienia w Jerozolimie, dobrze mówię? Jeśli dobrze, pozwolisz, że odtworzę tu teraz najwcześniejsze twego życia dzieje, te, coś był zataił w swej opowieści, a także i wstęp do tych dziejów, dotyczący złączenia się twoich rodziców w związek pozornie jak najprawniej małżeński. Zwróc, proszę, uwagę na owo moje „pozornie”; wedle mnie, ty w najlepszej wierze uważasz siebie za owoc jak najbardziej prawnego — w myśl greckich przepisów — małżeństwa, ja zaś, chłopcze, mam co do tego wątpliwości. Ale o tym potem. Teraz natomiast proszę cię, byś również w najlepszej wierze poprawiał mię, ilekroć odtworzenie moje będzie mijalo się z rzeczywistością, jaka jest ci znana. Ale właśnie z tą, jaka ci naprawdę jest znana, nie próbuj świadomie spychać mnie z właściwego tropu na fałszywy. Bo to ani ci dobrze nie wyjdzie, a zresztą na cóż by się tobie jeszcze

teraz zdało? Ja swoją wiedzę o tobie, z takim trudem nabytą, z nikim się nie będę dzielił, a nie będzie też i Diogeneja — możesz być tego pewien! — ani nawet mąż jej, który nas w tej chwili słucha... Spokoju, spokoju! Wierzysz, że na moim słowie można polegać? Wierzysz?... Więc zapewniam się, że Heliodor, choćby teraz tysiąc razy zdało mu się, słuchając nas, że władny jest i wolny robić taki użytek, jaki zechce, z tego, co z rozmowy naszej usłyszy, nie zrobi żadnego nigdy, chyba że... Ale także i o tym potem, teraz zaś jeszcze cię wzywam: poprawiaj mnie, gdy będę się mylił, ale właśnie bezwzględnie w najlepszej wierze! Zresztą, największy czar twej opowieści polegał na jej prawdziwości, połączonej z umiejętnością mistrzowską utajenia tego, czego ujawniać nie chciałeś; nazwałbym cię więc mistrzem odejmowania od prawdy, ale na pewno nie dodawania do niej; gdy zaczynasz kłamać, pryska cały urok tego, co mówisz, a przy tym kłamstwo twoje od razu wychodzi na jaw. Ktoś cię tu nazwał poetą — czy słusznie, wątpię; żeby Odyseja, gdybyś to ty ją pisał, budziła zachwyt czy choćby tylko zaciekawienie — musiałbyś, pisząc ją, naprawdę gorąco wierzyć w rzeczywistość Kiklopów, w Syreny, w moc czarodziejską Kirkei: inaczej byś czytelników lub słuchaczy znużył i znudził tylko. Jestem głęboko przekonany, że gdybym w pewnej chwili przerwał twą opowieść i zapytał cię wprost: „Czy matka twoja była Żydówką i jako taka, zgodnie z nakazem swego boga czy też zwyczajem swego ludu poddała twoje ciało skaleczeniu, które bardzo chcesz ukryć?”, odpowiedziałbyś „Nie”, rzecz jasna, ale to „Nie” byłoby tak żałosne, tak mało przekonujące, że z powodzeniem całkowitym zastąpiłoby możliwość niemożliwą najszczerzego twego „Tak”.

— Czemuś więc nie zapytał? — odparł Leptynes głucho, jak gdyby całą twarz, a więc i usta osłonił dłońmi.

— Jeszcze i do północy wcale daleko — odrzekł Man-kuras tonem człowieka, spoglądającego w danej chwili na gwiazdy lub na zegar wodny czy klepsydrę z przesypującym się piaskiem — dość więc będzie czasu, bym ci później bardzo, ale to bardzo dokładnie na pytanie to odpowiedział. Na razie zaś tylko tyle: po cóż miałbym niepotrzebnie zwiększać w kimś — w kimkolwiek — od-

czucie między istnienia? Właśnie: niepotrzebnie! Chłopcze miły, tajemnica twoja jest najzupełniej nieszkodliwa dla sprawy, której służę, w ogóle dla niczego i dla nikogo w granicach nad-królestwa Eutydemidów. Może gdzie indziej byłoby inaczej — za mało wiem o tym waszym Zachodzie, by ze stanowczością powiedzieć: tak lub nie. Ale tutaj — mówię to właśnie tak bardzo stanowczo — nie. Ani twoje pochodzenie po matce, ani to że cię tak właśnie naznaczyła, nie czyni ciebie w sercu Azji ani niebezpiecznym, ani odrażającym. Wiem, wiem... Powiesz: Dioneja. Powiesz: ci chłopcy, którzy nad tobą czy to w Aleksandrii, Proftazji czy w Argos znęcali się właśnie z powodu tego znaku i zgodnie z wnioskami, jakie z tego, żeś tak właśnie naznaczony, wyciągali. Dodaj jeszcze Teofila, który — wiedz — umierał, błędnie przekonany, żeś Żydem — właśnie Żydem, a nie synem rzeźbiarza Orestesa z Żydówki. Czy z błędu tego jeszcze będzie miał kiedyś sposobność wyzwolić się? Nie wiem. Ale skoro o Teofilu mowa, opowiedziano ci tak, jak zleciłem, dzieje przebiegu jego wspólnego z Teodorą samobójstwa? Zresztą, po cóż pytam? Powinieniem był od razu się domyśleć, że nie opowiedziano, boś w ogóle tu nie przyszedł, gdym cię posłał. Teofil przestał cię interesować ledwieś nabrał przekonania, że uwierzono twej opowieści dokładnie tak, jak się chciał by ci uwierzono; a może też inaczej jeszcze należy to ująć: wyczułeś, że może być dla ciebie, dla tajemnicy twej — niebezpieczny — więc się o niego dopytywałeś; przestał jednak być niebezpieczny, skoro żyć przestał, przestał więc też i interesować ciebie. Ja przecież odmiennego niż ty sam, jestem zdania: mniemam, że jest konieczne, byś jednak szczegółowo się zapoznał z okolicznościami jego samobójstwa. Zostań więc chwilę — proszę cię — sam; żebyś zaś ani się nudził ani pograżał w bezużytecznym a i bolesnym przy tym rozpamiętywaniu cierpień i upokorzeń, czy to rzeczywiście przeżytych czy urojonych, pomyśl o przyszłości raczej, niż przeszłości, która minęła i nie wróci. Oto zamierzasz serce Azji opuścić, zastanów się więc nad tym, com rzekł chwilę temu: że tu twoja tajemnica żadnego dla nikogo — a tym samym i dla ciebie też — nie kryje w sobie niebezpieczeństwa, ale nie jestem pewien, czy tak samo byłoby gdzie indziej. Ale mojej niewiedzy nie musi, nie powinna, wręcz nie może wtórować

twoja: znasz Zachód, mnie przecież nieznanym, przybyłeś stamtąd — urodziłeś się tam.

Słyszając oddalające się kroki Mankurasa, Heliodor odczuł nieprzepatą chęć wybiegnięcia na taras i krzyknienia kolejno każdemu napotkanemu:

— Leptynes jednak nie jest tym, za kogo się podaje, a za kogo i my też go od dzisiejszego rana mamy.

— Bardzo bym nie chciał, Heliodorze — znowu usłyszał nieoczekiwane głos Inda, inaczej nieco — ciszej przede wszystkim — brzmiący, niż chwilę temu — do prawdy bardzo bym nie chciał opowiedzieć Dionei, żeś synem Bolisa Kreteńczyka... Ani też Królowi Wielkiemu, kogo masz za mordercę jego pierworodnego syna...

W lot przestał myśleć o tajemnicy Leptynesa, o nim samym, w ogóle o nim zapomniał. Cóż ma znaczyć owo ujęcie Inda: „kogo masz za mordercę”, jak gdyby Agatokleja miała być morderczynią tylko w jego, Heliodora, domyśle, a nie w rzeczywistości? Cóż to za nowa bzdura? Przecież wcale się nie wypierała, owszem, bardzo dokładnie uzasadniała, czemu zabiła najstarszego brata, a zamierza też zabić pozostałych: wyzwała ich w ten sposób — jest przekonana — od nędzy istnienia.

Czy może być jaśniejsze i prostsze przyznanie się do zbrodni i już popełnionej, i na przyszłość planowanych? Ba, dodała jeszcze, że na przyszłość ofiary bezgranicznej swej miłości będzie przed inną jeszcze chroniła nędzą: dawania z siebie ohydneho a bezgranicznie śmiesznego zarazem przedstawienia w chwili przeprawy na tamten brzeg istnienia. Nie powtórzy się już z żadnym z trzech następnym taki widok, jak ów i przez niego, Heliodora też przecież widziany: oto Eutydemos stał, krzyczał, wymachiwał rękoma, ba, chwilę temu jeszcze bił ją, Agatokleję, i nagle upadł, ale gdy padał, jasne było, że upaść nie chciał, odwrotnie, padając, musiał krzyczeć rozpaczliwie gdzieś wewnątrz siebie: — Nie chcę! Nie chcę!... Zaiste — mówiła Agatokleja — nie wiem co jest bardziej ohydne w swej śmieszności: zrzucanie obuwia dla uchronienia go przed naporem wody przez kogoś, kto na prośbę nawet wielkiego artysty obuwia tego zdjąć nie chciał, czy też nagła zmiana pozycji stojącej na leżącą przez kogoś, kto umrzeć chce, ale że chce, tego sobie nie ma odwagi powiedzieć. A nie chciała wcale brata tak zohydzić ni ośmieszyć, za-

winił jej brak doświadczenia, a może też i brak wyobraźni: ćwicząc przez długie miesiące małpę by uderzała po głowie każdego sprawcę jej płaczu, a to tym gwałtowniej im gwałtowniejszy płacz, w niegroźnych siniakach czy guzach niewolnic, co ją biły po twarzy do łez, przecież niezbyt silnie — nie dopatrzyła się należycie zapowiedzi tego, co nastąpi, gdy małpa tak silnie jak nigdy nikogo dotąd, uderzy znienacka króla Eutydemosa w następstwie jęków, które wydrzeć miał siostrze, bijąc ją za karę, iż go publicznie spoliczkowała za nakaz rozstrzelania słonia. Jedno przecież i wówczas dobrze obliczyła i przewidziała: widok królowny, bitej publicznie przez brata, tak pochłonie powszechną uwagę, że małpa niepostrzeżenie zupełnie zada królowi cios, mający się okazać śmiertelnym — cios, który go natychmiast niczym piorun, z nóg zwali, przede wszystkim dlatego, że wymierzony będzie w to samo miejsce głowy, gdzie chwilę temu został w powszechnym zamieszaniu spowodowanym włamaniem się słonia do klatki z małpami, raz już uderzony — niegroźnie, przecież dotkliwie — laską poganiacza.

Na przyszłość — mówiła — będzie wszystko tak bezbłędnie obliczała i przewidywała, jak owo wówczas odwrócenie powszechnej uwagi; żaden z trzech następnych braci nie będzie padał tak ohydnie i śmiesznie jak Eutydemos. A zarazem też będzie się wystrzegąca, by nie zjawiać się Heliodorowi na oczy choćby i w przebraniu — czy strażnika czy jakimś innym — z małpą na ramieniu, a szczególnie z taką małpą, co godzinami zdoła trwać w bezruchu, budząc podejrzenie, że wszystkiego ją można nauczyć, więc też i mszczenia się za płacz swej pani, i uderzania wcale nie małą sztabą żelazną w to miejsce na tyle głowy, skąd odgałęziają się od królewskiego diadem, by na szyję opadać, dwie szerokie białe taśmy. Oczywiście, by jakieś takie czy podobne podejrzenie powziąć, czy też raczej takiego olśnienia doznać, na to trzeba być Heliodorem. Ale zobaczymy — mówiła królowna — czy i nadal też twoja dociekliwość i domysłowość z jej zrówna się pomysłowością, najwyższej miłości ofiarnej dziećciem. Jestem prawie pewna, Heliodorze, iż wytropić sposób, w jaki z kolei zabiję litośnie Demetriosa, będzie już znacznie trudniej, nawet dla ciebie. W jaki Pantaleona — jeszcze trudniej. Agatoklesa — wręcz niepodobień-

stwem. Co prawda — przyznam ci się poufnie a szczerze, tak, jak zasługuje na to mój podziw dla ciebie — ten Agatokles to mi już teraz resztę spokoju snów maćci...”

W przyrządzie zasyczało coś, a w syku tym trzy można było rozpoznać oddalone bardzo, ludzkie głosy. Heliodor znów przyłożył ucho do nasady rury — znów jak gdyby tuż spoza pleców doszło doń głośno bardzo:

.... nie bardzo się to godzi — ale cóż? wielkopańskie zabawy — nas, maluczkich, obchodzić to nie powinno. Zresztą, mniemam, że i nie tylko zabawy, bo oto powiadają ci, którzy z Indyj wrócili, że tam zwyczajnie potężni władcy trzy mają odmiany straży przybocznych: jedną — dla żartu chyba — z karłów; drugą — z samych dziewcząt właśnie, w łuki a strzały zatrute uzbrojonych; a trzecią dopiero — z mężów wyborowych, jak wszędzie indziej na świecie. Więc może — myślałem — i u nas też różne teraz odmiany straży zostaną zaprowadzone, bo wszak wciąż i wciąż nowe porządki wokół jak nie takie, to inne... Pyta mnie więc ona, czy chciałbym dobrze zarobić. Powiadam: „Jakież Grek by nie chciał?” Każe mi więc przywołać grubasa z tarasu — poszedłem, przywołałem. Pyta go: „Po coś łańcuch do łodzi zniósł?” Zmieszał się wyraźnie, jak gdyby na kradzieży złapany, choć i taki wielki pan, na to ona z uśmiechem: „A dla nas dwojga starczyłby?...” Po czym, kładąc mu rękę na ramieniu, rzekła: „Czyś ty wiedział, że Spitamenesa nie ma i nigdy nie było?”

Trzeci już raz słyszał Heliodor to sprawozdanie, ale po raz pierwszy dopiero z ust świadka naocznego. Miał więc nadzieję, że wreszcie dowie się przecież, co mianowicie odpowiedział Teofil Teodorze na owo pytanie. Przekazy Menandra i Mankurasa odpowiedzi tej nie zawierały, obaj mówili, że żołnierz twierdzi, iż odpowiedzi nie dosłyszał. Chwilami im wierzył chwilami nie, ostatecznie mogli zapomnieć; co Teofil wiedział, czego nie wiedział, obu już mało zdawało się to z chwilą jego śmierci obchodzić. Ale jego, Heliodora, właśnie ta wiedza lub niewiedza zmarłego obchodziła ogromnie, szczególnie odkąd Mankuras zrobił napomknięcie, mogące dowodzić, że on, Heliodor nadal błądzi w mgle — i to coraz niebezpieczniej zgęszczającej się — uważając że zagadka śmierci króla

Eutydemosa została już ostatecznie rozwiązana. Gdyby jednak odpowiedź Teofila brzmiała: „Wiedziałem”, mgła by się znów rozproszyła; Agatokleja to bowiem Spitamenesa unicestwiła w rozmowie z nim, Heliodorem, na pomoście, uwierzył jej, tak jak i Teodora, ale oto teraz pod wpływem napomknięcia Mankurasa także i w to unicestwienie zaczynał wątpić. Przestałby wątpić, gdyby wiarę jego podtrzymało świadectwo Teofila.

Nie podtrzymało. Żołnierz — tym razem bezpośrednio przez Heliodora słyszany — i Leptynesowi też powiedział, jak musiał uprzednio powiedzieć Menandrowi i Indowi: „Odpowiedź swą szepnął jej do ucha, nie wiem więc, jak brzmiała”.

Gdyby szept ten — łamał się z myślami Heliodor — brzmiał: „Nie wiedziałem”, czy mimo to poszłaby Teodora na dobrowolną śmierć? Bo przecież mogłaby pomyśleć to samo, co on chwilę temu: bez „Wiedziałem” Teofila wynurzenie Agatoklei, że najmłodszy jej brat wpadł na zadziwiający pomysł, umożliwiający mu kurczowe czepianie się jak najdłużej nędzy istnienia, wynurzenie to — krzyczał bezgłośnie do spoczywającej na dnie Oksosu samobójczyni — mogło być przecież zmyśleniem! Oczywiście — przyznał natychmiast — jemu potrzeba było alarmowego napomknięcia Inda, aby w wiarygodność samoskarżeń Agatoklei i wszelkich towarzyszących im wynurzeń zaczął wątpić; Teodory nikt podobnym napomknięciem nie zaalarmował, ale czy potrzeba jakichkolwiek napomknęć z zewnątrz tam, gdzie nie milknie ani na chwilę głos wewnętrzny miłości i to jakiej jeszcze miłości?! Samobójstwo Teodory wyzwalało Heliodora ze złudzenia, że zamierzone małżeństwo wnuczki dowódcy twierdzy Tarmickiej z Sogdyjczykiem rozumiane być może tylko w kategoriach uprawianej przez Eutydemidów coraz śmielej polityki zgody narodów; młoda kobieta, w pełni przy tym świadoma, że stanowi samym swym istnieniem jedyny jasny promień w życiu samotnego starca, nie poszłaby na śmierć dlatego tylko, ponieważ się dowiedziała, że nie jest w jej mocy wyświadczyć dynastii uprzejmość, której po niej się spodziewano. A zresztą, gdyby to w samej rzeczy o taką uprzejmość tylko chodziło, czemużby i ona nie mogła wziąć udziału w zdumiewającej grze, za pomocą której Agatokles spodziewał się uniknąć losu naj-

starszego brata: mianowicie udawać przed światem, że ona nadal wierzy w odrębne istnienie Spitamenesa — ba, rzekomego Spitamenesa nawet poślubić, wtajemniczając lub też nie Agatoklesa w to, że gdy śpi z nim, to z pełną świadomością, iż śpi z najmłodszym Eutydemidą z prawego łoża, nie zaś z mieszańcem i bękartem. Ale oto okazywało się, że jest dla niej niepodobieństwem iść do łoża z kimś, kto tak świetnie udawał, że jest ich dwu, nie jeden... bo pokochała tego drugiego, wymyślonego... i to tak bardzo, iż gdy wykryła że ten drugi nie istnieje, bez wahania postanowiła zjednoczyć się z nim w niebycie.

Czy Agatokleja wiedziała, że Teodora znajduje się tak blisko, iż bez trudu będzie mogła usłyszeć to jej wynurzenie? Wiedziała Dioneja, i stąd jej nagłe zniknięcie: domyśliła się, jaki wniosek zechce wyciągnąć Teodora z tego, co usłyszała jako prawdę o Spitamenesie, i poszła jej szukać, ratować ją. Nie znalazła, nie uratowała, a może nie uratowała, choć znalazła. Może przekonała ją Teodora, że największą przysługę, jaką przyjaciółka może jej wyświadczyć, to nie przeszkadzać. Ba, może nawet i o więcej — o pomoc prosiła — ale tej Dioneja musiała odmówić, więc Teodora i Teofil zwrócili się o nią do żołnierza.

„Zrazu — tłumaczył Leptynesowi, a bezwiednie niewidzialny i Heliodorowi także — ani się domyślał, czego ode mnie zażądata. Mniemałem, że do wiosłowania im tylko potrzebny. Ale gdyśmy na sam środek rzeki zapłynęli, patrzę: grubas wyjmuje spod ławki łańcuch, coś jak kajdany, szczególnie takie, jakie się nakłada, łańcuch do ściany cel przymocowując, na szczególnie ważnych więźniów stanu. Przez chwilę tom się i bał nawet: przemknęło mi, głupiemu, przez myśl, że mnie jakąś krzywdę wielką chcą wyrządzić. A to nie mnie, tylko sobie...” Zresztą, nawet i długo jeszcze po wydobyciu spod ławki kajdan zdawać się mogło — bez względu na to, jakie by tamtych dwoje miało zamierzenia — iż żołnierz w samej rzeczy potrzebny im był do wiosłowania tylko. Aż nagle Teodora zapytała go: „Nie podoba ci się, że w spodniach, nieprawdaż? A podobałoby ci się, gdybym je dla ciebie zdjęła?”

Oddała mu się na dnie łodzi. Dziewiczość jej — jakkolwiek niewątpliwa — zbyt wiele kłopotu mu nie sprawiła. Na ogół — wyznawał z dobroduszną szczerością, ale

też i z wyraźnym zawstydzieniem — było to przeżycie bardzo przyjemne, najprzyjemniejsze tego rodzaju, jakie w ogóle kiedykolwiek w życiu miał. Chciał je powtórzyć. Nie dała mu się, a gdy nastawał, Teofil zagroził mu wiosłem, a po wiosle, sztyletem i wygłodzonymi rybami w rzece. „Winienesz zrozumieć — powiedziała Teodora głaszcząc go ręką po twarzy przecież z dość daleka już — mogłabym się jeszcze w życiu rozsmakować przez ciebie. A nie wolno mi”.

Na niebie gromadziły się chmury. „Prędzej” — zawołał Teofil — „bo a nuż spadnie piorun i ześle nam śmierć nie taką, jakąśmy sobie wybrali. Ten zaś głuptas — pan wielkich włości margijskich od jutra — będzie opowiadał, że to jakiś bóg z pełną świadomością nas poraził, by objawić, że nie władniśmy własnym życiem rozrządzać, jak chcemy”.

Wydobył z zanadru mały słoik. Pouczył żołnierza, iż gdy oboje — najpierw Teodora, potem on — łykną ze słoika — powinien liczyć głośno do dziesięciu, a zaraz potem przechylić łódź tak, by szybko z niej wypadli.

„Ja — nie — potrząsnęła przecząco głową Teodora. — Jak to — tu wskazała ręką ku nagości wciąż jeszcze dość bezwstydney żołnierza — tak też i śmierć trzeba bez reszty przeżyć a w pełnej świadomości”.

— Będzie bolało — mruknął posępnie Teofil. — Bardzo. Nawet sobie nie wyobrażasz jak bardzo. A przy tym będzie ci się zdawało, że to trwa potwornie długo — nieskończenie dłużej, niż w istocie trwać będzie. I strasznie się będziesz bała. A najgorsze, najwstrętniejsze chyba: będziesz żałowała, żeś to zrobiła. I to jak!

— Ale cóż z tego żalu przyjdzie? — odparła bardzo blada, starając się uśmiechnąć. — Będę skuta, przykuta do ciebie, ciężar zaś na nogach od razu pociągnie na dno.

— Ale tobie się będzie zdawało, że bardzo wolno toniesz, że jeszcze jest moc czasu i sposobności, by się uratować. Będziesz krzyczeć, błagać o ratunek...

— Cała już pełna wody, a może i ryb?

— Będziesz bogów błagała o cud. Mnie zaś potwornie znienawidzisz... Będziesz się bowiem łudziła, że gdybyś nie była do mnie przykuta, ocalałabyś... Dziecko drogie... — ja dwadzieścia pięć lat nad tym myślę... Nie ma w granicach nad-królestwa samobójcy odratowanego, którego

bym nie zamęczał wypytywaniem... A i poza granicami nad-królestwa badałem także; Chaldejczyków wypytywałem, Egipcjan, Żydów...

Zamiast odpowiedzieć, zaczęła — nie nazbyt się spiesząc — zrzucać z siebie tę resztę odzieży, której nie zdjęła była, oddając się żołnierzowi. Teofil — odwrotnie — niczego z siebie nie zdjął, nawet obuwia. A że był z wielkim przepychem odziany, nie miał nazbyt wielkiej swobody ruchów przy zakuwaniu się w kajdany, więc Teodora tyleż przy jego nogach miała roboty, co przy własnych. Skuwali się tak, by mieć złączone nierozzerwalnie jego lewą dłoń z jej prawą, tak samo i nogi.

— Rzeczywiście wspaniała jakiś łańcuch — powiedziała. — A co za ciężary! Chyba z myślą o którymś z Eutydemidów został wykuty — nie inaczej...

— Może z tą myślą i wykuty — odparł Teofil — świeżo przecież przygotowany został dla Heliodora.

Po chwili dodał:

— I pomyśleć, że to Heliodor właśnie sprawił, iż ze słoika tego przecież zrobię użytek. Tyle, tyle lat przy sobie go noszę — przyzwyczaiłem się — nieraz myślałem: — Może się jednak wcale nie przyda?!

— Patrz — zawołała Teodora, wskazując na swą stopę, już nie władną od jego wykwintnie obutej nogi się oderwać. — Dawno paznokci nie obcinałam, już wpijają się w palce...

Po chwili dodała:

— A oto obcinać i nie trzeba. Ryby się tym zajmą.

— Czuang Tse, filozof skośnooki — rzekł Teofil — twierdzi, że od pierwotnego jaja żywego poprzez rybę i wiele wiele innych zwierzęcych odmian dochodzi się do człowieka, ten zaś umierając, znów się na jaja pierwotne rozkłada...

— Podobnie twierdził Anaksymander Milezyjczyk. Ale tylko do człowieka się dochodzi? Dalej już — nie?

— Dalej — nie.

— Obyź!

— Mam cię. Już zaczynasz...

— Nic nie zaczynam. Tylko muszę ci coś jeszcze rzec, póki czas. My, ludzie, strasznie wysokie jednak mamy o sobie wyobrażenie. Oto postanowiliśmy z tobą załatwić to czysto i ładnie. Niczyich oczu — układaliśmy się — nie

powinien mierzyć nasz widok pośmiertny. Aleśmy tylko o ludzkich myśleli oczach. Nie o tym, jak się rybom wydają czy innym stworom podwodnym.

— Ja też ci muszę coś rzec jeszcze, póki czas. Jako młodzik, też, oczywiście, miałem cielesne z kobietami zbliżenia, ale zapomniał, jak to smakuje. Tobie jednak zdaje się smakowało — jemu też. Otóż widzę, gdy na to się z boku patrzy, a przy tym jest się rzezańcem, to widok jest raczej niemiły, przede wszystkim śmieszny. Kobieta, zresztą, lepiej z próby takich oględzin wychodzi: pewne jej ruchy, co prawda, też są śmieszne, ale jakoś więcej w nich godności niż w męskich. Co natomiast nie tylko nie śmieszy, ale odwrotnie, silne daje odczucie piękna, to zmiany, wtedy w głosie zachodzące... Choć znowuż więcej tego piękna w kobiecym głosie, niż w męskim... Słuchaj!... a może to w ogóle nieporozumienie — udział mężczyzny w takim zbliżeniu?

— Gdyby kobieta na nas patrzyła — i to też odpowiednio okaleczona — zapewne by zawołała: nieporozumieniem jest udział kobiety w takim zbliżeniu.

Daleko gdzieś błysnęło. Po dłuższej chwili zagrzmiało.

— Czas — powiedział Teofil. Przyłożył słoik do ust.

— Powiedz coś teraz — zwrócił się do Teodory, a wedle żołnierza straszną miał wtedy twarz. — Powiedz ty, potem ja.

— Dobrze — odpowiedziała: — Wiesz, skąd to jest? „Kiedy ich uśpił Sokrates, wtedy wstał i wyszedł”.

— Człowiek jest miarą wszechrzeczy — wiesz skąd to jest?

Pociągnął ze słoika. Żołnierz zaczął liczyć do dziesięciu, potem przechylił łódź. Wypadli od razu. Głowami w dół, tuż jednak pod powierzchnią ciężary na nogach obróciły ich. Znikli bardzo szybko. A dopiero gdy znikli, żołnierz — człowiek powolnie bardzo myślący, jak sam o sobie mówił, odkrzyknął: — Który człowiek, o panie?

— Raz jeszcze, dzięki. Możesz odejść — zabrzmiał znów nareszcie na odmianę głos Mankurasa. — A pamiętaj, żadne nie istnieją przeszkody po temu, byś wszedł, kiedy tylko zechcesz, w posiadanie dóbr margijskich Teofila.

Z kolei głos Leptynesa w wielkim zawołał zdumieniu i podnieceniu:

— Więc był rzezańcem?

— Nie z wolnego wyboru jednak tak jak tyś rzekomo miał zostać. Osobiście mniemam, że nie dopiero skośnoocy, ale już Tocharowie, wśród których tak ci było dobrze, okaleczyli go z myślą by jako niewolnika szczególnie inteligentnego za szczególnie też dobre pieniądze do Państwa Podniebnego sprzedać. Który to los i tobie też zapewne gotowali, słuchając życzliwie a z zaciekawieniem porywających twych opowiadań. Najazd jednak Hunów na pastwiska Tocharów sprawił, że los ten został ci oszczędzony. Ale tyś właśnie w niewoli u Hunów zamierzył odebrać sobie życie, czyli tam dopiero wydało ci się ono nie do zniesienia.

— Ale sprawcami owej największej mej niedoli tocharyjscy chłopcy byli, towarzysze niewoli, nie Hunowie.

— Czy tak nad tobą się pastwili za kalectwo, jakim matka cię naznaczyła?

— Rzekłeś. Mówili, że ono właśnie ściągnęło na pastwiska ich ludu najazd Hunów. Za ten najazd i za swe wynikię z niego udręki na mnie się mścili, nie rozumiejąc zresztą...

— Czekaj, nie kończ. Domyślam się, żeś chciał rzec, iż oni także i okaleczenie za grecki mieli zwyczaj, o Żydach bowiem żadnego nie mogli mieć pojęcia.

— Właśnie.

— Jeśli Tocharowie będą mieli kiedy historyków, a przyjdzie im kiedyś walczyć z Grekami, już się stokrotnie zemścił za udręki, od chłopców tamtych doznane. Bo na pewno na pastwiskach ich przechowa się podanie o pierwszych dwu Grekach, którzy się wśród nich znaleźli, a że pieśniarze ludów barbarzyńskich lubują się w jak najbardziej szczegółowych opisach wyglądu zewnętrznego, podanie stepowe będzie niosło, że wśród Greków jedni mają na ciele taki dziwny znak, a inni — nie. Ale oto gdy zetrą się kiedyś z Grekami zbrojnie i będą trupy na pobojuwiskach oglądać, daremnie będą szukać tej drugiej odmiany...

— Chyba że w wojskach greckich znajdą się Żydzi, na wschód daleki przez jakiegoś króla przerzuceni...

— ...tak jak Antiochos Seleukida przerzucił z Babilonii pod Sardy tych, z których twoja matka się wywodziła? To był jeden z najzręczniejszych twych chwytów: oczywi-

ście, są w Babilonii żydowskie osady wojskowe, podległe rozkazom Seleukidów, i oczywiście też Antiochos łatwo mógł przerzucić takich osadników z krainy spokojniejszej do bardziej zagrożonej. Ale gdy ktoś mówi: król grecki czy makedoński taki a taki przerzuca tam a tam swych osadników, a narodowości przerzucanych nie wymienia, dla słuchaczy jest oczywiste, że mowa jest o Grekach czy makedońskich ich pobratymcach... Ale i tego świętego używając chwytu, popełniłeś błąd nieostrożności; za szybko tę wiadomość słuchaczom przekazywałeś, pędziłeś niezbyt koź wyścigowy ku mecie. A i inny jeszcze poza tym błąd, zresztą dość często powtarzany: oto ile razy musiałeś o matce coś wspomnieć, kierowałeś wzmiankę tak, by niby zupełnie logicznie przeskakiwała na coś innego, a zawczasu na coś takiego, co by słuchaczy szczególnie zaciekawiało: na przykład na zjawienie się Rzymian w Sardach. Ale nawet i tu okazałeś się za mało czujny; otoś dał nam poznać, że ojca twego bolały kłębki, jakie na Greków czy Makedończyków spadały z ręki Rzymian, matkę jednak — nie. Bo matka — domyślam się — marzyła skrycie, jak zapewne i większość Żydów marzy — by Rzym dopomógł im do wyzwolenia się spod władzy Greków. Bo wiesz? — o Żydach wciąż jeszcze bardzo niejasne mam pojęcie, ale wydaje mi się, że pod czyimkolwiek władaniem się znajdują, zawsze marzą, by przejść pod czyjeś inne... Teraz na przykład — opowiadał mi pewien wioślarz — chcieliby spod panowania Seleukidów wrócić pod egipskie...

— To niemożliwe!

— Wierzę, iż tobie właśnie wydaje się to niemożliwe, bo dzieciństwo twoje było świadkiem wielkich wysiłków ze strony Żydów, by znalazłszy się pod panowaniem Seleukidów, uwolnić się spod władzy Ptolemajosów, Egipcjan rządzących. Ale wysiłki to były Żydów, w Jerozolimie zamieszkałych, prawda? Ci jednak, którzy pierwsi już pod władzą Seleukidów byli, w Babilonii na przykład, marzyć już zaczęli — sam to przyznałeś — by ktokolwiekby od Seleukidów silniejszy, Rzym na przykład, spod władzy tej ich wyzwolił. Ale — powiedz — co się stało z tymi, których w Lidii Antiochos był osiedlił po jego rozgromie przez Rzymian? Wycofali się z nim za góry Tauru?

— Bardzo nieliczni. Większość zaś weszła w jakieś

układy i z samorządem Sardów, i z królem Eumenesem.

— A rodzina twojej matki?

— Została.

— Ona jednak powędrowała na wschód?

— Za ojcem. Kochała go bardzo.

— Tak powiadasz? Właśnie to jest — przyznam się — największa może dla mnie zagadka w dziejach twego dzieciństwa. Założyłem zasadniczo, że było tak: z rozkazu Antiocha Seleukidy podwładni mu wojownicy żydowscy przenoszą się z Babilonii wraz z rodzinami wcale daleko na Zachód i w pobliżu Sardów zakładają osadę lub osady. Oczywiście, szybko się dowiadują o bogactwie rynku w sławnym starym wielkim mieście, o różnorodności oszalałymi towarów i wysokim ich na ogół gatunku. Kobiety z osad ciągnie na ten rynek bądź ciekawość, bądź zapobiegliwość strojniś czy gospodyń; nie wiem, ile wolności posiada wśród Żydów w życiu codziennym kobieta, ale domyślam się, że dość, by jeśli bardzo chce tego, znaleźć się raz przynajmniej na takim rynku, jakkolwiek może i pod surowym bardzo nadzorem. I oto jedna z takich kobiet z osady przypadkiem spotyka tam na rynku Orestesa, zwraca na siebie jego uwagę — musiała być piękna chyba czy jakimiś innymi przykuć ku sobie jego zainteresowanie urokami, zapragnął jej. Na początek zapewne tylko jako przelotnej kochanki, jakich musiał mieć wiele, ale to jego pragnienie napotkać musiało też na silny opór. A im opór był silniejszy, tym silniej też go ta kobieta czy chyba raczej dziewczyna ku sobie pociągała. Ale właśnie tu zaczyna się dla mnie owa zagadka, na którą jużem napomknął. Powiadasz, że go kochała i to nawet bardzo? Czemuż więc się mu aż tak silnie opierała?

— Bo u Żydów to straszliwa hańba dla dziewczyny zostać pozbawioną dziewictwa przed małżeństwem.

— Myślę, że nie tylko u Żydów. Ale zgódźmy się na razie, że wśród nich bardziej, niż gdzie indziej. Ale czy lęk hańby nie słabnie, gdy zetrze się w kobiecie z wielką miłością, a jak ty mówisz, kochała go bardzo? Może więc jednak nie tak już bardzo?

— Bardzo.

— Wtedy ciebie nie było jeszcze, więc jak możesz być tak pewny? Powiesz: opowiadano ci, a zresztą jako chłopiec, wiele widziałeś i wiele też rozumiałeś? Co warte są

opowieści, choćby tak zwane najszczerze i najbardziej szczegółowe, obaj z tobą dobrze wiemy od końca minionej nocy; znowuż nie musiano ciebie wcale okłamywać, tylko wiele z prawdy pomijano milczeniem. A to, coś sam dostrzegł i zrozumiał? Mogłeś być bardzo spostrzegawczy i bardzo też wnikliwy, ale to nad czego zagadką ja się zastanawiam, a to, coś ty mógł spostrzec i zrozumieć, są to dwie różne zupełnie rzeczy. Bo ja tu nie poddaję w wątpliwość miłości — może nawet w samej rzeczy wielkiej bardzo miłości — twej matki do twego ojca; mnie tu interesują uczucia dziewczyny żydowskiej, najpewniej właśnie dziewczycy, do przypadkowo spotkanego a zachwyconego nią Greka, z którym jeszcze syna nie miała — że mieć będzie, nie wiedziała, jak też ani tego, że namiętność, jaką w nim budzi, wykrzesze z niego gotowość do ożenienia się z nią. Dużo już wiem o Grekach, a coś niecoś — wyłącznie dzięki tobie, choć i nie od ciebie — o Żydach — i zarówno to coś niecoś, jak owo dużo skłaniają mnie do mniemania że małżeństwo między Grekiem a Żydówką to rzecz jeszcze bardziej niecodzienna, niezwykła, niż między Greczynką a Sogdyjczykiem, szczególnie że twoi rodzice nie łączyli się z sobą pod rządami Eutydemidów. Rzekłem oto chwilę temu: wyraził gotowość ożenienia się z nią. Ale taką samą gotowość musiała w pewnej chwili wyrazić też i ona, bo jeśli w samej rzeczy nie wolno dziewczynie z osady wojskowej poślubić kogoś spoza osady bez osobnego pozwolenia królewskiego, w równym stopniu nie wolno nikomu zmusić jej, by za kogoś spoza osady zamąż wyszła. Czy rodzina jej miłym okiem małżeństwo to widziała?

— Bardzo była przeciwna. Tak bardzo, że ojciec mój czas jakiś poważnie się bał, czy go coś złego z ręki nie tylko rodziny, ale i w ogóle owych osadników — nie spotka. Podobno mniej nawet o siebie się bał, a bardziej o swoją żonę.

— Rzekłeś: bał się czas jakiś. Jak długo? Czy czas ten pamiętasz?

— Tylko z opowiadań. Bo właśnie niezadługo po moich narodzinach wrogość tamtych bardzo zmalała.

— Co mogło być tej zmiany przyczyną?

— Podobno udział mojego ojca w przygotowywaniu oderwania Jerozolimy od Egiptu.

— Właśnie. Choć może należałoby odwrócić tu skutek i przyczynę. Czy nie mogłoby być, że osada oświadczyła: „Sklonni bylibyśmy wam to małżeństwo przebaczyć pod takimi a takimi warunkami”. I ojciec twój warunki te przyjął. Albo też jeszcze inaczej: rzekome pozwolenie Antiocha na to małżeństwo było w istocie rozkazem. Mógł go Orestes o to uprosić, osada oprzeć się rozkazowi królewskiemu nie śmiała, ale małżeństwu skrycie groziła. Więc jął Orestes prosić Antiocha: poślij mnie tam a tam, bo to osadę może załagodzić i będziemy z żoną — a niebawem i z dzieckiem też — mieć wreszcie spokój.

— Ja osobiście o tym wszystkim zupełnie inaczej myślę, co prawda od niedawna dopiero.

— Mianowicie: jak?

— Czy jestem jeszcze pod śledztwem i muszę odpowiadać? Sameś rzekł...

— Nie musisz. Właśnie samem rzekł, że tajemnica twojego pochodzenia żadnego nie zawiera w tobie niebezpieczeństwa dla nad-królestwa Eutydemidów. Ale rzekł też, byś przez chwilę, gdym ci samego zostawił, pomyślał nad tym, czy tak samo by, jak tutaj, wyglądało to gdzie indziej. Pomyślałeś?

— Pomyślałem.

— I cóż?

— I na to pytanie też nie odpowiem, jeśli nadal nie muszę.

— Nie musisz. Ale musisz natomiast wysłuchać uważnie, co ja ci teraz powiem. Czyś w pełni świadom, jacy to mianowicie chłopcy — nie licząc owych Tocharów, z którymi razem dostałeś się do niewoli huńskiej — pastwili się nad tobą czy to w Aleksandrii Proftazji, czy w Argos?

— Jacy?! Wszyscy greccy chłopcy, którzy kiedykolwiek widzieli mię nago lub dowiedzieli się, że moja matka była Żydówką.

— Ale dlaczego właściwie nad tobą się pastwili? Tych, którzy cię nagim widzieli, ów znak mógł dziwić, ale dziwiąc, zarazem bawić najwyżej raczej, niż budzić nienawiść, z jakiej rodzi się żądza pastwienia się. Żądzę tę coś innego musiało rodzić, więc co?

— Ależ to właśnie, że synem Żydówki.

— A dlaczego uważali, że to tak straszliwą jest rzeczą być synem Żydówki?

— Bo wiedzieli o pogardzie i wrogości Żydów dla wszelkich innych bogów, poza własnym plemiennym. I o tym też, że Żydzi nigdy nie siadają do stołu z innoplemieńcami, że gdy innoplemieńca dotkną, uważają się za nieczystych...

— Znowuż nie tylko oni. Ale skąd o tym wszystkim ci chłopcy tak dokładnie wiedzieli? Czyś zauważył, jak nic właściwie Heliodor nie wie o Żydach. Ani Agatokles. Ani Agatokleja. Mało zaś co więcej wie — zapewniam cię — sam Król Wielki. A mniej od niego jeszcze dziewięćdziesięciu Greków w sercu Azji na każdych stu. Wiedział — to prawda — dość dużo Teofil — wie, mniej zresztą, niż jej się zdaje, Dioneja. Ale oni dwoje to był twój nieszczęśliwy przypadek z tych, jakie w życiu często się nie powtarzają, a który sam w sobie już nie istnieje: Teofil nie żyje, a Dioneja niczego nie zdradzi — nigdy. Skąd tamci wszyscy chłopcy mogli być tak dobrze o zwyczajach czy pojęciach Żydów powiadomieni? Czy są w Aleksandrii Proftazji — Żydzi?

— Chyba nie ma. Jak i nigdzie na wschód od Suzy. Może jeszcze w Ekbatanie Medów, ale tam...

— ...Tam nie byłeś. W Suzie znęcano się nad tobą?

— Mało. Bardzo mało.

— Ale bardzo wiele w Aleksandrii Proftazji, potem zaś w Argos, skąd odległość do tej Aleksandrii jest z pięć razy taka, jak z tejże Aleksandrii do Suzy. Jak więc tłumaczysz tę zdumiewająco dokładną wiedzę o Żydach u wszystkich — jak powiadasz — chłopców w miejscach, tak bardzo nawet oddalonych od Suzy jak Argos?

— U wszystkich! wszystkich! Wystarczy żeby pięciu wiedziało, a zaraz się dowie pięćdziesięciu.

— A skąd owych pięciu wiedziało?

— A skąd wiedział Teofil? albo wie Dioneja?

— Dioneja sprowadzała sobie książki z daleka z Zachodu, bo chciała rozumieć wszystko w jakimś dokumencie rodzinnym, a tam była jakaś wzmianka o nieznanym jej bogu, który okazał się być bogiem żydowskim. Teofil zaś sam na Zachód jeździł — do Babilonii, a może i dalej.

— Więc i ci chłopcy właśnie też na Zachód jeździli. A raczej z Zachodu przybyli — tak jak ja.

— Inaczej niż ty. Kim byli ci chłopcy w Aleksandrii Proftazji?

— Synami drobnych urzędników.

— Przybyłych tam — skąd?

— Skądś z zachodu.

— Ale skąd z zachodu? Nie wiesz? Powiem ci. Gdy Antiochos oderwał Syrię Pustynną od Egiptu, nie bardzo ufął zapewnieniom tamtejszych greckich urzędników, że odtąd jemu wiernie będą służyli tak jak pierwaj Ptolemajosowi, więc też żeby tej świeżo rozpłomienionej w ich sercach wierności nie narażać na zbyt ciężkie próby, przerzucił ich jak najdalej od granicy swej z Egiptem, nowej czy starej, a to na najdalsze kresy wschodnie swego królestwa: do Arii, Drangiany, Gedrozji. Było to najoczywistsze wygnanie — urzędnicy z rodzinami tęsknili za dawnymi miejscami pobytu, a więc i za dawnymi czasami, z której to tęsknoty rodziła się nienawiść do wszystkich tych, którzy — inaczej niż oni — naprawdę woleli rządy Antiocha od egipskich — więc też i do Żydów. Po kilku latach do tych zesłańców dołączyli się inni: przez Seleukidów już mianowani urzędnicy w Syrii Pustynnej, ale którym się tam nie bardzo powiodło, więc też się na dalekich wschodnich kresach znaleźli. Ci mieli inny znowuż powód do wrogości względem Żydów, bo oto, jakem rzekł, po dziesięciu-piętnastu latach pod rządami Seleukidów Żydzi zaczęli wzdychać: dobrze jednak było pod Egiptem! Twoi prześladowcy więc w Aleksandrii Proftazji to łącznie byli synowie pierwszej i drugiej fali zesłańców; mogło ich tam naprawdę wiedzących, kim są Żydzi, być w samej rzeczy pięciu tylko. Dalej: przyszedł czas — tak dobrze przez ciebie zapamiętany — gdy Aria, Drangiana, Gedrozja wraz z dwiema czy trzema Aleksandriami wydarte zostały Seleukidom przez Eutydemidów. Urzędnicy, oczywiście, znowuż zapewnniają, że jak dotąd Seleukidom, tak odtąd Eutydemidom wiernie będą służyli, i znowuż Eutydemidzi, nie chcąc wierności tej na zbyt ciężką narażać próbę, przerzucają znaczną część spośród nich na najdalsze kresy wschodnie swojego z kolei królestwa, więc także i do Argos. Że nie spotkałeś wśród swych nowych tam prześladowców nikogo z dawnych? Ależ w Argos mogli się znaleźć urzędnicy, przesiedleni z Aleksandrii Aryjskiej, nie Proftazji, bo tych zesłano gdzie indziej!... A czyż, zresztą,

sam nie opowiadałeś, że właśnie w wyprawie chłopców z Argos dalej na wschód, w której sam wzięłeś udział, sporo było zesłańców, i nawet ciebie samego miał Demetrios za takiego na początku. Właśnie na początku, bo potem — zgaduję — miał ciebie za Żyda...

— A więc jednak i Demetrios wiedział, kim są Żydzi!

— Wiedział, bo dzieliła się z nim wszystkim, co ciekawszego w księgach wyczytała, przez lata i lata Dioneja. W tajemnicy przed całym swym otoczeniem, nawet przed długoletnim narzeczonym, a potem mężem, pisywała do niego dwa czy trzy razy do roku długie bardzo listy, na które on krótko bardzo raz do roku odpowiadał.

— Bardzo się na mnie gniewasz o to, Tajniaku nad Tajniakami? — rozległ się z bardzo bliska głos Dionei. Ale Heliodor już nie wiedział, czy naprawdę to z bliska głos, czy stamtąd, skąd go, dzięki przyrządowi, tak wyraźnie dochodziła rozmowa Mankurasa z Leptynesem.

— Patrzę na ciebie przez nieodmknięte drzwi — odpowiedziała.

— Niemożliwe. Bo skąd mogłabyś wiedzieć, co Ind w tej chwili do... do... do syna Orestesa powiedział?

— Stąd, że w przedsiönku naszym taki sam znajduje się przyrząd z rozgałęzieniem od tej samej w ścianie rury, przez którą ty słuchasz. Nie uwierzysz, ale Orestes wyposażył kasztel w trzydzieści osiem takich przyrządów! Skąd wiem, zapytasz? Wiedza ta to dar pożegnalny Agatoklei... Miałam się nią — tą wiedzą — wykazać przed moim przyszłym teściem...

— Do czego zdążasz? — zapytał niewidzialny Leptynes.

— Do czego zdążasz? — powtórzył bezmyślnie Heliodor.

— Do tego zdążam — odpowiedziała Dioneja — że na nic mi ta wiedza, bo nie wybieram się już więcej śladami Leptynesa aż do miejsca, gdzie bym mogła nią się przed Orestesem wykazać...

— Do tego zdążam — odpowiedział Ind Leptynesowi — że jeśli chcesz wszelkiej dalszej uniknąć ponieważ z powodu swego pochodzenia, byłby to wcale poważny powód, byś zmienił powzięte postanowienie udania się na Zachód. Nie jedyny — może nawet nie najważniejszy — tym niemniej ważny...

— Byłyby więc jakieś inne jeszcze powody? Chciałbym je poznać, bo ten, powiem ci szczerze, nie wydaje mi się dość przekonujący...

— Owszem, wydaje ci się, tylko myślisz sobie: „Zmądrzałem, i teraz — tam, na Zachodzie — będę ostrożniejszy”. Otóż mylisz się: nie będziesz, a raczej nic ci ta twoja, wzmożona rzekomo, ostrożność tam nie pomoże...

Heliodor dał ręką znak Dionei, by zamknęła drzwi.

— Zostając w przedsionku czy wchodząc do sypialni? — zapytała.

— Jest to tak samo twoja sypialnia, jak i moja — odpowiedział, nie patrząc na nią.

Weszła. Wskazał jej ręką, by przyłożyła ucho do nasady rury, przez którą sam słuchał.

— Tak cię to ciekawi? — zapytała, ziewając.

— Liczysz też — a znowuż dość nieprzezornie — że znalazzysy się raz pod opieką ojca...

Najwidoczniej Leptynes zrobić musiał albo jakiś grymas albo też gest zniecierpliwienia ręką — bo nagle Manekuras, zmieniając zupełnie ton z pouczającego na przyjazny a ciepły, powiedział:

— Masz słusność. Do takich, jak ty, którzy tyle przeszli, a tyle też władni są rozumieć, zupełnie inaczej trzeba przemawiać. Powiedz mi, jak myślisz, dlaczego tak nalegałem, byś jednak stanowczo zapoznał się z okolicznościami samobójstwa Teofila i to koniecznie w przekazie naocznego świadka?

— Ja wiem, dlaczego — szepnęła do męża Dioneja, jak gdyby w obawie, że tamci dwaj mogliby ją usłyszeć — Ind chce Żydziaka zawstydzić.

— Jesteś już pewna, że go nie kochasz? — takim samym szeptem, choć w pełni świadom, że to nonsens — zapytał Heliodor.

Zamiast odpowiedzieć wydeła wargi, jak gdyby dopraszając się nieśmiało pocałunku.

Udał, że nie zauważył. Gdy jednak szybko wargi cofnęła, zbliżył do jej ręki prawej swoją lewą tak że się dotknęły w przegubie.

— Zupełnie jak Teofil z Teodorą — szepnęła.

Przygarnął ją do siebie. Nie odsunęła się — nie dała mu się jednak zbyt blisko przyciągnąć.

— ...bardzo inni — przytakiwał widocznie jakiejs wypowiedzi Leptynesa Mankuras — już choćby dlatego, że Teofil to był czystej krwi Grek. Nie rób tego grymasu, proszę, nie rozumiemy się jednak oto, postrzegam, tak jakbym chciał, byśmy się rozumieli. Przez podkreślenie tej różnicy między wami wcale nie zamierzam ciebie poniżyć czy ci dokuczyć tylko chociażby. Stwierdzam jedynie inność między wami, nie jakąś wyższość jego nad tobą... Ale i ten też twój na odmianę uśmiech teraz jest całkowicie zbyteczny. Co ma oznaczać? Czy nie złośliwe zadowolenie z przyłapania Inda na tym, że musi się tłumaczyć przed pół-krwi Grekiem ze zwrotu, w którym można by podejrzewać zbytek uznania dla czystej greckiej krwi? Jeśli tak, Leptynesie, zadowolenie twoje powinno być jeszcze większe: rozmawiasz bowiem nie tylko z innoplemieńcem, ale i z mieszzańcem także. Siedź, siedź! Nie ma wcale powodów do aż tak wielkiego podniecenia, szczególnie że mieszzańcem jestem w zupełnie inny sposób, niż ty... Chyba że bralibyśmy pod uwagę także i takie różnice plemienne, które naprawdę się zatarły już dobrych kilkaset, albo i tysiąc lat temu. Zostało po nich tylko wspomnienie w postaci nazwy, ale nawet i dawną tę nazwę wypiera nowa. Wiesz, co to jest „warna”? wiesz, co to „dżati”? Skądżebyś wiedział? Jakżebym więc ci miał wytłumaczyć? Czekaj...

— A czy to jest aż takie konieczne, byś mi wytłumaczył?

— Wyobraź sobie, że konieczne. Zresztą, bądźże choć trochę sprawiedliwy. Tylem słuchał tego, coś ty mówił, czy nie zasłużyłem sobie na to, byś się mnie słuchaniem uważnym odwzajemnił? Wiem, wiem, powiesz: ciebie do mówienia zmusiłem, ty natomiast wcale podobnego nusu na mnie nie nakładasz. Otóż zdziwisz się, ale... nałożyłeś... Jak się to stało, powinieneś sam sobie wywnioskować z tego, co ci teraz będę mówił. Oczywiście, przygotuj się: czas jakiś nie będzie to o tobie mowa, wiem zaś, jak trudno ci skupić uwagę na czymkolwiek bądź, co nie ma bezpośredniego z osobą twoją związku. Przecież urocząście ci obiecuję, że za tak wielką ofiarę znacznie większa jeszcze czeka cię nagroda; potem znów już o tobie będziemy mówili i to wiele! Nie przecz mi, proszę, wiem, co chcesz rzec: że ludzie, tajemnicą wstydliwą czy bolesną obciążeni, raczej właśnie nie lubią, gdy o nich wiele się

mówi, ani też sami o sobie wiele mówić nie lubią. Tu się bardzo mylisz, pozwól jednak, że poprzestanę — na razie przynajmniej — na samym stwierdzeniu, w dowodzenie się nie wdając.

„Słuchaj więc: rzekłem, oto „Warna” i „Dźati”): Dla obu tych terminów ogromnie trudno byłoby znaleźć dokładny odpowiednik grecki, przynajmniej w granicach mojej znajomości języka twego ojca. Może najlepiej jeszcze nadałoby się tu słowo: stan, w sensie podziału społeczności na różne stany, jak kapłanów, wojowników, rzemieślników, rolników, ale musiałbyś, używając tego słowa, by jako tako dokładnie oddawało treść istotną, wyrażaną terminami „warna” i „dźati”, ani na chwilę nie zapominać, że w żadnej ze znanych ci społeczności istniejących czy to rzeczywiście, czy też jako pomysł tylko, nie znalazłbyś równie ostro zaznaczonego przedziału między stanami, jak ten, jaki istnieje w Indiach między osobami, do różnej przynależnymi „dźati”, czy też posługując się terminem ze znacznie odleglejszej pochodzącym przeszłości, do różnej barwy, bo też to jest znaczenie najdokładniejsze słowa „warna”. Może stosunek wzajemny stanów między sobą w „Rzeczypospolitej” Platona — istniejącej jako pomysł tylko, nigdy zaś i nigdzie jako rzeczywistość, najbardziej by się jeszcze zbliżał do obowiązującego w Indiach podziału na owe Barwy, ale zbliżając się, przecież się nie pokrywa; a przy tym pomysł ów Platona to niewątpliwie zapożyczenie — dość złagodzone i jeśli wolno się tak wyrazić, zgreczone i to zupełnie świadomie, przecież zapożyczenie, właśnie od nas, Indów. Jaką drogą, zapytasz? Wiele by można o tym mówić — zostawmy to na kiedy indziej, o ile wśród nas zostaniesz; o ile zaś nie, nie ma potrzeby, byś sobie obciążał dodatkowo umysł i pamięć wiedzą, która na Zachodzie na nic ci się nie przyda. Ta sama zaś troska, byś sobie teraz umysłu nie obciążał, sprawia, że nie będę się tu teraz wdawał w żadne szczegóły, dotyczące tego czym w życiu nas, Indów, jest ów podział na barwy, jaki jest jego wpływ na naszą umysłowość, na nasz stosunek do świata bogów, na sposób prowadzenia wojny czy na życie rodzinne. Powiem ci to natomiast, że nie wiem, zdziwił się czy nie zdziwił król Antiochos, gdy Orestes mu oświadczył, iż chce się na trwałe związać z Żydówką, chyba się zdziwił, ale zapew-

niam cię, że to jego zdziwienie czy inne, bezsprzecznie znacznie większe jeszcze, jakie by odczuł, gdyby Żydówka ta była niewolnicą, byłoby kroplą, z morzem porównaną — blaskiem świecy z pożarem wielkiego lasu — w zestawieniu z tym, co odczuć musiał członek najdostojniejszej Barwy, kapłan-mędrzec z dziadów pradziadów, Brahmana, jak to u nas się zowie, gdy się dowiedział, że córka jego postanowiła połączyć się też na trwałe z członkiem Barwy najpodlejszej, najbardziej wzgardzonej, takim, którego dotknąć choćby tylko nie godzi się członkom trzech Barw dostojnych. Taki zowie się „dasia” albo „siudra”, i choćby urzekał cały dwór królewski jako pieśniarz i muzyk, ba, samego króla czy Króla nad Królami, moneta, za pieśń nagroda, albo i cały worek złota ze skarbcza królewskiego nie może być podana mu z ręki do ręki, tylko z daleka rzucona, by chwycił. Ale znalazła się kobieta wśród tych, kogo sztuką swą urzekał, która — jakem wspomniał, do najdostojniejszej Barwy przynależąc, postanowiła z takim się połączyć i to właśnie na trwałe. Czy trwałość ta była czymś więcej niż tylko marzeniem, — nie umiem powiedzieć, bo nie za długo potem, jak się połączyli, znikli oboje, i nikt w krainie, skąd pochodzili, ani w kilku przylegających nie wiedział, co się z nimi stało. Zachodziło podejrzenie, że życiem przypłacili swój najniegodziwszy z niegodziwych — jak powszechnie mówiono — związek; zowie się taki związek „pratiłoma”, owoc jednak — jedyny — z tego związku, napiętnowany mianem obelżywym „Ajogawa”, miał powody wierzyć, że przynajmniej póki nie ukończył swego kształcenia się w szkole Trzynastu Sztuk, oboje żyli. Co to za powody, powiem ci, gdy oświadczysz, że wśród nas zostajesz. Oczywiście, domyśliłeś się już chyba, że owym owocem, o którym mowa, jestem ja...

— Trzynaście Sztuk! I jakże się tu dziwić, żeś wytropił moją tajemnicę! — przerwał Leptynes z podziwem, ale też i szyderczo zarazem.

— Jesteś w błędzie. Mało kto kształci się we wszystkich naraz. Osobiście w ogóle takiego nie spotkałem. Spośród trzynastu uczący się wybiera sobie kilka albo i jedną tylko. Nie wszystkie też dla wszystkich są dostępne, na przykład w sztuce, zowiącej się „Wajsika”, dziewczęta tylko się kształca.

— Cóż to za sztuka?

— Uwodzenia. Podobania się mężczyznom. Podniecania ich. Przywiązywania na czas dłuższy albo i na zawsze do jednego tylko łoża.

— Pamiętasz? — mruknęła o piętro wyżej Dioneja do Heliodora. — Jakiś mi przysłał tę... tę — jak się ona nazywała? co z łoża Antymacha poszła w węższe, twoje? Nawet nie wiedziałam, zem wykształcona w sztuce co się zowie „Wajsika”.

— A tyś co sobie wybrał? — zapytał Leptynes z zaciekawieniem, o którym trudno byłoby powiedzieć, że jest więcej niż umiarkowane.

— Nie ja sam sobie, ale dla mnie wybrano taką, co się zowie „Wadja” — muzyka, więc abym ojca naśladował, z większym przecież przygotowaniem. Ale na cóż się zda przygotowanie, gdy się ma bardzo mierne co najwyżej zdolności? Uczyłem się, bo tego się po mnie spodziewano, ale m chętnie od własnego do innego uciekał nauczyciela. Takiego, pod czym kierownictwem w owej szkole pozostawał przedmiot, któremu u nas daje się miano: „Paraczitta dźnianam”.

— Bardzo dziwaczne miano. A i wręcz nie do powtórzenia. Już stokroć łatwiejsza a i milej brzmiące jest „hunžen” czy też „ssu žen” skośnookich. Powtórzysz?

— Hundžen, Sudžen. Cóż to znaczy?

— Dwie odmiany rzezańców. A czy twoje „para... para... żnian” — to może coś podobnego? Bo, wiesz, słyszałem o tobie, że się nie zadajesz z kobietami... Może więc?...

— Paraczitta dźnianam — najbardziej po swojemu beznamiętnie odparł Mankuras — to przeszkolenie w sztuce czytania myśli.

— W czym? — krzyknęli naraz wszyscy troje: Leptynes na dole — Dioneja i Heliodor o piętro wyżej.

— W sztuce czytania myśli — powtórzył Mankuras z tą samą, co uprzednio, beznamiętnością. — Nie śmieję się. Ale też nie chciej mnie źle rozumieć. „Paraczitta dźnianam” nie daje mi mocy powiedzenia sobie zaraz po rzuceniu na ciebie pierwszy raz okiem: Leptynes jest synem Żydówki i myśli teraz nad tym, jak ma się obronić podchwytliwym pytaniem, co by na jaw wydobyły jego pochodzenie; dla celów zaś tej obrony zamyśla sobie to

a to a to... Nie, bo gdybym taką moc miał, cała twoja opowieść byłaby dla mnie zupełnie zbyteczna... Nauka natomiast, o której teraz mówię, daje co innego: możliwość kroczenia mniej więcej bezbłędnego tropem czyjejś myśli, stanowiącej reakcję tego kogoś na jakieś wydarzenie czy jakąś rozmowę. Na przykład Heliodor robi to a to, lub też to a to go spotka — otóż więc ktoś, kto się wyszkolił we wzmiankowanej sztuce, może przewidzieć, jakim torem będzie biegła myśl Heliodora przez godzinę, dwie, nawet trzy po owym wydarzeniu. Oczywiście, by przewidywanie takie było trafne, trzeba Heliodora dobrze poznać. Jeśli o to, co mnie dał chodzi — wcale znakomicie nauczyciel w sztuce tej się spisał; na czternaście prób takich z Heliodorem tylko trzy mi się nie udały. Za to wcale dobrze udała się jedna jedyna, jak dotąd przeprowadzona, próba podobna z tymże Heliodorem mojej na odmianę uczeni-

— To wtedy było, gdy Agatokleja tak niezaradnie naśladowała na odległość głos Teodory — mruknął Heliodor — czy do siebie, czy do Dionei, sam dobrze nie wiedział. Ale jeśli do żony, to niepotrzebnie; ze zdumieniem stwierdził nagle, że oparłszy głowę na jego ramieniu, Dioneja spała.

— Rzekłeś chwilę temu: „Gdybym taką moc miał, cała twoja opowieść byłaby dla mnie zupełnie zbyteczna”... Otóż wiem — dobrze wiem, że zbyteczna nie była, jedno przecież mnie zastanawia...

— Jesteś niepoprawny, Leptynesie. Znowu oto chcesz, bym o tobie mówił, nie o sobie. Dobrze — mówmy. Cóż więc tak cię zastanawia?

— Zapisaleś na tabliczce w pewnej chwili, że to a to myślisz o mnie, i że to właśnie jest wedle ciebie prawdą o mnie, aleś pewności nie miał tak długo, ażem opowieść swą skończył. Otóż, co ci tę ostateczną pewność dało? Myślę nad tym i myślę, a domysleć się nie władnym.

— Odpowiem ci, ale pod warunkiem, że mi przyrzekniesz, iż gdy z tym skończymy, nie będziemy o tobie więcej mówić tak długo, aż mnie się to spodoba. Zgoda?

— Zgoda.

— Przysięgniesz?

— Przysięgam... Na... na...

— Nie musisz kończyć, skoro wprawia cię to w zakłopotanie. Nie zapomnij o „Paraczitta dźnianam”. Ugoda jednak stanęła, więc słuchaj: jużem rzekł, iż zanimem ciebie poznał, moja wiedza o Żydach była właściwie żadna. Toteż długi czas tropiłem prawdę o tobie na dwu równocześnie torach, wcale nie świadom, że dwoistość owa to tylko złudzenie, wynikłe z mej niewiedzy. Jeden tor to była sprawa twej matki. Od początku uderzało mnie, że inaczej niż o Orestesie, o niej starasz się mówić jak najmniej, ale nie byt to trop, jakim bym się puścił całym wysiłkiem myśli, gdyby nie Heliodor czy raczej Dioneja. Bo jednak trzeba być Grekiem, by wyczuć — bez żadnych podstaw myślowych po temu — w kimś, kto twierdzi o sobie „Jam Grek”, mieszańca. Tak jak tylko Ind, a i to nie każdy może Ind, lecz Swatyjczyk, jak i ja, zdoła — spędziwszy ze mną trzecią część godziny — zadać sobie pytanie: „Czy ten osobnik to nie owoc niegodziwego przemieszania Barw?” Ja patrząc na ciebie, nie widzę żadnej właściwie różnicy, jeśli o typ plemienny chodzi, między tobą a Heliodorem, Agatoklesem czy Menandrem. Ale oni — Heliodor z żoną — wyczuli różnicę, i to jest ogromna ich zasługa w dziejach owego tropienia twej tożsamości. Oczywiście z wycucia bezbłędnego fałszywy wyciągali wniosek, że to matka twoja musiała być Greczynką, a nie ojciec, tu jednak przenikliwość Dionei dała się zawlec na manowce opętaniu Heliodora, że nie możesz być nikim innym, jak tylko masageckim szpiegiem, jako że wtargnąłeś pomiędzy nas w chwili, gdy on, Heliodor, znajdował się w mocy wspomnień o kobiecie, która uczuciowo w życiu jego znać miała tyle, co żadna inna, a którą, obowiązek służbowy wypełniając, posłał był na niezmiernie okrutną śmierć...

Heliodor ogromnie się cieszył, że Dioneja śpi; by się upewnić, jak mocny to sen, ostrożnie ogarnął jej głowę ramieniem. Nie obudziła się, nawet nie drgnęła.

Nagle sobie przypomniał, jak bardzo małą jeszcze będąc dziewczynką, zapytała go: „Po co właściwie istnieje noc?” Odpowiedział jej wówczas bez namysłu: „Ażebyś spała”. A ileż oto nocy ostatnio spędzali oboje bezsennie! On sam, zresztą, odsypiał się w dzień, ale ona od chwili, gdy wojnę mu wypowiedziała, mogła nawet trzech godzin ca-

łych dziennie snowi nie poświęcać przez trzy albo i cztery doby.

— Toteż, powiem ci szczerze — ciągnął o piętro niżej Mankuras — że gdyby matka twoja nie naznaczyła cię zgodnie ze zwyczajami swego plemienia, a wcale łatwo mogło to się zdarzyć, nigdy bym zapewne nie wytropił całej prawdy o tobie, w szczególności nie doszedłbym myślą do tego, żeś pół-Żydem. Aleś sam mię na drugi skierował tor. Uderzyło mię oto w tak młodym chłopcu takie obstawanie zawzięte — a wyraźnie na pokaz! — przy wrogości do ciała, jako hańbiącego więzienia duszy. Wziąłem cię najpierw za rzezańca, uporałeś się zwycięsko z tym moim domysłem, najpierw słownie, potem widomie, jakoż pierwsze spotkanie z Dioneją — pamiętasz? — tak cię podnieciło, że wystarczyło z bardzo nawet daleka i w półmroku okiem tylko rzucić na twoją nagość, by wszelkich wyzbyć się podejrzeń, iżbyś mógł być rzezańcem. Godząc się jednak obnażyć przy mnie — przy barbarzyńcy, jak byłeś łaskaw to określić — nie zaś przy żadnym Greku, dałeś mi wiele do myślenia — to była pierwsza twoja nieostrożność. Z drugiej jednak strony prawie równocześnie powiedziałeś coś, co kazało mi o tobie myśleć: „To jednak musi być Grek”. Pamiętasz ową swą gotowość — mimo całej swej wrogości do cielesności — przy świadkach najdobitniej dowieść, żeś rzezańcem nie jest — niech ci tylko przyprowadzą kobietę? Zaiste, młodzieńcze, tylko Grek — jak ich znam — mógłby tak się odnieść do takiego przeżycia! Potraktować z rzeczową prostotą na zimno zbliżenie cielesne z kobietą jako środek tylko — środek nawet już nie do zaspokojenia żądzy przelotnej, ale do wykazania słuszności bronionej przez siebie tezy... Byłeś więc dla mnie wówczas Grekiem, ale takim, który — inaczej niż na ogół Grecy — wzdraga się przed obnażeniem; uzasadnienie zaś owego wzdragania się powoływaniem się na Platona wciąż mnie nie przekonywało, bo i u Platona wszak wiele znajdziesz typowo greckich zachwytywów dla piękna ciała, a szczególnie dla pielęgnowania go poprzez szkolenie i ćwiczenia, obnażania się wymagające... Na owo twe wzdraganie się zwróciłem kiedyś uwagę Agatoklesa, który zresztą tak jak i siostra i stryj, jednego tylko był ciekaw: czyś naprawdę synem Orestesa? Kim była

twoja matka, nic to nikogo z Eutydemidów nie zajmuje, nie obchodzi... Gdybyś był synem niewolnicy, zbrodniarki, zdrajczyni, ani o odrobinę nie byłiby mniej dla ciebie życzliwi, niż teraz są, zapewnieni przeze mnie, a zresztą i przez twą opowieść przekonani, żeś w samej rzeczy synem rzeźbiarza i mechanika, dla którego tyle żywią czci i podziwu — i to jeszcze nawet wówczas, gdy rzucił im w twarz „Nie będę służył”... lecz z Agatoklesem był wówczas Teofil, i on to wysłuchawszy mnie, rzucił: „Ten chłopak musi jednak być rzezańcem, bo tylko rzezańcy i Żydzi tak wzdragają się przed obnażeniem. Masageci jednak czy inni północny barbarzyńcy żydowskiego boga na pewno nie czczą, nic w ogóle o nim nie wiedzą”... Uwaga ta mnie uderzyła bardzo, zacząłem go wypytywać o Żydów... Potem znów z Dioneją miałem rozmowę — o twym ojcu właściwie, nie o tobie, i właśnie o tym jak go wielbią Eutydemidzi, mimo, że jakem rzekł już chwilę temu — wprost w twarz im rzucił „Nie będę służył”... Do czego Dioneja nagle dodała: — ...tak zupełnie, jak najwspanialsze stworzenie pewnego odpychającego raczej bóstwa... Po czym dodała: „Ale też bóg ten, po buncie owego najlepszego swego tworu, sprytnie się zabezpieczył by w ślad tamtego wszystko, co żywego a myślącego stworzył, nie poszło”... Pytam: jak mianowicie? Więc mi zaczęła tłumaczyć: oto związał z sobą szczególnym węzłem bandę zbuntowanych robotników z kopalń egipskich — wniósł w nich, że będą kiedyś panami byłych swych panów, a może i świata całego; żeby zaś nadzieję na takie panowanie podtrzymywać w nich z pokolenia na pokolenie, takie wybrał na ciele ich miejsce dla owego znaku przymierza między sobą a nimi, by ośmieszenie, upokorzenie spotykało ich w chwilach, gdy rozkoszy szukają — nikt bowiem tak zachłannie nie pragnie mocy panowania, jak ci, których tam gdzie rozkoszy wypatrywali, wyszydzenie spotkało.

Te dwie rozmowy — wyjaśniał dalej Mankuras — pozwoliły mu wyzwolić się ze złudzenia, że nie ma łączności między wyczuciem Greków, iż Leptynes jest mieszańcem, a jego odrazą do obnażania się... Dwa tory pościgu za prawdą złąły się w jeden, ale daleko jeszcze było Mankurasowi do prawdy: jeśli bowiem — rozumował — podstępny jest Żydem, nie może być synem Orestesa. Wiele

jednak przemawia za tym, że jest nim. Już pierwsza noc opowieści wszelkie co do tego rozwiała wątpliwości; to jednak tylko pogłębiło sprzeczność: zarazem Żyd i syn Orestesa — czy to jednak możliwe? Teofil nie uważał tego za możliwe, więc rozumował tak: podsądny był w Sardach, widział Rzymian, potem wędrował dużo po krajach, władzy Seleukidów podwładnych — znał Orestesa, dużo o nim wiedział, bardzo nawet dużo, synem jednak jego nie jest — jest Żydem. Proponował też najprostsze — jak mówił zakończenie całej sprawy: obnażyć tego Żyda przemocą — wykazać mu, że się wie, co dziwaczny znak na jego ciele znaczy; wówczas załamanie się i całą prawdę o sobie wyzna. Agatokles jednak, przez Mankurasa wspierany, sprzeciwił się, więc Teofil zaczął wciągać Leptynesa w rozmowy o istocie boskości, twierdząc, że osobliwość pojęć żydowskich w tej dziedzinie szybko właśnie w takiej rozmowie będzie musiała wyjść na jaw, a gdy wyjdzie, znowuż łatwo będzie podsądnego do załamania się doprowadzić. W czasie przecież trwania takich podchwytliwych rozmów Mankuras umacniał się tylko w przeświadczeniu, że to jednak jest, musi być syn Orestesa. Pozostawało więc jedyne rozwiązanie: syn to Orestesa z Żydówki. Wciąż jednak jeszcze wydawało się to niepodobieństwem, aż dopiero sprawa sprzymierzeńców, jakich w Suzie spodziewał się Antiochos zdobyć przeciw czcicielom Bala przy pomocy Orestesa, który pierwiej w Jerozolimie pozyskał był dlań Żydów — wszelkie rozwiała Mankurasa wątpliwości. Cały zaś już dalszy ciąg opowieści był tylko potwierdzeniem jego domysłu, potrzebował jednak dowodu, nieodwołalnie przeistaczającego domysł w prawdę i Leptynes taki dowód wreszcie mu dał. Wówczas, gdy powiedział coś, co na oczywistą niemożliwość zakrawało: to, iż małżonka władcy Hunów — jemu, właśnie jemu — wyznała, że nie jest wcale córką Króla Królów Państwa Podniebnego. Leptynes to jej wyznanie tłumaczył miłością; Dioneja przecież słusznie wywiodła, że ową jej miłość do siebie w siebie wmówił tylko, by zatrzeć wspomnienie okoliczności upokarzających, w jakich dał jej się poznać. Sam przy tym zaznaczył, że ona ponad wszystko inne stawiała obowiązek swój względem ojczyzny i dynastii. Jakże więc mogła mu powierzyć swą wielką tajemnicę? Mógł ją lubić bardzo czy nawet kochać, ale czy dawało jej to bezwa-

runkową rękojmię, że się w żadnych okolicznościach z tajemnicą, jaką by mu zwierzyła, nie zdradzi? Nie, więc tylko jedno ją mogło skłonić do posunięcia się w zwierzeniach aż tak daleko: oto nastąpiła między nimi wymiana tajemnic. Przyznaje to Leptynes? Jeśli tak, czy i temu też nie zaprzecza, że do wymiany tej doszło w wyniku marzeń o współdziałaniu Greków i skośnookich, mającym na celu zmiażdżenie koczowników przez napór dwustronny pola uprawnego na step? Bo też ona — Juan rzekoma — poważnie brała te marzenia, może nawet poważniej niż Leptynes, o tyle przynajmniej, że on, dawszy się temu marzeniu ogarnąć i porwać, nagle uprzytomnił sobie: jakżeby poszli za nim, mieszkańcem, na dzieło takie Grecy? Niechby raz wodza takiego ujrzeli nago, najmniejsze co by mu wtedy zagroziło, byłoby wyszydzenie — i jego samego, i całego też pomysłu. Chyba że rezygnując z marzeń o wodzostwie, złożyłby swój pomysł w darze bezinteresownym komuś takiemu, kto naprawdę byłby władny Greków zewsząd, gdzie są, porwać za sobą przeciw mocy ogromnej świata koczowników. Ale że jak słusznie mówiła Dioneja, ci najbardziej chcą panować czy przewodzić, których szczególnie dotkliwie upokarzano, nie sądzi Mankuras, by Leptynes skłonny był czy zdolny mile widzieć napór zwycięski pola na step, gdyby naporowi temu ktoś inny od greckiej strony miał przewodzić, nie on. Rzekoma Juan zaś o tyle tej jego tęsknocie do wodzostwa przytakiwała, że porwana pomysłem współdziałania przede wszystkim między polem Zachodu i Wschodu, uważała za niezmiernie użyteczne, aby sprzymierzeńcom zachodnim Państwa Podniebnego przewodził ktoś, o kim mogłaby — gdy wybije godzina dwustronnego naporu — powiedzieć uspakajająco narodowi swemu i jego władcom: „Ja go dobrze znam”. A nawet dodać — nie bez błysków uśmiechu, czulego, a zarazem i trochę lekceważącego, w skośnych oczach: „Umiem też nim w razie potrzeby kierować. Więc gdy ugnie się step, nie będzie obawy, że pole, z Zachodu napierające, zetknie się z naszym bliżej naszych granic, niżby to było nam miłe”. Więc gdy usłyszała jego narzekania i westchnienia, że nic jednak z tych wielkich dumnych planów nie wyjdzie, jęła dochodzić, skąd się w nim bierze ten nagły upadek ducha. I to natarczywie dochodzić, bo czuła się nagle też zawiedziona, więc musiała być zapew-

ne też nie byle jak zgorszona, urażona, rozdrażniona, dochodząc.

— Jeszcze jak! — powiedział Leptynes tonem, ujawniającym nawet na znaczną odległość, że towarzyszy mu westchnienie: — Ale też miała wyjątkowo zły dzień. Oto z jej ojczyzny nadjeżdżała inna znów żona dla jej małżonka — i to podobno rzeczywista już królowna, nie pozorna tylko. A przy tym szczególnie dał się jej tego dnia we znaki stary Lu Wan... Głównie pod wieczór, gdy Motun, mąż jej, z wielmożami — wodzami oddziałów dziesięcioletnich, które oni „tiumenami” zowią — zamknął się w namiocie królewskim, by pić na umór — chyba kobyle mleko raczej z dodatkiem jakiejś ognistej wody jęczmiennej czy jałowcowej niż wino, choćby i z ryżu nawet tylko, przez skośnookich przyrządzane. I to pić — jak mówił — bez bab i bez przybłędów...

Nad stepem wschodził księżyc w nowiu — w nozdrza ostro uderzał gorzki, a przecież miły zapach piołunu. W tyle za obozowiskiem czerniał las, któremu — powiadano — kresu nie ma, chyba gdzieś daleko daleko — gdzie nikt nigdy nie był, a skąd poprzez las cały najgroźniejsze dla policzków, nosów i uszu przedzierają się mroźne północne wichry. W poszum wielkich drzew raz po raz wplatały się dziwne krzyki, jak gdyby dziecięce, ale biada temu kto by nieopatrznie w las się zapuściwszy, takie dziecko tam spotkał: skoczy nań, wpije się w szyję i nie popuści aż całą z ciała wysie krew. Myśliwcy co prawda, do obozowiska z daniną przychodząc, zwykli byli naśmiewać się z gadek o takich strasznych dzieciach; o dziwnych krzykach mówili: to sowy walczą z sobolami...

I właśnie po jednym z takich krzyków Lu Wan, potrząsając rzadką białą brodą, mruknął:

— Tyś dokładnie tak samo krzyczała, gdyś z rydwanu w ucieczce wypadła.

Na to rzekoma Juan, opryskliwie:

— A ty skąd wiesz? Nie byłeś tam wtedy.

Uśmiechnął się szyderczo bezzębnymi prawie ustami.

— Jak bym był — wymamrotał — nie spadłaby może taka klęska a taka hańba. Che... che... rozgościł Liu Ci w Pen Czengu, łatwo niby zdobytym... Świętuje zwycięskie wojsko... Aż tu nagle — właśnie tak zapewne jak sowa na sobola — spada Siang Ju... Rzeź była — powia-

dają — taka, że przez rzekę po trupach szło się jak przez pole nogą, jeśli mokrą, to od krwi, nie od wody... Ależ i wiał zwycięzca niedawny! Omalże ciebie z bratem do rydwanu wziąć nie zapomniał...

— Bzdura! — krzyknęła — nas odszukał na wielkiej drodze dopiero aż za Phei...

— Dopiero tam? I tam też was gubił, uciekając?

— Raz zgubił. Cóż chcesz? W takim pędzie koni rydwan wciąż na boki się przechyla, więc wypadliśmy...

— Trzy razy, nie raz. I trzy razy Fan Khuai z wozu wyskakiwał, by was pozbierać...

— To nie był Fan Khuai. To był Siao-hou-Jing.

— Jesteś pewna?

— Pewna. Najzupełniej.

— Jak możesz pamiętać?

— Pamiętam.

— Wspaniałą masz pamięć. Ale mnie się wciąż zdaje, że to był Fan Khuai...

— Zdaje ci się tak, bo gdyś zdradzić zamyślił mego Niebiańskiego Rodzica, któremuś wszystko, ale to wszystko, czym byłeś, zawdzięczał, Fan Khuai to właśnie z łóżka ciebie wyciągał, gdyś wezwany do Czhang-an chorego ze strachu udawał...

— Kto by nie udawał, znając starą Lu — twą, jak powiadasz, matkę... Ale to nie był wtedy Fan Khuai, tylko Szen Ji ci...

— Szen Ji ci — krzyknęła — przedtem został do ciebie posłany. Żeby zbadać, ile prawdy w pogłoskach, że chcesz się zbuntować. A gdy stwierdził, że wiele w nich prawdy, dopiero wówczas Niebiański mój Rodzic nakazał, by Fan Khuai ciebie do stolicy ściągnął...

„I tak było do późnej nocy. Lu Wan usiłował ją przyłapać na jakimś kłamstwie lub na tym, że kłamstwu, które sam powie, nie znając prawdy, przytaknie; ona zaś mu się stale wymykała. Tak bywało, zresztą, dzień w dzień, miesiącami. Nie dawała się staremu, ale ciągnęła konieczność wysilania czujności wyczerpywała ją. Dawniej zresztą po takich bojach słownych kończyli zwykle dzień rozejmem jak gdyby, nucąc zgodnie a jakimiś dziwnymi nie do opisanania tonami:

— Wysoka jest góra Wu, wysoka i wielka.

Głęboka jest rzeka Huaj i trudno do niej dojść.

„Ja chcę wrócić na wschód...”

„Ale owego wieczoru nie śpiewali razem. Musieli się doprowadzić wzajem do gniewu takiego, co noże wkłada do ręki. Ale że na nóż żadne z nich sobie o kilka kroków od Motuna, choćby i pijanego, pozwolić nie mogło, gniew swój odbijali — Lu Wan na rzadkiej swej brodzie, ona na mnie. Do łez mnie doprowadziła. I do zwierzeń...”

Zwierzeń tych Leptynesa, choć dotyczyły spraw tak zupełnie jej obcych, słuchała z wielką uwagą i wyraźnie rozumiejąc, o co mu chodzi. Bo oto gdy skończył, powiedziała:

— Poniekąd masz słuszość. Oni ciebie na wodza nie zechcą. Ale musisz nim być dla własnego ich dobra. Więc obowiązkiem twym względem swoich winno być: okłamywać ich. Nie mówić, kim była twoja matka. Nie zdradzać się ze znakiem na ciele, który ciebie od nich różni. Twierdzić zawsze — uporczywie, zawzięcie, przy tym czujnie: — Jestem taki, jak wy.

Gdy zaś wybuchnął, że to niegodziwość byłaby podawać się całe życie za kogoś, kim się nie jest, sucho, ostro a przy tym wzdorliwie odparła: to nie musi trwać całe życie. Wystarczy, by kłamał tylko do czasu, aż wielkie dzieło zostanie dokonane.

— Dobrze ci tak mówić — zawołał w przystępie najwyższej rozpacz — ale gdybyś sama miała tak zwodzić, długo byś nie wytrzymała. Załamałabyś się, oszalałabyś lub zabiła siebie.

— Mylisz się. Wytrzymuję. I to długo już — nawet sobie nie wyobrażasz, jak długo. A jak widzisz, żyję, i rozumu się też nie wyzbyłam.

Po czym zwierzyła mu się ze swej tajemnicy.

Był oszołomiony — długo nie mógł przyjść do siebie. Ale gdy wreszcie w stanie był znów jasno myśleć, powiedział:

— To nie jest to samo. Obcych zwodzisz, mnie zaś każesz, bym swoich okłamywał.

— Swoich? Za swojego nie będą ciebie mieli, prawdę znając.

— Ale ja ich za swoich mam. Czuję się jednym z nich — takim, jak oni. Czy to nie wystarcza, bym się wzdragał ich okłamywać?

— Nie wystarczy. Jeśli czujesz się jednym z nich, jeśli masz ich za swoich, najważniejsze dla ciebie winno być ich dobro. A że dobrem takim będzie zmiażdzenie koczowników, wszystko temu powinieneś podporządkować celowi. Powiedziałeś: moje kłamstwo nie jest tak niegodziwe, jak byłoby twoje, bo obcych tylko zwodzę. Ale też i dzieło, jakimu teraz służę, nie jest tak wielkie jak to, do którego tyś tych swoich zamierzał wezwać i porwać. Ja — jak dotąd — bronię tylko naszego pola przed wtargnięciem stepu. Ty natomiast chcesz step podbić. A im większe cele, tym mniej powinno być wahania przy doborze środków. Jasne?

Odpowiedział: jasne. I zgodnie z tą odpowiedzią postanowił sobie postępować. Z tym przecież, że nie okłamywać zamierzał, tylko nie mówić całej prawdy. Ledwie jednak znalazł się wśród tych swoich, prawdę wydobyto na jaw. I to obcy ją wydobył, żaden ze swoich — Ind, a nie żaden Grek. Oczywiście, zakłada się tu, na pokładzie „Zgody Narodów”, że cokolwiek ten Ind robi, to dla Greków dobra...

— Także i dla Greków dobra — poprawił go Man-kuras.

Leptynes jednak, nic sobie z poprawki nie robiąc, ciągnął:

— Skąd jednak aż taką można czerpać pewność, że naprawdę Grecy dobrze wychodzą czy będą wychodzili na tym, iż się tak znakomicie — niby w służbie ich czy też współdziałając z nim — spisujesz? Bo oto zastanówmy się głębiej choćby nad tym moim teraz wypadkiem. Postanowiłem iść przez życie tak, by Grecy mieli mnie za takiego dokładnie, jacy sami są, ale ty oto wiesz, że pół-Grekiem tylko. Powiadasz, że tym, co o mnie wiesz, z nikim się nie zamierzasz dzielić? Dzięki, ale czemuż miałbym koniecznie ufać temu, iż powiadając tak, nie zwodzisz mnie? Czemuż, zresztą, w ogóle miałbym ci ufać, ja czy ktokolwiekby tutaj? Otom chciał coś o sobie zataić, a tyś to wykrył, ale przecież może i ty sam zatajasz coś, co nadawałoby się do wykrycia, a wykryte, pokażałoby cię zupełnie innym, niż taki ty, za jakiego się podajesz? Powiem ci szczerze, o co cię teraz podejrzewam: owszem, nie będziesz się z nikim dzielił wydartą mi tajem-

nicą, ale do czasu tylko. Czas zaś ten wtedy nadejdzie, gdy uda mi się, ukrywając to, zemnie Grek czysty, porwać Greków do wielkiego czynu, o którym tyle już — właśnie teraz — mówiliśmy. Bo czyn ten Greków dobrze ma na celu, a ciebie przecież dobro Greków wcale może nie obchodzić, przeciwnie, możesz źle im wręcz życzyć, i to właśnie byłaby owa twoja na odmianę tajemnica do wykrycia. Słuchasz im, umiałeś się stać dla nich użyteczny, może nawet niezbędny; ale że my, Grecy — takich też, jak ja, mieszańców włączając — nie mamy zwyczaju kształcenia się w szkole czytania myśli, jak możemy wiedzieć, że w dobrej wierze dynastii greckiej, a tym samym i w ogóle Grekom, służysz?... A możeś nie zwykłym wcale sprzedawczykiem, tylko kimś, kto po to Eutydemidom służy i to tak znakomicie, aby zdobywszy bezwzględne dynastii zaufanie, wykorzystał je dla działania, co by utrudniało albo i wręcz uniemożliwiałoby wykonanie takiego czy innego wielkiego czynu, co dobro Greków ma na celu? Może gdybym miał za sobą przeszkolenie w sztuce czytania myśli, stwierdziłbym teraz, żeś sobie postanowił skrycie: „Ponieważ nie chcę, by pole greckie w przymierzu z polem skońców pokonało step, przeczekać cierpliwie, aż Leptynes porwie Greków do tego czynu; gdy zaś zapal, przezeń wykrzesany, szczytu osiągnie, zgaszę go bez trudu, rzucając Grekom: „Wy takiemu chcecie dać się prowadzić? takiemu?!”

— Jesteś bardzo wnikliwy, Leptynesie, zdumiewająco dojrzały masz umysł jak na swoje lata, ciekawym, czy dojrzałość ta wynikiem jest przemieszania się w tobie dwu różnych krwi, więc też i dwu sposobów różnego myślenia? Owszem, zrobię tak, jakieś chwilę temu przewidział, nie wówczas jednak, gdy — jak powiadasz — porwiesz greckie pole przeciw stepowi, bo cóż bym mógł mieć przeciw miastom i osadom i drogom i świątyniom i teatrom i prawom, rozpościerającym się wszędzie tam, gdzie dziś hasają lub stada pędzą krocie i krocie koczowników, nierozsądnie niszczących na swej i owiec swych drodze wszystko co żywego a sobie niepodwładnego napotkają: człowiek to będzie czy trawa?! Owszem, wykonanie twego wielkiego — jak to nazywasz — dzieła wytyczyłoby tylko nowe szlaki dla tych, którzy sami łaski oświecenia dostąpiwszy, własne opóźniać gotowi wyzwolenie, oświeconym

i dostępne i należne, aby pierwiej innym drogi, ku oświecenia wiodące, wskazać...

— O czym ty mówisz teraz? Wyzwolenie — z czego? Oświecenie — przez co?

— Wyzwolenie z nędzy istnienia, rodzącej się z brania złudzeń za rzeczywistość. Oświecenie przez naukę i przykład Najdoskonalej Oświeconego i Najdoskonalej też Wyzwolonego, za które to terminy nam starcza jedno wielkie słowo: Budda...

— Obyż Agatokleja — mruknął o piętro wyżej Heliodor — była takim sobkiem iżby nie opóźniała swego własnego wyzwolenia poprzez gotowość oświecania innych własnym przykładem — przykładem Piątego Buddy, Maitrei...

— Nie wiedziałam, żeś zdolny aż tak być złośliwym — szepnęła Dioneja, obudzona już znów, czego aż dotąd nie spostrzegł wcale. — Ale muszę przyznać, żeś dowcipnie złośliwy...

— Budda, Budda! — jak gdyby znów czymś niepokoił się bardzo o piętro niżej Leptynes: — Czy to jakiś bóg indyjski?

— Jako syn — odparł Mankuras głosem, pozwalającym domyślać się równoczesnego uśmiechu pobłażliwego — twórcy doskonałych bóstw w marmurze i metalu, a i w czymś więcej jeszcze, choć i mniej już doskonałych, niewątpliwie należysz do tych, jakim najtrudniej byłoby pozbyć się złudzenia o niepodwładności bogów prawom, które rządzą całokształtem potoku bytu. W twoim zaś poszczególnym wypadku trudność tę to jeszcze ustokratnia, że z drugiej strony jesteś synem córki narodu, który chyba byłby ostatnim z wszystkich, ile ich jest, zdolnym zrozumieć, że to stopnia tylko różnica, nie zaś jakościowa, zachodzi między bogami a resztą istot żyjących, potrzebujących wyzwolenia z nędzy istnienia, choćby nawet przybranej w złudność takich uroków i mocy, jak niebiańskie... Więc skoro tak wyjątkowo trudny z ciebie wypadek, chcesz mówić o Buddzie, że to bóg? Mów! On dawno już jest poza wszelkimi określeniami — za życia ziemskiego jeszcze poza nie się wy dostał... Nawet, zresztą, może — znowuż w twoim przypadku — dobrze się dzieje,

żeś go bogiem nazwał. Pamiętasz, jakieś chciałeś a bałeś się — inaczej niż Teofil — odebrać sobie życie w noc pełni księżycowej nad wielkim jeziorem? Pamiętasz, jakieś marzył wtedy, by jakieś bóstwo dało ci moc chodzenia po odbitym w wodzie jeziora blasku księżycowym? Od cudu tego spodziewałeś się, iż na twarze padną przed tobą przesładowcy twoi... Otóż wiedz: kto gotów jest iść ośmioma drogami, przez Doskonale Oświeconego wytkniętymi, nawet i takiego cudu łaski może dostąpić... Jak będziesz w Indiach, a poznasz naszą mowę, sam będziesz mógł przeczytać opowieść o tych, co się u nas „Dżatakas” zowią, o takim, co właśnie tej łaski dostąpił — Sariputra się zwał... Oczywiście politowania — jeśli nawet i nie śmiechu — godne jest o taką łaskę ubieganie się, ale jeśli dziecko, które dobrze się uczy, zapragnie kiedyś ruchu w powietrzu, kto mu odmówi huśtawki?!...

— Nigdy nie będę w Indiach.

— Toż samo mawiał przez długie, długie lata Heliodor, ale oto Król Wielki wzywa go do swego boku, i pojedzie, chyba że zdoła mnie przekonać, iż gdzie indziej byłby tak dla dynastii przydatny, jak nikt inny. Oczywiście, przydatny nie jako tajniak; pokąd bowiem...

— Będziesz tak jak nikt, przydatny w Argos — zaczęła gorączkowo szeptać Dioneja — nawiądziesz łączność z moim bratem, pomożesz mu w wykonaniu jego na odmiannę wielkiego dzieła...

— Cicho — zamknął jej usta szeptem i ręką. Rękę ucałowała.

— „...przedwczesnego odejścia króla Eutydemosa spośród żyjących, nie może Heliodor ani w służbie bezpieczeństwa ani w stolicy czy w jej pobliżu pozostawać.

Heliodor łatwo się domyślił, że Dioneja odwróciła jego uwagę od słów „nie zostanie wyjaśniona tajemnica”...

— Heliodor — odparł wzgardliwie Leptynes — mógłby, gdyby chciał, tak jak mój ojciec, rzec „Nie będę służył” i odejść na Zachód.

— Mądrze mówisz — przytaknął Ind — ale Heliodor nie zechce. Dławi go silne poczucie winy, iż posłał był

na śmierć kobietę-szpiega, której naprawdę za winną nigdy nie miał, bo nie tyle rozumował co odczuwał: nie są winni temu Masageci czy Chorazmijczycy, że do żywej Sogdii i Baktirii się wdierają, skoro żyć chcą, a na swych pastwiskach już żyć nie mogą, bo im się kurczą, z braku deszczów ze stepu w pustynię się przeobrażając. Równie dobrze — znowuż odczucie mu to naszeptywało, nie rozumowanie — nas Greków winnymi zwać należy, iżeszmy — na ziemi kamienistej, mało wydajnej praojców żyć już wszyscy nie mogą — tu, do serca Azji, za Aleksandrem się wdarli... Ale że jako Grek, nie miał odwagi takiego odczucia w rozumowanie przekuć, wmawia w siebie wciąż i wciąż „Była winna, była winna”... Jeśli jednak tak właśnie — wbrew odczuciu — rozumuje, co miałby zrobić z dławiącym go poczuciem winy, żeby nie oszaleć? Oto znaleźć dla poczucia tego inny powód. Znalazł i cieszy się, choć udaje sam przed sobą że cierpi z tego właśnie powodu; żeby zaś mógł to udawać, nie może wrócić na Zachód. Wiesz, czym jest synem? Nie wiesz? Nie musisz zresztą wiedzieć — tak długo przynajmniej aż się dowiem, że Heliodor przed kimkolwiekby się zdradził ze swą wiedzą o tym, kim była twoja matka i jak ciebie cieleśnie naznaczyła... To samo, zresztą, Dionei dotyczy: nie musisz wiedzieć, czemu tobie — właśnie tobie — chciała się oddać; dowiesz się — a i nie tylko ty sam — jeśli wyjdzie poza nas czworo to, co między tobą a nią zaszło, i dlaczego zaszło...

— Chciała mi się oddać, bo... bo... przypominałem jej mojego ojca... Albo też: nienawidziła Mitroanii, za to że ojciec tak ją kochał, więc chciała być dobra dla mnie, którego Mitroania tak skrzywdziła, powodując moje odejście z domu...

— A może Dioneja mniema, że Mitroania dla innego zupełnie powodu z domu ciebie wygnała? Czy naprawdę dobrze pamiętasz, co ci mówiła tutaj tak niedawno temu, zanim cię do obnażenia się skłoniła?

— Nie, dobrze natomiast pamiętam, jakiej jeszcze mniej dawno temu groził mi, że w pewnych przeciw okolicznościach sam ujawnisz moją tajemnicę, przed której ujawnianiem tak wymownie a z pogrózkami przestrzegasz Heliodora i Dioneję. Czy to Najdoskonalej Oświecony tak poucza — i to może własnym przykładem — tych, którzy

kroczą drogą, przezeń wytyczoną, by naśladowali Iwa, który szlachetnie grzmiącym rykiem obrońcy słabych odpędza pantery od jelenia, którego mięso sam sobie oblubował?

— Ale kto ci, Leptynesie, powiedział, że ja kroczę którąś z dróg, przez Najdoskonalej Oświeconego wytkniętych? Albo raczej, że jeszcze nią kroczę?

— Więc kiedyś jednak kroczyłeś?

— Po ukończeniu szkoły czytania myśli. Przeszedłem wtedy do innej szkoły przy wielkim domu, gdzie zbiorowo mieszkają — odcięci od złudzeń świata — ci i te, co większą już część dróg, przez Najdoskonalej Oświeconego wytkniętych, mają za sobą. Takie zbiorowe domy to bractwa kobiet i mężczyzn w żółtych szatach, dla domów takich jednak nie znajduję w mowie twego ojca odpowiednika słownego. Tam — w domu tym — byłem szczęśliwy: tam dla nikogo nie robiło różnicy, że moim ojcem był „siudra”, członek najpodlejszej Barwy... Tam słowo Aryjczyk nie oznaczało przynależności do Barwy szczególnie dostojnej, tylko posunięcie się daleko już na drogach ku Wyzwoleniu, wytkniętych przez Najdoskonalej Oświeconego... Tam i ja także do wielkiego przysposabiałem się dzieła: nieść między was, Greków, a chyba i między Żydów też, gdybym wiedział o ich istnieniu, Oświecenie. Nie byłbym pierwszy, co niósłby je między Greków, byli tacy już za Króla Wielkiego Asoki lat temu osiemdziesiąt. Mało jednak zdziałali; marzyłem więc, że więcej zdziałam... jak ty o tym, że Greków, ze skośnookimi współdziałając, porwiesz przeciw stepowi...

„Ale w domu takim zbiorowym, co miejscem wygodnym jest postoju na drodze ku Wyzwoleniu, taki też pannawał przepis: dla mieszkańców jego przynależność do takiej czy innej Barwy znaczenia nie ma, ale jeśli władze wkroczą z nakazem przestrzegania prawa o przedziale między Barwami, wszyscy zaś bracia i siostry w żółtych szatach zgodnie nakazowi takiemu się nie oprą — Siudra czy też mieszaniec, krew w sobie Barwy najpodlejszej mający, musi — by bezpieczeństwu i spokojowi reszty braci i sióstr nie zagrażał — dom taki opuścić... Długie, długie lat dziesiątki nie wkraczały z takim nakazem władze, właśnie od czasów Króla Asoki, po którym zresztą wszyscy Mauriowie, kolejni jego następcy, od Sampratiego po Bry-

hadratę, czcząc Najdoskonalej Oświeconego, termin Aryjczyk woleli rozumieć tak jak Oświeceni, nie jak praojcowie. Ale gdy Brahman Puszjamitra Siunga zamordował Bryhadratę, gdy miejsce Mauriów Siungowie właśnie, jako Królowie Królów, zajęli — władze wkroczyły, i ja dom, gdzie tak był szczęśliwy, opuściłem. Poszedłem przed siebie, żadnej nie szukając drogi, bom żadnej przed sobą nie miał. Znalazłem się po kilku dniach wędrówki bez celu wśród wielkich skał i tam rozmyślałem w skupieniu najdoskonalej wytężonym. I trzeciego dnia rozmyślań doznałem olśnienia: oto Najdoskonalej Oświecony przyniósł Wyzwolenie ze złudzeń nędzy istnienia, ale czy naprawdę przyniósł? Bo przecież także i to co za Wyzwolenie miał, może być tylko złudzeniem! Olśnienia owego doznawszy, postanowiłem — dokładnie tak jak Teofil — o własnej mocy z nędzy istnienia się wyzwolić. Jako Ind przecież, choć i pół krwi Siudra, nie zaś Grek, nie obmyśliłem sobie śmierci lekkiej ani ładnej, postanowiłem zagłodzić się, dalej rozmyślając. Wnet jednak opadły mię strachy, a nuż to prawda, że po śmierci znów będę istniał, w inne wcielony ciało — w żmiję na przykład zmuszoną z przyrodzenia swego wstrzykiwać jad straszliwy w pięty łudzających się, że są szczęśliwi, albo w bóstwo jakieś, krwawych ofiar wymagające. Nie masz pojęcia, jak się zadreślałem. Pragnąłem śmierci, a bałem się jej jak ty przy księżycu nad wielkim jeziorem; tylko żeś ty się tego bał, iż to będzie koniec; ja — że końca nie będzie, a nowy początek tylko i to początek czemuś, co może być tysiąc razy gorsze niż los mieszańca, którego jedno z rodziców do najpodlejszej należało Barwy... Nagle w moją udrekę wdarły się dźwięki fletów; to, że je usłyszałem, dowodziło, iżem jednak nie osiągnął doskonałego skupienia. Nowy więc powód do udreki, przecież z kamienia na którym rozmyślałem, nie ruszyłem się. Muzyka fletów coraz to zbliżała się — za flectami szli zbrojni, dużo zbrojnych — dziwne twarze, dziwne ubiory, dziwne hełmy i tarcze. Otoczyli mnie — nie ruszyłem się jednak z kamienia aż dopiero gdym sobie uprzytomnił, że pytania, jakimi mnie zasypali, nie znaczyły: „Jakiej jesteś Barwy?“, tylko: „Czy nas rozumiesz?“ Rozumiałem bo jakem rzekł, przysposabiałem się w domu, gdzie tak był szczęśliwy, by Grekom nieść Oświecenie, a ci zbrojni po grecku mówili.

„Mówi się o mnie: zdrajca, sprzedawczyk. Opowiada się, jakem twierdził w Puszkalawati samą mową do załogi dla Greków zdobył. Ale nie opowiada się, czemu załoga mowie owej mojej dała się przekonać. A sprawa prosta: od czasów króla Asoki liczne rzesze we wszystkich krainach, na Indii składających się, coraz bardziej się skłaniały ku nauce Najdoskonalej Oświeconego, choć i przedtem jeszcze wcale sporo takich już było. Puszjamitra zaś, Bryhadratę zamordowawszy, zaczął prześladować nauki tej wyznawców, mniejsza teraz o to, czy dlatego, iż ją — naukę tę — tak nienawidzi, czy też bo kto za tą nauką, był zarazem też i za Mauriami; za Siungami — kto przeciw niej. Rzekłem więc do Króla Wielkiego Eutydemidy: „Ogłoś się Mauriów mścicielem, wyznawców nauki Buddy obrońcą, zaraz rzesze niezliczone Indów radośnie powitają cię jako Maharadzę”. Rzekłem potem tym, którzy Mauriów opłakiwali, naukę Buddy wyznawali: „Potrzebny wam obrońca przed Siungami? Zjawił się”. Twierdza po twierdzy, miasto po mieście, kraina po krainie poddawały się kolejno — bez oporu prawie — Królowi Wielkiemu Eutydemidzie. Oczywiście, byli i nadal są tacy, którzy wołają: „Wolimy zginąć, niż uznać nad sobą władzę barbarzyńcy”. Ale wśród tak wołających żaden nie znajdzie się taki, który po jednym z rodziców do bardzo dostojnej, po drugim — do bardzo podlej przynależy Barwy. Z czego jednak nie wynika, by i tacy o Grekach nie mawiali po cichu lub do siebie tylko: „To jednak barbarzyńcy! Stać ich na to nawet, by spędzać rolnika z pola, bo pola tego — powiadają — do bitwy potrzebują! Więcej: spędzą go, nic nie mówiąc, a to i poranią nawet czy zboże mu rozdepczą”. Przecież choćby i mawiali tak, wołają rządy Greków niż Siungów”.

— Co dla Greków musi być bardzo miłe — zaśmiał się Leptynes — tym niemniej tacy Indowie to zdrajcy swej ojczyzny.

— Czy bardziej niż owi Grecy Zachodu, którzy wołają rządy Rzymian niż Seleukidów?

— Toteż ja, dziecko, rządowi Rzymian się wymknąłem.

— A teraz, młodzieniec, pod nie chcesz wracać.

— Będę przebywał tam tylko, gdzie Grecy sami sobą rządzą.

— Człowieku! W Indiach są krocie i krocie takich, co

myślą, że mają nad sobą nadal władcę własnej krwi, a nad tym nikogo już nie ma, tylko święte prawa. Ale naprawdę jest nad nim Eutydemida, tylko krocie owe o tym nie wiedzą.

— I to ma być powód wystarczający, bym został wśród was?

— W połączeniu z nową poniewierką, jaka na Zachodzie czekać cię może jako pół-krwi Greka tylko, mógłby w samej rzeczy okazać się wystarczający.

— Nie strasz mnie już, proszę, taką poniewierką. Jakie to śmieszne, wręcz głupie! Czyś chwilę temu nie groził mi podobną poniewierką czy zostanę, czy odejdę, bo ostateczne słowo, tajemnicę moją zdradzające, tak zaufanego a niezbędnego sługi Eutydemidów słowo — wszędzie zdoła dotrzeć, gdziekolwiek, gdy padnie, będę do wielkiego czynu Greków zagrzewać. Ale choć wszędzie, tutaj przecież prędzej i łatwiej jeszcze, niż gdziekolwiek bądź indziej. Chyba że nim z tajemnicą moją zdążysz się zdradzić — umrzesz. Ale i to nawet — cóż by mi dało? Cóż da owcy, jeśli lew skona? Pantery na nią się rzucą — cała to różnica. Chyba że...

— Chyba że co?

— Znów to samo, na co pierwiej już napomykałem. Że przecież pozornie Grekom służąc czy z nimi współpracując, wielkie szkody skrycie im gotujesz.

— Po co? By znaleźć się pod rządami Siungów?

— Nie koniecznie. Mógłbyś w ogóle już nigdy do Indyj nie wrócić. Szkodzić Grekom równie dobrze, co tam, można i tutaj — w Sogdii, w Baktrii.

— Szkodzić komuś to zawsze jest działać zarazem na rzecz kogoś innego.

— Jasne. Na przykład na rzecz stepu, uniemożliwiając dwustronne natarcie nań pola.

— Jużem ci rzekł, że raczej chętniej bym widział pokonanie stepu przez pole.

— Aby swobodnie poruszać się mogli po polu ustokrotnionym zwiastunowie Wyzwolenia, jakie ów Budda głosi? Ale przecież Wyzwolenie to masz za złudzenie.

— Mam, ale nie muszą go mieć za złudzenie inni.

— Czyliś skłonny karmić innych potrawą, którą sam masz za trującą?

— Nie za trującą. Za taką, co mało dając żołądkowi,

wiele dać może podniebieniu smakoszy, jakim sam nie jestem.

— Ale smakosz umrze z głodu, jeśli tylko taką potrawą będziesz go karmił.

— Toteż dam mu coś innego jeszcze jeść, ale że dla podniebienia miłe to nie będzie — niech ma dwie potrawy.

— Cóż jest tą drugą?

— O tym wolno ci będzie wiedzieć wówczas tylko, gdy powiesz: „Zostaję wśród was”.

— Mogę ciekawością targany powiedzieć to, a potem odejść.

— Nie możesz, bo nie umiesz kłamać z rozmysłem. Umiesz tylko odejmować od prawdy, nie dodawać do niej — jużem ci to rzekł. Na kłamliwym wyrażeniu przez ciebie gotowości pozostania od razu bym się poznał.

— I cóż by wtedy nastąpiło? Zostałbym wbity na pal?

— Ty? Po co? Dla ciebie inna wystarczająca zupełnie byłaby kara: ujawniłbym twą tajemnicę.

— Mówilem, że pod rządami Eutydemidów nikt by się nią — poza małą garstką — nie przejął.

— Ty byś się jednak przejął i to jak! Doniosłość tej tajemnicy nie na tym polega, czym ona jest dla świata, ale czym — dla ciebie. Jestem przekonany, że gdzieś na Zachodzie więcej znalazłoby się mieszkańców, dokładnie takich jak ty, może też i dokładnie tak samo przez żydowskie matki znakiem dziwnym wyróżnionych. A przecież — pewnym tego najzupełniej — dla wielu z nich sprawa ta nie jest tym samym, czym dla ciebie. A wiesz, dlaczego? Bo nie wszyscy wcale — nawet mieszkańcy — tak są sobą zajęci jak ty. A wiesz, czemu ty bardziej niż inni? Bo za małyś był, gdy umarła ci matka, ojciec zaś twój był za wielki, byś dla niego wiele znaczył. Za wcześnie zostałeś bez ciepła miłości, jakie zwykle od rodziców na dzieci promieniuje; że zaś ciepło to każdemu jest niezbędnym, skądś je musiałeś wykrzesać. Wykrzesaleś: z siebie samego. Nie mając, kto by cię, dziecko, kochał, sam siebie kochać zacząłeś i nazbyt już się w sobie rozkochałeś. To jest choroba, ale pókiś młody, uleczalna. Byłeś wiedział, jakie ci na nią najlepiej posłużą leki.

— Wiem. Poświęcenie życia całego sprawie zwycięstwa pola Greków nad stepem.

— Żeby sprawie jakiejś poświęcić życie, trzeba kochać tych, komu zwycięstwo jej przyniesie szczęście lub choćby tylko pożytek.

— Kocham Greków.

— Mogę dowiedzieć się, za co? Kilka lat byłeś z dala od nich, przez czas zaś, gdyś wśród nich był, raczej byli dla ciebie — ojca własnego nie wyłączając — źródłem udęrek, czy to rzeczywistych, czy też takich, których z trwogą wypatrywałeś.

— Homer, Pindar, Sofokles, Eurypides, Platon, Tymajos, Apolonius, Filarchos byli dla mnie źródłem zawsze szczęścia tylko, a co najmniej przyjemności — nigdy udęki.

— To nie są Grecy, tylko książki greckie.

— Czy nie byli dla mnie mili oboje najmłodszy Eutydemidzi? Wiem, wiem, powiesz, że to tu tylko w sercu Azji, ale na Zachodzie to by i oni też dla mnie mili nie byli...

— Może byliby, a może i nie. Nie wiem. Wiem natomiast, żeś zły dobrał przykład. Eutydemidzi najmłodszego, jak dotąd, pokolenia to nie są już Grecy.

— Tylko?

— Mieszkańcy, jak i ty i ja. Śmieję się, ile ci się spodoba, niszczę śmiech jeszcze nie zrobił czarnego białym, ni czerwonego błękitnym. Istnieją mieszkańcy z krwi, Leptynesie, ale bywają też duchem, myślą mieszkańcy. Jak nasienie Greka weszło w łono Żydówki, czy w łono córki Brahmana nasienie Siudry, tak też i w świadomość grecką wciska się — najczęściej niepostrzeżenie — duch czy myśl świata obcego, wśród jakiego żyją.

— I sama czystość krwi greckiej za obronę nie wystarczy?

— Nie wystarczy.

— Czyli że krew to coś słabszego, niż duch czy myśl?

— Rzekłeś.

— Dzięki, Ajogawo. Czym dobrze zapamiętał termin, określający twoją przynależność stanową?

— Bardzo dobrze. Nie dziwi mnie jednak to wcale, żeś zapamiętał — właśnie ty — więc cię pochwałami nie zasypię.

— Ale ja ciebie — tak. Choć poniekąd to, za co cię chwale, też mnie właściwie nie dziwi, boś się szkolił przecie w sztuce wskazywania dróg, ku Wyzwoleniu poprzez

Oświecenie wiodących. Chwalimy jednak pięściarza zwycięskiego, mimo że się zwycięstwu jego nie dziwimy, wiedząc, że długo w pięściarstwie się szkolił. Więc też i ja ciebie chwale — za wskazanie mi drogi, na której czeka i mnie też wyzwolenie. Otoś rzekł: krew to coś słabszego niż duch i myśl, z czego prosty wniosek, że choć mieszaniec z krwi, władnym osiągnąć pełnię greckości w duchu czy myśli. Oto moja droga i na drodze tej wyzwolenie. Jasne?

— Zupełnie jasne. Niestety jasność to złudzenia tylko.

— Nie szkodzi, skoro w ogóle — jak twierdzisz ty czy też Budda tak twierdził — wszystko jest złudzeniem, nie wyłączając nawet jakościowej różnicy między bogiem mej matki a kawałkiem ciała, jakiego mnie pozbawił, łudząc się, że to z jego woli będę tyle cierpiał, gdy naprawdę cierpiałem, bo jakoś cierpieć musiałem, skorom zaistniał. Dobry ze mnie Aryjczyk w znaczeniu, jakie terminowi temu przypisują mieszkańcy domów zbiorowych, w żółte szaty odziani?

— Nieporównanie lepszy Żyd! Na tom tylko czekał i to tyle czasu czekałem, bezlitośnie na przemian nużąc i nudząc Heliodora i Dioneję. Nareszcie cię mam! Nic teraz nie mów — nic! Wszystko wiem. Także i to, czemuś tak łatwo dał się Dionei nie tyle uwieść, co posłużyć dla niej jako narzędzie do uwolnienia się spod czaru, jaki miał dla niej zawsze twój ojciec; ani przez chwilę natomiast nie odniosłeś się poważnie do zalotów, niedwuznacznych wcale, córki Króla Wielkiego, zalotów, których przedmiotem byłeś ty jako ty — wędrowiec, który tyle przeszedł i tak o przejściach swych opowiada — nie zaś ty jako syn Orestesa. Inaczej jednak byłoby, gdyby Agatokleja była mężatką i to obyż jak najcnotliwszą w twym mniemaniu Wrażliwy w ogóle na uroki kobiecości, przy tym raczej zmysłowy, niż zimny, zbyt jednak jesteś ostrożny i zbyt dobrze pamiętasz, coś był przeszedł, abyś miał się rzucać nieopatrnie w przygodę miłosną, która nie byłaby cudzołóstwem. Ale pokusie cudzołóstwa i to przy tym z kobietą, która wydała ci się piękną, jakżebyś mógł się oprzeć? Przecież nakazał bóg twej matki: „Nie cudzołóż”. Żeś zaś za młody jeszcze na to, by własne mieć łożę, za jednym zamachem przeciw dwom wystąpiłeś jego zakazom, bo zarazem i przeciw temu, które dotyczy pożądania żony

bliźniego swego. Właśnie bliźniego — więc Heliodora bo Grekiem jest, za jakiego sam się uważasz; po moją żonę, gdybym takową miał, prawdopodobniebyś nie sięgnął.

— Ale ten sam zakaz obejmuje prócz żony, i dom bliźniego, i jego służbę, i bydło. Zresztą, są i inne jeszcze — jak niewątpliwie dobrze wiesz — zakazy; gdyby więc rozumowanie twoje było słuszne, miałżebyś też i kraść? i składać fałszywe świadectwo? a może nawet zabijać?

— Właśnie: będziesz kiedyś i kłamać i kraść i nawet zabijać, chyba że wśród nas zostaniesz...

— Coraz silniejszego nabieram przekonania, że jeśli ktokolwiek i skłoniłby mię do pozostania wśród was, nie byłbyś tym kimś ty. Im dłużej ciebie słucham, im lepiej ciebie poznaję, tym mniej budzisz we mnie podziwu. Miałem cię zrazu za mocarza myśli wnikliwej — teraz już nie mam. Mogłeś choćby i tysiąc nawet skończyć dziwacznych szkół, co z kolei w samej rzeczy wiele ci mogło dać przewagi nad innymi, ale przecież nie aż tak wiele, jakby się to zdawało; brak ci zdolności wrodzonej do należytego wnioskowania. Otoś na żart mój — bo żart to był, nic więcej — tkwiący w pytaniu „Czym dobry Aryjczyk w doskonalszym — wedle ciebie — sensie tego słowa?”, odpowiedział: „Lepszy Żyd”, po czym wszcząłeś niekrótki wcale wywód, który — jeśliby miał odpowiadać rzeczywistości — obalał zupełnie myśl przewodnią owej odpowiedzi.

— Obalał?! Leptynesie — jesteś stokroć lepszym Żydem niż wielu takich, którzy nie mieli ojcem Greka — nie ukrywają, kim była ich matka — składają wszystkie ofiary i wszelkie wypełniają obrzędy, jakich ów bóg od swych czcicieli wymaga. Bo też wielu z nich robi to z przyzwyczajenia tylko — z szacunku do praojców — z lęku, by krzywo na nich nie patrzyli krewni, przyjaciele, sąsiedzi, zwierzchnicy. Ale ty jesteś jak Ajaks w tragedii Sofoklesa, który dlatego z taką zaciętością mordował barany, bo najgłębiej wierzył, iż są to wojownicy greccy, którzy w przekonaniu jego wyrządzili mu krzywdę. Ty, gdy z przyczyny znaku, jaki masz na ciele, doznajesz poniewierki lub upokorzeń, za ofiarę się masz nie zwyczaju plemiennego, tylko boga, i gdy czynisz coś, czego wyznawcom jego czynić się nie godzi, nie rzucasz wcale wyzwania szczepowi swej matki, ale znowuż jemu — bóstwu, w którego istnienie i moc głęboko wierzysz... Gdy Teofil z tobą o nim rozma-

wiał, od razu znać było różnicę między wami w podejściu do przedmiotu rozmowy; na różnicy tej pierwszy z nas sam Teofil właśnie się poznał i orzekł, żeś Żydem, a twe synostwo w stosunku do Orestesa to łgarstwo. Gdy on długo i szeroko omawiał boskość tego, co rzekł o sobie „Jam jest ten, który tworzy i dobro i zło” — mówił o tej boskości z takim samym dokładnie przejęciem, z jakim by rozprawiał o przemyślności Odyseusa lub o ofiarności Antygony, a z jakim też i ja niekiedy umiem mówić o H-numanie, królu małą z naszej indyjskiej „Odysei”. Ale ty, sprzeciwiając mu się, wołając — nieszczerze zresztą — że Teofil błądzi, bo ów bóg to zło tylko tworzy, a dobro — to kto inny — takeś o tym mówił, jak o swym ojcu czy Skipionie Rzymianinie... Z czego, zresztą, w przeciwieństwie do Teofila, nie wyciągałem wniosku, że wszystko co o greckości swej mówisz, to łgarstwo, tylko utwierdzałem się w mniemaniu, żeś mieszańiec, jak z ducha i z myśli są mieszańcami najmłodszy Eutydemidzi, a w dużym też stopniu i Dioneja, której stosunek do boga żydowskiego, jak i do wszystkich, zresztą, bóstw, jest w połowie taki jak twój, w połowie zaś jak Teofila... I jakie to zabawne! Teofil szczerze zupełnie skłonny był właśnie tego boga przenieść ponad wszystkich innych, wręcz go uwielbić, ale miał go wyłącznie za zmyślenie ludzkie, jak wszystkich innych bogów, czyli tym samym za zmyślenie szczególnie pomysłowe; mówił też do mnie w ogóle o pomysłowości Żydów z wielkim uznaniem. W Dionei ten sam bóg budzi raczej pogardę i odrazę a może nawet i nie odrazę, tylko nacechowane niesmakiem lekceważenie; przenosi nad niego innych, zarówno niektórych — bo nie wszystkich — greckich jak i niektórych też irańskich; zarówno jednak co do niego, jak i tych innych nie ma pewności całkowitej — prawdą są czy zmyśleniem; jedno przecie jest dla niej zupełnie pewne: jeśli istnieją ci inni, może istnieć i on; jeśli natomiast on jest dowodzącym złego smaku zmyśleniem, to nie ma właściwie dowodów na to, by cała reszta była czymś innym, znowuż z tą różnicą, że w twórcach ludzkich owej reszty skłonna jest dopatrywać się lepszego smaku, niż w Żydach... Ty zaś, Leptynesie, rzekomo nienawidzisz go, ale nie tylko nie jest dla ciebie zmyśleniem, lecz odwrotnie: tylko on — spośród wszystkich bogów — zmyśleniem nie jest! Właś-

nie tylko on, bo w rzeczywistość owego platońskiego dobrego stwórcy, w dobroci swej przez materię ograniczonego, naprawdę nie wierzysz wcale... Składałeś i będziesz składał wszystkim bogom ofiary — wszystkim greckim — rzecz jasna; będziesz też z wielką czcią o bogach greckich mówił — nie o wszystkich na odmianę, ale o tych szczególnie, w samej rzeczy na cześć zasługujących. W tym będziesz Grekiem — tu zgoda; wielu ich tak robi, w rzeczywistość swych bogów nie wierząc. Ale będziesz też to robił z innego jeszcze powodu, niż oni: na złość temu, który zabrania swym wyznawcom składania czci jakimkolwiek bogom poza sobą. I w tym jesteś Żydem, bo będzie to robienie na złość komuś, w czyje i istnienie wierzysz i w boskość, a przy tym w boskość wyłączną... Rzekłeś oto, że stać cię będzie na to, abyś mieszaniec z krwi, doskonałą osiągnął greckość z ducha i z myśli. Ale właśnie cię nie będzie na to stać, boś obciążony nie tyle znakiem na ciele, ile wiarą w swęj myśli — taką wiarą, jaka z greckością doskonałą pogodzić się nie da... Grek — zauważ — żadnych bogów nienawidzić nie będzie; najwyżej nie wszystkich będzie jednakowo lubił czy szanował; w razie potrzeby przecież każdemu złoży ofiarę. Ty zaś nigdy nie wstąpisz z ofiarą do świątyni w Jerozolimie, właśnie boś przekonany, że jeśli gdzieś na ziemi jest miejsce, godne zwać się boskim przybytkiem, to właśnie tam... Zresztą, któż wie? Może się myłę, może kiedyś pójdziesz tam z ofiarą...

— Uprzednioś dobrze rzekł: nie pójdę nigdy!

— Nie pójdziesz, jeżeli zostaniesz wśród nas...

— Znów to samo...

— Czyś zauważył, żem dwukrotnie napomknął na to, iż ty tego boga rzekomo tylko nienawidzisz?... Oczywiście, wmawiasz w siebie tę nienawiść w dobrej zupełnie wierze... Ale ta dobra wiara kiedyś cię opuści. Raz już opuściła — tak niedawno temu — wówczas, gdyś przecież, bez względu na to, jakkolwiek kierowały tobą pobudki — szczęśliwy się poczuł przez chwilę, patrząc tu — właśnie tu! — na obnażoną dla cię Dioneję... Bo pamiętasz, coś rzekł, gdy cię zapytała, jak myślisz, czemu ona dla cię — tylko dla cię — chodzi, wbrew zasadom swym i zwyczajom, boso? Odpowiedź twoja nie dowodziła, że masz boga żydowskiego za twórcę zła tylko.

Przypomnij ją sobie dobrze, jak też i swe uniesienie, jakie jej towarzyszyło. Niech ci życie ześle więcej takich chwil, gdy się będziesz czuł szczęśliwy, a wówczas rzekoma nie-nawiść do tego, kto niby samo tylko zło tworzy, ujawni swe prawdziwe oblicze: żalu, coraz malejącego, do tego, który tworząc i zło i dobro, dobra przedtem dawał ci — jak na twe upodobanie — za mało...

— Byłeś jednak sam świadkiem, a raczej ucho tve, nie ty, że po rzekomej chwili szczęśliwej zesłał mi tym bolesniejsze upokorzenie... I tak będzie zawsze...

— Czy masz go za wszechwiedzącego?

— Mam.

— Dioneja innego jest zdania. Czytała o nim, że chodził po ogrodzie rajskim i wołał, szukając pierwszego człowieka, którego stworzył: — Gdzie jesteś?

— Gdy mi każesz przyjść tam a tam, ja, choć wiem, że już tam jesteś, też zawołam wchodząc: „Gdzie jesteś?” — raczej tobie dając znać, że przyszedłem, niż wątpiąc, że cię tam znajdę...

— Jaki jednak z ciebie Żyd!... Postrzegasz?

— Nie jestem. Nie chcę być.

— Musisz jednak być, skoro przyznajesz mu wszechmoc.

— Nie jestem, już przez to samo, że do wszechmocy tej — inaczej niż Żydzi — wołam: „Wolę, aby ciebie nie było”.

— Naprawdę wolisz?

— Naprawdę.

— Ale jak to wołanie jego wszechmocy zaszkodzi? Na przykład pada deszcz, a ty wolisz, aby nie padał; zgłosisz swój sprzeciw, i cóż? Czy deszcz ustanie? lub choćby zmaleje?

— Wejdę pod dach, i dla mnie deszcz nie tylko zmaleje — w ogóle ustanie.

— Tylekroć już zaofiarowałem ci, Leptynesie, dach, pod który by nie sięgała wszechmoc twego boga, wciąż jednak wolisz stać na deszczu i krzyżeć: „Nie chcę, żeby padało”. Oto zaczynam się obawiać, żeś źle mnie zrozumiał. Wołałem „Tyś Żyd” — boś sam wołał: „Jam Grek”. Nie chcę, byś zapominał o tym, co w tobie jest z nie-Greka; nie znaczy to jednak, bym ja ze swej strony nie pamiętał, że wiele w tobie jest z nie-Żyda. Inaczej niż

Teofil, za Żyda ciebie nie mam. Ale też — inaczej niż ty sam — nie mam ciebie też i za Greka. Jesteś tym i tamtym, zarazem zaś tym i tamtym nie jesteś, jak o mnie rzec: „To Brahman” byłoby w tym samym stopniu i prawdą i nieprawdą, co rzec: „To Siudra”. Chciałbyś być w pełni Grekiem, jak ja ongiś chciałem — już nie chcę — w pełni być Brahmanem. Nie chcesz być Żydem, ale nawet gdybyś zechciał, wątpię, czy udałoby się tobie to; była taka chwila, żem rzekł sobie „Jam Siudra”, ale ludzie teźże Barwy co mój ojciec, nie mieli mnie za swojego; nie znalazłem w nich braci, tylko szyderców, którzy tym większe znajdowali zadowolenie w widoku mojej poniewierki, im wyżej ponad nich, a nawet ponad inne jeszcze Barwy, rycerskiej nie wyłączając, wynosiła mnie krew matki. Nie wiem, czy i o ile można w tym stopniu mówić „wyżej” i „niżej”, gdy chodzi o Greków i Żydów na odmiannę; może ci są dostojniejsi, może tamci, a najpewniej ani ci ani tamci — są równi sobie, tylko inni. Gdyby jednak Żydzi mieli być niżsi czy gorsi, albo też odwrotnie Grecy, zapewniam cię, Leptynesie, jakiegokolwiek by na owych niższych czy upośledzonych spadały prześladowania czy upokorzenia ze strony wyższych czy dostojniejszych, cierpiąc sami, sami poniewierani, dla twojej poniewierki i cierpień będą mieli tylko szyderstwo. Braćmi w cierpieniu nie będą dla ciebie nigdy. Co, zresztą zupełnie jest zrozumiałe: jesteś inny od nich — zawsze inny będziesz. Raz Brahman na oczach całej gromady przynależnych do najpodlejszej Barwy od niechcenia nastąpił na kociaka w świętym dniu, kiedy i trawki zerwać nie wolno — nie wyobrazisz wprost sobie, jaka uciecha ogarnęła całą tę gromadę! A mnie się zrobiło ogromnie Brahmana żal — tak ogromnie, że gdyby prawo nie zabraniało mu takich, jak ja, dotykać, przypadłbym do jego nóg, całowałbym go po rękach i pocieszał w miarę swych sił... Toż samo i z tobą zawsze będzie; powiadasz, że nie chcesz być Żydem, ale niech Grecy zrobią na twych oczach Żydom krzywdę, od razu — choćby na krótką chwilę tylko — ogarnie cię wstyd, żeś Grek. Ale gdybyś też miał kiedyś za Żyda się uznać, zbuntujesz się przeciw temu swemu postanowieniu, widząc Żyda, jak się uchyla od wspólnej z Grekiem wieczerzy, by się nie skazić, a stokroć bardziej: gdy Żyd będzie się śmiał z Greka, płaczącego nad losem

Edypa czy Priama czy Niobidów... Jeśli będzie kiedy wojna między Żydami a Grekami, Żydem będziesz w dniach greckich zwycięstw, w dniach zwycięstw żydowskich — Grekiem... Która to postawa myślowa prostą jest drogą do samobójstwa, bądź do szaleństwa. Czy możesz na drogę tę nie dać się zawlec? Możesz. Mówiąc sobie: nie obchodzą mnie ani Żydzi ani Grecy, jak mnie przestało obchodzić zarówno to, co przeżywa Brahman, jak i to co Siudra. Czy bronz jest miedzią czy ołowiem? Jest sobą, choć pochodzi z obojga, i robić zeń można rzeczy stokroć wspanialsze, niż czy to z miedzi samej czy z ołowiu.

— Cóż można robić z mieszanców?

— Chcesz rzec: co może robić mieszaniec, czego by nie zrobił ani czysty Grek, ani czysty Żyd, ani Brahman, ani Siudra? Powiem ci: może stworzyć taką społeczność, jakiej nigdy nigdzie jeszcze nie było na świecie. Nie jeden mieszaniec, ale cała nas gromada.

— Społeczność, szczęśliwszą od wszelkich innych?

— O tyle przynajmniej, o ile szczęśliwszy jest człowiek, który jeśli woli aby nie padało, ma w pobliżu dach, pod który może się schronić.

— Rozumiem, że dach ten — w mniemaniu twoim — to nad-królestwo Eutydemidów?

— Nie. Eutydemidzi to tylko słupy, dach podtrzymujące. Przynajmniej pokolenie Króla Wielkiego, Antymacha, Apolodota. Pokolenie następne zaś? Jeśli nie pozabijają się wzajemnie lub nie poszaleją — w samej rzeczy, mogą być równie sprawnymi budowniczymi dachu, jak ty lub ja. Tylko — uważasz? — mieszaniec z krwi zabije się lub oszaleje, jeśli się uprze przy tym, aby mieszancem — choćby w duchu czy myśli tylko — nie być. Odwrotnie jest z Grekami czystej krwi, którym nazbyt już myśl czy ducha zatrąła Azja; zapragnąwszy nawet być mieszancami — czuć lub myśleć, jak ty lub ja — długo tego nie wytrzymają. Jak nie wytrzymała jedyna kobieta, która budziła w tobie uczucie, mogące się stać prawdziwą miłością: Mitroania.

— Zabiła się? Oszalała?

— Ileż radosnego uniesienia w twych pytaniach! Znów Żyd z ciebie wylazł. Tak ci daleko jeszcze do tego, by stać się bronzem czy mosiądzem choćby tylko: raz miedź w tobie pobrzękuje, raz cyna! Byłeś bliski rozkochania się

pierwszą rzeczywistą miłością swego życia w macosze, i oto: temu, o kim powiadasz, że go nienawidzisz, ślesz teraz całą mocą myśli swych i uczuć hymn dziękczynny a chwalebny: „Bądź uwielbiony, boże jedyny, iżeś poniżył i zdeptał wrogów moich”. W twej opowieści, zresztą, raz po raz owa nuta hymnu przebijała; gdyś na przykład opowiadał o owych Grekach, swych przesładowcach, do Argos wracających, jestem przekonany, że rozpamiętując ich śmierć straszliwą z ręki koczowników, myślałeś: „Bóg mej matki ich ukarał. Sam się nade mną pastwi, to prawda, ale biada tym, którzy lekkomyślnie lub bezmyślnie posłużą mu jako narzędzie mojej udręki”. Nie, mój miły: jeżeli nie zostaniesz wśród nas, nie dowiesz się, co się stało z Mitroanią.

— Jakież z niej tam jednak był mieszaniec z ducha?... Zamęczała nie tylko mnie, ale i mojego ojca swą czcią nabożną dla Pana Mądrego, przestrzeganiem wszelkich przepisów, jakie Magowie wymyślili...

— Co jej nie przeszkodziło zapomnieć o obuwiu, gdyś dom porzucał. Ani z uniesieniem — jakieś sam opowiadał — grać z tobą czy to w „Królu Edypie”, czy Kaliklesa w twoim skrócie „Gorgiasa”... A szkoda, żeście „Hipolita” nie zagrali jednak; możebyście zrozumieli, coście naprawdę do siebie wzajem czuli, tak jak ojciec twój to rozumiał... Alem ci winien ogromną wdzięczność za ową wzmiankę o waszym wzdraganiu się przed odgrywaniem „Hipolita”. Heliodor ma egzemplarz, więc wzmianką tą twą zachęcony, przejrzałem sztukę i wyobraź sobie: doznałem olśnienia. Król Wielki z myślą o budowie największego a najwspanialszego miasta świata przeniósł całe stare miasto Taszaksylę, którą wy Taksylą zowiecie, nieco ku północy; czcicielom Buddy, gorącym swym stronnikom, chciałby stworzyć i w tym nowym mieście jakąś wielką świętość. Poradziłem mu, by dążących ku Wyzwoleniu przez Oświecenie braci w żółtych szatach umieścić w pałacyku Kunali, króla ongiś tamtych krain z ramienia swego ojca, Asoki Maurii, a że jest gadka, iż Kunala tam właśnie stracił wzrok i przejrzał, wcale przekonujące będzie to święte miejsce. Ale się martwiłem nad tym, jak powiązać sprawę utraty czy odzyskania wzroku z podniesieniem Kunali do godności szczególnie żarliwego czciciela Buddy w taki sposób, by nowa Taksyla Nowa, dzięki

świętości właśnie tego miejsca, od razu znacznie Starą przewyższała. Bo — wiesz? —nawet czciciele Buddy lubią w świętych sprawach dreszczyki co silniejsze. I teraz będą mieli dreszczyk nie byle jaki: Kunała miał macochę, co się zwała Tyszjarakszyta — takie sobie nic, ale utożsamia ją z Fedrą, i od razu dreszczyki budzić będzie! Oto kusił Kunałę, dość mając potężnego, ale starzejącego się Asoki, młody jednak król tak już daleko się znajdował na drodze, ku Wyzwoleniu wiodącej, że zachnął się z przerażeniem...

— Jak też niejaki Żyd Józef w Egipcie...

— Żydzi też mają swego Hipolita?

— Hipolita — to nie, bo nie macocha go kusiała, ale żona władcy, któremu wiernie służył...

— To ta żydowska opowieść tu mało byłaby przydatna. Ateńska jest lepsza. Asoka, jak Teseos, uwierzy w oszczerstwo mściwej żony — na śmierć jednak syna nie pošle, to by już był niedopuszczalny dreszczyk: Asoka tyle zrobił dla szczenia czci Buddy, więc nie godziłoby się, by popełnił coś nieodwracalnie okropnego... Niech tylko oślepi syna za namową żony, Budda zaś zwróci oślepijonemu wzrok. Jak i chodzenie po wodzie, w mniemaniu Buddy samego taka łaska byłaby tyleż tylko warta, co cukierek dla dziecka, ale tłumom właśnie takie cuda najbardziej się podobają...

— Czy tłumom mieszańców też?

— Mieszańców jeszcze jest mało, Leptynesie. Ze sto lat chyba trzeba poczekać, by stali się większością w nadkrólestwie Eutydemidów.

— Ale ni ty, ni ja tych stu lat nie przeżyjemy. Jakże więc chcesz coś budować? Nie mówię już o Grekach, czy o Irańczykach, ale jaki Ind przykłaśnie dziełu kogoś, kto jest zarazem Siudra i Brahman, ale też ani Brahman ani Siudra? Nie jest dla mnie jasne, co zowiesz dachem, jaki mieszańcy mają budować, ale któż, jeśli ich tak mało, pod dach ten zechce pójść?

— Wszyscy, jeśli to będzie taki dach, jakiego nikt dotąd zbudować nie zdołał, nawet bogowie, tego, którego ty rzekomo nienawidzisz, a naprawdę czcisz, nie wyłączając... A czy ty rozumiesz, jaka to dla ciebie samego pońeta? Bo jeśli zrobisz coś, czego on zrobić nie zdoła, przestanie być wszechmocny — nieprawdaż? Albo nawet nie trzeba aż tak daleko iść: wystarczy dorównać mu, nie

musi się go przewyższać. Też już przestanie tym dla ciebie być, czym dotąd był...

— Ale cóż to ma być właściwie budowane?

— Rzekłem: dach. Bóg zsyła deszcz, bo chce, abyś zmókł, a ty, wbrew jemu, pozostajesz suchy...

— To są wcióż tylko metafory.

— Nie będą tylko metafory, gdy powiesz: „Zostaję”. Zresztą, już teraz uchylę rąbka zasłony. Pamiętasz? — rzekłem ci, że też za złudzenie uznał, na kamieniu rozmyślając, i drogi wszystkie i cel sam, przez Najdoskonalej Oświeconego wytknięte. Pograżyłem się w ciemności, wnet jednak ujrzałem światło. Z Zachodu szło. Zawarte w nauce. „Człowiek jest miarą wszech rzeczy”. Ale samym Grekom nauka ta mało co dała: Teofilowi nie więcej niż zdobycie się na to, by umrzeć — jak mu się to zdawało — tak i wtedy, kiedy i jak sam zechce. Był jednak inny Grek — w mocnym stopniu, zresztą też już mieszaniec myślą, który z nauki tej właściwy wniosek wyciągnął: „Jeśli człowiek jest miarą wszechrzeczy — rzeczy wszystkie mają być przeobrażone tak jak człowiek chce”. I zaczął przeobrażać...

— Któż to jest ten Grek?

— Twój ojciec, Leptynesie. Wziął się do przeobrażania wszechrzeczy za pomocą — wiesz, czego? Myślisz może: wielkiej sztuki? Jeśli tak myślisz, myślisz się — sztuka niczego nie przeobraża — jest w najlepszym wypadku grzmiącym krzykiem w czasie deszczu: „Nie chcę, żeby padało!”, nigdy jednak nie jest budową dachu. Ale z pomocą mechaniki, tak, dach można zbudować.

— Znow potworną bzdurę wyrzekłeś. Mój ojciec mieszańcem, choćby myślą tylko?!...

— I jeszcze jak! Otoście się sprzeczali wczoraj rano na tarasie, szukając rozwiązania zagadki najwyższego wzniesienia się mistrzostwa twego ojca właśnie w monecie, przedstawiającej Antymacha jako boga. Ktoś — bodajże tyś sam — rzucił domysł, nadzwyczaj wnikliwy zresztą, że mógł to być sprzeciw w stosunku do zbyt poważnego podejścia umysłów Azji do spraw boskości; od siebie dodam: sprzeciw w stosunku do zbyt ostrego przeciwstawiania sobie pojęć: boskość i nie-boskość. Zresztą, ten drugi sprzeciw zmalaby znacznie, gdyby ojciec twój — zamiast na Zachód — do Indyj by się na dłużej, niż na miesiąc

tylko, wyprawił. Ale czy ten sprzeciw, czy tamten, czy oba, mógłże by stać się aż tak wyrazisty, tak właśnie — jakem rzekł o wielkiej sztuce — grzmiący, gdyby ojciec twój uważał, że to deszczowi samemu, głuchemu i bezmyślnemu, rzuca: „Nie chcę, byś — padał...”? Nie, ojca twego ugiwała już — wolno, wolno, przecież ugiwała — wiara niezłomna dwu najważniejszych kobiet w życiu. Matka twoja, Leptynesie, nie przedstawia mi się, jako Żydówka tego typu, co te, jakie spotykał Teofil w Babilonie. Ten, czyj rozkaz ugiwała, poddając cię okaleczeniu z pełną chyba świadomością, że w ten sposób jedyne swe dziecko na bezmiar cierpień i upokorzeń naraża, ten jej bóg, powtarzam, nie przedstawiał się jej — mniemam — jako pan i opiekun niebiański tego szczepu jej ojców, bo szczep jednak własny aż tyle dla niej nie mógł znaczyć — skoro z innoplemieńcem się połączyła i pierwородnego miała już tylko pół-krewi Żyda... Nie, ja myślę, że ona w tym bogu plemiennym widziała rozwiązanie zagadki tak częstej bezsilności bogów greckich w stosunku do wydarzeń... Gdy ojciec twój czytał jej Iliadę, nie wprawiało jej w zakłopotanie miejsce, gdzie Dzeus zaczyna ważyć losy Hektora i Achileśa, sam, choć bóg, ani wiedząc, który zwycięży, ani władny dać zwycięstwa temu, kogo by wolał zwycięzcą mieć... „To Mojra ślepa decydowała, i nawet bogowie ślepemu jej kaprysowi są podwładni” — bez wielkiego przekonania, a już szczególnie bez zachwyty żadnego, tłumaczyć usiłował jej to miejsce ojciec. Ale ona poza Mojrą lub w Mojrze samej widziała nie ślepa, tylko świadomą wolę boga swych ojców — tych, którzy uważają, że bóg ten tylko ich losami przejęty, nie brudziłby się mieszaniami w to, co pod jakąś Troją innoplemieńców się działo... A znowuż to samo było z Mitroanią, tylko że z Mojrą w jej ustach utożsamiał się Pan Mądry — Ahura-Mazda, a że mądry, więc nie ślepy, tylko doskonale wiedzący, dlaczego Achilles ma zwyciężyć, nie zaś Hektor... I siła przekonania tych dwu kobiet zwolna łamała greckość twego ojca, zaczynał w ślad za nimi wierzyć w świadomą a naprawdę wszechmocną wolę, kierującą wydarzeniami; wiarę tę jednak odczuwał jako upokorzenie, jako policzek dla innej „Człowiek miarą wszechrzeczy”... Tej więc świadomej woli krzyknął osiągnięciem najwspanialszym swej sztuki: „Nie

chcę ciebie uznać. Może i jesteś i może tylko ty w samej rzeczy masz prawo do boskiego tytułu, ale ja, przeciw temu twemu prawu buntując się, zwiążę ten tytuł z najdoskonalszym, na jaką sztukę stać, wcieleniem człowieczeństwa. Wielka to rzecz być bogiem? Może i wielka. Ale mój człowiek doskonały — niech nim będzie Antymachos, jeśli mu w danej chwili to dogadza, a może być i tysiąc innych — bezkarnie ogłosi się takim, jak ty, i z dowcipu tego jeszcze będzie się uśmiechał, tak wspaniale, jak żaden nieśmiertelny w niczym wyobrażeniu jeszcze się nie uśmiechał. Zdołasz wspanialej się uśmiechnąć? Któż to kiedy zobaczy? A mego Antymacha każdy będzie mógł podziwiać — dzisiaj, jutro, za sto lat, za dwieście, a chyba i za dwa tysiące dwieście — metal trwałym stworzyłeś”. Zrobił, co postanowił, ale Mitroania umiała i na takie wyzwanie odpowiedzieć. Jak? Dowiesz się, gdy wśród nas zostaniesz. Na razie niech ci wystarczy, że odzew jej tak go załamał, iż musiał bądź ulec — czyli zażądać zniszczenia wszystkich monet, boskość Antymacha sławiących, bądź też unosić swą greckość jak najdalej precz od ducha Azji, który go — postrzegał — zwycięża. Był jak człowiek, który ratuje się od piorunu, zamykając oczy i wciskając palce w uszy. Odszedł — nie chciał oszaleć; to, co zdrowym nazywał umysłem, okazało się dlań droższe niż Mitroania nawet. Zostawił ją, a poza nią też i wartości, mniej przez siebie cenione: wielkie dostatki — wielką miłość dynastii — wielką sławę. Na odejście mógł sobie pozwolić — on, Leptynesie, on! W Pergamie czy w Atenach nie będzie musiał w czi dla duszy kosztem ciała-więzienia szukać wybiegów na to, by się nie obnażać publicznie w łaźni czy gimnazjone. Bóg, w którego istnienie i wszechmoc czy nawet jedyność mógł uwierzyć jako we wniosek nieodparty z takich a takich przesłanek, przestanie go trwożyć tam, gdzie boskości nie bierze się nazbyt poważnie; nie ma z nim porachunków osobistych, nie ugina się pod ciężarem bolesnych czy upakarzających wspomnień, które każą mu wciąż o bogu tym myśleć. Bez twej matki, bez Mitroanii, w ogóle bez środowiska po temu, w ogóle o nim szybko myśleć przestanie, a gdy kiedyś sobie przecież przypomni — pójdzie posłuchać jakiegoś rzeczywiście wielkiego umysłem stoika czy epikurejczyka, i przypomnienie godnym nawet

poważniejszego szyderstwa już mu się nie wyda; nie będzie przy nim Mitroanii, co by wywody stoika czy epikurejczyka mocą wiary i swoistej logiki, jaką wiara daje, zbijała...

— To wszystko bardzo ładnie! — znów już wyraźnie denerwował się Leptynes. — Ale znów sobie przeczysz. Rzekłeś oto: ojciec mój miał do wyboru albo ulec czyli — jak mu się zdawało — oszaleć albo uciec. Aleś poprzednio mówił, że rozumiał człowieczeństwo, jako miarę wszechrzeczy, i chciał i mógł je przeciwstawić wszelkiej boskości, biorąc się do wszechrzeczy przeobrażania za pomocą mechaniki...

— I chciał i mógł, słusznieś rzekł. Ale przestał chcieć. Wiesz, czemu? Przestraszył się.

— Czego?

— Zobaczysz jutro, jeśli zechcesz: „Zgoda Narodów” pójdzie na dno z wszystkimi wiosłami w ruchu, ruchem zaś tym będzie kierować jeden jedyny przyrząd, przyrządem zaś para. Którego to wynalazku dokonawszy, zapytał siebie Orestes: co będą wówczas robić setki wiosłarzy? A co — dziesiątki tajniaków, skoro cały kasztel pokryty jest siecią rur podsłuchowych? Że zaś — jak sam wiedział — możliwości mechaniki są omalże nieograniczone, i po stu latach wysiłków pomysłowości w tej dziedzinie wszystko, co dotąd ręce ludzkie robią, robić będzie para, nie będzie zajęcia dla milionów, przede wszystkim dla niewolników. Niewolników — rzecz jasna — trzeba będzie wyzwalać masowo, bo staną się ciężarem tylko, ale co dalej? Otóż Orestes nie wiedział, co dalej. Ja — wiem.

— Co?

— Zostaniesz wśród nas?

— Czekaj chwilę. Obliczam teraz. W nad-królestwie Eutydemidów na jednego Greka, któremu życie wypełnia praca rąk, lub służba wojskowa, przypada chyba z pięćset tubylców.

— Niebawem będzie od tysiąca do dwu. A może i ponad dwa. Król Wielki — pewny już zupełnie poparcia wyznawców Buddy wszędzie, gdziekolwiek w Indiach się pokaże — szykuje wyprawę na samą Pataliputrę, wspaniałą Mauriów stolicę, jęczącą dziś pod piętą Puszjamitry...

— Dzięki za wiadomość. Wiem już, czego ojciec się przestraszył. Król Wielki Eutydemida może zdobyć Pata-

liputę, całe Indie i trzykroć tyle, co całe Indie. Ale za sto lat dach pomysłu mego ojca zwali się na głowy Grekom. Jesteś sprytny, Mankurasie, alem ja — sprytniejszy. Póki wśród tubylców trwa przedział, wręcz przeciwieństwo, między ciężką pracą rąk milionów, a łatwym życiem dostojnych stanów czy Barw, póty tylko nie władzy już, ale samego istnienia garstki Greków wśród was — nie was, mieszańców, ale tubylców. Jakoże gdy i Indowie wchłoną w siebie naukę, że człowiek jest miarą wszechrzeczy i zbierać poczną nauki tej owoce, czym będzie gorszy Siudra niż Brahman nawet w Brahmana mniemaniu? Wyzwolony od ciężkiej pracy rąk, Siudra będzie mógł tyleż wiedzy posiąść, ile ma jej Brahman. Cały wasz podział na Barwy to podział czynności, ale jeśli wszelkie czynności para będzie wykonywać?...

— Jesteś głupi — niezmiernie głupi! Jeśli para — powiedzmy, że tak się stanie! — zniszczy przedział między Barwami czy stanami, zniszczy go i między narodami. Nie będzie ni Indów, ni Irańczyków, ni Greków — będą sami mieszańcy.

— A kto nad nimi? Czy nadal Grecy Eutydemidzi?

— Mogą się i nadal nazywać Eutydemidzi. Ale — zapewniam cię — już w drugim a najdalej trzecim pokoleniu po nas będą mieli tyleż krwi tubylczej, co greckiej.

— Jeśli zechcą. Tu właśnie dochodzimy, Mankurasie, do tego, czego ty we mnie zupełnie nie rozumiesz. Chcę być Grekiem — powiadasz, że to dla mnie jest niemożliwością — ale ja ci nie wierzę. A gdybym nawet i wierzył, jeszcze bym się przed próbą nie cofnął. Mogę być tak czy owak — znowuż twego używając wyrażenia — obciążony; spróbuję obciążenie to z siebie zrzucić lub przynajmniej nie załamać się pod nim. Jestem pół-Grekiem tylko i napiętnowany znakiem, różniącym mnie od Greków; znaku tego nie będzie już miał mój syn, już tylko ćwierć-Żyd, i bóg mej matki nic dla niego znaczyć nie będzie, w ogóle nie będzie o nim wiedział. Jestem — przyznam ci i to także — marną czy skażoną odmianą miedzi; wołasz do mnie: zlej się z cyną czy ołowiem — przetwórz się w mosiądz lub bronz. Ale ja nie chcę przestać być miedzią, wolę, by mnie przepławiono czy przekuto, skazy w ogniu czy pod młotem niszcząc... Kowal,

co umiałby tego dokonać — to grecki Zachód. Na Zachód więc podążam.

— Na Zachodzie też są i Żydzi. Tu zaś ich nie ma.

— Dobrze, iż są — właśnie tam: z dala od nich mogę zatracić poczucie czy świadomość swojej od nich odrębności.

— Jak też i swego do nich podobieństwa. Czy ty naprawdę tak mało rozumiesz? Twoje miejsce jest tylko tutaj. Ojciec twój wszystkie swe księgi i niezliczone własne obliczenia i wnioski z nich, mechanicz poświęcone, zostawił w wielkiej skrzyni tu na okręcie. Jutro zatoną, ale jeśli oświadczysz „Zostaję” — wejdiesz w posiadanie skrzyni. Chłopcze, pomyśl! Gdyby ojciec twój bał się tego, o czym tyś chwilę temu mówił, czemu nie zabrał tej skrzyni na Zachód? Tam mógłby dach budować bez obawy, że za sto lat tubylcy zgodnie — różnic stanowych wyzbyci — zwałą ten dach nielicznym Grekom na głowy...

— Mógł bać się, że tam go zwałą na głowy niewolnicy...

— Komu? Takim wolno urodzonym, jak ty czy on sam? Ale byle przygoda, byle dług niewypłacalny może i was zmienić lada chwila w niewolników...

— Wielka sztuka mego ojca zaraz rozkuje wszelkie kajdany...

— Jemu. Możliwe, choć i nie zawsze pewne. Ale co rozkuje je tobie? Uświadom sobie: stracić wolność to znaczy także obnażać się, kiedy ci każą. A żeś nie Teofil, rozkazu takiego zawsze usłuchasz... I jeszcze coś. Leptynesie, Leptynesie! Czy nie chcesz bogu swej matki krzyknąć: „Widzisz? Otom równy tobie”.

— Czemu jednak ty sam skrzyni owej nie obejmiesz w posiadanie? Już rozumiem, Mankurasie — wielem się tej nocy nauczył od ciebie, coś ukończył był szkołę czytania myśli. Indyjski umysł bezradny jest w stosunku do zasad mechaniki — nie władny wyciągać z nich wniosków należytych — nieprawdaż? Uważaj więc: ofiarowując mi zawartość tej skrzyni, sam mnie Grekiem okrzyknąłeś. Dzięki ci.

— Ofiarowywałem ją synowi Orestesa, nie Grekowi. Zdolności przechodzą niezmiernie często z ojca na syna; dziedziczy się je jak kształt nosa...

— Właśnie. Ja jednak kształt nosa po matce mam, nie po ojcu. Gdybym jednak po nim miał — grecki by to był nos, Mankurasie.

— Jeszcze chwila. W sercu Azji posiana została i kiełkuje zgoda narodów. Może jednak uschnąć, nim w pełni rozkwitnie i wyda owoc. Owoce ten to dach, o jakim była mowa — to społeczność szczęśliwsza, niż gdziekolwiek kiedykolwiek na świecie. Nie chcesz być tej szczęśliwości budowniczym?

— Szczęśliwości mieszanców? Nie zależy mi na tym zaszczycie. Niech spadnie na innych. Czemu skrzynię topisz? Czemu nie przekażesz jej w posiadanie Grekowi takiemu, co by tak myślał, jak ty? A może nie ma Greków tak myślących?

— Szczęśliwość mieszanców sami mieszkańcy tylko mogą budować. Tylko nas stać na przenikliwość wzroku, pozwalającą naraz obie strony widzieć monety. Tylko bronz — gdyby mógł czuć i rozumieć — rozumiałby i czuł, czego pragnie, o czym myśli, przez co cierpi i ołów i miedź.

— Ale Orestesa chętnie widziałeś budowniczym dachu.

— Jużem rzekł: stawał się już mieszkańcem z ducha.

— Rzekłeś też, iż więcej jest takich. Szukaj ich.

— Mogą nie mieć zdolności Orestesa.

— Mogę ich nie mieć i ja.

— Leptynesie, czy nie rozumiesz, jak ułatwi mechanika zwycięstwo pola nad stepem?

— Ale ja miałem na myśli zwycięstwo nad stepem nie mieszanców pola, tylko greckiego.

— Rzekłeś. Czy to było twoje ostatnie słowo?

— Przedostatnie.

— To dobrze, bom i ja jeszcze swego ostatniego nie powiedział. Nie wzdragaj się, nie zżymaj. Moje ostatnie słowo nie będzie kierowane do Leptynesa, którego chcę zatrzymać, tylko do tego, o którym będę wiedział, że nieodwołalnie odchodzi.

— Już wiesz. Czy może zamierzasz mi przeszkodzić w odejściu?

— Przeciwnie — zamierzam ci pomóc. Takie, zresztą, dostałem rozkazy. Sam masz wyznaczyć chwilę swego odjazdu stąd. Pojedziesz do Antiochii Margijskiej w towarzystwie kilku rycerzy z poczty króla Antymacha, chyba

że przeczekałbyś zatopienie „Zgody Narodów” i pojechałbyś z królem.

— Pilno mi.

— Rozumiem. Król mógłby chcieć okazać ci szczególną łaskę, zapraszając do wspólnej kąpieli, a że — o czym wiesz, nauki Platona nie lubi — nie byłoby ci łatwo, nie znieważając go, od zaszczytu tego się wykręcić. Jedź więc, kiedy chcesz. W Antiochii Margijskiej zostaniesz przez skarbnika tamtego królestwa odpowiednio na drogę wyposażony. Stamtąd pojedziesz do Sozji Tapurów — eparchiat tam ułatwi ci przekroczenie granicy. Partowie mogliby — jak w ogóle Grekom, sobie niepodwładnym — robić ci duże trudności, ale w najgorszym wypadku winienś mówić, że masz ważną wiadomość dla ich króla — niech cię zawiozą do Hekatompilu. Tam w samej rzeczy uzyskaj posłuchanie królewskie; władcy ich — nazywa się Triapitios — pokaż monetę, sławiącą boskość Antymacha — powiedz, żeś synem twórcy tej monety, i oświadczyć królowi, iż jeśli chce być z Grekami, których ma pod swym panowaniem, dobrze aż do stopnia wybierania z ich miast młodzieży do wojska, niech się też ogłosi dla Greków bogiem, wybiję monetę z greckim napisem, a z gniewu Magów niech sobie wiele nie robi: tak czy owak, jeśli nie chcą znaleźć się znów pod rządami Seleukidów, muszą patrzeć przez palce na wszystko, co robi. Monetę zostaw mu, jako wzór dla jego własnej, w darze — nawet kilkadziesiąt. Będzie ogromnie ci wdzięczny i oczywiście, zabezpieczy ci dobrą a wolną od przykrych niespodzianek drogę, dokądkolwiek zechcesz. Każesz się więc odprowadzić z liczną ochroną zbrojną między Kirtyjczyków, zamieszkałych w górach Medii Północnej. Tam znajdziesz wysłanników króla Eumenesa, który w wyniku umowy pokojowej z królem Pontu uzyskał prawo zaciągania sobie do wojska najemników w górach Medii. Czy zaciąg uda się czy nie uda, wysłannicy Eumenesa tak czy owak wracać będą do siebie — zajedziesz więc wraz z nimi aż do samego Pergamu. Tam niewątpliwie — chyba że nie będzie go już wśród żywych — odnajdziesz bez trudu swego ojca. Czy mile cię powita — w to nie wchodzę. Życzę ci, rzecz jasna, by jak najmilej. Ale nadto jeszcze czegoś ci życzę, i to bardzo, bardzo gorąco.

— Czego?

— Byś tu już nigdy więcej nie wrócił. Mówiąc: tu — mam na myśli — dokądkolwiekbyś, gdzie władają, czy kiedyś jeszcze będą władać, Eutydemidzi.

— Obyż poprzednie twe życzenie dla mnie spełnić się mogło równie niechybnie jak to drugie. Bo możesz być pewien, że już nigdy...

— Ja, niestety, wcale tego nie jestem pewien. Owszem, obawiam się, że kiedyś jeszcze ciebie znów tu zobaczę...

— Aż się obawiasz?

— Właśnie tak: aż się obawiam. Jakoże jestem ci szczerze przyjazny. Więcej — mieszaniec mieszańca — miłuję cię jak brata. A komuż miło jest brata nie tylko upokorzyć, ale może nawet naszczuć nań Heliodora czy kogoś, kto będzie wówczas tym, czym on dzisiaj, ze skutkiem — domyślasz się chyba jakim? Pał, krzyż — bo ja wiem?

— Oszalałeś?!

— Leptynesie, nie jestem jasnowidzem, ale czy chcesz, bym z większym lub mniejszym, przecież znacznym wcale prawdopodobieństwem, nakreślił obraz przyszłości, jaka ciebie czeka, jeśli w samej rzeczy stąd na Zachód odejdiesz? Powtarzam: obyż twój ojciec powitał cię w Pergamie jak najmilej, ale jeśli mile nie powita? jeśli w ogóle się ciebie wyprze? Znając Orestesa, nawet i to należy brać pod uwagę. Nie żeby nie miał dla ciebie uczuć ojcowskich — nie, w tym go nie doceniasz, często wręcz krzywdzisz. Ale będziesz mu nazbyt przypominał to wszystko, od czego uciekł, na Zachód stąd odchodząc. Powiesz, oczywiście, jak cię znam: jesteś już dość na to dorosły, by radzić sobie w życiu bez pomocy ojca. Może jesteś, może nie — tego nie wiem; wiem natomiast, jakim ciosem ogromnym będzie dla ciebie, jeśli by w Pergamie spotkało cię to samo, co tutaj, z tym że Heliodora zastąpi twój ojciec a i z tą jeszcze różnicą, iż Heliodor szczerze zakładał, że syn Orestesa nie żyje, gdy sam Orestes może myśleć tak albo owak, wówczas jednak kiedy będzie mu to potrzebne lub wygodne, bez wahania, bez mrugnienia okiem powie: „To nie jest mój syn. To nie może być mój syn, bo mój syn nie żyje”. Nie zapominaj zaś o tym, że tobie — dzięki owemu znakowi na ciele — zawsze będzie trudniej dowieść prawdy niż komukolwiekbyś innemu, szczególnie w takich krainach, Grekom podwładnych,

gdzie dobrze się wie, kim są Żydzi. Zgaduję, będziesz z biegiem czasu coraz szczelniej się okrywał tarczą, od Platona zręcznie wcale — to ci przyznaję! — zapożyczoną, i przewiduję taki w twoim życiu czas, gdy naprawdę żarliwym będziesz platonikiem, gdy łudząc się tylko, nie zaś oszukując, wierzyć będziesz w to, że ciało, niczym więzienie, wręcz niczym grób, duszy ciąży. będziesz nawet szczerze marzył o chwili wyzwolenia się duszy z pęt cielesnych. Ale to ci minie — żebyż jednak tylko to. Lep-tynesie! bo oto przewiduję też, że minie co innego jeszcze: to tak ci właściwe teraz, a i od dawna już, odczuwanie siebie jako postaci tragicznej, jako odmiany Edypa. Nim jednak to minie, zniszczysz siebie, swój umysł nade wszystko, ciągłym rozdrapywaniem tej swej rany na duszy — temu zaś, abyś ją rozdrapywał, tam na Zachodzie w samej rzeczy silnie będą sprzyjały okoliczności zewnętrzne. Wzięto cię tutaj za samozwańca, nawet za szpiega; z podejrzeń tych się oczyściłeś, ale czyś się zastanowił, ile podobnych, takich samych wręcz podejrzeń czeka cię w dalszym życiu? Będą to przez długi, długi bardzo czas niesłuszne, niesprawiedliwe podejrzania — ale każda taka przeprawa, jak tu na tym okręcie, wiele będzie cię kosztować, a każda następna więcej od poprzedniej. Mogą zaś to być z samej swej istoty gorsze znacznie przeprawy, niż tutaj, bo nawet gdybyś i opowieścią swą nie przekonał nas tutaj, żeś synem Orestesa, nie łatwo przyszyłoby Heliodorowi czy komukolwiek bądź dowieść, żeś Masagetą czy jakimś innym barbarzyńcą spoza pogranicza północnego. Ale na Zachodzie? Tam wszak wciąż ścierają się z sobą Seleukidzi z Ptolemajosami; Żydzi są raz po stronie tych, kiedy indziej — tamtych, więc czy ci czy tamci wężą wciąż w Żydach zwolenników strony przeciwnej. Odkąd zaś Lidia, gdzie jakieś sam mówił, sporo Żydów zostało, znalazła się w zasięgu władzy Pergamu — nowe stworzą się ogniska nieufności względem Żydów, a potem jeszcze nowe, jeśli — jak miemam — od pojawienia się po raz pierwszy Rzymian w Azji Mniejszej, w nich właśnie zaczną Żydzi upatrywać możliwych wybawców spod wszelkiej w ogóle władzy greckiej. Wiem, powiesz, że tylko będziesz musiał podwoić, potroić czy czterokrotnie swą czujność; zobaczysz jednak, jak wiele w samej rzeczy będzie owo twe „tylko” znaczyło, ile cię będzie kosztowa-

wało... A nie zapomnij też o najświeższym doświadczeniu, jakie Dionei zawdzięczasz. Oczywiście, tu w samej rzeczy uzyskałeś podstawę, by siebie podziwiać jako postać tragiczną, ofiarę bezmyślnie ślepego czy też może rozmyślnie złośliwego losu, który zetknął ciebie z kobietą, jedyną chyba w Baktrii, świadomą tego — choćby nawet i w stopniu bardzo ograniczonym tylko — jaka treść łączy się ze słowem: Żyd. Ale i tu bym nawet ci radził owego swego odczucia siebie jako postaci tragicznej za daleko nie posuwać; jest jakiś związek między twym ojcem a Dioneją, którego, zresztą, tropić nie zamierzam, wcale — Heliodorowi to pozostawiam. Wierzaj mi: gdybyś, zjawiając się nagle wśród nas, oświadczył, żeś synem Menogenesa stoika na przykład, albo starego Teodora, albo Antiocha, syna Lizymacha, czy też czymkolwiek, byle nie Orestesa — zapewne wszystko odbyłoby się tu z tobą tak właśnie, jak się stało, z wyjątkiem sprawy między tobą a Dioneją. W ogóle by się tobą nie zainteresowała, i nie doszłoby wcale do obnażenia ze skutkiem, tak dla ciebie upokarzającym. Ale takich, jak Dioneja, kobiet greckich, świadomych tego, czym są Żydzi, i z tą samą, co jej jest właściwa, postawą wrogą — myślową czy uczuciową — w stosunku do Żydów czy ich boga, na Zachodzie będzie bez liku. Co więc poczniesz? właśnie ty, dla którego kobiety zawsze będą czymś bardzo w życiu ważnym, tym ważniejszym, iż w każdej, która ci się spodoba, będziesz widział materiał nie tylko na żonę, towarzyszkę, przyjaciółkę, kochankę, ale zapewne też i na siostrę, jakiej nigdy nie miałeś, i niezawodnie na drugą matkę — taką, co by ci nie tylko zastąpiła pierwszą, wcześniej utraconą, ale byłaby lepszą niż pierwsza, do której, choć nieżyjącej, żywisz — i długo jeszcze będziesz żywił — głęboką urazę, iż dała się użyć przeciw tobie za narzędzie temu, kogo masz za tak wielkiego swego wroga: bogu jej ojców?! Zamierzasz — powtórzę — być podwójnie czy poczwórnje czujniejszy tam niż tutaj? Względem kobiet nie zdołasz być czujny, aż kilkakrotnie za ich sprawą mocno w to, co najbardziej cię boli, uderzony, schronisz się wraz z całą swą tęsknotą za ich miłością — wiesz dokąd? W świat własnych marzeń, gdzie dobrze się będziesz czuł, bo tam jedynie czujność swą będziesz mógł bezkarnie rozluźnić. Bezkarnie? Osądź sam: w świecie zaś tym przebywając

— w marzeniu z każdą bez trudu miłą sobie zbliżając się miłośnicie kobietą — staniesz się zarazem — w rzeczywistości — własnym swym kochankiem. To zaś z kolei — w połączeniu z rzeczywistą twą odmiennością od otoczenia, w jakim będziesz przebywał — zwiększy tylko twe własne myślowe rozmiłowanie się w sobie, o jakim uprzednio mówiłem. Staniesz się bardzo samotny — najpierw, bo będziesz musiał — potem, bo będziesz chciał, i wreszcie znów musiał, choć inna to już będzie odmiana musu, niż uprzednio. Wówczas zaś gdy ta świadomość osamotnienia osiągnie swój szczyt, stanie ci się już zupełnie obojętne, czy i co dzieli ciebie od gromady, do której przedtem tak bardzo łągałeś, i wtedy to nastąpi, na com napomknął: zatracenie świadomości czy odczucia, żeś — właśnie przez ową rzeczywistą odmiennosc od otoczenia — postacią tragiczną. Przystaniesz odczuwać żal do matki, nienawiść do jej boga; w miejscu tego, co dotąd tak ci wypełniało życie, życie myśli nade wszystko — będzie wielka pustka. Innego by zabiła zapewne, tak jak Teofila po dwudziestu kilku latach wypełniania sobie życia myślą: „Muszę się strzec, by nie wykryto żem rzezaniec”, zabiło uprzytomnienie sobie przegranej, a więc i utraty sensu istnienia. Ale ty — któryż to raz już ci to mówię — sam siebie świadomie nie zabijesz nigdy, a wiesz, czemu? Zdziwisz się? Oto przez nadmiar wyobraźni. Więcej nie powiem, chyba że zmienisz zamiar i zostaniesz wśród nas. Że zaś nie zabijesz się, zechcesz się ratować, i choć różne mogłyby to być drogi ratunku, ja dla ciebie takiego, jakim cię znam, a zdaje mi się, że znam już dobrze, jedną z tych dróg widzę jako najprawdopodobniejszą: z powrotem tutaj wiodącą. Ale nam tu nie będzie potrzebna ruina ciebie takiego, na jakiego masz zadatki w sobie, a jakim byś się stał, teraz tu zostając. Ty zaś wówczas będziesz sam w pełni to sobie uprzytamniał, więc się cofniesz przed zwróceniem się do nas: „Weźcie mnie między siebie”. Tylekroć się cofniesz ile razy powiesz sobie z żalem: „Och, czemużem wtedy wśród nich nie zostałem?!” a będzie to nie raz i nie dwa. Świadomość przecież, czym mógłbyś być, wzbudzi w tobie nową falę pragnienia, by czymś być: czymś, co wiele znaczy — dla kogokolwiekbyś wiele znaczy, tak jak wiele by dla nas tu to znaczyło, gdybyś teraz wśród nas został. Czym jednak miałbyś być, byś coś

— cokolwiekbądź — znaczył? Bardzo to możliwe, że spróbujesz być Żydem, nie uda ci się to, bo przez lata i lata utwierdzania się w greckości nie tylko wiele w sobie z dziedzictwa odczuć i myśli po matce sam zniszczysz, ale zapewne, pokazując Grekom przez lata i lata, żeś taki jak oni, niejeden raz Żydom dasz się poznać czy odczuć, jako ich wróg. Zresztą, gdyby nawet i inaczej być miało, wiele ci z tego nie przyjdzie, musiałbyś bowiem i ich też zwodzić, jak Greków, bo gdyby wiedzieli, żeś mieszańiec, też by cię za całkiem takiego, jak sami, nie uznali. A ich zwodzić będzie jeszcze trudniej niż Greków — chyba kobiety żydowskie, a i to niedługo, bo w wyniku lat i lat utwierdzania się w greckości — a i teraz już nawet, najniewątплиwiej na skutek śmierci przedwczesnej matki — każdy kto ciebie lepiej pozna, powie: „To jednak Grek, choć z tą jego greckością jest coś bardzo dziwnego”. Więc się już od greckości nie oderwiesz, nawet wówczas, gdy będziesz tego oderwania się pragnął. Że zaś wielu jest mądrych Greków, spotkasz kiedyś takich, którzy pomyślą „Z tym mieszańcem współżyć nie sposób, ale można go zużyć nie byle jak a to właśnie dlatego, iż jest mieszańcem”; co pomyślawszy, tobie powiedzą: „Oczywiście, tyś taki, jak my, ale by to rozumieć, trzeba mieć naszą mądrość; mrowie zaś głupich prostaków potrzebuje dowodu, który nam — powtarzamy — potrzebny wcale nie jest. Żeby jednak zatkać raz na zawsze głupie te gęby prostackie, może by i nie było wcale najgorsze, żebyśmy dowód taki do ręki dostali”. A zgadujesz, co by takim dowodem mogło być? Pamiętasz, opowiadałeś o swych dręczycielach w Aleksandrii Proftazji, synach wojewody Helioklesa oraz o tym, jak wojewoda ów z synami uciekał, gdy weszły tam wojska Eutydemidów — a uciekając, zaprzysięgał się, że wróci z zemstą? Otóż on sam, Heliokles, zapewne nigdy nie wróci, ale jego synowie, co z nim wspólnie upokorzenie owej chwili ucieczki przeżyli, odziedziczą po nim niewątpliwie i ową też żądzę zemsty; krewniacy Seleukidów — zapewne nigdy nie zostawią Seleukidów w spokoju, aż ich skuszą kiedyś do jakichś zamysłów, przeciw Eutydemidom skierowanych. Więc może to i oni — właśnie oni — Helioklidzi, Eukratydes i Platon, okażą się tymi mądrymi Grekami, którzy gwoli zatkania gęb Grekom głupim, pchną cię ku temu, byś jakiś szczególnie nieodparty

dał dowód swej greckości. „Skołoś taki Grek, jak my” — powiedzą: „boli cię niewątpliwie jak i nas owo zrównywanie Greków i tubylców pod rządami Eutydemidów, zrównywanie, co przekształca nad-królestwo w sercu Azji w Rzeczpospolitą pół-barbarzyńców”. Zauważ: nie powiedzą ci: „w Rzeczpospolitą mieszańców”, bo właśnie tobie nie należałoby tak mówić, tylko „pół-barbarzyńców”, którzy za pół stulecia miejsca swego czystym barbarzyńcom ustąpią”, co — dodadzą — właśnie ciebie, Leptynesie, bardzo musi boleć, bo taki żarliwy z ciebie zawsze czciciel wielkości, wspaniałości greckiej sztuki i myśli greckiej, które tam, pod Eutydemidami, na skutek owej zasady zgody narodów tak silnemu ulegają skażeniu. Ale przecież na to, co cię tak boli, może być rada: trzeba pobudzić Greków tamtejszych, których samych też to samo boli, by zrzucili z siebie władztwo Eutydemidów. Znasz tamte strony — warunki tameczne — cieszyłeś się nawet życzliwością tego czy owego Eutydemidy. Łatwiej więc powinno ci pójść tam, niż komukolwiek innemu z tych, którzy marzą, by złemu, nad jakim wszyscy — z tobą włącznie — tak bolejemy, raz już kres położyć. Wróć więc tam, a tak się zachowaj, by wszystkie raz na zawsze — choćby i najgłupsze — zatkały się gęby, ośmielające się wciąż jeszcze pleść bzdury, żeś nie taki Grek, jak my.

„Myślę, że wróciłbyś. Że pobudzałbyś Greków tutejszych przeciw Eutydemidom. Nie długo przecież; ujawniłbym bowiem przed Grekami, żeś mieszańcem, mało co różniącym się od tych, przeciw którym władaniu — rzeczywistemu czy domniemanemu — nad sercem Azji chcesz Greków zbuntować. Gdybyś zaś się nazbyt — czego nie przewiduję, zresztą — okazał niebezpieczny, posunąłbym się, ja sam — czy ktoś z mojego rozkazu względnie natchnienia — do rozmyślnego kłamstwa: puściłoby się między tych, co by mieli ochotę się buntować, żeś ty, niby wysłannik zaufany a poufny Seleukidów, to w rzeczywistości Żyd, członek plemienia, co się spod władzy Seleukidów chce uwolnić, a z tego co o Żydach już wiem, myślę, że jeśli dziś na władzę tę już się krzywią, w niecałe dwadzieścia lat potem, jak z zapałem ją witali, to w dwadzieścia lat od dzisiaj głęboko ją już będą nienawidzić. Oczywiście, mnie czy tym, co z mego ramienia lub jako moi następcy będą w sprawie tej działali, nie

zechcą zrazu Grecy wierzyć — owszem, im bardziej zechcemy cię zożydzić, tym goręcej będą ci ufali. Co by wiele przysporzyło nam kłopotu — przyznaję — gdyby nie... twoja matka czy też — jak sam to wolisz, bo bardziej tragedię to przypomina — jej bóg. Jakoże bez wielkich trudności, bez kłopotów wręcz żadnych wystawiłoby się ciebie na rynku Baktry, obnażonego całkowicie, na pokaz tłumowi Greków. W razie zaś potrzeby poprosiłoby się Dioneję o wygłoszenie do tego tłumu przemowy wyjaśniającej, nie odmówiłaby — zapewniam cię...”

— W samej rzeczy nie odmówiłabym — mruknęła do męża o piętro wyżej Dioneja.

— Czy nagi byś — ciągnął o piętro niżej Mankuras — opuścił cały i zdrów rynek, gdy tłum zacząłby się wreszcie rozpraszać — nie wiem. Może by sam tłum, nim by się rozproszył, rzucił się rozdzierać ciebie w strzępy; a może by i wcale długo jeszcze się nie rozprasał, nadal przyglądając się twojej nagości, na odmianę ukrzyżowanej... Obyż jej się nie przyglądał, ani ukrzyżowanej, ani oplwanej tylko! I właśnie ażeby to się nigdy nie mogło stać — a nie chcę by się stało, jak brata cię miłując — rzekłem: „Życzę ci, byś raz stąd odszedłszy, nigdy już nie wrócił”.

— Czy to właśnie było ostatnie twoje słowo? — zapytał Leptynes, a na piętrze wyżej wyraźnie dawało się słyszeć, że rozedrganym zapytywał głosem.

— Ostatnie.

— Ale jam jeszcze — pamiętasz? — swego ostatniego nie powiedział. Zachowuję więc swe prawo do niego.

— Prawo to, oczywiście, w pełni tobie przysługuje. Choćbyś nawet miał mówić dwakroć i trzykroć dłużej niż ja...

— Będę mówił bardzo krótko. Ale nim to ostatnie swe słowo powiem, czy mogę ci zadać jeszcze dwa pytania?

— Choćby dziesięć.

— Będą tylko dwa. Pierwsze: o ile obraz, któryś przed chwilą tak wyraziście odmalował, miałby stanowić jedną z dróg ratunku dla mnie? ratunku od pustki, którą — jak przepowiadasz — w pewnej chwili swego dalszego życia — na Zachodzie życia — nieuchronnie mam odczuć? Rzekłeś, że w przeciwieństwie do Teofila, nie stać mnie

będzie na wyzwolenie się z mocy tej pustki przez samo-zniszczenie? Ale obraz, przez ciebie namalowany, to przecież nic innego jak obraz popełnianego przeze mnie samobójstwa.

— Jesteś w błędzie, bo mieszasz z sobą dwa pojęcia: samobójstwa i samo-zniszczenia. Mam cię za niezdolnego do pierwszego tylko — do powiedzenia sobie, jak Teofil: „Chcę, bym odtąd już więcej nie żył” i przekształcenia owego świadomego „Chcę” w czyn. Ku samozniszczeniu natomiast — drogą powolną, okrężną, nienazwaną, a przecież w pewnych warunkach nieuchronną — nie tylko zdolnyś iść; chwilami wydaje mi się, że z dawna już nią kroczysz. Postanowienie odejścia stąd na Zachód to tylko może dalszy na tej drodze krok — wielki krok, największy w dotychczas zrobionych, ale nie pierwszy...

— I droga to — rzekłeś — nieuchronna?

— W pewnych warunkach nieuchronna, rzekłem. Gdy byś na przykład zamiast stąd odchodzić...

— Dzięki. Zaspokoileś w pełni już moją ciekawość, zawartą w pytaniu pierwszym. Teraz przyjdzie drugie: samozniszczenie to tylko jedna z dróg ucieczki przed pustką — tak toś określił. Czy mógłbyś wskazać mi pozostałe, przez siebie dostrzeżone?

— Jedną z nich tylko. My w Indiach uważamy, że jednym ze środków doskonalenia się, czy na drodze wzwyż ku przebóstwieniu się, czy też na szlakach, przez Buddę wytkniętych, a ku Wyzwoleniu całkowitemu z nędzy istnienia wiodących, i to jednym z najpotężniejszych środków jest zwalczanie w sobie wszelkich żądz miłosnych ciała. Doświadczenie więc z Dioneją mogłoby ci posłużyć jako ostrzeżenie, byś rzekł sobie: „Odtąd nie zbliżę się już nigdy do kobiety, do żadnej kobiety, ani jako rzeczywisty kochanek, ani nawet w marzeniu choćby tylko, co by mnie swym własnym zrobiło kochankiem”. Będiesz znów szydził wzgardliwie ze mnie, Leptynesie, ale była taka chwila, gdy przeszło mi przez myśl, iż okaleczyć ci cielesnie nakazał matce nie ów bóg, który czcicielom swym zaleca, by jak najbardziej się rozmnażali, ale inny — może Budda, którego doradziłem ci uważać za boga — taki, co chcąc litościwie ochronić przed nędzą istnienia dzieci twe na długo zanim się jeszcze urodziły, wpadł na pomysł, byś za rozkosz, płodzenie poprzedzającą, płacił

musiał cenę tak wielkich upokorzeń, iżbyś raz na zawsze zdobył świadomość: „Za droga to cena, więc tej rozkoszy na zawsze się wyrzekam”. A może, Leptynesie, może — że wrócę znów do tego, com chwilę temu powiedział — jakiś inny znów bóg — nad twoimi własnymi litując się cierpieniami — postanowił wynagrodzić ciebie za nie wywyższeniem ponad człowieczeństwo; chce jednak, byś do miejsca, które dla ciebie nagotował, sam sobie drogę, wzwyż torował; drogę tę przecież postanowił ułatwić, a to utrudniając ci — właśnie przez owo okaleczenie — na całe życie ziemskie sycenie żądz miłosnych ciała.

— W samej rzeczy nie mógłby to być bóg mojej matki. On, który — jakżeś sam rzekł — żąda od swych czcicieli, by jak najliczniej się mnożyli, nie wynagradzałby mi moich cierpień, sam tracąc, a przecież traciłby, utrudniając mi sycenie żądz miłosnych, bo przecież owoce tych żądz syceńnia mogłyby się stać jego czcicielami — jedno, dwoje, troje, czworo...

— Ci, którzy Buddę mają za bóstwo, uważają go za zdolnego, by innym, wskazując drogę ku Wyzwoleniu, sam tracił...

— Ale nie mają go za tego, co stworzył ich samych i w ogóle świat. Wskazując wyzwolenie z nędzy istnienia, poprawiał — czy zdawało mu się, że poprawiał — dzieło twórcy tej nędzy. Tamował oddartym od swej szaty rękawem krew cudzego dziecka, któremu ojciec rozbił nos. Ale jakież sens miałyby, gdyby to sam ojciec właśnie oddzielał sobie od szaty rękaw, iżby krew tę tamować? Mógł przecież w ogóle dziecku swemu nosa nie rozbijać.

— Ojciec zapewne wiedziałby, jaki to ma sens.

— Ale nie wiedziałoby dziecko.

— Możeby nawet i nie chciało wiedzieć. Wystarczyłaby mu przyjemna świadomość, iż krew już z nosa nie cieknie.

— Przyjemność ta nie stłumiłaby w nim żalu do ojca za rozbicie nosa.

— Tak myślisz? To jednak wielka jest przyjemność, gdy z nosa przestaje ciec krew. Żeby jednak jej doznać, pierwszej musi krew z nosa pociec. Właśnie zaczynam się zastanawiać, że gdyby bóg twej matki i Budda byli tylko pozornie dwoma, a w rzeczywistości...

— Cokolwiek z tego twego zastanowienia się wyniknie, pozwolisz, że wysłucham tego wówczas dopiero, gdy — wbrew temu, czego mi życzysz — wrócę tu znowu po wielu, wielu latach... Obiecujesz, że nim wystawisz mię nagiego na rynku Baktry, dokładnie mi opowiesz, co by było, gdyby owi dwaj dwoma byli pozornie tylko?... Ale właśnie dopiero wtedy — nie wcześniej, a już na pewno nie teraz. Naprawdę się śpieszę. Chciałbym przed podróżą się wyspać i przebrać się wreszcie w grecki strój. Miałem go włożyć dopiero ojca ponownie witając, ale w samej rzeczy możesz mieć słuszość: nie tylko mile, ale i w ogóle jako syna może nie zechcieć mnie powitać przy ponownym spotkaniu.

— A twoje ostatnie słowo?

— Jak to ładnie, żeś o nim nie zapomniał. Słuchaj więc: ofiarując mi skrzynię, pełną zdobyczy wiedzy mego ojca w dziedzinie mechaniki, zamierzałeś wciągnąć mię w sieć spisku — na razie zapewne dwuosobowego tylko — z której nigdy bym już więcej — zostawszy wśród was — nie był władny się wyzwolić, nieprawdaż? Bo skrzynia ta — wierzę głęboko — pójdzie wraz ze „Zgodą Narodów” na dno wcale nie dlatego, iż poza mną nie znajdujesz nikogo, kto by po odejściu mego ojca zdolny był z zawartości jej właściwy zrobić użytek, ale ponieważ zniszczenia tej zawartości życzy sobie dynastia, w pierwszym rządzie Antymachos, który zwolna zaczynając coraz a coraz poważniej brać swą własną a własnowolnie — czy też z mego ojca woli — objawioną boskość, zaczyna się też coraz bardziej obawiać, że mechanika...

Coś gwałtownie trzasnęło w przyrządzie, do którego ucho przyłożone mieli Dioneja i Heliodor, i nie słyszeli już więcej Leptynesa i Mankurasa, rozmawiających z sobą o piętro niżej. Gdy ostatecznie się upewnili, że nic już więcej nie usłyszą, oderwali twarze swe od przyrządu, spojrzeli sobie w oczy i równocześnie zawołali:

Dioneja: Kto był twoim ojcem?

Heliodor: Co łączyło ciebie i Orestesa?

Opowiadali sobie wzajem długo — aż do brzasku nowego dnia — najpierw Dioneja, potem Heliodor. Gdy skończyli, znów patrzyli sobie wprost w oczy, milcząc. Pierwszy przerwał milczenie Heliodor. Zapytał żony, czy bardzo chce spać. Odpowiedziała, że w samej rzeczy, bar-

dzo, ale nie będzie spała, zanim dokona się poczęcie ich dziecka. „Które, rzecz jasna” — dodała „jeśli chłopak to będzie, a obyż był! nie będzie się nazywało Bolis, tylko Dion, syn Heliodora”.

Co powiedziawszy, zaczęła ubierać się, nie rozbierać. Poranek zapowiadał się też wyjątkowo chłodny, więc się też wyjątkowo ciepło ubierała. Heliodor przyglądał się jej czas jakiś w zdumieniu bezgranicznym, niebawem jednak sam sięgnął po cieplejsze okrycie i „kauzję”. Ubierając się, klasnął w ręce. Gdy do drzwi, dzielących sypialnię od przedsionku, zapukano, uchylił je i strażnikowi — temu samemu, któremu kilka nocy temu zlecił był kilka słów dla Antymacha króla — nakazał przygotowanie łodzi dwuwiosłowej, takiej, co by bez trudności dała się wprowadzić z rzeki w kanał.

— A znieś też do łodzi — dodał po chwili — dużą butlę gorącego mleka.

Na co Dioneja, z łkaniem w głosie, ze łzami w oczach:

— Nie trzeba aż dużej. Wczoraj pierwsza się w Terze po miesiącu przerwy urodziła dziewczynka. A nie zanosi się na żaden inny poród przed sześciu dni upływem. Nie śmiej się! wszak to moja ojczyzna. Gdy tu jestem, wiem, kto kiedy kichnął, nie tylko gdzie kiedy był czy będzie poród.

— A jak się dziewczynkę nazwie? — zapytał Heliodor.

— Zostawimy to rodzicom — odpowiedziała. — Jako związek dworu eparchy nowego Parykeny, niewątpliwie zechcą mieć i córkę chociażby, zanim — o ile w ogóle kiedykolwiek — syn też się im urodzi. Czekaj. Coś jeszcze muszę ci powiedzieć, nim zejdziemy do łodzi. Czym cię tak ujęła owa twa masagecka kochanka, którą później wbiłeś na pal? Nie rób takich oczu, po prostu nie chciałam ci wówczas odbierać jeszcze jednego przyjemnego złudzenia — tylu się już ich naraz w ciągu kilku dni wyżyłeś...

— Kiedy wówczas? O czym ty w ogóle mówisz?

— Wówczas, gdyś myślał, że śpię, a nie spałam. Zda się, nie pamiętasz o tym wcale — pewna jestem, że połowy chyba nie pamiętasz już z tego, o czym mówili z sobą Mankuras i Leptynes...

— Potwornie jestem zmęczony...

— Wyśpisz się na wyspie. Ja zaś — póki będziesz spał — niańczyć będę odrzuconą dziewczynkę. Muszę się już zacząć uczyć. Gdy zaś wrócimy...

— Zapomniałaś, że już nie wrócimy.

— Tym lepiej. Sypialni tej naszej wprost znieść już nie mogę. Ani tarasu. Ani kasztelu. Ani całego w ogóle okrętu.

— A przecież wspaniały to jest okręt. Czy raczej już — był. Ciekawym ogromnie, czyja to naprawdę wola go topi i dlaczego. Wiem, wiem — wola Króla Wielkiego, bo jakaż może być wyższa? Ale ktoś był tej woli natchnieniem? Otóż kto?

— Jakto kto? Ty — rzecz jasna. Aleś mi nie odpowiedział jeszcze na pytanie, czym ciebie ujęła ta, którą w ciągu kilku dni — a potem zmarła już i zawsze — kochałeś silniej nieporównanie, niż mnie przez całe moje życie. Zresztą, nie odpowiadaj teraz. Dziewczynka odrzucona może umrzeć z zimna lub głodu, nie traćmy więcej ani chwili. Opowiesz mi wszystko w łodzi. Ale właśnie wszystko, nieprawdaż?

Opowiedział. Niemowlę na wyspie odnaleźli jeszcze żywe, choć bardzo już bliskie skonu. Biorąc je na ręce i robiąc mężowi znaki oczyma, by podsunął butlę z mlekiem ku maluteńkim wargom — Dioneja powiedziała: „Może nasi greccy rodzice to lepsi jednak przewodnicy na drodze ku Wyzwoleniu z nędzy istnienia, niż wszyscy Buddowie? Ale my z tobą, miły, chętnie a pokornie przyznamy Buddom wyższość nieporównaną nad sobą, szczególnie z Buddów piątemu, Majtrei-Agatoklei — nieprawdaż?

Gdy dziecko, syte, usnęło, usnął też i Heliodor. Śniło mu się, że bóg matki Leptynesa powoził rydwanem bojowym Ardżuny, a potem wykonywał taniec miecza, osłaniając swą piersią, niczym Siang Po założyciela dynastii Han, niemowlę, śpiące w objęciach Dionei, a zagrożone tańcem pełnym wdzięku zresztą — innego miecza, którego żadna nie trzymała ręka, czemu się Heliodor nie dziwił, bo wiedział we śnie, że to para wodna jakoś ruchami tego miecza kieruje. W pewnej jednak chwili najwidoczniej przestała kierować, bo miecz upadł na ziemię, rozbijając się w liczne okrągłe kawałki, które przy bliższym przyjrzeniu się okazywały się być ostatnimi czwórdrach-

mami Antymacha. Wówczas bóg matki Leptynesa ostrze swego miecza skierował ku niemowlęciu. — Ależ to tylko dziewczynka! — zawołała w przerażeniu Dioneja. Bóg się zaśmiał, a wtórował mu niewidzialny Leptynes, wołając: — Jaka dziewczynka! Toż to Dion, syn Heliodora... — Czy nie można czcić ciebie, dziękować za wybawienie, chłopca nie kalecząc? — zapytała Dioneja boga. — Obawiam się, że nie można — odpowiedział za boga też niewidzialny Mankuras — chyba że dokonasz cudu: dowiediesz mu, że jest Majtreją, piątym Buddą, a więc Agatokleją, co wynalazła nieznanym czterem poprzednim sposobem wyzwalania tych, kogo się kocha, od nędzy istnienia.

— Spróbuję dowieść — zawołała z otuchą Dioneja. Po czym zwróciła się do męża:

— Heliodorze, jak zapłaciła twoja najmilsza kochanka za próbę wyzwolenia swego ludu z nędzy istnienia, spowodowanej wysuszeniem się stepu?

— Skonała w mękach.

— Na palu?

— Zdaje się, że na palu... Zdaje się...

Po przebudzeniu długo się temu dziwił, iż nie mógł sobie we śnie przypomnieć, że to przecież niewątpliwie na palu w mękach skonała masagecka kobieta-szpieg. Snu tego swego Dionei nie opowiedział aż dopiero potem, gdy się zaczęła unosić z ziemi z wielką ostrożnością, by nie uронić ani odrobiny z jego nasienia obfitego, jakie była nieco przedtem w siebie wzięła.

Gdy opowieść o śnie skończył — rzekła:

— Jedźmy stąd jak najprędzej. Właśnie jak najprędzej. Inaczej oszalejemy. Ratujmy nasze sny przed bogami.

— Czy jesteś pewna, że na najdalszych kresach wschodnich je uratujemy?

— O własnych siłach może — nie. Ale we troje — ty, ja, mój brat — choć może nigdy całkowicie stepu nie ugnieśmy, przecież podsunie my nasze greckie pole bliżej pola skośnookich — o tyle bliżej, by móc, jeśli i nie ręce sobie ponad stepem podać, to poprzez step się nawoływać, tak abyśmy się wzajem z nimi słyszeli. A bardzo, zapewniam cię, nawoływanie się takie nas pokrzepi, bo z tego, co Leptynes mówił, jedno dobrze i uchem i świadomością pochwyciłam: z wszystkich narodów, Azję zamieszkujących, tylko nas i ich — właśnie owych skośnookich —

stać na to, by bogów czcić, bo ich potrzebujemy, a nie ponieważ bogom to miło, ażebyśmy — ludzie — ich czcili.

— Kradniesz Leptynesowi wielki pomysł — uśmiechnął się Heliodor. — Nienazbyt piękna to odpłata za objaw czci, jaki cię złożył, wołając, żeś piękna.

— Gdy kaleka — odpowiedziała Dioneja — zawoła z brzegu: „Oto płynie z prądem piękna jedwabna szata”, a ty się rzucisz do rzeki i szatę z niej wydobędziesz, czy godziłoby się o tobie mówić, żeś kalekę okradł? Nie ma nóg, więc się do wody nie rzucił; tyś się rzucił, bo nogi masz.

— Zawsze bym jednak dał kalece jakieś wynagrodzenie za zwrócenie mi uwagi na płynącą po wodzie szatę.

— Ja też za wielki pomysł Leptynesa i wynagrodziłam.

— Czym? Tym wszystkim, co miało stać się między wami, a nie stało się? Zamyśliłaś to przecież, zanim ze swego wielkiego zamierzenia się zwierzył...

— Zanim, potem... Czas jest też złudzeniem tylko, jak powiedzieliby Mankuras i Agatokleja. Uważasz? znów szaleję. Uciekajmy stąd — uciekajmy jak najszybciej... Na wschód, na jak najdalszy wschód — jak najbliżej skośnokich.

— ...którzy wszystko, co lewe, uważają za dostojniejsze od prawego... Nawet lewą rękę...

— Ale prawa czy lewa — ręka to ręka, nie zaś złudzenie czy środek tylko do zwycięstwa Światłości Wiekuistej nad Złym Duchem...

— Uciekasz stąd od siebie, jak Orestes... A nie wiemy, co naprawdę znalazł w Pergamie. Wiesz, co znajdziesz w Argos?

— Wiem. Chłopców — dziś już o kilka lat starszych — którzy tłukli Żydziaka... Wynajdę ich wszystkich — tych, co jeszcze żyją, i będą przed tobą, Eparchą, nosili srebrne tarcze...

— ...abyś nigdy o Leptynesie nie zapomniała? Zbytek przezorności, dziecinko, tak czy owak nigdy go nie zapomnimy. Nikt z nas — tych, którzyśmy go tu poznali. Mimo, że krótką tylko chwilę był wśród nas. Będziemy go pamiętać, jak Fajakowie Odyseusa.

— A wraz z nim boga jego matki? Wiesz, Heliodorze, jeśli bogowie istnieją, może tamten umyślnie nam Lepty-

nesa podrzucił na tych kilka dni — z myślą o sobie właśnie, a wcale nie o młodziku?

— Po co?

— By się dać nam poznać.

— Tyś go już przedtem znała.

— Jak Egipt — z mapy. To się nie nazywa: znać.

— Gdyby tak było, jak powiadasz, trzeba by rzec, że bóg to mało dbały o swe dobre imię. Nie z najlepszej bowiem dał się nam przedstawić strony.

— Mogło mu wcale nie zależeć na tym, by się nam podobał. Mógł chcieć tylko wrazić się nam w myśl i w pamięć.

— Cóż bogu żydowskiemu po tym, aby o nim myśleli i pamiętali nie-Żydzi?

— Rzekłeś do założyciela dynastii, zaręczając się ze mną, niemowlęciem, o Niepokalanej: „Artemidą będąc dla Greków, dla Irańczyków Anaitą...” pamiętasz? A pamiętasz też domysł Mankurasa: dla matki Leptynesa Mojra Homera i bóg jej narodu musieli być tym samym? Więcej: o Sowie, boskim byku garbatym z Puszkalawati, powiada Agatokles: „To Dzeus albo Dionizos”.

— Głosisz zgodę narodów w niebiosach?

— W marzeniu o niebiosach.

— Czy dlatego, iż rzeczywista „Zgoda Narodów” zniknie pod wodą? Ale właśnie: nie wytłumaczyłaś mi, czemuś to mnie była przypisała pomysł zatopienia okrętu?

— Czy nie twój to był pomysł stworzenia zapory nawodnej na Oksosie przeciw piratom chorazmijskim?

— Mój.

— Rzekłeś.

— Nie rozumiem.

— Kim byś tę zaporę nawodną obsadził?

— Więc to załogą „Zgody Narodów?... Jakże mądry jest zaiste Demetrios Król Wielki Eutydemida, Dionejo!

— I zaufany Króla Wielkiego Eutydemidy Towarzysz, Heliodor, syn...

— Syn Bolisa Kretończyka, kochanie.

CZEŚĆ DRUGA

I

.....więc się też nie zdziwisz chyba, jeśli powiem — ja, o którym dobrze wiesz, jak trudno jest czymś mnie oszołomić: „Widowisko to było, zaiste godne, aby bogowie mu się przyglądali”.

„Wbrew pierwotnemu zamierzeniu, „Meandria”, którą zowiecie „Zgodą Narodów”, zatopiona została w nocy. Oczywiście, koniec jej oglądany był nie tylko przez naszą gromadkę na pokładzie „Oksji”, ale zarówno przez całą chyba Terę a i obsadę też całą zapory nawodnej. Man-kuras przecież miał słusność: podziw powszechny, jaki budziło ciskanie sygnałów świetlnych przez tonący okręt, na którym żywej duszy nie pozostało, psiej nawet choćby tylko czy kociej, taki podziw nie tylko nie może być groźny — przeciwnie, podniesie jeszcze tylko naszą powagę, co — sama przyznasz — bardzo nam się przyda właśnie teraz, gdy tyle poszeptów krąży wokół tak zwanych zagadek śmierci twego brata i przeniesienia Menandra. Czego natomiast w samej rzeczy nie należało może ni pospółstwu ni nawet tak zwanym ludziom znaczącym pokazać, to mo-cy pary, puszczającej w ruch naraz dwieście wiosel.

„Napisałem oto „może” po „należało”, bo przyszło mi teraz — w tej chwili — na myśl, że przecież cud pozostałby cudem nawet wówczas, gdyby żadnej dla tłumów na dachach Tery i na zaporze nawodnej nie stanowiło tajemnicy to, że opuszczony okręt nadal za pomocą wiosel się porusza, odbijając od brzegu i pływając tak długo, aż przedostająca się poprzez dziury w dnie woda rzeki zaleje kotły

i rury, dostarczające pary kołom, których obroty przeistaczać miały w coś jak gdyby żywego węża olbrzymi łańcuch, do którego przymocowane zostały uchwyty wszystkich wiosel. Bo jeśli dla mnie samego nawet pozostaje wciąż niezrozumiałe, jak para władna jest puścić koła w ruch, a szczególnie to, że koła po trzech obrotach w prawo robią trzy w lewo, potem znowu w prawo, znowu w lewo i tak aż do zatonięcia okrętu, to o ileż bardziej niepojęte, a tym samym cudowne musiałyby się to wydać tłumom widzów. Mankuras twierdził wprawdzie, że posiew wiary w moją boskość tym bogatsze przyniesie żniwo, im więcej byłoby takich „Dlaczego?”, na jakie żadnej jako tako rozsądnej nie mogliby widzowie tonięcia dać sobie odpowiedzi; ja jednak teraz myślę, że takie jego ujęcie dowodzi tylko typowo azjatyckiego braku poczucia miary, z którą to skłonnością do przesady w parze idzie niezdolność rozumienia, że cudowność wówczas największe wywiera wrażenie, gdy objawia się najdyskretniej czyli w okolicznościach takich, z których większość powinna być całkowicie dostępna rozumieniu świadków cudu, by tym silniej uwydatniało się to, co jest w nim nadzwyczajne i niepojęte. Gdybyś była niemową, a zostałaby ci przez dotknięcie twych warg ręką cudotwórcy przywrócona władza mówienia, gromada Greków, ciebie otaczających, nieporównanie słabiej zostałaby oszołomiona i olśniona, jeśli byś w wyniku cudu zaczęła recytować wiersz wspinały w języku, któregoś nigdy dotąd nie znała niż gdybyś zapytała: „Czy mogłabym dostać wina z wodą i placek, miodem posmarowany?” Jeśli komuś wskażesz na kamiennego byka z brodatą ludzką twarzą i orlimi skrzydłami, wyjaśniając, że to jest podobizna bóstwa, słuchacz twój z niejakim podziwem będzie kiwał głową, i tyle; ale pokaż mu niemowlę — zwyczajne ludzkie niemowlę — i przekonaj go, że się urodziło nie z ludzkiego ojca, tylko na przykład w wyniku wejścia boskiego słonia w łono matki, wrażenie będzie tysiąckroć potężniejsze! Na tym właśnie chyba polegała wielkość Orestesa, iż bogowie, dzieła jego dłuta, będąc niezmiennie doskonale ludzcy, mają w wyrazie twarzy coś, co patrzącego od razu uderza jako właściwość, wśród żywych rzeczywistych ludzi niespotykana. Więc też lepiej by stokroć było — wedle mnie — gdyby „Meandria” tonęła w dzień, aby wszyscy widzieli, że od

brzegu odbija na skutek ruchu wiosł, i by niezwykłość wydarzenia ograniczona została do jednego jedyne tylko „Dlaczego?” — bo tak jak się stało, cudowność przedstawiła się jako coś tak niezrozumiałego, że aż przytępiającego wszelką wrażliwość. Jestem głęboko przekonany, że na każdych stu nocnych widzów dziewięćdziesięciu sądzi, że to łódzie, w ciemności dla oka nierozpoznawalne, ciągnęły okręt na linach od brzegu aż do miejsca, gdzie zaczął się pogrążyć w wodę, bo inaczej nic z tego, co widzieli, nie mogłoby zostać wytłumaczone; cud był nazbyt niepojęty w swej całości, by go rozumieć inaczej niż jako mniej lub więcej pomysłowe oszustwo. Mankuras jednak twierdzi, że ograniczenie niezwykłości do niemożności odpowiedzenia sobie na jedno jedyne pytanie: „Jak wiosła mogą być w ruchu, gdy na pokładzie nie ma żywej duszy?” ułatwiałoby widzom o wyższych zdolnościach do rozumowania dotarcie do właściwego wytłumaczenia, szczególnie iż przecież — wywodził — wśród Greków tutejszych sporo jest takich, których ojcowie przybyli tu nawet z dalekiego bardzo Zachodu, ten więc i ów mógł coś kiedyś od ojca zasłyszeć o dziwach, jakie za pomocą pary wyczyniają ku uciesze dworu Ptolemajosów mędracy z Musajonu w Aleksandrii koło Egiptu. Dla wszelkiej zaś niezwykłości — dodał — nieporównanie mniej niebezpieczne jest doszukiwanie się poza nią oszustwa przez niezdolnych dociec rzeczywistego wyjaśnienia, niż możność wytłumaczenia jej przez niepowołanych, jako owocu umiejętności, dla wielu dostępnej, ale mało komu znanej. „Zapewniam cię o panie — kończył swój wywód — jeśli nawet dziewięćdziesięciu pięciu widzów na stu w tobie, tak topiącym okręt, będzie widziało kuglarza, zawsze zostanie jeszcze pięciu, przekonanych, że to wyczyn boga, a wiara tych pięciu sprawi, że na twój rozkaz zdolni będą do czynów, na jakie nawet w snach nie odważyliby się tamci. Jeśli jednak znajdzie się ktoś taki — jeden choćby tylko, kto by oświadczył: „Ani kuglarstwo to, ani też żaden boski cud, bo oto nie jestem bogiem, a to samo zdołam zrobić” i tak oświadczywszy, w samej rzeczy to samo robi czy choćby tylko wytłumaczy, jak się to robi, wówczas przestanie w twą boskość wierzyć nawet i tamtych pięciu”.

„Jak cię znam, będziesz się śmiała, iżem przecież dając się przekonać wywodowi Mankurasa, ujawnił, jak bardzo

mi jednak zależy, na tym, aby znaleźli się tacy — choćby nawet i bardzo nieliczni — którzy by boskość moją brali poważnie. Więc też po prostu ci powiem: w samej rzeczy od jakiegoś czasu na tym mi zależy, coraz mniej jednak dla powodów, we wspomnianym wywodzie Mankurasa wyłuszczonech, a coraz bardziej dla tych samych, jakie nakazują tragarzowi portowemu tęsknie wypatrywać a jak najmilej witać każdego, kto by chciał podzielić z nim gniotące go brzemię, a już szczególnie takie brzemię, jakie wziął sobie na plecy, nie zastanawiając się wiele nad tym, jak naprawdę jest ciężkie.

„Kiedyś w domu Orestesa po dłuższym sporze na temat, czy zło i dobro na świecie z tego samego pochodzą źródła czy z dwu różnych, skierowałem do Mitroanii pytanie: „Jeśli nawet i jest, tak jak twierdzisz, to po co właściwie Pan Mądry, czczony przez ciebie, cokolwiekbądź — choćby nawet samo dobro — stwarzał?” Po czym zaraz dodałem: „Nie mów tylko, że po to aby stworzenie jego było szczęśliwe. Bo albo wiedział — tworząc — albo nie wiedział, że równocześnieomalże stworzone zostanie zło. Jeżeli wiedział — brał na siebie współodpowiedzialność za wszelkie nieszczęścia, jakich twory jego będą doznawać; jeśli nie wiedział, jak mógł spodziewać się, że tworzy aby siać szczęście, bo wszak w pomyślanym przez niego świecie nikt by się w ogóle nigdy nie czuł szczęśliwym; ażeby doznać zadowolenia z najedzenia się trzeba przedtem zapoznać się z głodem”.

„Zamiast odpowiedzieć mi wprost, Mitroania, wskazując na Orestesa, zapytała:

— „Dlaczego on rzeźbi?”

„Była to chyba najlepsza możliwa odpowiedź na moje pytanie: ktoś tworzy, bo ze swoją mocą tworzenia coś musi zrobić. Nie wdawajmy się teraz w to, skąd wszelka moc twórcza pochodzi, i czemu jedni ją posiadają w wielkim stopniu, a inni w znikomym. Pokazał mi kiedyś Orestes, jak para, nagromadzona w kotle, by puściła w ruch koła, rozsadzała kocioł, gdy dłużej niż zwyczajnie, pozostawał zamknięty otwór, przez który miała się wydostać. Bym to mógł z daleka zobaczyć, zginęło kilku niewolników, kocioł nagrzewających. Mnie było ich żal, Orestesowi — nie. Ale tak samo nie byłoby mu żal i mnie samego — a może i siebie — gdyby czuł potrzebę rzeźbienia nas,

Eutydemidów, w sposób tak odrażający, że widok tych rzeźb wywołałby bunt nie do stłumienia wszystkich zgodnie, kim gdziekolwiek rządzymy. Więc jeśli świat w samej rzeczy jest tworem takiego czy innego boga lub też kilku naraz — zapewne najśluszniesze jest nie dochodzić, po co go stworzyli, tylko zadowolnić się tym, że stworzyć musieli. Właśnie musieli, nie zaś chcieli. Coś ze swą mocą twórczą musieli zrobić, że zaś dla wielu — między innymi dla Mitroanii samej — naczelną właściwością boskości jest nawet nie tyle nieśmiertelność, co właśnie najwyższego stopnia moc twórcza — prościej jest rzec: coś ze swoją boskością zrobić musieli.

„Otóż dokładnie to samo dzieje się ze mną: coś muszę ze swoją boskością zrobić. Wiesz dobrze, jaki był jej początek: ojciec twój nie na żarty postanowił zaćmić Aleksandra, syna Filipowego — powiedział sobie, że będzie całymi władał Indiami. Ale w miarę jak Indie władzy swej poddaje, Indie rosną i rosną. Najpierw było stu Indów na jednego greckiego żołnierza pod władzą twego ojca — potem dwustu — jeszcze potem czterystu; zaczął więc żądać, tak jak od Menandra — i ode mnie też, bym jak najwięcej sobie podwładnego wojska jemu do Indyj odesłał. Na pytanie zaś moje, kim bym miał bronić granicy zachodniej przed Partami, powiada: „Niech miasta obsadzą granicę”. Tłumaczyłem mu, że nie obsadzą, bo jeśli zażadam, okrzykną mnie tyranem, a jeśli ładnie poproszę, stronnictwo, przy władzy w mieście pozostające, oczywiście z radością zapragnie mi dogodzić, ale gdy dogodzi, natychmiast przegra wybory i zaraz po przegranej zacznie się w ten sposób odgrywać, że oskarży nowy samorząd o gotowość dogodzenia mym trudnościom wojskowym, a więc o wysługiwanie się tyranowi. „Ale w zasadzie wszystkie stronnictwa chciałyby ci dogodzić?” — pyta twój ojciec. „Chciałyby” — odpowiadam — „pod warunkiem jednak że nie znajdzie się takie, co by przecież odważyło się sprzeciwić, bo taki sprzeciw to pewność wygrania wyborów, skądinąd beznadziejnych”. Więc mi ojciec twój doradził, bym sięgnął po najlepszy możliwy ze sposobów, pozwalających królowi naruszać uprawnienia samorządów miejskich bez narażenia się na zarzut tyranii: oto niech mi miasta Margiany, Tapurii i Arii ogłoszą swym bóstwem opiekuńczym. Czy myślę, że będą się wzdragały? „Wręcz

przeciwnie" — odrzekłem — „ale to nie będzie łatwe. Każde bowiem stronnictwo chciałoby mieć dla siebie wyłączność na wystąpienie z takim wnioskiem; gdy zaś któreś — którekolwiek — z nim wystąpi, wszystkie inne zaraz wnioskowi się sprzeciwią". „Na to jest jedna tylko rada" — powiada Demetrios: „Ogłoś się bogiem sam, i swe objawienie podaj do wiadomości równocześnie wszystkim stronnictwom we wszystkich miastach sprzymierzonych. Oczywiście, żadne nie odważy się objawieniu boskiemu, co się już dokonało przeciwstawić".

„Było to — tak mi się przynajmniej wówczas wydawało — bardzo rozsądne; pytam go jednak: „Czemu to ja mam jako bóg się objawiać, nie ty?" „Bo gdybym ja to zrobił" — odrzekł opryskliwie — „mówiono by, że Król Wielki, niezwykłością swą upojony, oszalał; o królu małym powiedzą tylko: spryciarz". Znowuż bardzo rozsądna to była mowa — tym rozsądniejsza, że gdy Heliodor wystąpił z pomysłem właściwie samobójczym, choć skądinąd znakomitym, zapory nawodnej na granicy przy Terze, trzeba było myśleć o posłaniu i na tamtą granicę poborowych z miast, pobór zaś z celem służby z dała od miasta tylko wtedy nie obala samorządu, gdy poboru takiego domaga się bóg. Sama zaś wiesz dobrze, iż ojciec twój ani na chwilę poważnie nie brał tego, co Heliodorowi zalecał: możliwości powołania pod broń tubylczych pańszczyźnianych nad głowami ich panów. Trzeba było tylko pod jakimś, nie budzącym podejrzeń, pozorem wsadzić właśnie wtedy Heliodora na „Meandrię" i pchnąć go ku Terze; ojciec twój bowiem miał już dość ostrzeżeń Teofila i Teodora, że jedyny człowiek, zdolny porwać do buntu Greków, niezadowolonych z hasła zgody narodów, to Heliodor, który został wśród nas blisko trzydzieści lat temu nie iżby nie chciał wracać z Antiochem Seleukidą na Zachód, ale bo to Antiochos chciał, aby Heliodor tu został. Że zaś niebezpieczeństwo buntu w chwili, gdy najstarszy twój brat znalazł się w obliczu śmierci, w samej rzeczy było większe niż kiedykolwiek od chwili odejścia Antiocha, ojciec twój zlecił mi, bym doglądał osobiście Heliodora z bliska a i osobiście też dokonał przerzutu Menandra do Indyj. Skoro jednak tym samym aż do wyznaczenia następcy Menandra i do wyjaśnienia się położenia, wynikłego z choroby Eutydemosa,, miałem ponosić odpowiedzialność za

obronę i północnej znów także granicy — tym ważniejsze było, bym nad tę granicę jechał nie z pustymi rękoma, tylko z uspakajającą wiadomością, że w miejsce osadników, do Indyj powoływanych, przyjdą niebawem poborowi z miast Margiany i Arii. Rozumiesz więc, że nie mogłem sobie pozwolić na zbytne przeciąganie namysłu, mam czy nie mam bogiem się ogłosić. Ojciec twój, zresztą, bardzo mnie przynaglał, a któż z nas, Eutydemidów, poza tobą, ilekroć chcesz, i poza zmarłym twym bratem, gdy mu się zdawało, że chce, umiał kiedykolwiek powiedzieć Demetriosowi: „Nie”? A przy tym sprzymierzył się z nim w tej sprawie — i to jak! — Orestes. Gdy mię olśnił własną moją podobizną, a szczególnie uśmiechem, w jaki ją wypozażył, nie mogłem już zwlekać, bo zapowiedział, że albo zaraz dam rozkaz, by na monecie z tą podobizną umieszczono napis „Antymacha Króla boga” albo wzór monety zniszczy. A przecież miała to być moneta, upamiętniająca dwudziestolecie mego zwycięstwa wodnego nad Masagetami, i trudno było wymarzyć jakiegokolwiek wspanialsze uczczenie tej rocznicy niż wybiciem takiej właśnie monety! Nie wahałem się ani chwili dłużej. Obyłem się wahał — jeszcze choćby kilka dni! — Bo przecież te kilka dni dodatkowego namysłu mogłyby mię doprowadzić w drodze rozumowania do pytania, jakiego przedtem sobie nie stawiałem: co ja będę ze swoją boskością robił po przeprowadzeniu poboru, prawem samorządowym ani treścią przymierzy między miastami a dynastią nieprzewidzianego?

„Widzę znów ciebie śmiejącą się odpowiadającą: „Nie nie rób, bo i jak można coś zrobić z mocą, której się naprawdę nie posiada?” Łatwo ci tak odpowiedzieć, ale odpowiadalabyś tak, niewątpliwie nie pomyślawszy uprzednio nad tym, że skoro się raz bogiem zostało, trzeba nim być już zawsze. Ojciec twój doskonale to rozumiał, i myślę teraz, że główną przyczyną tego iż się sam nie ubóstwił, nie była wcale ta, jaką wyżej przytoczyłem, tylko obawa, że oto kiedyś i jego zwycięstwom przyjść może kres, jakże by zaś wyglądał Objawiony Bóg Niezwyciężony, zmykając z pola klęski lub leżąc w prochu na brzuchu ze stopami zwycięzcy na swej głowie? Z drugiej przecież strony uważam, że nawet i mimo tej obawy, zawsze jeszcze by lepiej on wyszedł na boskości niż ja, w sensie tym właśnie, że zawsze miałby co z nią robić: odkąd całkowicie

oczywiste już jest, iż czciciele Buddy w całych — właśnie w całych! — Indiach życzą zwycięstwa Eutydemidzie, a nie Pusjemitrasowi — jest prawie niemożliwe, by kiedykolwiek ojca twego tam pobito w sposób, dla boga objawionego kłopotliwy. Równie jednak niemożliwe zdaje się być, aby zdążył — zanim odejdzie spośród żyjących, by zasiąść w niebie przy stole bogów wcześniej objawionych — całe poddać swej władzy Indie; na to chyba ze dwu pokoleń potrzeba. Czyli więc zawsze miałby co z boskością swą robić: zwyciężałby i zwyciężał. Powiesz, żebym i ja spróbował Partów zwyciężać, jak on Indów? Są dość silni, by mi całe życie takie zwyciężanie wypełniło. Niestety jednak są aż zanadto silni, bym poddawał swą boskość jakiemukolwiek z tej strony ryzyku; w wojnie zaczepnej z Partami wcale bym nie był pewien, że gdziekolwiek się pojawię, zwycięstwo będzie mi towarzyszyło po zwycięstwie. Po drugie zaś — wpływ to oczywisty Mitroaniit! — coraz bardziej mi się wydaje, że zadaniem boskości jest chyba naprawdę czynić ludzi szczęśliwymi, szczególnie skoro zło tak czy owak już zaistniało na długi czas zanimem, jako bóg, się objawił. Ale co to znaczy: ludzie? Czy nie są nimi i Partowie także? To zabawne! Jestem bogiem przecież dla greckich tylko swych poddanych i sprzymierzeńców, bynajmniej nie dla tubylczych także, więc tym mniej dla Partów, czy tych, którzy im są podwładni; żaden więc Part — rzecz jasna — nie żąda ode mnie ani nawet nie marzy, bym to właśnie ja miał go zrobić szczęśliwym. Proste i jasne rozumowanie, nieprawdaż? Pozornie tylko — powiadam ci! Ahura Mazda — tak wierzy Mitroania — chce mieć szczęśliwymi wszystkich na świecie ludzi, z wyjątkiem tych, którzy czy to myślą świadomą czy działaniem bezmyślnym, a złym, opowiedzieli się po stronie jego wiekuistego przeciwnika! Oczywiście, rozumuje błędnie: skąd pewność, że to, co Magowie tutejsi zalecają jest dla wszystkich na świecie ludzi dobre, to zaś, czego zakazują — dla wszystkich złe? Ale podstawa tego rozumowania nie jest najgłupsza: gdyby pies mógł mówić, a postawiłabyś przed nim nagich a milczących Parta, Greka, Margijczyka, Inda, o każdym powiedziałby: „To człowiek” i od każdego oczekiwałby takiego z sobą obchodzenia się, jakiego ze strony pana swego, też człowieka, doznawał. Więc też i bóg to bóg; bzdura to mówić: ten bóg dla Greków

dobry — a ten znów dla Indów — ów dla Partów — tamten dla Żydów... Musiałbym więc i z własną też boskością robić coś takiego, co by wszyscy — bez różnicy plemiennej — uznali właśnie za boskie działanie...

„Uznaliby — właśnie wszyscy! — za objaw takiego działania sposób cudowny zatopienia „Meandrii”. Więc też ci wyznam: czas jakiś chciałem twórczą moc swej boskości ujawnić, sam mechanicznie się poświęcając. Orestes jednak powiada: mechanika musi być albo zabawą, albo drogą do wielkich przewrotów nieuchronnie wiodącą. Nie rozumiem dobrze całości tego jego wywodu; wniosek końcowy przecież wyglądał przekonująco. Bo tylko wyobraź sobie: większość olbrzymia spośród tych, którzy przygotowywali wszystko, co było potrzebne do puszczenia okrętu w ruch bez udziału siły ludzkiej, żadnej nie miała świadomości, co naprawdę robi; ale przy kotłach musiałem postawić skazańców, którzy mieli sobie obiecaną zamianę krzyża czy pała na ścięcie; bardzo się z tej zamiany cieszyli i gorliwie pracowali. Mogli jednak, pracując, wyrozumować, na czym właściwie cud ruchu bez udziału rąk ludzkich polega; mowy nie ma, by wszystko zrozumieli, bo ni ja, ni Mankuras wszystkiego — jakem już napisał wyżej — nie zrozumieliśmy; Orestes zostawił szczegółowe zlecenia, i tych trzymaliśmy się wiernie, w wielkim zresztą strachu, że z nas zakpił, i żaden cud nie nastąpi. Ale coś niecoś przecież mogli i owi skazańcy zrozumieć z tego, co robią; na szczęście zrozumienie to albo dokonywało się u nich bardzo powoli, albo byli to głupcy, nie umiejący wyciągać wniosków ze swoich domysłów. Ale gdyby zdolni byli i do szybkiego myślenia i do prawidłowego wnioskowania, mogliby przecież rzec: „Mało nam zamiany krzyża czy pała na ścięcie — chcemy wolności, jeśli jej nie dostaniemy, nie będziemy tych kotłów grzali”. Powiedzmy: tych by się zaraz ukrzyżowało, ale czy inni nie postąpiliby tak samo? i jeszcze inni? i jeszcze? W końcu więc może by należało albo wyrzec się zrobienia cudu, albo dać komuś wolność, jakiej żąda. Ale przecież wolny mógłby więcej czegoś jeszcze żądać, grożąc, że ujawni światu, na czym cud rzekomy polega; świat wprawdzie jego wywodu nie zrozumie, bo i sam on — jakem już napisał — wszystkich związków między grzaniem kotła a ruchem wiosel wytropić nie był zdolny; ale nuż by — opowiadając

choćby tyle tylko, co sam wie, na prawo i na lewo — napotkałby drugiego Orestesa? Ten zaś, wszystko zrozumiałwszy, powędrowałby do Seleukosa czy Pusjmitrasa, by rzec temu czy tamtemu: „Chcecie znać sposób pokonania Eutydemidów? Walczcie z nimi na wodzie, przemieniając swych wiosłarzy w wojowników”. Nie musieliby nas pokonać, bo wiosłarze, dawni niewolnicy, mogliby przeciw panom swym broń obrócić, ale któż zapewni, że nie byłby to początek wielkiego buntu niewolników we wszystkich królestwach świata? Z buntu, zresztą, sami nie wiele co mogliby mieć, bo w końcu zapewne w najstraszliwszą z wszystkich możliwych niewolę zapędziliby ich przy pomocy jakichś dalszych swych wynalazków Orestesowie. Później może i między Orestesami samymi walka by wybuchła, zwyciężyłby ów, co by najwięcej wynalazł, ale przecież znów i jemu pracujący dlań skazańcy mogliby rzec kiedyś: „Daj nam wolność, inaczej nie będziemy pracować”... I tak działałoby się i działało, a zamieszanie by w świecie całym rosło; więc też rzekł twój ojciec — o ileż ode mnie mądrzejszy! — Orestesowi: „Chcesz stąd odejść, ale ja ciebie nie puszcę, o ile nie zostawisz nam wszystkich swych ksiąg o mechanice, zapisków z własnymi wnioskami i przyrządów”. Pyta Orestes: „Co z nimi zrobicie?” „Zatopimy” — powiada Demetrios — „wraz z okrętem, gdzie za wiele przyrządów do mówienia i słuchania na odległość się namnożyło. Ktoś jeszcze niepowołany domysli się kiedyś, jak taki przyrząd jest zrobiony”. Na to Orestes: „Słusznie zrobicie, topiąc, bo ja sam już od jakiegoś czasu jestem w strachu; rzeźbiarza, większego ode mnie — wiem — nie będzie, póki żyje a i długo po mojej śmierci jeszcze; ale jakiś zły rzeźbiarz — właśnie dlatego, że choć i stara się bardzo — nigdy dobrym nie będzie, może przerość mnie w mechanice, bo naprawdę mistrzem nad mistrzami w jednej tylko można być sztuce”. Wówczas twój ojciec do mnie: „Mógłbyś jeszcze utopić się razem ze swoją „Meandrią” — tak ci jej będzie żal, wiem. A wtedy co z twojej boskości? Pośmiewisko!”. Na to Orestes: „Przeczę. Któż z nas wie, jaka Antymacha spotkać może kiedyś śmierć? A nuż jakaś bardzo haniebna? Wtedy dopiero byłoby pośmiewisko: bóg na krzyżu rozpięty na przykład. Może by więc to i godniej było: własnowolnie jako bóg się objawiłem — własnowolnie

spomiędzy żyjących odchodzę pod wodę. Śmieliście się: Antymachos bóg?! A Antymachos to naprawdę Posejdon, pan żywiołu płynnego!” Ojciec twój bardzo za te słowa Orestesa zgromił, po czym znów do mnie się zwrócił: „Więc jeśli przysięgniesz, że sam pod wodę nie pójdziesz, wciąż jeszcze póty Orestesa nie wypuszczę, aż zostawi ci zlecenie szczegółowe, co robić należy, by okręt samą parą bez udziału rąk ludzkich w ruch puścić. Boskości twojej bardzo się przyda olśnienie wątpiących cudem”.

„Orestes dał zlecenie. Szkoda, że nie zażądał roku do namysłu. I „Meandrią” dłużej bym się cieszył, i świadkiem byłbym spotkania syna z ojcem. Bo ani nawet podejrzewasz, że on tego pół-Żyda ze swego nasienia bardzo kocha, i jeśli go z domu na śmierć pewną — jak myślał — wysłał, to tylko w strachu, że we własnym jego łożu pozbawi Mitroania Leptynesa dziewictwa. Dziś zaś, gdy nie ma już Mitroanii, bardzo byłby zapewne szczęśliwy, witając syna, którego miał już za nieżyjącego, a siebie za jego zabójcę. I z tej czułości ojcowskiej może by się i w nim zrodziła chęć służenia wynalazkami szczęśliwości innych, a nie własnej zabawie, która — poważnie brana — zamieszanie tylko rodzić byłaby władna... Wówczas i z moją oto boskością byłoby przecież co robić. Powiedz, że to Orestesa twórcza moc przejawiałyby się, nie moja. Gdybyś tak powiedziała, dowiodłabyś, żeś nieuk, bo są filozofowie — poniekąd i sam Platon, za którym skądinąd nie przepadam — co powiadają, że boskość nie tworzy sama, tylko przez pośrednika.

„Ale wspomniał oto Leptynesa. Teraz gdy wiem, żeś go aż do granicy odprowadziła, żałuję, że ci nie powiedziałem przedtem, kim była jego matka i jak go ta matka na całe życie obdarowała. Bo nie wiedząc tego, żadnych nie miałas widoków na rozkochanie go w sobie czy nawet na uwiedzenie po świeżym doświadczeniu, jakie wiozł z sobą do granicy. Jakoże może naprawdę wart by zostać kochankiem królowny. Jak on świetnie was wszystkich — jednego Mankurasa wyjąwszy — zwiódł! Nie mam wprost słów podziwu dla chłopaka. Gdy go pierwszy raz z pomostu zobaczył, pomyślałem sobie: „Ten z Heliodorem dwu godzin nie wytrzyma — całą prawdę powie”. Nie doceniłem go, Heliodora zaś przeceniłem. Tak bardzo, że właśnie w dwie godziny po rozpoczęciu pierwszego prze-

słuchania postanowił zawezwać ich obu do siebie i rzec Heliodorowi, że doskonale wiem, kim ten chłopak jest — że cokolwiek w śledztwie chce ukryć, znane mi jest z ust jego rodzonego ojca, i że rzeczywistym przedmiotem śledztwa, jakie z bratankiem nakazaliśmy, miała być naprawdę nie Leptynesa tożsamość, tylko Heliodora sprawność...”

— Jeśli mnie pierwiej przeceniał, to teraz nie docenia! — krzyknął Heliodor i jał biegać po komnacie, wymachując długim zwojem przed oczyma żony.

— Nie gniewaj się, miły — odpowiedziała, nie podnosząc nań oczu, którymi uważnie badała stosunek między długością a szerokością szatki, mającej za kilka miesięcy stanowić pierwszy w życiu strój Diona, syna Heliodora: — naprawdę, proszę cię bardzo, nie gniewaj się, ale czy łatwość, z jaką przechwyciłeś list Antymacha do bratanicy, nie kryje za sobą czyjegoś złego przeciw nam z dzieckiem zamysłu? Może nawet bezwiednie złego, ale czy nam od tego będzie lżej? Mankuras ocalił cię przed niebezpieczeństwem wydobywania się z twych najskrytszych tajników myślowych woli buntu przeciw Eutydemidom, ale czy jesteś pewien, że to w samej rzeczy tak zupełnie bezinteresowne było ocalenie? Nie wiemy i nigdy się już chyba nie dowiemy, jak się skończyła ostatnia rozmowa między Indem a Leptynesem, ale czy to właśnie, że nie dane nam było końca tego wysłuchać, nie dowodzi, iż Żydziak już się przeobrażał — w chwili, gdy rura podsłuchowa została zatkana — z niedawnego podsądnego w oskarżyciela? Czyś się zastanowił kiedy nam tym, dlaczego Mankuras chciał, byśmy słyszeli, co on ma Leptynesowi do powiedzenia, i by Leptynes też wiedział, że my ich słyszymy? W samej rzeczy nie władniśmy zdradzić się z tak zwaną tajemnicą Leptynesa, ale mój miły — czy ci doświadczenie z czasów, gdyś był tajniakiem, nie mówi, że coś bardzo niezwykłego kryć się musi za takim postawieniem sprawy: „Macie być — wy sami dwoje tylko — dopuszczeni do wielu tajemnic w tym jedynie celu, abyście wiele wiedzieli takiego, z czym przed nikim nie wolno wam się zdradzić”?! Dlaczego Mankuras chce, byśmy — właśnie my z tobą tylko — tyle wiedzieli i o nim samym i o Leptynesie? Ale najważniejsze chyba jest to, co stanowi w tej chwili dla ciebie powód bezpośredni do tak

wielkiej dumy z siebie samego: otoś przechwycił list króla Margiany do bratanicy, w samej rzeczy ze zręcznością, tajniaka nad tajniakami godną, wykorzystując niedbałość lub roztargnienie nowego króla Baktrii, Sogdiany i Parykeny. Ale jeśli młody Demetrios wcale nie okazał się w rzeczywistości ani roztargniony ani niedbały, tylko chciał, aby treść listu jego stryja do Agatoklei — właśnie tego listu — stała ci się znana? Powiadasz, że zgubiony został jeden ze zwojów, na jakich list ten był napisany, ale czy naprawdę zagubiony? Koczownicy napadli na pocztę królewską i w czasie zamieszania pieczęcie na puszcze pękły i zawartość jej wysypała się na ziemię? Nie wierzę! Ci koczownicy to mogli być Parykenowie z tajnego wywiadu nowego króla, mogli pozostawać w zмовie z kierownikiem poczty; zwój, zawierający początek listu Antymacha, mógł nigdy się w puszcze, której pieczęcie pękły, nie znajdować. Tyle razy cię prosiłam: zapomnij, żeś był tajniakiem, bądź już tylko eparchą...

— ...którym naprawdę — gorzko przerwał jej mąż — być nie mogę, choćbym i chciał. Wyobraź sobie, że brat twój i Frynowie, którzy z nim współdziałają przysyłają gońców z błaganiami o pomoc zbrojną. Władnym pomoc mu taką samodzielnie posłać lub jej odmówić? Nie — muszę zdać się na łaskę Antiocha syna Lizymacha!

— W samej rzeczy — westchnęła Dioneja — rozdział władzy wojskowej i cywilnej to jeszcze jeden popis nowinkarstwa Eutydemidów... Z drugiej jednak strony przypomnij sobie: jako Towarzysz od spraw bezpieczeństwa, mogłeś mieszać się w czysto wojskowe zarządzenia Menandra, a i przedtem jeszcze władnyś był nakazywać ogłoszenie stanu wojennego, przypomnij tylko sobie pierwsze dni mego życia... Więc czemuż na odmianę Antiochos, syn Lizymacha, znakomity podobno żołnierz, nie miałby w sprawach przecież tylko czysto wojskowych decydować — nawet nie tyle za ciebie, ile wspólnie z tobą?

— Masz do niego wyraźną słabość. Czy nie za to, że przed laty zdecydował o czymś, co w żadnym sensie sprawą wojskową nie było: o rozłączeniu się Leptynesa i Mitroanii?

Zamiast odpowiedzieć, zapytała, czy nie lepiej byłoby, ażeby Heliodor natychmiast — nie doczytawszy nawet do końca — list Antymacha włożył do puszek, opieczętował

i odesłał wraz ze szczegółowym wyjaśnieniem bądź młodemu Demetriosowi do Baktry, bądź z powrotem samemu Antymachowi do Margu? Jeszcze zaś lepiej byłoby, ażeby osobiście puszkę odwiózł i osobiste też złożył wyjaśnienia.

— Chcesz się mnie już pozbyć, ledwie twe marzenie o Argos zostało spełnione? — zaśmiał się, przecież poprzez śmiech nadal gorycz w jego głosie rozbrzmiewała. — Nie wiem, z kim tak pilno ci zostać sam na sam... Z Antiochem, czy też może z obecnością niewidzialną Leptynesa w tym czy innym zaułku miasta, co wcale nienajgorzej — okazuje się — pamięta pierwszego kierownika tutejszego zespołu teatralnego?...

— Teraz ja ci powiem, jak kiedyś w kasztelu „Zgody Narodów” ty do mnie: „Nie jestem w usposobieniu do słuchania najlepszych choćby nawet żartów”. Heliodorze, czy ty masz Agatokleję za obłąkaną? Bo ja — nie. Mnie — uważasz? — coś zupełnie nowego przyszło na myśl. Oto wiemy z tobą — nieprawdaż? — iż załamując się pod naporem ducha Azji, najmłodszy Eutydemidzi przekształcają się w mieszańców — też z ducha, i że właśnie objawem groźnym tego przekształcania się jest aż tak wielka litość Agatoklei dla szarpanych nędzą istnienia wszystkich braci, że aby od nędzy tej ich ocalić — ich wszystkich — postanowiła wszystkich też kolejno zabić, i jednego już zabiła. To wiemy — rzekłam. Ale czy wiemy naprawdę? Czy znów się nie łudzimy, oboje tym razem a wspólnie? I czy nie jest to nasze złudzenie owocem czyjegoś wysiłku myślowego wspartego o taką pogardę dla ducha Azji, w szczególności dla jednej z naczelnych tego ducha właściwości, jakiej ni ty ni ja wyobrazić sobie nawet nie władniemy, a może nie byłiby też nigdy władni ni Orestes ni Teofil?! Oto pisze Antymachos do bratanicy: Teofil i Teodor zamęczali Króla Wielkiego naszeptywaniem, iż z twojej przede wszystkim strony grozić może niebezpieczeństwo buntu w obronie szczególnych uprawnień greckości, coraz silniej a silniej ograniczanych w następstwie hasła: „Panowanie Eutydemidów to panowanie zgody narodów”. Ale oto Teodor wręcza ci puszkę z tajnym zleceniem młodego Eutydemosa, by na wypadek, gdyby taki bunt naprawdę wybuchł, otworzona została północna granica. Jak mógł Teodor coś takiego ci zaufać, podejrzewając, że to ty sam bunt zamýślasz czy choćby tylko wybuchu jego — mniej

lub więcej świadomie — pragniesz? Przecież przy takich jego podejrzeniach było to tylko wręczenie ci żagwi, za pomocą której roznieciłbyś pożar! Najpotulniejszy Grek zerwałby się do buntu, dowiadując się, że na wypadek próby dochodzenia przez naród panów swych praw, dynastia gotowa jest popełnić najstraszliwszą względem greckości zdradę: wydać grecki stan posiadania, tak silny w Sogdii, szczególnie na samym pograniczu i przy brzegach Oksosu, na pastwę już nie innoplemieńcom tubylczym, ale barbarzyńcom spoza granicy! Przecież z takim dowodem w rękę mógłbyśomalże bezkarnie pozabijać na oczach załogi i „Zgody Narodów” i reszty floty, ba, z załogi tej pomocą, wszystkich Eutydemidów, którzy byli z tobą na okręcie! Czyżby więc uważać należało, że stary Teodor zgłupiał, wręcz oszalał? Niemożliwe! Chciał cię zagrzać, poderwać do buntu, za którego wybuchem sam skrycie tęsknił? Równie niemożliwe, a więc? Jedno tylko pozostaje wytłumaczenie: ci, którzy ciebie podejrzewali, chcieli wypróbować, czy nie skusi ciebie — a z tobą i Menandra — zaiste niezwykła sposobność: wszcząć bunt, opierając się na barbarzyńcach spoza pogranicza — mianowicie na to licząc, że gdy porwawszy za sobą Greków z floty i z wojskowych osad, pchniecie ich na Tarmię i Baktre, obez władnicie równocześnie tubylcze możnowładztwo, dynastii oddane, rzucając przeciw niemu swych masageckich czy chorazmijskich sprzymierzeńców, z którymi byście się poprzednio tak ugodzili: „Bierzcie sobie Sogdię i z Sogdyjczykami róbcie co chcecie; my zaś, Grecy, z Baktirii znów prawdziwie greckie zrobimy królestwo”. Właśnie królestwo! Ale królestwo to dynastia, czybyście zamierzali założyć nową, jak Eutydemidzi po Diodotach? W to chyba wątpili ci, którzy ciebie — a wraz z tobą i Menandra — podejrzewali. Tym więcej wątpili, im lepiej wiedzieli, że Menander obłądnie kocha Agatokleję. Stary Eutydemos zabił młodszego Diodota i ożenił się z jego przyrodnią siostrą; czemuż by historia nie mogła raz jeszcze się powtórzyć? Zabiwszy młodego Eutydemosa, Antymacha, Agatoklesa, a może i Pantaleona — Menander poślubiłby Agatokleję, ta zaś zaofiarowałaby ojcu wielki podział: dla niej z mężem i przyszłymi ich dziećmi będzie wszystko na północ od szczytów śnieżnych Paramisu, on zaś z jednym ocalałym synem i najmłodszym

bratem niech się dzieli swymi zdobyczami w Indiach... Nie zechce? Ale Grecy Baktrii też nie chcą już więcej — ani jego podbojów w Indiach, ani — tym mniej — bratania się z Indami... Więc co mu pozostaje innego, jak się zgodzić na podział? Spróbuje może z córką wojny? Ale po pierwsze, nie będzie mógł być pewny żadnego Greka w swoich wojskach, po drugie, jeśli rzuci na nią indyjskich swych zwolenników, ją też stać będzie na poszukiwanie sobie w Indiach sprzymierzeńców: jeśli przy nim będą zwolennicy obalonych Mauriów, ona się sprzymierzy z Sungami, którzy Mauriów obalili; z nim są czciciele Buddy? Z nią będą obrońcy starodawnego porządku, polegającego na ścisłym przestrzeganiu przedziału między Barwami...

— Czy nie przeceniasz dziewczyny, co bodajże nie ukończyła jeszcze czternastu lat?

— Nie sposób przeceniać kogoś, kto przy niespełna czternastu latach zdołał tak zabić króla-brata, jak ona to zrobiła... I raczej niełatwe to byłoby zadanie: przeceniać zdolności Menandra, jako wodza...

— Ale Menander nie chciał się wcale buntować. Ani też — i to chyba jest najważniejsze! — ja, kochanie...

— Jesteś tego pewien? Ktoś ma na twarzy wrzód, ale jeśli na czas nie pokaże mu się zwierciadła, może wrzód ten lekceważyć, w ogóle go nie spostrzec aż dopiero gdy zrobi się zakażenie... Mankuras na czas pokazał ci zwierciadło: w noc pierwszego alarmu powiedział ci, że twe tropienie buntowników to sen, bo jeśli kto o wszczęciu buntu myśli, to ty sam... Uratował cię, ale powtarzam: czy na pewno bezinteresownie? Poza tym uratował też cię sam Antymachos: nie wiem czy przyjaznymi uczuciami kierowany, czy lękiem, że gdy „Zgoda Narodów” dobije do brzegu w Terze, uświadomisz sobie, że buntu chcesz, do buntu zdążasz, więc zaraz poczniesz działać, ujawniając przed załogą floty i osadnikami tajne zlecenie młodego Eutydemosa oraz wykorzystując rozżalenie jednych i drugich przeciw dynastii: floty, iż mają ją uzupełnić tubylcy i to z pańszczyźnianych; osadników, że wzywa się ich do Indyj...

— Czy Antymachos ratował mnie nakazując Teofilowi, by mię uwięził i nagotował dla mnie kajdany?

— To mógł być własny pomysł Teofila. Nie, Antyma-

chos ratował cię, odwracając twoją uwagę od myśli o buncie w kierunku rzekomej zagadki Leptynesa — rzekomej, bo przecież — jak z listu widać — z góry rozwiązanie tej zagadki było mu znane... Raz jednak jeszcze najgoręcej ciebie proszę: nie czytaj dalej tego listu. Jeśli tak bardzo — jak powiadasz — tęsknisz już za Dionem, synem Heliodora, jeśli tyle naprawdę chcesz mu dać czułości i opieki — nie czytaj! Bo przecież gdy przeczytasz, zdarzyć się może, iż nie będzie miał mały Dion ni czułości ni opieki...

— Cokolwiek mnie spotka, zawsze zostaniesz z Dionem ty.

— Głupiś, Heliodorze! Jak bogu matki Leptynesa, brakuje ci wszechwiedzy, byś był zespołem doskonałym wszelkich możliwych „naj...” i „wszech...” Teodora wskazała mi jedynie właściwą drogę, poszła za Spitamenesem, stwierdziwszy, że go nie ma, więc jeśli nie będzie ciebie...

— Spitamenesa nigdy nie było...

— ...które to stwierdzenie tego tylko dowodzi, że miałabym powód znacznie słuszniejszy niż Teodora...

— Rzekłaś: Głupiś, Heliodorze... Rzeknę i ja...

— ...tylko że głosem, łkaniami rozedrganym...

— ...nawet i takim przecież zdołam rzec: „Głupiaś Dio-nejo!” Cokolwiek groźnego jest w dalszym ciągu listu Antymacha do bratanicy, zawsze lepiej, byśmy grozie tej spojrzeli w oczy. Bo jeśli dalej czytać nie będę, cóż stąd? kto mi uwierzy, że mając do końca list w ręku, do końca go nie przeczytałem?

— Rzekłeś.

— Mam więc czytać dalej?

— Rzekłeś to, o com zawsze ciebie podejrzewała. Ujawniłeś w pełni, com jako dziecko jeszcze tropiła. Tyś się nie urodził, by być tajniakiem. Żłem rzekła: może na Zachodzie i byłbyś wielki jako tajniak, ale nie w sercu Azji, o miły...

— Blisko trzydzieści lat...

— ...powodzenie w twojej działalności służbowej szło za powodzeniem. Wiem. Ale i to też wiem, że przez owe ćwierć wieku Baktria bardziej była Zachodem, niż jest dzisiaj. Miałeś do czynienia z Grekami, ze światem irańskim, który czy Grekom podwładny, czy — jak Masageci — wolny, znany jest myśli greckiej od półtora już wieku... Jest wprawdzie i w Iranie wiele tego, czego Grecy jeszcze

myślą nie ogarnęli, ale to wiele dotyczy dziedzin, zwykle nie wchodzących w zasięg działalności tajniaków; to zaś, co wchodzi w ten zasięg — powtarzam — dobrze jest znane... Ale oto pod władzą Eutydemidów znalazły się też i Indie. Indie zaś, Heliodorze, to nie tylko przedział między Barwami — nie tylko szukanie dróg, ku wyzwoleniu z nędzy istnienia wiodących — nie tylko Ardżuna z Kryszną na rydwanie bojowym czy Draupadi, pięciu naraz mężów mająca... Mówiono mi, że w Indiach tajniak przedstawia się pomocnikowi sklepowemu jako złodziej zawodowy i namawia go do kradzieży... Rozumiesz? podlewa się roślinę obficie, by owoc szybciej dojrzał. Gdy to wiesz, zrozumiesz także, czemu Teodor dał ci tajne zlecenie młodszego Eutydemosa...

— Nigdy w Indiach nie był.

— Szczyty śnieżne Parapamisu mogą nie przepuszczać z Indii do Baktirii gorących wichrów. Ale nie wszystko pod planetami tak jest wobec gór wysokich bezradne jak wichry. Mieszkańcy z ducha! dobrze to powiedział Mankuras, nie umiał przecież albo raczej udawał, że nie umie dodać: wcale nie tylko w dziedzinie spraw boskich stać się można mieszkańcem z ducha; wręcz przeciwnie: można stać się nim we wszystkich innych sprawach, prócz tej jednej tylko, ale udawać — i to jak! — że się jest nim właśnie w tej jednej jedynej sprawie... Proszę cię — nie czytaj dalej tego listu, boże stwórcy nie tylko już mój, ale i Diona także... Czy chcesz — naprawdę chcesz — by z Diona od wczesnego wieku — od wcześniejszego jeszcze znacznie, niż to Leptynesowi się przydarzyło — był... zawsze był... zawsze i tylko wędrowiec, co się w drodze trudzi, nie znając prawie rodzinnego domu?

— Pięknie to powiedziała Agatokleja — nieprawdaż? Czy to z jakiegoś poety?

— Nie wiem. Chyba nie. A jeśli, to nie z żadnego z greckich, jakich znam. Może z jakiegoś indyjskiego? Albo z takiego, co się w ogóle jeszcze nie narodził? Nie... nie... Nie śmieję się, proszę cię. Wiem: myślisz sobie teraz, że i ze mnie to coraz bardziej mieszaniec z ducha, że pod wpływem Indyj gotowam i ja rzeczywistość biegu czasu mieć za złudzenie, mówię więc ci teraz: nie ma istotnej różnicy między tym, co było a co będzie; zdarzenia jutra mogą być równie dobrze przyczyną dzisiejszych,

jak ich skutkiem. Mylisz się. Mówię ci teraz coś zupełnie innego, i to z doskonale grecką trzeźwą rzeczowością, godną komentatorów Homera, tuczonych chlebem Ptolemajosów niczym w kurniku, pod portykami Musajonu w Aleksandrii koło Egiptu. Wbrew pozorom oto, istnieje bardzo ograniczona ilość zestawień myślowych, a chyba jeszcze mniejsza zestawień ze słownych obrazów. Bardzo więc to możliwe, że dokładnie to samo zestawienie takich słownych obrazów, co Agatoklei trzy miesiące temu, nasunie się na myśl komuś innemu — za trzy lata. Albo za trzy sta. Czy za tysiąc, czy za dwa tysiące... Dokładnie to samo, oczywiście, nie w sensie, iż będzie to słowo w słowo to samo — może temu komuś gorzej to się udać lub lepiej, niż jej; ale gorzej czy lepiej, zawsze przecież ten sam to będzie mógł być obraz: wędrowca, co się w drodze trudzi, nie znając prawie rodzinnego domu. Takiego, jak Żydziak Leptynes. Jak nasz Dion, jeśli list Antymacha doczytasz do końca.

II

Heliodor nie doczytał do końca listu Antymacha do Agatoklei. Do rady żony jednak nie w całej bynajmniej zastosował się rozciągłości: nawet gdy rozgościła się w Argos Parykenów wiosna, nie wybrał się w podróż, by osobiście wyjaśnić komuś z Eutydemidów okoliczności, towarzyszące znalezieniu się w jego rękach listu króla Margiany do bratanicy. Zresztą — choćby naprawdę całkowicie został przez Dioneję przekonany — jeszcze by się nie ruszył; koniecznie chciał być obecny przy narodzinach Diona czy Teodory, które to imię — jakkolwiek nowe w rodzinie i jego i żony — zgodził się nadać dziecku na wypadek, gdyby miała to być córka. Oczywiście pragnął syna; że tak samo go pragnie, gorąco go o tym zapewniała Dioneja, nie nazbyt jednak zapewnieniom tym wierzył. Tropił bowiem utajoną poza nimi tęsknotę, wręcz żądę przeżycia chwili, w której by dziewczynka — krew z krwi, kość z kości Diona, syna Demetriosa, z Tery — nie została odesłana na wyspę czy też raczej, skoro w Argos miała przyjść na świat, do wąwozu odrzucanych niemowląt. Właśnie o to tylko chodziło — o jedno proste, krótkie „nie” bynajmniej zaś nie o całą resztę różnic w okolicznościach, towarzyszących narodzinom córki osadnika a pierworodnej królewskiego Eparchy, szczytującego się świeżym tytułem Przyjaciela dynastii. Od czasów jednak sprawy Leptynesa Heliodor nauczył się w pełni doceniać doniosłość prostego, krótkiego „nie”; jak syn Orestesa, zarazem syn Żydówki, odpowiednim okaleczeniem ciała

właściwie do żydowskiej plemiennej wspólnoty wciśnięty, zacięcie walczył ze światem nie tylko ludzi, ale i bogów o owo krótkie „nie”, jakim świadomość jego starała się jak najgłębszą wykopać przepaść między nim samym a plemieniem matki, tak samo i świadomość Dionei pożądała jako rozkoszy nad rozkoszami, chwili, w której zasygnalizują jej — tej świadomości — oczy i uszy, że jeśli ktokolwiek kiedykolwiek uzna losy — niemożliwe jeszcze do odgadnięcia, nawet do przeczucia — tego oto dziecka greckiego płci żeńskiej za godne opisu — opis ten nie będzie się zaczynał od zdania, mogącego przecież stanowić zarazem i koniec całego życiorysu: „Została przez rodziców odrzucona, jako zbyt mało wartościowy nabytek rodziny, by opłacało się ją wychowywać”. I w miarę jak dawny tajniak tajną tę żądzę swej żony tropił, odkrywał niespodziewanie i w sobie samym też nie żądzę wprowadzenia ani nawet jakąś silniejszą tęsknotę, ale przecież niedwuznaczne zupełnie pragnienie, by druga Teodora, choć i czystej krwi Greczynka, wcieliła w sobie spełnienie tych nadziei, jakie inną Teodorę rzuciły w objęcia najpierw miłości do tubylca, choćby nawet pół krwi tylko, potem zaś, gdy tubylec ów okazał się być zręcznym zmyśleniem tylko — w objęcia śmierci. O ile — rzecz jasna — nie była ta jej śmierć straszliwą pomyłką, co Heliodor poważnie wcale zaczynał brać pod uwagę; jeśli bowiem prawdę miał zawierać — choćby nawet i częściową tylko — wywód, za pomocą którego Dioneja powstrzymała go od przeczytania do końca listu Antymacha do Agatoklei, zdobywał podstawy do wątpienia, czy zawierało prawdę podsłuchane przez Teodorę, wynurzenie Agatoklei na temat trudności, jakie ją będą czekały, gdy przyjdzie wreszcie kolej na wyzwalenie przymusowe Agatoklesa ze szponów nędzy istnienia. Ale tym swym nowym domysłem starał się Heliodor kłaść tamę, z wysiłków woli budowaną; zagadkom oto z dni Wielkiej Przygody zdawało się nie być końca; zaiste przypominała ta przygoda hydrę Lernejską, gdy jedną wykrywało się tajemnicę, zjawiało się na jej miejsce nowych kilka. Może na przykład Leptynes — wbrew wszystkiemu — nie jest jednak synem Orestesa? Może cały dialog końcowy między nim a Mankurasem to zmowa, mająca na celu zwiedzenie Heliodora i Dionei — i tu by właśnie tkwiło dopiero wytłumaczenie, czemu Ind

chciał, żeby małżonkowie rozmowie tej na odległość się przysłuchiwali. Właśnie na odległość! Jak to się stało, że on, Heliodor, wcześniej możliwości tej — wręcz prawdopodobieństwa — nie wziął pod uwagę? Rura podsłuchowała zanosila im o piętro wyżej to tylko, co tamci dwaj uznali za wskazane jemu i Dionei do słuchania podać; bezradna, zaś była w stosunku do porozumiewawczych spojrzeń, uśmiechów, gestów czy wreszcie krótkich listów, jakie tamci dwaj mogli z sobą wymieniać! Leptynes może być naprawdę Żydem — tylko Żydem — Mankuras zaś nie chce, by o tym wiedzano, że zaś źródłem tej wiedzy mogła się stać Dioneja, stąd i zamysł, by Dioneja wraz z mężem słuchała rozmowy, jakiej celem było przekonać, że Leptynes to Żyd po matce tylko, po ojcu zaś tym jest, za kogo się podaje. Ale jeśli tak, czemu Mankuras pozwolił Dionei uprzednio na własne oczy się przekonać, że Leptynes jest Żydem? Przecież łatwo mógł ją powstrzymać, gdy szła by Leptynesowi się oddać... Poza tym oświadczenie Antymacha w liście do bratanicy, iż zawsze wiedział, kim Leptynes jest naprawdę, przemawiałoby przeciw nowemu domysłowi Heliodora. Czy jednak naprawdę przemawiałoby przeciw niemu? Bo przecież właśnie ostrzeżenie Dionei, by listu tego czytać nie kończył, zawierało w sobie napomknięcie na możliwość, że i list sam i przygody, co spotkały tych, którzy go wieźli — to jeszcze jedno zmyślenie, mające Heliodora zwiść...

— Tak jest, ale tak i nie jest, miły — powiedziała mu Dioneja w dniu, gdy do Argos zjechał i w pałacu eparchy rozgościł się królewicz Agatokles: — Ja się po prostu boję, że grozi ci obłęd. Najwidoczniej nie wolno być tajniakiem — i to jeszcze takim tajniakiem! — przez trzydzieści lat. Słyszałam o wielkim aktorze, który nie trzydzieści, ale osiem lat bawił tysiące i tysiące Greków, jak nikt przed nim; skończyła się cała jego wielkość na tym, że aby go ratować przed obłędem, trzeba było chować maski komiczne. Póki na maskę taką nie natrafił, był spokojny, rozumny, uroczy; gdy przypadkiem wpadła mu w oko — szalał... Pragnę więc cię uprzedzić: Agatokles znów będzie miał na palcu pierścień Króla Wielkiego i mocą tego pierścienia przeniesie kierownictwo całą służbą bezpieczeństwa Parykeny, a i w ogóle wschodniego pogranicza spod władzy Eparchy pod rozkazy Antiocha,

syna Lizymacha. Co czyniąc, wyświadczy tylko wielką przysługę: mnie, tobie a nade wszystko naszemu dziecku...

— Chowacie maski? — zaśmiał się pośepnie Heliodor. — Ale czy nie wiesz, że rzekoma troska o kogoś, kogokolwiek — by nie wpadł w obłąd, otwiera ogromne pole do nadużyć dla tych rzekomo zatroskanych. Mówiłaś chwilę temu o tamtym aktorze, otóż więc czy nie mogli zazdrośni o jego powodzenie rozpuścić gadkę o skłonności jego do obłądu na widok masek komicznych, a to z myślą, by sami jego miejsce na scenie zajęli? Albo jeszcze inaczej: miał wspaniały zbiór masek, których mu zazdrozczono, więc pod pozorem troski o stan jego umysłu zaczęto je kolejno z domu jego wnosić.

— Kto zaczął? Czy jego żona na początku czwartego miesiąca ciąży?

Heliodor ukrył twarz w dłoniach. Długo nic nie mówił, lecz gdy oderwał wreszcie ręce od twarzy, Dioneja nie dała mu przyjść do słowa. Kładąc dłoń na jego ustach, w sposób znamionujący, że ręka ta pocałunku się doprasza, powiedziała szybko:

— Nie, nie. To dziecko we mnie, to naprawdę twoje, na wyspie poczęte. Zwracając twą uwagę na śmiech, jakim wybuchnęłam, widząc okaleczenie Leptynesa, znak najdziwaczniejszych z możliwych przymierza jakiegoś narodu ze swym bogiem, zwracając na to twą uwagę — powtarzam — Mankuras nie miał zamiaru odwrócić jej od tego, co nagle teraz — właśnie teraz, gdyś rękoma osłonił twarz — wyobraziłeś sobie... Nie oddałam się wówczas Leptynesowi, nie zapłodnił mnie. Ani nikt inny, poza tobą. Heliodorze, przychodzi mi coś na myśl: Argos i wszystkie uroki Parykeny to jednak chyba za mało dla ciebie. Zapewne dlatego za mało, bo może za późno. O, gdybyś był mnie usłuchał, gdyś mnie błagała o przeniesienie się tutaj, zanim się wyruszyli w podróż ostatnią „Zgody Narodów”!... Heliodorze, wiesz dobrze, ile dla mnie znaczy brat, jak bardzo chcę mu pomóc. Ale choć wychowała mnie Aspionia, choć mogę w samej rzeczy też mieszaniec z ducha, nigdy nie zatrze się ni w świadomości mej ni w odczuciu granica między tym, czy dla kobiety greckiej jest brat, a czym mąż. Tak bardzo pragnę, by w oazie Frynów, tej właśnie, gdzie Demetrios wielki przewrót od lat gotuje, gdy spotkają się pierwsze rydwany

bojowe skośnookich z Grekami, pierwszym tym Grekom nikt inny nie przewodził, tylko tyś; i to nie jak reszta Greków konno, tylko jak skośnoocy, na rydwanie bojowym, a przy tobie za woźnicę ja, niczym przy Diomedesie...

— Pallas Atene? A może raczej jak Chilonis, Leonidasa córka, przy Ardżunie Indzie?

— Chilonis przy Ardżunie to był sen tęsknoty Żydziaka za matką przedwcześnie utraconą. Ale jeśli trzeba będzie, mogę być Kryszną przy tobie, Ardżunie... Powiadam jednak: choć tak bardzo tego chcę, tyle o tym marzę, jeśli za późno na to, dla ciebie za późno, niechże więc inni witają skośnookich Grecy, nie my... My zaś, miły... Nie żachnij się, proszę cię, nawet się nie zżymaj, to dla twego tylko dobra...

— Co to? Co to?

— Po uczcie w pałacu dziś wieczór chcę prosić Agatoklesa, by wyjednał u Króla Wielkiego dla nas z tobą — a i z dzieckiem też — pozwolenie odejścia...

— Dokąd?

— Na Zachód.

— Do Antymacha?

— Dalej. Tam, skądś, Antiochowi Seleukidzie towarzysząc, pomiędzy nas — tu osiadłych od pokoleń — przybył. Wiem, wiem... Ty, syn Bolisa... Miły, jeśli Budda naprawdę władny był wyzwalać ze złudzeń, a cząstkę małą chociażby tej swej mocy przelał na Mankurasa, zaiste błogosławiona to — choćby nawet i ograniczona była — moc. Z jednego przynajmniej złudzenia jesteś wyzwolony, i sam to równie dobrze wiesz, jak ja.

— Kłamiesz. Nie o mnie wcale ci chodzi, nie o moje wyzwolenie czy ozdrowienie... Chcesz być znów w pobliżu Orestesa!

— Drogi, dwa lata już minęło jak nie jestem dziewczą, a gdyby Orestes łudził się choćby przez chwilę, że nasze z tobą małżeństwo to tylko formalność, przestanie zaraz się łudzić, gdy zobaczy dziecko... Przecież chyba nie zapomniałeś, com ci opowiadała, gdyśmy na wyspę jechali, by dziecko począć? Orestes mógł być moim kochankiem — o ile to nazywa się być kochankiem! — jako dziewczicy tylko...

— Wiem, pamiętam. Dlatego właśnie i chciała Lepetynesa, żeby jemu się oddając, w nim przynajmniej Ores-

tesa, jako rzeczywistego kochanka, sobie zdobyć... I dlatego też bosą dla niego chodziła... Właśnie chodziła już, nie kłęzała...

— Cieszę się, że to rozumiesz. Uważasz? z tobą dokładnie tak się dzieje, jak z tamtym aktorem. Umysł twój wciąż świetnie pracuje, o ile nie dotyka zagadek, mogących stanowić zagrożenie dla bezpieczeństwa dynastii... Z czego jeden jedyny słuszny, nieodparty wręcz wniosek: dynastia i tobie też powinna pozwolić, byś rzekł jej: „Nie będę służył”...

— Sama mię zwolna od służby sobie odsuwa. Najpierw zabrano spod mej władzy sprawy wojskowe, teraz zabiera się sprawy bezpieczeństwa... Cóż mi zostawia?

— Sądownictwo, nadzór nad rynkami, układanie się pokojowe z obcymi z poza granicy, pałac, tytuł Przyjaciela Dynastii, Srebrne Tarcze za tobą i przed tobą, wreszcie mnie i dziecko... To mało? Może mało, Heliodorze. Dla mnie dość, ale jeśli dla ciebie — nie, raz jeszcze wzywam cię: idźmy na Zachód. Na ciebie wszak nie czyhają tam upokorzenia ni poniewierki, ilekroć zechcesz — we dwoje z kimś czy w tłumie — się obnażyć. A pamięć haniebna o Bolisie? Jestem pewna, że dziś — po tylu, tylu latach — większość tam w ogóle okoliczności wydania Achajosa w ręce Antiocha Seleukidy nie pamięta; ci zaś, którzy pamiętają, mówią: „Dobrze tak zdrajcy i królowi samozwańczemu!”

— Nie moi mili, o takie pozwolenie ja nie będę u ojca zabiegał — oświadczył Agatokles po uczcie i po rozejściu się gości miejscowych Eparchy: — i to nawet nie żebym się z wywodami Dionei na ten temat nie zgadzał. Jesteś w samej rzeczy bardzo przemęczony, Heliodorze, ale to minie, a minie znacznie prędzej tu — na dalekim wschodzie, niż tam, skądś między nas przyszedł... Dioneja jednego nie bierze pod uwagę: tam przez trzydzieści lat tyle zaszło zmian i to jakich zmian! Wiem, zapyta wyzywająco Dioneja: a Orestes? Orestes — moi mili — to sztuka, a sztuka, prawdziwie wielka, jest na przemiany społecznościami wstrząsające, równie nieczuła, co boki słonia na taką zmianę pór roku, co zapowiadają rojenie się wzmożone owadów, dokuczliwych dla nas ludzi — dla małą —

dla osłów i psów... Nie wszczynam tu teraz rozprawy na temat, jest czy nie jest pożądana taka sztuki wielkiej na przemiany nieczułość; stwierdzam tylko to, co oczywiste. Ale wy, którzy artystami, nie tylko wielkimi, ale w ogóle żadnymi nie jesteście, jak będziecie w tym przeobrażonym świecie greckim się czuli? Kręcicie — wiem — tu nosami na zgodę narodów pod naszymi, Eutydemidów, rządami; mieszańcy z ducha, jak powiada Mankuras, tak się buntujecie przeciw wszelkiemu uszczupleniu domniemanego greckiego stanu posiadania, jak Leptynes przeciw temu, co z nie-Greka ma w swej krwi. Na Zachodzie zaś w greckich królestwach i miastach greckich — to prawda! — nie usłyszycie nigdy hasła: „Tu zgoda narodów rządzi”, bo też w samej rzeczy tam narody z sobą zgodnie ani rządzą, ani współżyją: tam na ziemi greckiej czy przez Greków, od półtora wieku zdobytej lub zasiedlonej, naród panów nadal wszędzie szczególne ma uprawnienia w stosunku do tubylców, z tym, że sam sobą naprawdę nigdzie już nie rządzi, bo wszędzie — gdziekolwiek zachowując jeszcze jakieś pozory, gdzie indziej je bez skrępowania depcząc — rządzą Rzymianie. Chmura na zachód daleki ściągnęła z jeszcze dalszego zachodu na dobre i już nie odpłynie z powrotem. Dobrze mawiał Teofil: jedyny sposób ocalenia się przed Rzymianami to ich nie straszyć, bo strach to właśnie czyni ich niezwycięzonymi. Może i aż tutaj kiedyś dotrą, jak ty ongiś, Heliodorze, nie wcześniej jednak chyba niż za pół stulecia, nim zaś ten czas minie, Król Wielki Eutydemida, ktokolwiek nim wówczas będzie, przeciwstawi im taką moc, o jakiej żadnemu nie śniło się Filipowi czy Antiochowi: całą moc zjednoczonych Indyj z rycerstwem wschodniego Iranu, jako strażą przednią, z tym samym rycerstwem, z jakim sam Aleksander z trudem dał sobie radę, a kimże w porównaniu z nim są Skipionowie czy Flaminios? Do tej wielkiej chwili gotować się musimy wszyscy — już teraz, choć nikt z nas — ni mój ojciec, ni ty, ni Dioneja, ni ja, ni nawet syn wasz czy mój — chwili tej zapewne nie dożyje. Ale czy nie gotuje Demetrios, syn Diona, w oazie Frynów w porze zbiorów już zasiewu na przyszły rok? Pamiętajsz, jak potrzebne mu były — właśnie w porze zbiorów — ręce Leptynesa? Tak i nam, Eutydemidom, potrzeba nie twoich rąk, ale twej głowy, Heliodorze. Z głową

tą w tej chwili może być i źle — przyznaję; ale to — powtarzam — przemęczenie. To minie.

— Cóż ja mogę jeszcze zrobić? — z goryczą zawołał Heliodor — i jak mógłbym. Pozbawiają mię władzy to nad wojskiem eparchii, to nad...

— Wiem, wiem — przerwał Agatokles, kładąc mu rękę na ramieniu. — Ale Heliodorze, gdzieś na świecie są podobno konie — jednorożce; bardzo to niebezpieczny stwór, i na ogół zabija się je z daleka z łuków. Ale gdy — co rzadko się zdarza — uda się takiego schwytać w pętlę, wystarcza róg mu tylko uciąć, i aż szkoda potem go zabijać: taki piękny a zręczny a posłuszny z niego rumak. Więc się nigdy takiego nie zabija; owszem, pielęgnuje się jak żadnego innego konia... A już szczególnie gdy zacznie stajnia zapładniać się jego krwi źrebiętami...

— Mniemasz więc, królewiczu, że na pętlę mię schwytano i róg mi ucięto? A jeśli przywidziało się tylko łowcom, że jednorożca gonia, a naprawdę to zwykły był koń, co nieco od stada odbiegł? Nie ośmieszają się łowcy, z taką zdobyczą w bramę wjeżdżając?

— Któż się ośmiesza, zbiegłego do stadniny doprowadzając na powrót rumaka? Więc tak czy owak, zawsze cześć i chwala temu, co konia na pętlę schwytał! Bądź czym ci milej być, Heliodorze: jednorożcem czy koniem zwykłym, co od stadniny odbiegł, aleś w stajni niezbędny.

— Z tym cieniem władzy, co mi, jako Eparsze, pozostawiono?

— Ten cień wedle ciebie to naprawdę bardzo jeszcze dużo. Brat Dionei, Demetrios, czemu poniechał swych marzeń o dostaniu się między skośnookich? Czy nie dlatego, że zaprzysiągł sobie Frynów, wśród których żyje, wyzwolić spod przemocy okrutnej a naturze przeciwnej zwyczajowi, który dziecku frynijskiemu nie pozwala mieć własnej matki? Jasne, my, Grecy, nie zwykliśmy przemoc, zwyczajem świętym ustaloną, zbrojną zwalczać mocą, choćby i przeciwny naturze był to zwyczaj, ale czy nasza moc to tylko moc ramienia zbrojnego? Rynki i cały ruch kupiecki Parykeny a i w ogóle wschodniego pogranicza nadal pod twoją, Eparchy, wyłączną pozostaną władzą; spraw więc, by zaroilo się od kupieckich placówek greckich — stałych placówek, wręcz już osad — na całym szlaku od Argos do Isedonu i Krorainy. Pomóż bratu żony. Gdy szlak ten

Grekami się zaludni, wiesz, co się stanie? Frynowie zaczęną Greków naśladować — stworzą samorzady, gdzie władza kapłańska to tylko urząd na czas ograniczony, obieralny, jak każdy inny... Zobaczysz: przyjdzie czas, gdy poczną Frynowie na taki urząd takich obierać ludzi, którym nie w smak rządy dożywotnie, a to i dziedziczne królowych-kapłanek-matek. Gdy zaś cały samorząd tej oazy czy innej będzie za wolnością od pradawnego zwyczaju, naturze przeciwnego, niech tego czy innego Eutydemidę bogiem oaza ogłosi; bóg zaś władny jest zarządzić nawet prastarego zwyczaju zrazu ograniczenie, potem wręcz zniesienie...

Dioneja zapytała, czy Agatokles zgodziłby się, by go tak ubóstwiano.

— Zgodziłbym się, gdyby to dla Frynow była jedyna droga do wyzwolenia się z przemocy zwyczaju, który ich dławi, a przeciw któremu nie mają odwagi się zbuntować.

— A cóż na to Pan Mądry? — zaśmiała się.

— Nie przeszkadza tym, co nie dorośli, by jedynosc jego zrozumieć, czcić Niepokalanej w Baktrze; czemuż takim samym w jakiejś oazie frynijskiej miałby mieć za złe, że składali cześć boską mnie?

— Nie przeszkadzać a nie mieć za złe to są rzeczy różne — powiedział Heliodor.

I nagle dodał:

— Panie, co ci wiadomo o liście, który stryj Twój wysłał był do twej siostry, a który niepojętym zbiegiem zdarzeń, zamiast do Kapsy poza Paramisem, tu, do Argos, zawędrował?

— Wiadomo mi, że znana ci jest treść części środkowej tego listu; początku nie przeczytałeś, boś nie mógł; końca także nie, boś nie chciał. A żałuj, żeś końca nie przeczytał. Dowiedziałbyś się, jak niewiele brakowało do tego, by stryj mój — tuż prawie przed zatopieniem „Zgody Narodów” — wezwał cię do siebie i rzekł: „Heliodorze, miejże już raz odwagę przed samym sobą się przyznać, że marzy ci się bunt przeciw nam, Eutydemidom. A gdy na odwagę tę się zdobędziesz, niech cię stać będzie i na inną jeszcze: zapytać siebie, czy to w samej rzeczy przeciw Eutydemidom w ogóle bunt, czy też tylko przeciw wszechmocy Króla Wielkiego, pozorami tylko współwładania braci i synów ograniczonej?” Nie, nie, Heliodorze,

ja ani oszalałem, ani nie żartuję. Gdybyś płomień buntu wykrzesał, Antymachos przy tobie by stanął. Z zupełnie innych jednak powodów, niż te, których sameś skłonny dopatrywać się czy doszukiwać. Zresztą, może i lepiej, żeś na trop właściwy nie wpadł, bo zbytnia twoja wówczas domyślność łatwo mogłaby sprawić, że Dioneja dziś byłaby wdową. Teraz jednak możesz całej prawdy się dowiedzieć; co prawda, gdyby z głową twą nie było teraz — tylko przejściowo, powtarzam! — źle, mógłbyś prawdy tej sam dociec, czytając środek listu Antymacha do mej siostry... Chodzi zaś o to, że mój stryj nie bardzo umie być bogiem...

— Wiem — zawołała Dioneja. — On był przeciwny odciąganiu sił greckich do Indyj, więc aby siły te zatrzymać na północ od Parapamisu, dałby się do buntu przeciw bratu nakłonić. A przeciwny był dlatego głównie, iż marzył o użyciu całej mocy wojskowej greckiej w sercu Azji w służbie temu samemu celowi, który wytknął był sobie Leptynes... Przecież dla innego niż Leptynes powodu. Oto odkrył w skośnookich — w nich jednych tylko z wszystkich ludów Azji — pokrewne greckim zdolności do mechaniki...

— Winienesz być dumny, że masz taką żonę, Heliodorze — rzekł Agatokles z niekłamanym wzruszeniem. — W samej rzeczy nic nie uderzyło stryja, gdym mu powtarzał treść opowieści Leptynesa, równie silnie, jak wzmianka o tym, co tak zdumiało i oczarowało zarazem późniejszego założyciela dynastii Han, gdy wszedł po raz pierwszy do pałacu dynastii Tsin w Sien-jang. Pamiętacie? Była tam lampa...

— Pamiętam — zawołał Heliodor — z niebieskiego nefrytu o pięciu odnogach, każda w kształcie smoka. Gdy zapalały się światła, łuski kolczaste na grzbietach smoków ruszały się, najeżały. Był też tam zespół muzyczny. Dzieiesięciu mężów, w bronzie wykutych...

— Dwunastu — poprawiła Dioneja i sama podjęła, coraz się zapalając. Na ciałach z brązu szaty z różnobarwnych jedwabi, siedzą wszyscy na wielobarwnej też tkaninie. Pod tkaniną dwie rury niewidzialne, jedna pusta, w drugiej zaś tkwi sznur. Postawcie dwu żywych ludzi: niech jeden zadmie w pustą rurę, drugi pociągnie za

sznur — i oto cały zespół z brązu zaczyna grać: ten na lutni, tamten na flecie, inny jeszcze...

— A jak mogą tak grać — przerwał jej Agatokles — to by mogli i wiosłami poruszać — nieprawdaż? A może i rydwany bojowe do bitwy prowadzić? Zrobiło się więc nagle żal stryjowi topić „Zgodę Narodów”, a z nią wszystkie wynalazki Orestesa — przeszłe i przyszłe... Jak jednak sprzeciwić się rozkazowi brata, wszechwładnego, niezwykłego? Możliwość była jedna tylko: przystąpić do buntu! Właśnie przystąpić, nie zaś go wszcząć. Antymachos wiedział: załoga „Meandrii” wzdycha do buntu — toż samo reszta floty, roiło się już tam od podżegaczy — niektórzy z nich ze „Zgody Narodów” czterema łodziami zamknęli ku Terze, aż trzeba było ich ścigać i na rzece topić podstępem, który pomysłem był Agatoklei...

Małżonkowie spojrzeli sobie w oczy — oczy te mówiły: „Czy to naprawdę podżegaczy do buntu topiono? A może tylko takich, co za wiele domysłów a za głośno wyrażali między pokładami na temat małąp z królewskiego ogrodu w Baktrze?” Agatokles pochwycił tę ich wymianę spojrzeń. Uśmiechnął się.

— Coś wam opowiem — rzekł, sięgając po czarę z winem. — Gdy mnie pierwszy raz zapędził ojciec do ksiąg z pismami Homera, zrazu się leniwiłem, ale później rozsmakowałem się i to jak! Po jakimś jednak czasie zapał mój minął, więc nauczyciel, nie śmiejąc mnie bić, mimo że ojciec bardzo mu to nakazywał, jał mię któregoś dnia prosić, wręcz błagać, bym mu wyjaśnił, jak się to dzieje: otom taki był pilny przez czas jakiś, więcej: z wielkim zapałem się uczyłem, a teraz znów co chwila uciekam od Homera to do słonia, to do małąp, to do łabędzi. Chciał wyjaśnić, więc wyjaśniłem: Iliada się kończy — powiadam — pogrzebem Hektora, z Odysei dowiaduję się, a i to nie na początku wcale tego czy owego o wydarzeniach z samego zakończenia wojny Trojańskiej, a przy tym jakże mało się dowiaduję... O tym jednak, co zaraz po pogrzebie Hektora pod Troją czy w Troi się działo, a wiem: działo się wiele, nic Homer nie mówi. Chcę zaś i o tym też wiedzieć, a że wiedzieć nie mogę, nie chcę Homera więcej znać...

„Nauczyciel słuchał mych żalów, uśmiechając się, a gdym skończył, zapytał:

„Czy nie padło chwilę temu z twych ust: „Wiem — działo się wiele”. Jeśli zaś wiesz, jak możesz zaraz potem przeczyć sobie mówiąc: „Chcę i o tym też wiedzieć, a że wiedzieć nie mogę, nie chcę Homera znać?”

„Żadna to sprzeczność — odpowiedziałem opryskliwie, wręcz ostro, choć ojciec mię i bijał własnoręcznie za takie odpowiadanie nauczycielowi. — Wiem, że się działo, a nawet co się działo, z jakichś suchych, nudnych skrótów. Chcę zaś wiedzieć o tym szczegółowo — tak szczegółowo, jak o pojedynku Ajaksa z Hektorem lub o wystrzeleniu z łuku zalotników Penelopy. A zresztą, nie tylko o to mi chodzi, by równie szczegółowa była to opowieść, ale też równie piękna, tak piękna, bym słuchając jej, śmiał się lub płakał.

„Na to nauczyciel mój, wciąż się uśmiechając: „A może Homer coś niecoś twej własnej pragnął zostawić domysłności czy pomysłowowości? Zastanów się tylko: oto spotyka Achilles na polu bitewnym władczynię Amazonek; wiesz o tym spotkaniu z nudnego, suchego — jak powiadasz — skrótu. Ale uszy i oczy mając pełne Homera, jeśliś sam poetą, wnet owoc wiedzy małej, ze skrótu zaczerpniętej, zaczniesz ci się rozrastać, potężnieć, wręcz ogromnieć. Nic ci Homer nie powiedział, co mianowicie mówili do siebie przed pojedynkiem Achilles i Pentezylea, ale w twej głowie przemówią, a potem może i twym językiem, a wreszcie pod twym piórem. I gdy ci, co Homera dobrze znają, powiedzą o tej rozmowie, z Homera nieznaney: — „Ależ tak, właśnie tak Achilles musiał do niej przemówić” — zapewniam cię, królewiczu, dowód to będzie, że wiele, bardzo wiele Homer ci dał — stokroć więcej, niż gdyby w tysiącach ksiąg, dzień po dniu, godzinę po godzinie, całe bez reszty szczegółowo dał ci poznać dzieje owej wojny. Więcej: znudziłby cię, a gdybyś nareszcie przez całość przebrnął, rzekłbyś do mnie: „Nie chcę znać Homera, niczego już mej własnej nie zostawił wyobraźni”. „A poza tym” — ciągnął nauczyciel: „pozwól Homerowi samemu decydować, co ma ci opowiedzieć, a czego nie, z tego, co sam o wojnie trojańskiej wie. Zaufaj mu, a jeśli uważasz, że zaufania twego nie jest godny, zawsze wszystkiego możesz sam się dowiedzieć z tych — jakżeś sam rzekł — suchych, nudnych skrótów”. Którą to sobie naukę przypomniawszy, Heliodorze, cóżam to, com nie-

dawno był tu rzekł: byś żałował, że nie znasz końca listu mego stryja do Agatoklei. Nikogo nie biją jako nieuka z tych, co do Homera się przykładają, jeśli nic nie wiedzą o tym, co stało się pod Troją od pogrzebu Hektora do chwili gdy Helena rozpoznała Laertydę, co przekradł się był do oblężonego miasta wrogów. Więc i ciebie nic nigdy złego nie spotka za to, że nie wiesz tego, czego nie powinieneś wiedzieć.

— Przeczę — powiedziała Dioneja — choć, o czym zapewne też już wiesz, królewiczu, sama męża prosiłam, by listu tego do końca nie czytał. Problem nie w tym tkwi, by wiedzieć to tylko, co się wiedzieć powinno, ale w tym, że aby cokolwiek bądź wiedzieć, musi to coś istnieć naprawdę. Powiada się: Heliodor marzył o buncie, ale Heliodor nie wiedział, że o buncie marzy. Otóż istniało to jego marzenie czy nie istniało?

— Dionejo — odparł Agatokles, znów sięgając po wino — ojciec mój poddaje oto swej władzy Indie: krainę po krainie, szczep po szczepie. Czyś się zastanowiła kiedy, po co to robi?

— Jakto: po co? Dla sławy, dla utwierdzenia się w poczuciu własnej mocy. Może też myśląc, że Indom będzie lepiej pod jego rządami, niż pod czyimikolwiek bądź innymi. Może szuka mocniejszego, niż dotąd miał, oparcia przeciw możliwym buntom w Baktrii. Wreszcie — jakęś sam rzekł — buduje wielką moc, co by władna była stawiać opór Rzymianom, jeśli strach ich aż tutaj za pół wieku przygna.

— Mądrześ rzekła. Ojciec sam dokładnie to samo wciąż powtarza: wszystko coś wymieniła. Innym powtarza — i samemu sobie też. Ale — wiesz? — wszystko to sobie uprzytomnił dopiero wówczas, gdy Indie już podbijał. Rozumiesz? Wszystko to są odpowiedzi na pytanie właśnie: „Po co ja to zrobiłem?”; przed wyprawą jednak nie były odpowiedziami na inne: „Dlaczego lub po co właściwie chcę to zrobić?” Bo na takie pytanie ojciec nie mógł sobie odpowiedzi udzielić, a dlatego nie mógł, iż musiałaby ona brzmieć: „Bom jako młodzik dzielił z mym ojcem jego upokorzenie się przed Antiochem Seleukidą”. Toż samo z tu obecnym Przyjacielem miłym, Eparchą Parykeny: nie mógł sobie powiedzieć, że marzy o buncie, bo musiałby zaraz siebie zapytać: „Dlaczego i po co?” Jedyłą zaś

szczerą, uczciwą odpowiedzią musiałoby być i jego też przyznanie się do jakiegoś silnie przeżytego upokorzenia.

— Jakiego mianowicie? — warknął Heliodor.

— Ależ, Przyjacielu — uśmiechnął się Agatokles. — Ja już dawno wyzbyłem się żalu do Homera, iż nic mi nie opowiedział o strzale Parysa, zabijającej Achileśa.

— Ale czy nie można za upokorzenie błędnie wziąć coś, co nim wcale nie było? — zapytała Dioneja, wpatrując się w połysk, jaki pełnia księżycy nadawała dalekim śnieżnym szczytom.

— Nie tylko można, ale najczęściej właśnie tak się to i zdarza.

— Jakże odróżnić rzeczywiste upokorzenie od pozorowego?

— Tak samo, jak tajniak, jeszcze działalnością swą nieznużony, odróżni rzeczywistą przyczynę śmierci mego najstarszego brata od pozornej.

— A ta różnica?

— Znów żale do Homera! Eparcho Dostojny i ty, o Dionejo, mądrzejsza od wszystkich kobiet mądrych eposu i tragedii, upokorzenia, przez Leptynesa doznane, rzeczywiste były czy pozorne?

— Rzeczywiste — powiedziała Dioneja równocześnie z wzdrgnięciem mruknięciem Heliodora: — Pozorne.

— Ale my tu myślimy o przedzieraniu się poprzez zapórę koczowniczą na spotkanie skośnookim. Myśl ta jednak — zapewne sami to przyznajecie — zrodziła się najpierw w głowie Leptynesa. Dlaczego? Bo wiele doznał był upokorzeń — mniejsza o to, pozornych czy rzeczywistych. Myśl to może być w samej rzeczy wielka, ale równie dobrze okazać się może przy próbach urzeczywistnienia bzdurną lub nawet szkodliwą, wręcz występłą. Więc też zostawmy na ten czas, gdy taką okaże się być lub owaką, sąd nasz, co wart był sąd inny: Leptynesa o doznanych przez siebie upokorzeniach.

— To nie jest odpowiedź na pytanie, takie, jak je byłam sformułowała — powiedziała Dioneja.

— Nie jest? Daruj, Dionejo, może jako mieszaniec z ducha, nie władnym już rozumować w sposób, godny poklasku na rynku ateńskim dwa i pół wieku temu, ale pozwól mi na mówienie o czymś, o czym właściwie nie godzi mi się może wiedzieć nawet. Nie zdradziłaś męża

z Leptynesem, bo odkryłaś w niedoszłym swym kochanku Żyda, ale co ciebie właściwie od niego odrzuciło? Znak widomy przynależności do wspólnoty szczepowej, czczącej bóstwo, które jest ci niemiłe? Czy też przeświadczenie, że nie może być godny twej miłości, zwodząc nas wszystkich, więc i ciebie też, zapewnieniami, że Żydem nie jest? Ale właściwie nie jest nim — zresztą, zauważ — nikt go o to nie pytał: jest Żydem czy nie jest. Przedmiotem śledztwa było: jest czy nie jest tym, za kogo się podawał — synem Orestesa. Jest nim, nikogo więc właściwie nie zwiódł. Więcej jeszcze powiem: ów znak przynależności plemiennej ma dowodzić łączności z innymi czcicielami plemennego boga, ale Leptynes boga tego nie czci, przynajmniej nie czci go tak, jak czcić go jest zwyczajem szczepu. Więc właściwie jeden po drugim wszystkie odpadają powody, dla którychbyś go miała — właśnie jako Żyda — odrzucić, a odrzucając, dodatkowo upokorzyć. Więc co powiesz? pozorne to było upokorzenie czy rzeczywiste? Milczysz? Wyręczę więc ciebie: było rzeczywiste, bo nowego jeszcze dodało bodźca Leptynesowi, by oto znowuż — po tylu, tylu już przygodach — był jak... jak kto? Siostra moja jakoś to określiła...

— Jak wędrowiec, co się w drodze...

— Już pamiętam: „Co się w drodze trudzi, nie znając prawie rodzinnego domu”. W twoich objęciach mogła skończyć się jego wędrowka. Stało się jednak inaczej: nadal wędruje. Odwrotnie natomiast z tobą stało się, Heliodorze: nie wznieciłeś żadnego buntu, więc i marzenie twe o buncie należało uznać za pozorne tylko. I postrzegasz, że się za takie je uznało, bo gdyby było inaczej, w więzieniu byś dziś był, a nie w pałacu tym, jako jego gospodarz, anibyś postąpił ze stopnia Towarzysza Królewskiego na wyższy: Przyjaciela Dynastii.

— To nie jest takie proste — zaczęła była Dioneja, ale świadoma, że sprzeciw jej wiódłby na drogę bardzo niebezpieczną, bo do napomknąć co najmniej na okoliczności i przyczyny śmierci młodego króla Eutydemosa — umilkła. Umilknięciu zaś temu niedwuznaczne a silne musiało towarzyszyć zakłopotanie w wyrazie jej twarzy, Agatokles bowiem długo z błyskami uśmiechu w swych szafranowych oczach wprost w twarz jej patrzył i dopiero widząc, że Heliodor zaczyna zdradzać już objawy zaniepokojenia, wi-

docznie uderzony dziwnością tego spojrzenia królewicza, rzekł syn najmłodszy Króla Wielkiego Eutydemidy:

— Nie ma dla nas, ludzi, ni rzeczy ni spraw prostych. Z wyjątkiem jednej.

— Jakiej? — zapytał Heliodor, a już i w głosie jego też dawał się rozpoznawać niepokój.

Zamiast odpowiedzieć, Agatokles ruchem ręki prostackim, bynajmniej zaś nie królewskim, wskazał na to miejsce ciała Dionei, ukryte pod liliową jedwabną szatą, gdzie bez żadnej jeszcze świadomości, co robi, stawiał już pierwsze kroki na drodze ku nędzy istnienia beznogi jeszcze, a i w ogóle bezkształtny, Dion. Albo też stawiała je Teodora.

— Tylko to? — zapytała Dioneja.

— Tylko to.

— A śmierć?

— Sama w sobie jest może rzeczą czy sprawą równie prostą. Ale przecież dla nas, ludzi, nie jest ważna śmierć sama w sobie, tylko każdego z nas śmierci własnej świadomość. O własnych narodzinach natomiast żadnej nie posiadamy świadomości.

— Może jednak posiadamy?

— Nic mi o tym nie wiadomo — powiedział Agatokles i zaczął się podnosić. Ledwie jednak i na drugim też uniósł się łokciu, przypomniał coś sobie, znów się położył i znów po wino sięgając, rzekł:

— Leptynes dotarł do Pergamu. Odnalazł ojca.

— Jakież było powitanie? — zapytała Dioneja.

— Żadnego dotąd nie było. Leptynes boi się ojcu na oczy pokazać. Właśnie bo nie wie, jakie będzie powitanie. Miesiąc tak może się bać — dwa — trzy — sześć — rok cały.

— Możebyś, o panie, napisał do Orestesa — powiedział Heliodor — że syna ma tuż pod bokiem. Albo twój stryj.

— Stryj, jeśli zechce, niech napisze. Ja zaś na pewno — nie. Jeśli sązione mi jest zostać kiedyś bóstwem opiekuńczym którejś oazy Frynów czy jakiegoś innego samorządu, zachowam sobie, poza dziedziną spraw publicznych, prawo do boskości takiej, jak ją rozumieją epikurejczycy: boskości, co tak daleka jest w każdym sensie od

śmiertelnych, że wprost by się ośmieszala, w małe ich mieszając się sprawy. Rzecz inna jednak...

Przerwał sobie — znów sięgnął po wino i wznosząc czarę, wolną ręką znów prostackim gestem wskazał na brzuch Dionei.

— Ostatni dziś toast! — zawołał. — By ten czy ta, co stamtąd wyjdzie na świat, nigdy w życiu nie miało tych obaw, jakie targają teraz w Pergamie Leptynesem. By nigdy nie wątpiło, że powitanie, jakiego od ojca czy matki dozna po równie długiej rozłące czy też po bardzo krótkiej, zawsze być może i musi jednakie tylko: miłe. Bardzo miłe.

Heliodor i Dioneja też wzniesli swe czary.

K o n i e c.



ACHEVE D'IMPRIMER
LE 15 DECEMBRE 1955
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON
— PARIS (XVIII^e) —

Dépôt légal : 4^e trim. 1955.

Wydawca : Edition et Librairie « LIBELLA »,
12, rue Saint-Louis-en-l'Île, Paris (IV^e).

